

ZESZYT STO DWUDZIESTY DRUGI

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1997

ZESZYT STO DWUDZIESTY DRUGI

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1997

BIBLIOTEKA «KULTURY»
TOM 501

ISSN 0406-0393

ISBN 83-86907-14-2

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Wydanie krajowe:
Towarzystwo Opieki nad Archiwum
Instytutu Literackiego w Paryżu
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 1, pok. 0103
tel./fax 668 35 88, tel. 668 38 00

Adam MALDZIS

BIAŁORUŚ I JEJ SĄSIEDZI*

Szanowni Państwo!

Historyczne losy białoruskiego narodu, białoruskiej państwowości, są bardziej dramatyczne a nawet tragiczne w porównaniu z losem innych narodów i państw, których przedstawiciele gościmy na dzisiejszym forum. Oczywiście, mamy prastare tradycje, które biorą swój początek w księstwach: połockim, turowskim, grodzieńskim i in. Mamy też bogatą kulturę – wystarczy przypomnieć, że właśnie obchodzimy 480-lecie drukarstwa Franciszka Skaryny. Jednak ziemie białoruskie na przestrzeni wielu stuleci całkowicie lub częściowo wchodziły w skład innych organizmów państwowych – Rusi Kijowskiej, Wielkiego Księstwa Litewskiego, Rzeczypospolitej, Imperium Rosyjskiego, Związku Sowieckiego. Dokonywało się to zarówno na zasadzie dobrowolności jak i pod przymusem. Bardzo często w historii, nasi przodkowie byli znani nie jako Białorusini, ale jako – Rusini, Litwini, Białolachy, Kresowiacy, Poleszucy, Tutejsi, mieszkańcy guberni północno-zachodnich lub województw wschodnich. Nasze elity etniczne i intelektualne ulegały kolejno falom polonizacji lub russyfikacji. Stąd biorą się nasze

* Wystąpienie na Międzynarodowej Konferencji Prezydentów w Wilnie.

dzisiejsze problemy – narodowościowe, kulturalne i ze stworzeniem własnego państwa. Dlatego też nasza mentalność w odróżnieniu od sąsiadów pozostaje nadal w stadium formowania się i nawet regresji. Stąd biorą się przeróżne komplikacje w naszych kontaktach z sąsiadami, wśród których (z wyjątkiem chyba Łotwy) funkcjonują ugrupowania społeczne, które wysuwają pretensje do części naszego terytorium i do części naszego dziedzictwa kulturowego, stworzonego w ich językach.

Za pozwoleniem Szanownych Państwa skoncentruję się na sprawach dziedzictwa kulturowego, szczególnie na tym spornym, wieloetnicznym. Dziedzictwo to powinno dzisiaj służyć zbliżeniu, łączyć ościennie państwa i narody. Niestety ono częściej nas rozdziela, staje się kamieniem obrazy w stosunkach sąsiedzkich. Proszę mi uwierzyć i jako Białorusinowi z przekonań i jako człowiekowi mającemu korzenie litewskie, a wychowanemu na tradycjach kultury polskiej i rosyjskiej, że sprawia mi ból, gdy czytam, że dziedzictwo kulturowe Wielkiego Księstwa Litewskiego (w tym kroniki, statuty, metryki) są nawet wyłącznie własnością dzisiejszej Litwy albo to, że powstały one nie w języku starobiałoruskim, a w sztucznym „języku kancelarii Wielkiego Księstwa Litewskiego”. Ale z drugiej strony, niektórzy nasi badacze uważają, że WKL, państwo polietniczne, było wyłącznie państwem białoruskim. Niedobrze mi się robi, kiedy widzę wydane w Polsce książki o Nieświeżu, Grodnie, Słonimiu, w których miasta te nazywane są nie „kresowymi”, a od wieków polskimi. Z drugiej strony, nie jest mi przyjemnie, kiedy czytam w naszej prasie, że Adam Mickiewicz – to poeta białoruski. Czuję się źle również wtedy, kiedy ludzie mający autorytet uważają, że takie postacie jak nawet Skaryna, Eufrosynia Połocka i Symeon Połocki są przedstawicielami kultury rosyjskiej, a inni nawet i Glinkę, i Dostojewskiego uważają za Białorusinów. Zupełnie tracimy optymizm, kiedy słyszymy lub czytamy, że każdy katolik na Białorusi – to Polak lub Litwin, a każdy prawosławny – to Rosjanin. Mimo woli zaczynamy odczuwać, że nam Białorusinom Pan Bóg nie dał swojego miejsca na ziemi!

Aby przeciwstawić się takim przekonaniom i stereotypom

Międzynarodowa Asocjacja Białorusinów, którą mam zaszczytu prezentować, wydaje miesięcznik *Kantakty i dyjalohi*, w którym podaje się informacje i wiadomości bibliograficzne o naszym współdziałaniu międzynarodowościowym. W każdym roku organizujemy kongresy lub konferencje, wydajemy zbiory poświęcone tej tematyce. Ostatni taki numer (dwuczęściowy) posiada tytuł, bezpośrednio dotyczący dzisiejszego tematu: „Białoruś pomiędzy Wschodem a Zachodem, kwestie współpracy międzynarodowościowej, międzyreligijnej i międzykulturalnej, dialogu i syntezy”. Ponieważ zawiera on materiały (wymieniam w porządku alfabetycznym) „okrągłych stołów” białorusko-litewskiego, białorusko-łotewskiego, białorusko-rosyjskiego i białorusko-ukraińskiego. Numer ten chciałbym przekazać Wielce Szanownym Prezydentom państw ościennych.

Szczególnie zawiłą jest sprawa spornego dziedzictwa kulturowego (tak materialnego, jak i duchowego), jego restytucji, czyli powrotu do krajów z których pochodzi, lub wspólnego jego wykorzystania. Ponieważ Białoruś wcześniej wchodziła w skład innych organizmów państwowych, to właśnie do ich stolic: Wilna, Warszawy, Sankt-Petersburga i Moskwy trafiały nasze skarby muzealne, bibliograficzne a także archiwalne. Sprawą beznadziejną jest z punktu widzenia prawa dzielenie ich między sobą, domaganie się ich zwrotu. Wpływałoby to też negatywnie na stosunki sąsiedzkie, ciążyłoby nad nimi. Dlatego też, wydaje mi się, że dzisiaj bardziej słuszne jest wysuwanie propozycji o wspólnym wykorzystaniu spornych wartości kulturowych – ich publikowaniu, powielaniu, demonstrowaniu na wystawach wymienialnych, deponowaniu, wreszcie prowadzeniu badań. W tym celu niezbędny jest wolny dostęp do skarbów, którego brak dzisiaj naukowcom białoruskim, szczególnie w Rosji. Bardzo ważne są tu też aspekty moralno-etyczne, wykazanie dobrej woli ze strony głów państw. O tym wszystkim mówiło się na specjalnej międzynarodowej konferencji poświęconej kwestiom restytucji, która odbyła się w czerwcu br. w Mińsku pod egidą UNESCO. Dokument końcowy tej konferencji, apelujący przede wszystkim do głów rządzących państw ościennych, pozwolę sobie również dołączyć do naszego zbioru.

Z powodu braku czasu, nie będę tu wyliczać utraconych przez nas pomników historii i kultury. Podkreślę jedynie, że straty te są ogromne, większe niż w jakimkolwiek innym państwie europejskim. Podczas ostatniej wojny zostały wywiezione i rozgrabione zbiory prawie wszystkich białoruskich muzeów, bibliotek oraz archiwów. Skarbów białoruskich za granicą jest więcej, aniżeli na Białorusi. Jeśli chodzi o możliwości ich zwrotu, nie możemy pokładać nadziei w umowach i porozumieniach, bowiem albo ich dotychczas nie podpisano, albo nie mają mocy obowiązującej. Możemy tu liczyć jedynie na dobrą wolę naszych sąsiadów.

Za pozwoleniem Państwa wystąpię dzisiaj nie jako naukowiec, a jako pisarz, który marzy o tym, co mógłby zrobić będąc na miejscu prezydentów państw ościennych.

Na miejscu Prezydenta Litwy, Wielce Szanownego Pana Algirdasa Brazauskasa, wskrzesiłbym w Wilnie, w dawnym budynku, Wileńskie Muzeum Białoruskie, zamknięte przez bolszewików w 1946 r. Zbiory Muzeum rozproszone są dzisiaj po wielu muzeach, bibliotekach i archiwach Litwy i Białorusi. Zebrane razem stałyby się one bazą dla stworzenia centrum dobrosąsiedztwa litewsko-białoruskiego. Mówi się o tym od dawna, a rezultatów brak. Korzystając z okazji, chciałbym wyrazić władzom litewskim ogromną wdzięczność za zwrócone na Białoruś kserokopie Ewangelii Turowskiej oraz rycin Napoleona Ordy.

Na miejscu Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, Wielce Szanownego Pana Aleksandra Kwaśniewskiego, jeżeli nie zwróciłbym, to przynajmniej dałbym w depozyt do Pałacu Nieświeskiego 89 portretów z galerii Radziwiłłów, które w roku 1950 były подарowane przez nas Bolesławowi Bierutowi (naturalnie pod presją Moskwy). Również podarowałbym Białorusi, Nowogródczyźnie, kopie Ewangelii Ławriszewskiej i księgi metrycznej Kościoła w Nowogródku, w której dokonano zapisu o urodzeniu Adama Mickiewicza i która została nielegalnie wywieziona do Polski w 1946 r.

Na miejscu Prezydenta Rosji, Wielce Szanownego Pana Borysa Jelcyna, jeżeli już nie zwróciłbym, to podarowałbym Białorusi kolekcję pasów słuckich, wywiezioną w latach 1940-1941 do Moskwy, a także duplikaty wydawnictw Skaryny,

których nie mamy ani w Mińsku, ani w Połocku, skąd pochodzi ten pierwszy nasz drukarz. Pomógłbym też w poszukiwaniach śladów naszej narodowej relikwii nr 1 – Krzyża Świętej Eufrosyni Połockiej, ewakuowanego z Mohylewa w 1941 roku.

Na miejscu Prezydenta Ukrainy, Wielce Szanownego Pana Leonida Kuczmy, jeżeli nie zwróciłbym, to oddałbym dla wspólnego korzystania znaną bibliotekę Chreptowiczów, która była wywieziona do Kijowa częściowo w przeddzień, a częściowo już w czasie pierwszej wojny światowej, a także pomógłbym w zorganizowaniu w Mińsku wystawy białoruskich skarbów narodowych, które znalazły się we Lwowie w muzeum metropolity Szeptyckiego, na początku bieżącego stulecia. Jednocześnie chcę wyrazić wdzięczność władzom Ukrainy za zwrócone na Białoruś ikony, które po ostatniej wojnie przypadkowo znalazły się w Kijowie.

Co dotyczy naszego Wielce Szanownego Prezydenta Aleksandra Łukaszenki, to prowadzenie nieodpłatnego zwrotu sąsiadom, w pierwszej kolejności Rosji, ikon i innych dzieł sztuki, które tak często bywają konfiskowane przez celników białoruskich na białorusko-polskiej i białorusko-litewskiej granicy. Powołałbym również, jak to zrobiono w innych krajach, strukturę państwową i naukową do spraw restytucji.

Na zakończenie pozwólcie mi, Szanowni Państwo, przejść od fantazji, łatwej przecież do realizacji, do konkretnych propozycji.

1. Na rzecz wzajemnego zrozumienia, stosunków dobrośasiadzkich, niezbędnym jest utworzenie ogólnej przestrzeni informacyjnej dla państw Wschodniej i Środkowej Europy. Paradoksalnie, ona wcześniej istniała, a teraz niestety jej nie ma. Dane o publikacjach (lub same publikacje) trudniej jest uzyskać na Litwie lub na Łotwie, niż w Stanach Zjednoczonych. Niezbędnym jest stworzenie wspólnego banku informacji, w pierwszej kolejności w dziedzinie nauk humanistycznych. Próbujemy rozpocząć to dzieło, ale na razie bez istotnych sukcesów.

2. Jesteśmy w przededniu 200-lecia urodzin Adama Mickiewicza. Będziemy znów dzielić wybitnego wieszczą między Polskę, Białoruś i Litwę. Z pewnością on sam byłby

tym zaskoczony. Niech więc ten jubileusz będzie sąsiedzkim, wspólnym, tak jak i inne daty.

3. Na Białorusi opracowany został (pod egidą PROON) ciekawy projekt turystyczny „Złoty Pierścień Białorusi”. Chciałbym, aby sąsiedzi nasi zwrócili na to uwagę. Bo nic tak nie zbliża ludzi jak przebywanie na sąsiedzkiej ziemi. Oczywiście w charakterze chcianego gościa.

Adam MALDZIS
tłum. H. Ciszuk

Tadeusz WYRWA

DZIEJE EMIGRACJI W LONDYŃSKIM WYDANIU

W ciągu kilkudziesięciu lat istnienia emigracji po drugiej wojnie światowej nie postarano się o opracowanie jej dziejów w szerokim ich ujęciu i w oparciu o materiał źródłowy i jego konfrontację z żyjącymi jeszcze wówczas relacjami uczestników i miarodajnych świadków tych dziejów. Możliwości były bardzo duże i to tak pod względem środków materialnych, jak i elity intelektualnej. Tego niestety nie zrobiono. W 1992 r. spóźnioną inicjatywę podjęło Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie (PTNO), wydając MATERIAŁY DO DZIEJÓW POLSKIEGO UCHODŹSTWA NIEPODLEGŁOŚCIOWEGO 1939-1991. Prezesem PTNO jest Edward Szczepanik, ostatni premier rządu polskiego w Londynie, oraz przewodniczący Komisji Likwidacyjnej rządu RP, powołanej przez prez. Ryszarda Kaczorowskiego w 1987 roku. Komisja ta, o której będzie mowa, zarządzała funduszami, jakie zostały ze Skarbu Narodowego i sprzedanych rządowych nieruchomości w Londynie, przekazując resztę do Fundacji: *Polonia Aid Foundation Trust*, której przewodniczącym był również E. Szczepanik i która głównie finansowała publikację omawianych tutaj tomów. Decydująca w tym wszystkim rola przypadła więc E. Szczepanikowi i dobranemu przez niego gronu osób ze środowiska uchodźczych władz z Londynu.

Założeniem publikowanych „Materiałów”, jak pisał E. Szczepanik we wstępie do poszczególnych tomów, było opracowanie „Historii drugiej emigracji”, mającej być „zbiorowym dziełem historyków tak emigracyjnych jak i krajowych”. Komitet Redakcyjny w składzie: przewodniczący – prof. dr Edward Szczepanik, redaktor naczelny – prof. dr Józef Jasnowski, redaktor wykonawczy – prof. dr Zdzisław Wałaszewski, sekretarz i skarbnik – mgr Ludwik Maik, ustalił podział „Materiałów” na siedem tomów i później doszedł jeszcze tom VIII¹. Redaktorami poszczególnych tomów – które wychodziły z druku nie kolejno, lecz w zależności od ich ukończenia – byli: tomu I – mgr Zbigniew Błazyński, tomu II – dr Leonidas Kliszewicz, tomu III – mgr Aleksander Szkuta, tomu IV (dotychczas nie ukazał się jeszcze) – prof. dr Tomasz Piesakowski, tomu V – dr Roman Lewicki, tomu VI – Ryszard Zakrzewski, a po jego śmierci w maju 1994 r. zastąpił go Z. Błazyński, tomu VII – mgr Andrzej Suchcitz, mgr Ludwik Maik i dr Wojciech Rojek, tom VIII – Z. Błazyński. Łącznie, wszystkie te tomy (bez IV) liczą stron 3725 i w opracowaniu ich uczestniczyło 77 autorów: 48 z Londynu, 24 z Polski, 2 z USA, 1 z Monachium, 1 z Kanady i 1 z Paryża. Pod względem objętości i liczby autorów „Materiały” przedstawiają się imponująco, czego nie można powiedzieć w odniesieniu do treści.



Tom I „Materiałów” pt. WŁADZE RP NA OBCYZNIE PODCZAS II WOJNY ŚWIATOWEJ 1939-1945, opracowany pod redakcją Zbigniewa Błazyńskiego, zwięźle

1. Tom I – WŁADZE RP NA OBCYZNIE PODCZAS II DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ 1939-1945. PTNO, Londyn 1994, str. 1011. Tom II – MOBILIZACJA UCHODŹSTWA DO WALKI POLITYCZNEJ 1945- 1990. PTNO, Londyn 1995, str. 603. Tom III – KIEROWNICTWO OBOZU NIEPODLEGŁOŚCIOWEGO NA OBCYZNIE 1945-1990, PTNO, Londyn 1996, str. 703. Tom V – POMOC KRAJOWI PRZEZ NIEPODLEGŁOŚCIOWE UCHODŹSTWA 1945-1990. PTNO, Londyn 1995, str. 144. Tom VI – ZAKOŃCZENIE DZIAŁALNOŚCI WŁADZ RP NA UCHODŹSTWIE 1990. PTNO, Londyn 1995, str. 224. Tom VII – WYBÓR DOKUMENTÓW DO DZIEJÓW POLSKIEGO UCHODŹSTWA NIEPODLEGŁOŚCIOWEGO 1939-1991. PTNO, Londyn 1997, str. 809. Tom VIII – UZUPEŁNIENIA DO TOMÓW I, II, V, VI. PTNO, Londyn 1996, str. 231.

już omówił Krzysztof Tarka na łamach *Zeszytów Historycznych*² i tutaj ograniczam się do kilku jedynie zdań. Tom ten, z wszystkich opublikowanych w tej serii, jest najbardziej zwarty w treści i bez wybielania spraw, o których niezbyt chętnie mówi się na emigracji. Jest to głównie zasługą nieżyjącego już Z. Błazyńskiego, wytrawnego dziennikarza-publicysty, który potrafił dobrać odpowiednich autorów, nie narzucając im z góry ustalonych dyrektyw. Jest to jedyny tom z przewagą autorów krajowych, w tym zawodowych historyków z powojennych pokoleń: 11 na ogólną liczbę 17. Trzeba również zaznaczyć, że krytyczne podejście do dziejów z 1939-1945 jest łatwiejsze dzisiaj do przyjęcia przez środowisko polskiego Londynu, gdyż nie żyją ci, którzy uczestnicząc w tworzeniu tych dziejów, byli za nie współodpowiedzialni. Natomiast zespoły, które wiodą obecnie prym w tych środowiskach składają się z innego już pokolenia, które jest bezpośrednio związane z okresem powojennym, stąd niezmienna wrażliwość na wszystko, co dotyczyło i dotyczy jego działalności i co ujemnie zaciążyło na opracowaniach dalszych tomów.



Tom II – MOBILIZACJA UCHODŹSTWA DO WALKI POLITYCZNEJ 1945-1990 został przygotowany pod redakcją Leonidasa Kliszewicza, który na wstępie zaznacza że historia 45-letniej działalności organizacji b. żołnierzy i politycznego uchodźstwa wymaga „kilkudziesięciu tomów i wielu lat pracy różnych autorów”. Niemniej jednak założeniem PTNO było „że przegląd ogólny zawarty w niniejszym tomie, powinien być opracowany za ich życia przez historyków pochodzących z tej emigracji, którzy dali swój osobisty wkład w tę działalność. Pozostawialiśmy przyszłym badaczom dalszą pracę na podstawie źródeł archiwalnych i bibliotecznych. Niestety, choroba i śmierci stanęły nam na przeszkodzie”, a nie mogło być inaczej, biorąc

2. Krzysztof Tarka, „Rząd na uchodźstwie” w: *Zeszyty Historyczne* nr 113, str. 210 i nast.

pod uwagę wiek wojennej emigracji. Niemniej jednak „przegląd ogólny”, tak jak dawniej zamierzano, został właściwie opracowany, bądź to bezpośrednio przez autorów z emigracji, bądź też przez nich finansowanych i orientowanych autorów krajowych. Tom ten zawiera prace 19 autorów, w tym 15 jest z Londynu (12 z roczników przedwojennych), a 4 z Polski, z których dwoje (T. Radzik i M.B. Topolska) jest autorami kilku rozdziałów.

Materiał w tym tomie podzielony jest na 5 rozdziałów. Pierwszy z nich, Rozwiązanie Polskich Sił Zbrojnych otwiera artykuł Jerzego Morawicza pt. *Demobilizacja Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie*. Autor nie wnosi nic nowego, co nie byłoby już znane z innych opracowań, a w przypisach pomija źródłowe rozprawy, jakie ukazały się w *Zeszytach Historycznych*³, oraz na łamach czasopisma *Znaki czasu*⁴. Następny artykuł pt. *Polski Korpus Przysposobienia i Rozmieszczenia w świetle dokumentów brytyjskich*, pióra Witolda Leitgebera jest skrótem jego opracowania, jakie ukazało się w *Zeszytach Historycznych* (nr 42).

Bardzo skrótkowo i nie wystarczająco pod żadnym względem, został napisany przez Mariana Skoczka, artykuł poświęcony Stowarzyszeniu Polskich Kombatantów (SPK), najliczniejszej i najbardziej zasobnej w fundusze organizacji na emigracji. Zwrócił już na to uwagę inny autor, Jan Radomyski w VIII, ostatnim tomie „Materiałów”, o którym będzie później mowa. Jest to tym bardziej rażące, że artykuł o SPK zajmuje niecałe 8 stron, podczas gdy w następnym rozdziale, Brygadowemu Kołu Młodych „Pogoń”, paramilitarnej organizacji, poświęcono 45 stron. Można przypuszczać, że zlekceważenie SPK nie było zwykłym przypadkiem. M. Skoczek opracował również, w lapidarnym ujęciu i zamieszczone po opracowaniu o SPK, różne związki, koła i stowarzyszenia b. żołnierzy, wszystkich razem jest 30.

Wspomniane wyżej Brygadowe Koło Młodych „Pogoń”

3. Bronisław Łokaj, „Likwidacja Polskich Sił Zbrojnych 1945-1946” w: *Zeszyty Historyczne* nr 35, str.7-63.

4. Aleksander Gella, „Pozbycie się Polskich Sił Zbrojnych przez Brytyjski Rząd JKM 1945-1947” w: *Znaki czasu* nr 9/1988, str.109-129 i nr 10/1988, str.78-100. Rzym.

opracował Tomasz Piesakowski. Inicjatywę tworzenia „Pogoni” podjął w 1949 r., za aprobatą i poparciem gen. Andersa, płk Zygmunt Czarnecki. Historia „Pogoni” stanowi jeden przyczynek więcej do poznania skutków rozbitcia emigracji londyńskiej. Po utworzeniu w 1954 roku Rady Trzech, w składzie: T. Arciszewski, amb. E. Raczyński i gen. W. Anders (po wypowiedzeniu przez tego ostatniego posłuszeństwa prez. A. Zaleskiemu), istniały dwa zwalczające się ośrodki, obydwa uważające, że reprezentują „legalizm”, czyli legalne władze RP na obczyźnie. Kryzys polityczny i w jego konsekwencji rozbitcie emigracji, odbiły się ujemnie na spoistości „Pogoni”. Prez. Zaleski mianował płk. Z. Czarneckiego generałem brygady, co było źle przyjęte przez gen. Andersa. Uprzedzając dalsze tego następstwa gen. Czarnecki rozwiązał istniejącą „Pogoń”, czy też – ściślej – zmienił jej nazwę na: Polska Organizacja Wojskowa i Niepodległościowa „Pogoń”, której dalsze losy mniej są znane. Na tle niesubordynacji, co jest zresztą dyskusyjne, gen. Z. Czarneckiego, autor tego artykułu pisze o szkodliwej działalności, w tym wypadku nie podlegającej dyskusji, samozwańczego „prezydenta” Juliusza Nowiny-Sokolnickiego. T. Piesakowski przypomina, że Sokolnicki nadawał, bez żadnych do tego uprawnień, stopnie oficerskie i generalskie, oraz odznaczenia bojowe, a kulminacyjnym punktem tej komedii było mianowanie premiera państwa Izraela, Menachima Begina, generałem Wojska Polskiego. Paradoksalne było m.in. i to, że Nowina-Sokolnicki udekorował w październiku 1989 roku orderem Orła Białego Lecha Wałęsę i ks. Henryka Jankowskiego z Gdańska. Stanowi to jednocześnie dowód zupełnego wówczas braku rozeznania kto i co reprezentuje na emigracji.

W rozdziale 2 pt. Organizacje religijne, wychowawcze, kulturalne, społeczne i prasa znajdują się opracowania 14 autorów. Ks. Władysław Wyszowadzki pisze o Kościele rzymsko-katolickim w Wielkiej Brytanii, ale brak jest opracowania o działalności Kościoła w innych krajach. Zbyt ubogie w informacje są i dalsze artykuły: ks. Alfred Bieta i Adam Gaś, *Kościoły protestanckie*; Bohdan Wendorff, *Kościół prawosławny*. Dobry, jako ogólny rzut oka na wychowawczą rolę młodzieży, jest artykuł Jacka Bernasińskiego

pt. *Harcerstwo polskie poza granicami Kraju*, ale brak jest bliższych danych o jego działalności i organizacyjnych rozgałęzieniach w różnych krajach. Warto odnotować za autorem, że Związek Harcerstwa Polskiego „musiał być samowystarczalny. Nie było żadnych dotacji Rządu Polskiego w Londynie, czy władz kraju osiedlenia”. Zwięzły i treściwy jest artykuł Bolesława Lesieckiego pt. *Polska YMCA w działalności niepodległościowego uchodźstwa*, działacza imkarskiego od najmłodszych lat w międzywojennej już Polsce.

Piśmiennictwu emigracyjnemu poświęcone są 3 opracowania. Jak wiadomo jest to „temat-rzeka”, gdzie żadne opracowanie nie jest wystarczające. Jacek Kozieł, autor krajowy z młodego pokolenia, pisze ogólnie o literaturze emigracyjnej, ujmując temat w następujący sposób: definicja literatury emigracyjnej, drogi uchodźcze, Wielka Brytania, Francja, Stany Zjednoczone, inne ośrodki, tematyka, periodyzacja i na końcu daje podsumowanie. Autor sporo miejsca poświęca ośrodkom wydawniczym, w tym o ośrodku paryskiej *Kultury* pisze, że „jest chyba jedynym środowiskiem na obczyźnie, które przetrwało kilkadziesiąt lat, zachowując swą tożsamość i konsekwentnie realizując wytyczone cele, a jednocześnie pozostając przez cały czas centrum intelektualnym, nie dającym się zamknąć w ‘emigracyjnym getcie’” (str. 214). W następnym z kolei opracowaniu, Józef Garliński przedstawia powstanie i półwiekową działalność Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, którego jest wytrwałym prezesem od 1975 roku. Nawiązujący do tych dwu opracowań jest artykuł Alicji H. Moskalowej, w którym pisze o niektórych aspektach piśmiennictwa emigracyjnego, z pożytecznym dla czytelnika przytoczeniem wyszczególnionych tematycznie tytułów książek i ich autorów. Autorką następnego artykułu pt. *Teatralna Odyseja: O twórczości scenicznej drugiej emigracji* jest Dobrochna Ratajczak z Poznania, zajmująca się badaniami nad dramatem i teatrem od XVIII wieku do współczesności. Profesjonalizm Autorki czuje się w opracowanym artykule, gdzie jak pisze w ostatnim zdaniu, zrozumienie „swoistości ‘teatralnej odysei’ polskiego Londynu, centrum emigracyjnego życia teatralnego” można jedynie uchwycić w „atmosferze dawnej Polski, w której pragnął trwać” (str. 276).

Reprezentacyjną organizację, jaką jest Zjednoczenie Polskie w Wielkiej Brytanii, opracował Zygmunt Szkopiak, jej prezes w latach 1991-1996. Zjednoczenie Polskie (ZP) zostało powołane do życia w lutym 1947 r. jako centralny organ grupujący różne organizacje i mający na celu koordynację ich działalności. Na załączonej liście członków ZP, figurują nazwy 83 organizacji, a poza ZP, które są wymienione w innych artykułach, jest jeszcze 14, czyli razem prawie 100 (słownie: sto). Na czele ZP stoi zarząd, którego głównym zadaniem jest reprezentacja polskiego społeczeństwa, utrzymywanie ścisłego kontaktu i współpraca z wszystkimi władzami brytyjskimi, polskimi oraz polsko-brytyjskimi. Autor pisze, że działalność rządu RP na uchodźstwie i ZP uzupełniały się „ponieważ działalność Zjednoczenia była społeczno-kulturalna a Rządu głównie polityczna”, która nadal – co trzeba przypomnieć – nie jest jeszcze odpowiednio opracowana. W szkicowym następnie zarysie Józef Garliński przedstawił utworzenie Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego (POSK), jego trudności, w początkowej zwłaszcza fazie i późniejszy jego rozwój. Ostatnim artykułem w tej części książki jest opracowanie Marii Barbary Topolskiej z Poznania pt. *Prasa emigracyjna i ośrodki wydawnicze w Wielkiej Brytanii na tle światowym*. Autorka skupiła się głównie, zgodnie z tytułem, na Wielkiej Brytanii. Tło światowe wypadło słabiej i mniej usystematyzowane, brak w nim zupełnie np. prasy i ośrodków wydawniczych w Niemczech.

W rozdziale 3 pt. Organizacje oświatowe w Wielkiej Brytanii, 3 podstawowe artykuły opracował Tadeusz Radzik, z Lublina. Na wstępie pierwszego artykułu pt. *Brytyjska pomoc edukacyjna*, w nawiązaniu do cofnięcia w lipcu 1945 r. przez władze brytyjskie uznania rządowi RP w Londynie, autor pisze, że Polacy „z dnia na dzień przestali być cenionymi i wspieranymi przez Brytyjczyków sojusznikami i stali się uciążliwymi cudzoziemcami” (str. 352). W rzeczywistości jednak nie byli cenieni od dłuższego już czasu, co było skutkiem powolnego procesu i różnych składających się na ten proces czynników. Z kolei, w artykule pt. *Szkolnictwo polskie w Wielkiej Brytanii*, Radzik omawia *Szkolnictwo wyższe, zawodowe i średnie*. Tytuł następnego artykułu to

Troska o polskość dzieci i młodzieży, gdzie autor pisze o Zrzeszeniu Nauczycielstwa Polskiego Zagranicą, Polskiej Macierzy Szkolnej Zagranicą i szkołach nauczania przedmiotów ojczystrych, zwanych również szkołami sobotnimi. Autor kończy ten artykuł przypuszczeniem, że „w Wielkiej Brytanii istnieje chyba najlepiej funkcjonujący, spośród wszystkich krajów osiedlenia Polaków, system szkolnictwa polskiego poza granicami Kraju”. Wcześniej jednak pisze, iż „dopiero w 1989 r. polskie szkoły nauczania przedmiotów ojczystrych doczekały się jednolitego i powszechnie przyjmowanego programu nauczania” (str. 409-410). Artykuły Radzika⁵ robią wrażenie starannie opracowanych, ale bardziej fachową ocenę mogą dać ci, którym tematyka ta jest bliżej znana. Rozdział ten kończy się artykułem Ludwika Maika pt. *Towarzystwo przyjaciół dzieci i młodzieży* (TPDM), które zostało założone w 1946 r. z inicjatywy Tomasza Arciszewskiego. Oprócz zarysu działalności TPDM, autor pisze również o szkole sobotniej, zapoczątkowanej w 1951 r., do której w 1995 roku uczęszczało 145 dzieci i młodzieży.

Rozdział 4, Polskie organizacje naukowe na obczyźnie opracowany jest wspólnie przez Tadeusza Radzika i Marię Barbarę Topolską z zaznaczeniem kto i co napisał. Rozdział ten składa się z 4 artykułów. W pierwszym z nich – *Stowarzyszenia zawodowo-naukowe w Wielkiej Brytanii*, w opracowaniu T. Radzika na temat Polskiego Towarzystwa Historycznego wkraść się błąd, mianowicie od numeru XX włącznie, redakcja *Tek Historycznych* spoczywa nie w rękach Stanisława Bóbr-Tylingi lecz Zdzisława Jagodzińskiego. W artykule 2 pt. *Instytuty naukowe w Wielkiej Brytanii*, Radzik – pisząc o Instytucie Polskim i Muzeum im. Gen. Sikorskiego (IPMS) i o bogatym archiwum tego Instytutu – nie wspomniał o tych, którzy położyli największe dla archiwum zasługi: b. kierownicy: Edmund Oppman, Regina Oppmanowa i Wacław Milewski. Od 1989 r. kierownikiem archiwum jest Andrzej Suchcitz. W opracowaniu o Studium Polski Podziemnej (SPP) w Londynie, autorstwa Marii Barbary Topol-

5. Tadeusz Radzik jest autorem kilku książek z życia emigracji w Wielkiej Brytanii, których nie ma w Bibliotece Polskiej w Paryżu i których nie znam.

skiej, mylnie jest podane, że Antoni Pospieszalski był przewodniczącym Rady SPP w latach 1982-83, gdyż funkcję tę sprawował od 1980 do 1989; Jacek Sawiński był członkiem Rady nie jej wiceprzewodniczącym; Ewa Bukowska była prezeską Zarządu SPP w latach 1985-1992 a nie przewodniczącą Rady SPP w 1987; Romana Michalska była pracowniczką archiwum, nie zastępczynią kierowniczką Haliny Czarnockiej; gen. Tadeusz Pełczyński zrezygnował w 1982 na rzecz Haliny Czarnockiej nie z funkcji przewodniczącego Rady a Zarządu SPP – to była dwa odrębne organy SPP (str. 465). M.B. Topolska nie pisze nic o połączeniu w 1988 roku SPP z IPMS; wspomina o tym Radzik w swoim artykule o IPMS, ale to winno być również i przede wszystki powiedziane w opracowaniu SPP, gdzie w przypisach brak jest źródeł z lat 90-tych.

W artykule *Organizacje naukowe poza Wielką Brytanią*, pióra M. B. Topolskiej jest m.in. mowa o Towarzystwie Historyczno-Literackim (THL) w Paryżu. Autorka pisze w czasie teraźniejszym o sprawach należących do przeszłości i odwrotnie. Twierdzi np. że działalność THL obejmuje prace w dwóch komisjach: historycznej i literackiej (str. 486). Tak było dawniej, ale od lat 70-tych nie ma podziału prac na te dwie komisje. Za Bibliotekę Polską nie mógł być odpowiedzialny F. Biel (str. 491), bo takiego nie ma, natomiast pracuje tam bibliotekarka Feliksa Biela. Topolska pisze, że Biblioteka była zamknięta od czerwca 1956....do lutego 1975, ale później utrzymuje, że w „latach 1956-57, gdy Biblioteka została opieczętowana przez władze francuskie, liczba czytelników uległa czterokrotnemu zmniejszeniu, aby rok później zwiększyć się do około 3,5 tys.” Autorka nie wyjaśnia jednak, gdzie tych czytelników umieszczano, bo przecież jednocześnie twierdzi, że Biblioteka była zamknięta do 1975 roku (str. 492) i czytelnik nic z tego nie zrozumie. W rzeczywistości, Biblioteka była całkowicie zamknięta od czerwca do grudnia 1956, ale praktycznie zdejmowanie pieczęci trwało do połowy maja 1957 r. Topolska pisze o Komitecie Dyrekcyjnym (str. 491), który istniał jedynie, czego nie wyjaśnia, na przełomie lat 1968-70, ale nie później. Zarząd nad Biblioteką sprawowała i sprawuje Rada

Administracyjna THL. Następnie mowa jest, że „głównym organem THL stały się *Cahiers de la Société Historique et Littéraire Polonaise* oraz *Roczniki THL*”. Jeśli chodzi o *Cahiers* to wyszło 5 numerów: 1-szy w 1947 a 5-ty i ostatni w 1958. Natomiast *Roczniki THL* były wydawane w XIX wieku, a w 1959 i w 1968 roku zostały opublikowane sprawozdania z działalności za lata: 1946-1957 i 1958-1966, które autorka myli z *Rocznikami* z XIX wieku. Od roku 1991 wydawane są, pod redakcją Marka P. Prokopa *Akta THL w Paryżu*. Dotychczas wyszły 3 tomy. Konieczne jest zwrócenie przynajmniej jeszcze uwagi na to, że Topolska, z wyjątkiem dwu wzmianek, pominęła zupełnie lata 90-te i źródła z tego okresu, które ułatwiłyby poznanie stanu THL i Biblioteki w obecnym dziesięcioleciu.

W dalszej kolejności, pod wspólnym tytułem *Organizacje naukowe o zasięgu światowym* zamieszczone są 2 artykuły. T. Radzik opracował artykuł o Polskim Towarzystwie Naukowym na Obczyźnie (PTNO), ujmując w zarysie utworzenie w 1948 r. Polskiej Rady Naukowej, przekształconej w 1950 r. w PTNO, cele i niektóre jego osiągnięcia, wśród których poczesne miejsce zajmują *Roczniki*, no i ostatnio opublikowane kilkutomowe wydawnictwo „Materiałów”. Następnie znajduje się krótki artykuł Marii Barbary Topolskiej na temat Stałej Konferencji Muzeów, Bibliotek i Archiwów Polskich na Zachodzie, jej posiedzeniach i wydawanym *Biuletynie Informacyjnym*.

Pomoc uchodźcom polskim to 5 i ostatni rozdział z jednym tylko artykułem pt. *Rada Pomocy Uchodźcom Polskim* pióra Józefiny Nowotnej-Lachowickiej, gdzie autorka przedstawia w zarysie powstanie tej Rady w lutym 1982 r. i jej działalność do grudnia 1990 roku, kiedy w nowej sytuacji była już niepotrzebna i została rozwiązana.

Tom ten kończy się posłowiem Józefa Jasnowskiego, gdzie autor pisze: „Organizacje (o których jest mowa w tym tomie –T.W.) są w szczytowym (sic!) stadium rozwoju. Ich zamknięte dzieje będą zadaniem historyków w bliższej i dalszej przyszłości. Ale opracowanie ich powstania i organizacji w obecnym stadium jest niezbędne jako punkt wyjścia i drogowskaz”.... Niestety, pod wieloma względami dro-

gowskasz ten jest nieprawidłowo ukierunkowany.

Tom III – KIEROWNICTWO OBOZU NIEPODLEGŁOŚCIOWEGO NA OBCZYŻNIE 1945-1990, przygotowany pod redakcją Aleksandra Szkuty, podzielony jest na 6 rozdziałów, opracowanych przez 22 autorów: 17 z Londynu i 5 z Polski. W rozdziale 1 – Reorganizacja władz RP po utracie międzynarodowego uznania, znajduje się jeden tylko artykuł *Rząd RP na Uchodźstwie 1945-1949*, pióra Tadeusza Wolszy z Warszawy, gdzie Autor opracował „rząd oporu” Tomasza Arciszewskiego z okresu od 1945 r. do lipca 1947 i istniejący po nim do lutego 1949 r. gabinet Bora-Komorowskiego. Postawa rządu RP wobec demobilizacji PSZ na Zachodzie i PKPR, co stanowiło kluczowy dla tego okresu problem, nie znalazła także u Wolszy, bardziej wszechstronnego naświetlenia.

Rozdział 2, Rozłam polityczny w latach 1950-1972, zawiera dwa artykuły. Pierwszy *Rozłam w kierownictwie politycznym emigracji 1950-1972*, opracował Paweł Ziętara z Warszawy. Autor przedstawia genezę rozłamu, fiasko pojednania i skutki dualizmu władz na obczyźnie: upadek ich prestżu na zewnątrz i osłabienie emigracji, gdzie „żaden z ośrodków nie potrafił trwale zmobilizować wokół siebie społeczności emigracyjnej”. Ten sam okres, z innego punktu widzenia opracował Arkadiusz Urban z Warszawy w artykule *Kryzys prezydencki – kryzys legalizmu 1954-1972*.

Rozdział 3, Władze RP na obczyźnie w latach 1972-1990 otwiera Stanisław Sławomir Nicieja z Opola opracowaniem *Prezydenci Rzeczypospolitej 1972-1990*, odnoszący się do prezydentów po dokonanych wreszcie, po śmierci Augusta Zaleskiego, zjednoczeniu obydwu ośrodków. Autor ujął to w zgrabną formułkę: Stanisław Ostrowski – prezydent mądrych kompromisów; Edward Raczyński – prezydent – łącznik wielkich tradycji; Kazimierz Sabbat – prezydent *selfmademan*; Ryszard Kaczorowski – prezydent spełnionej wiary i nadziei. To ostatnie twierdzenie ładnie brzmi, ale do jego urzeczywistnienia jest chyba jeszcze daleko. W części poświęconej prez. Kaczorowskiemu autor przypomina, że „pierwszy niekomunistyczny rząd Tadeusza Mazowieckiego zachował się wobec władz, zwanych protekcjonalnie ‘londyńskimi’,

powściągliwie i dwuznacznie” (str. 150). Następnie pisze o roli, jaką odegrał Zdzisław Najder w przekazaniu insygniów prezydenckich.

W dalszym ciągu zamieszczone są trzy artykuły na temat poszczególnych rządów z okresu, kiedy urząd prezydenta piastowali wyżej wymienieni prezydenci. Rząd Alfreda Urbańskiego opracował Bohdan Wendorff. Po długotrwałym rozłamie i różnych aferach, stosunek przytłaczającej większości emigracji do rządu RP w Londynie był co najmniej obojętny. Nie przeszkodziło to jednak autorowi napisać, że „rząd A. Urbańskiego, czując poparcie całej diaspory polskiej w świecie, mógł spokojnie planować na przyszłość i prowadzić swą bieżącą pracę bez oglądania się na poboczne wpływy” (str. 162). Z kolei rządy (dwa gabinety) Kazimierza Sabbata opracował w pochwalnym dla premiera tonie, Mieczysław Sas-Skowroński, minister w jego gabinecie. Podczas choroby Sabbata jesienią 1982 roku, M. Sas-Skowroński, pełnił obowiązki premiera, lecz wkrótce ustąpił z rządu „w proteście przeciwko ingerencji prezydenta E. Raczyńskiego w sprawy nie wchodzące w jego kompetencje” (str. 173). Na miejsce Sas-Skowrońskiego został wyznaczony Edward Szczepanik, minister spraw krajowych; w grudniu 1982 r. K. Sabbat powrócił na swoje stanowisko. W kwietniu 1986 roku K. Sabbat objął funkcję prezydenta i premierem mianował E. Szczepanika, który opracował następny w tym rozdziale artykuł pt. *Ostatni Rząd Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie*. Autor przedstawia skład personalny swojego rządu (trzy gabinety), wyszczególnia współpracowników, pisze o zasadach organizacyjnych i głównych osiągnięciach rządu.

Autorem najobszerniejszego w tym tomie opracowania (str. 182-360) pt. *Rada Narodowa RP po zjednoczeniu emigracji 1972-1989* jest Romuald Turkowski z Warszawy, historyk młodego pokolenia, a do tak zagmatwanego tematu trzeba było rzeczywiście mieć młodzieńcze siły i zapał. Romuald Turkowski jest również autorem opracowań Rady Narodowej z lat 1939-1945 (w tomie I „Materiałów”), oraz z ostatniego okresu tej Rady 1989-91 (w tomie VI). Prace Turkowskiego charakteryzują się starannym podejściem do badanych spraw i obiektywnym, w miarę możliwości, ich

przedstawieniem w oparciu o dostępną dokumentację. Większość problemów opracowania, o którym jest tutaj mowa, była poruszana przez innych autorów w innych rozdziałach, ale Turkowski systematycznie je rozpracował, uwypuklił tło konfliktowych zwłaszcza spraw, które muszą być przedmiotem dalszych badań i uzupełniających interpretacji, żeby móc dać ostateczną odpowiedź na pytanie: jaki wpływ na życie emigracji miało istnienie Rady Narodowej?

W rozdziale 4, Skarb Narodowy, znajduje się jeden tylko artykuł pt. *Zarys historii Skarbu Narodowego*, opracowany przez Kazimierza Trzeciaka. Autor przedstawia w nim: podstawy historyczne i prawne, organizację, propagandę, źródła wpływów, sieci ogniw SN – których szczytowym okresem były lata 1953-1954, a więc przed definitywnym rozbiem emigracyjnych ośrodków w Londynie – oraz rezultaty finansowe.

Rozdział 5, Stronnictwa i ugrupowania polityczne, podzielony jest na dwie kategorie: „Ugrupowania w Radzie Narodowej” i „Ugrupowania poza Radą Narodową”. Do pierwszej kategorii należały: Liga Niepodległości Polski – opracował Jerzy J. Ostojko-Koźniewski, Niezależna Grupa Społeczna – opracował Walery Choroszewski, Niezależny Ruch Społeczny – opracował Walery Choroszewski, Polska Partia Socjalistyczna – opracował – Stanisław Wąsik, Polskie Stronnictwo Ludowe – opracował Stanisław Wiszniewski, Stronnictwo Chrześcijańskiej Demokracji – opracował Aleksander Snastin, Stronnictwo Pracy – opracował Władysław Pelc, Związek Socjalistów Polskich – opracował Jerzy Gawenda. Druga kategoria obejmowała: Polski Ruch Wolnościowy „Niepodległość i Demokracja” – opracował Jan Radomyski, Stronnictwo Narodowej Demokracji – opracował Jan Baraniecki, Federacja Ruchów Demokratycznych – opracował Stanisław Wąsik.

Rozdział 6, Światowe struktury społeczne i zawarte w nim dwa artykuły, opracował Artur Rynkiewicz. W pierwszym z nich pt. *Światowe Zjazdy Wolnych Polaków*, autor omawia trzy Zjazdy: pierwszy jaki odbył się pod hasłem „Polski Walczącej” w Londynie w dniach 19-21 maja 1966 r.; drugi pod hasłem „Jedności z Walczącym Krajem”, odbyty

również w Londynie w dniach 1-2 września 1979 i trzeci pod hasłem „Nadal w służbie Rzeczypospolitej”, który miał miejsce też w Londynie od 14 do 18 września 1989 r. Ze Zjazdów tych zostały uchwały i deklaracje, oraz ładnie brzmiące hasła.

Tematem następnego artykułu A. Rynkiewicza jest Rada Koordynacyjna Polonii Wolnego Świata (RKPWS). Autor przedstawia proces utworzenia RKPWS, poszczególne etapy jej działalności, z licznymi również rezolucjami: od Konferencji „Polonia 75”, odbytej w Waszyngtonie w listopadzie 1975 r. do ostatniego Zebrania w dniach 16-17 maja 1994 w Rzymie. A. Rynkiewicz włączył w swoje opracowanie interesujący artykuł Wiktora Moszczyńskiego pt. „Zjazd Polonii i Polaków z Zagranicy w Krakowie 19-26 sierpnia 1992”, jaki ukazał się na łamach prasy emigracyjnej w Londynie, bez podania dokładniejszego źródła. Gospodarzem Zjazdu, zorganizowanego przy współpracy Prezydium RKPWS, była „Wspólnota Polska”⁶. Zjazd ten był bardzo nagłośniony, przyjęcie było wspaniałe, delegaci debatowali w 10 utworzonych komisjach, ale – jak pisze W. Moszczyński – „merytorycznie Zjazd nie spełnił nadziei w nim pokładanych. Nie sprecyzował jasnej formuły pomocy dla Polaków na Wschodzie, nie przygotował konkretnych propozycji pomocy gospodarczej dla Polski, nie podważył zastrzeżeń i niedomówień pozaoceanicznych Polonii wobec ‘Wspólnoty Polskiej’, nie postawił konkretnych podwalin dla organizacyjnej współpracy między Poloniami na przyszłość i nie wzbudził głębszego zainteresowania polskich ośrodków przekazu, a jeśli chodzi o zagraniczną prasę, to Zjazd zignorowała ona kompletnie”.

Ryszard Zakrzewski, jeden z uczestników tego Zjazdu, minister spraw krajowych w ostatnim rządzie na uchodźstwie, po powrocie do Londynu, w dyskusji na jego temat stwierdził: RKPWS „straciła kompletnie rację bytu”. Zwrócił też uwagę, że należy wreszcie skończyć z „pielgrzymkami” do

6. Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” zostało utworzone w 1990 r. w miejsce reżimowego Towarzystwa „Polonia” i jego celem jest podtrzymanie więzi z emigracją. Na czele „Wspólnoty Polskiej” stoi nadal Andrzej Stelmachowski.

Kraju dawnych emigracyjnych dygnitarzy... Nie trzeba stale przypominać kim się na emigracji było. Nadszedł czas by rozpocząć działalność w nowy sposób”⁷. Jeśli chodzi o Zjazd RKPWS odbyty w Rzymie w maju 1994 r., to zmieniono częściowo statut i zmianie uległa nazwa: RKPWS została przekształcona na Radę Polonii Świata, lecz co ta Rada zrobiła i robi, o tym Rynkiewicz już nie pisze, a i ja też nie wiem.



Tom V – POMOC KRAJOWI PRZEZ NIEPODLEGŁOŚCIOWE UCHODŹSTWO 1945-1990, pod redakcją Romana Lewickiego, obejmuje 4 rozdziały, na które składają się opracowania 10 autorów, 6 jest z Londynu, 1 z Monachium, 1 z USA, 1 z Kanady i 1 z Polski. Rozdział 1, Pomoc polityczna, zawiera jeden tylko artykuł pt. *Władze RP na uchodźstwie i Kraj*, pióra Edwarda Szczepanika, ostatniego premiera tego rządu. Szczepanik pisze, że w latach 1945-1990, w stosunkach rządu RP na uchodźstwie przeważał charakter służebny, ale „w praktyce politycznej, przechodzenie z postawy służebnej do kierowniczej wobec Kraju było jednak nieuniknione”. Politycy krajowi (z opozycji wobec rządu PRL – T.W.) „często podkreślali nadrzędność Władz RP na Uchodźstwie w walce o niepodległość Polski. Dobitnym wyrazem tego stosunku było przyjmowanie przez nich z należną dumą i szacunkiem odznaczeń państwowych, nadawanych przez Prezydenta i Rząd RP na Uchodźstwie” (str. 2). Z podobną zapewne „dumą i szacunkiem” przyjmowali również odznaczenia od Nowiny-Sokolnickiego, o którym była już mowa. „Z biegiem czasu – wyjaśnia dalej Szczepanik – po wykrystalizowaniu się wielu ruchów wolnościowych w Kraju, stosunek Władz RP na Uchodźstwie wobec nich począł jednak nabierać charakteru partnerskiego” (str. 3), czego dowodem było zapraszanie uczestników tych ruchów na zebrania Instytutu Badania Zagadnień Krajowych

7. Ryszard Zakrzewski w artykule „Emigracja po zjazdach” pióra Katarzyny Bzowskiej w *Dzienniku Polskim* z 19 października 1992, str. 2.

i na posiedzenia Rady Narodowej RP. Następnie autor przedstawia „Filozofię ‘niezłomnych’” (z nawiązaniem, co ładnie brzmi, do haseł rewolucji francuskiej: wolności, równości i braterstwa), kalendarz pomocy politycznej dla Kraju i listę osób z Kraju odznaczonych przez władze RP na Uchodźstwie.

W rozdziale 2 Pomoc moralna i kulturalna zamieszczony jest też jeden tylko artykuł Mieczysława Paszkiewicza pt. *Zarys pomocy moralnej i kulturalnej*. Autor słusznie zwraca uwagę na trudności zdefiniowania tego tematu i nadto – o czym pisze – pomoc kulturalna jest już częściowo omawiana w innych opracowaniach. M. Paszkiewicz pomoc moralną dzieli na czynną i bierną. W obydwu przejawiała się w kontaktach z rodzinami i znajomymi w Kraju, oraz z przyjeżdżającymi w odwiedziny na Zachód. Dużą w tym rolę odgrywały dary emigracyjnych wydawnictw na Zachodzie. Autor kończy swój artykuł podkreśleniem, że „topniejąca rzesza bezimiennych emigrantów, samym swym istnieniem pomagała społeczeństwu w Kraju, społeczeństwu, które... zwracało oczy i serca do swych braci, ojców, synów, pozostałych na Zachodzie” (str. 20).

W rozdziale 3 pt. Pomoc materialna znajdują się dwa artykuły. Pierwszy z nich, *Fundusz Pomocy Krajowi*, opracowany został przez dwóch autorów: Romana Lewickiego i Jerzego Skowronka, ten ostatni, dziś już nieżyjący, jest jedynym w tym tomie autorem z Polski. Autorzy przedstawiają powstanie i organizację Funduszu, sposoby przekazywania pomocy do Kraju i listę (niepełną jak sami zaznaczają) ich odbiorców. Pomoc była udzielana w formie subwencji pieniężnych i sprzętu organizacjom, wydawnictwom i „spośród osób proponowanych zazwyczaj przez przywódców KOR-u, ‘Solidarności’ lub innych ugrupowań niepodległościowych” (str. 22), bez dokładniejszego podania którym. Oprócz wzmianki o zbiórkach pieniężnych w różnych środowiskach i organizacjach, brak jest danych o innych źródłach, które Fundusz ten wspierały.

W następnym artykule pt. *Spółeczna pomoc materialna*, Krystyna Asipowicz opracowała organizację b.

żołnierzy (z których niektóre znajdują się już w tomie 2), organizacje ogólnie-emigracyjne, organizacje handlowe i Fundację Sue Ryder, cenioną brytyjską organizację charytatywną, której współpraca z Polakami datuje się od 1945 roku. W zakończeniu autorka pisze, że „społeczna pomoc materialna Krajowi w latach od 1945 do 1990 była akcją całego uchodźstwa niepodległościowego. Potrafiło ono wypracować milionowe fundusze, mimo trudnych i skromnych warunków, w jakich się samo znalazło po wojnie” (str. 49).

Najobszerniejszy w tym tomie jest rozdział 4: Służba informacyjna i analityczna, zawierający 7 artykułów. Autorem 1 artykułu pt. *BBC – Brytyjska Korporacja Nadawcza* jest Jan Krok-Paszkowski, długoletni pracownik na kierowniczych stanowiskach BBC. Autor daje zarys historyczny BBC i rolę Sekcji Polskiej gdzie pisze, że „podczas gdy w okresie wojennym niemal wszystkie audycje nadawane przez Sekcję Polską były tłumaczeniem angielskich tekstów pisanych przez Anglików, to w latach późniejszych coraz więcej programów pisanych było przez Polaków” (str. 54). Nie porusza jednak błędów, jakie w odniesieniu do BBC popełniał podczas wojny nasz rząd i co ujemnie odbijało się na informacyjnym serwisie Sekcji Polskiej⁸. W dalszym ciągu Krok-Paszkowski przedstawia fazy działalności Sekcji Polskiej i oceny jej wpływów na słuchaczy w Kraju.

Następnym opracowaniem w tym rozdziale jest Zarys historii „Wolnej Europy”. Według noty redakcyjnej tekst tego zarysu został opracowany przez A.G. (Alinę Grabowską – T.W.) w oparciu o książki Jana Nowaka, który tekst uzupełnił i autoryzował. Jest to bardzo ogólny zarys napisany w duchu, który oddaje twierdzenie, że RWE powstało, gdyż „Amerykanie mieli poczucie winy wobec tych ofiar Jałty (politików-uchodźców z Europy Wschodniej) i chcieli dać jakąś szansę działania ministrom, premierom, dyplomatom, parlamentarzystom, którzy uciekali z terenów znajdujących się po II wojnie światowej w sferze sowieckiej dominacji” (str. 60). Przypisywanie Amerykanom kierowania się w ich

8. Zob. „Audycje radiowe nadawane z Londynu” w: *Zeszyty Historyczne* Nr 116, str.190-209.

polityce poczuciem winy jest zbyt dużym dobrodziejstwem i zupełnym zniekształceniem rzeczywistości. Wspomniana wyżej Alina Grabowska jest również autorką następnego artykułu, o tym samym nastawieniu, pt. *Moje lata w Radio Wolna Europa*. W nocy redakcyjnej jest wyjaśnienie, że autorka pracowała przez wiele lat w RWE i artykuł napisała w formie osobistego wspomnienia. W artykule czytamy, że RWE „jest jakby historycznym pomnikiem przyjaźni narodu amerykańskiego do narodu polskiego” (str. 71). Trzeba przyznać, że do wystawiania pomników Polacy mają specjalną słabość, tym razem – jak się okazuje – im wystawiono. Podobnie jest i z legendami, czego też przykładem, gdzie A. Grabowska pisze, że Nowak osiągnął wiele „pędząc np. do amerykańskiej dyrekcji, waląc w stół i wołając: ‘Robię to, co uważam za słuszne, bo jestem wolnym człowiekiem w wolnym kraju!’” (taka legenda się zachowała...)” (str. 70). Czy jednak jeszcze na długo?!

Z kolei został zamieszczony artykuł pt. *Instytut Literacki – „Kultura”*, pióra Benedykta Heydenkorna. Autor w zwięzłym zarysie naszkicował powstanie i działalność tej placówki, utworzonej przez Jerzego Giedroycia i dobranych przez niego współpracowników. Przypomina, że J. Giedroyc trafnie ocenił sytuację przewidując długi okres emigracji, co stanowiło punkt wyjścia ustalonego na początku planu działania i później konsekwentna jego realizacja. Autor zaznacza, że od zarania tworzenia Instytutu Literackiego-„Kultury”, J. Giedroyc podkreślał, że będzie to „placówka niezależna i otwarta finansowo i politycznie, nie będzie organem żadnej grupy politycznej, ani też stronnictwa lecz pismem otwartym dla wszystkich” (str. 78). W dalszym ciągu m.in. pisze o roli wydawnictw Instytutu Literackiego, ale brak jest wzmianki o *Zeszytach Historycznych*, wadze, jaką J. Giedroyc przywiązywał do łączności z Polską, wpływie programowych założeń na Kraj, potrzebie polityki wschodniej i ułożenia stosunków z sąsiadami. B. Heydenkorn kończy artykuł słowami: „Kultura wiernie i trwale głosiła, walczyła o realizację programu – wolność – demokracja – niepodległość dla Polski” (str. 87).

Następny artykuł, *Instytut Badania Zagadnień Kra-*

jowych, opracowało dwu autorów: Roman Lewicki i Jerzy Skowronek. Instytut powstał w Londynie w 1951 r. i jego założeniem, jak już wskazuje sama nazwa, było poznanie problemów Kraju, aby „w naszej mapie życia narodowego Kraju było jak najmniej białych plam”. Instytut został rozwiązany w czerwcu 1991 r. Autorzy piszą, że w ciągu 40 lat jego istnienia, oprócz różnorodnej działalności wydawniczej, zostało zorganizowane ponad 200 wykładów, dyskusji i seminariów z prelegentami tak emigracyjnymi, jak i krajowymi, zwłaszcza z opozycji. Nie umniejszając działalności tego Instytutu, można jednak ubolewać, że nie został założony Instytut Badania Emigracji, którego dokumentacja byłaby teraz użyteczna do bardziej autentycznego opracowania dziejów uchodźstwa polskiego.

Ostatnie 2 artykuły dotyczą Studiów Spraw Polskich. Pierwszy artykuł *Studium Spraw Polskich w Wielkiej Brytanii* napisał Jan Radomyski. Studium powstało w Londynie w 1980 r. i jego celem było dostarczanie, głównie w języku angielskim i za pomocą biuletynów, wiadomości z Polski do różnych ośrodków przekazu i w ten sposób uzyskiwać poparcie w wolnym świecie dla ruchów wolnościowych w Kraju. Z materiałów tych korzystali również dziennikarze polscy. Finanse Studium pochodziły początkowo ze składek i darów członków, później najważniejsze były subwencje od National Endowment for Democracy z USA. Studium zostało rozwiązane w czerwcu 1994r. Drugim artykułem, pióra Stanisława Bask Mostwina jest „Północno-Amerykańskie Studium Spraw Polskich”, które formalnie powstało już w czerwcu 1974, ale jego Komitet wykonawczy ukonstytuował się w 1976 r. Podstawowym założeniem Studium była współpraca z Kongresem Polonii Amerykańskiej i Kongresem Polonii Kanadyjskiej. Studium to działa nadal „na rzecz rozwoju i bezpieczeństwa Polski”.



Redakcja tomu VI pt. ZAKOŃCZENIE DZIAŁALNOŚCI WŁADZ RP NA UCHODŹSTWIE 1990, powierzona była Ryszardowi Zakrzewskiemu, który zmarł w maju

1994 r. i zastąpił go Zbigniew Błazyński, pod którego redakcją tom ten został zakończony. We wstępie od redaktora Błazyński pisze, że „opracowania w tym tomie koncentrują się na okresie kwiecień 1989 – grudzień 1990 i nierzadko mają raczej charakter relacji niż studium historycznego, na czym polega ich swoista wartość”. Tom zawiera 7 opracowań 5 autorów, 3 z Londynu i 2 z Polski.

Wprowadzeniem do problematyki tego tomu jest artykuł Wandy Jarząbek z Warszawy: *Konferencja Okrągłego Stołu 1989 i jej konsekwencje*. Autorka pisze o spotkaniach i obradach „okrągłego stołu” w Magdalence, ośrodku MSW pod Warszawą, które zakończyły się 5 kwietnia 1989. Treść prowadzonych tam rozmów „nie przedostawała się do publicznej wiadomości, nic też dziwnego, że ‘MagdaLenka’ stała się synonimem tajnych porozumień”. Nie zdołano wówczas dojść do porozumienia m.in. w sprawie środków masowego przekazu i – pisze W. Jarząbek – „nie złamano monopolistycznej pozycji władz w massmediach” (str. 16), co było bardzo szkodliwe dla dalszego biegu wypadków. „Porozumienia ‘okrągłego stołu’ zostały zawarte w gruncie rzeczy między częścią opozycji skupionej wokół Lecha Wałęsy a policją”⁹ z gen. Czesławem Kiszczakiem, ówczesnym ministrem spraw wewnętrznych na czele. Podstawowy układ dotyczył wyborów parlamentarnych, które – częściowo tylko wolne – nie miały mieć „charakteru konfrontacyjnego”. Według ustalonej zasady – co warto przypomnieć za autorką – 65% miejsc w Sejmie otrzymała PZPR i jej sojusznicy, a 35% zostało poddane wolnym wyborom, w wyniku których wszystkie przypadły stronie „solidarnościowej”, która w wyborach do Senatu, nieskrępowanych ograniczeniami procentowymi, ze 100 miejsc wywalczyła 99. Jak wiadomo, „Solidarność”, nie przygotowana do objęcia władzy ponosi główną odpowiedzialność za to, że „19 lipca 1989 r. Zgromadzenie Narodowe wybrało gen. Jaruzelskiego prezydentem jednym, podważanym następnie głosem” (str. 20). W dalszej kolejności, to powołanie w sierpniu przez gen. Jaruzelskiego

9. Zdanie to przytaczam za innym opracowaniem tej samej autorki, jakie znajduje się w tomie VIII, str.191.

Tadeusza Mazowieckiego na urząd premiera, „odkreślenie przeszłości grubą kreską”, niewystarczająca nowelizacja konstytucji z 1952 r., wywołanie „wojny na górze” – Wałęsy przeciw Mazowieckiemu – która definitywnie podzieliła dawną opozycję, no i wybór, w drugiej turze dnia 9 grudnia 1990 r., L. Wałęsy na urząd prezydenta i jego zaprzysiężenie 22 grudnia w Zgromadzeniu Narodowym (Sejmu i Senatu).

Tak przedstawiał się naszkicowany przebieg wypadków w Polsce. Jak zareagowały na nie władze rządu RP w Londynie wyjaśnia częściowo „Nota redakcyjna” na 30 stronach zatytułowana: *Przekazanie insygniów prezydenckich do Kraju 1990*. Zanim przejdę do zasadniczych w tej „nocie” informacji, warto zwrócić uwagę na zbliżone, w Kraju i na emigracji, zaskoczenie i brak ugruntowanej postawy, jaką należało zająć wobec zmian w Polsce, które były wynikiem upadającego systemu rządów komunistycznych w ZSSR i w Europie Środkowo-Wschodniej. W odniesieniu do Polski lapidarnie sformułował to Jerzy Giedroyc: „Cała niepodległość spadła Solidarności jak cegła na głowę”¹⁰. Podobna „cegła” spadła również na środowisko rządu RP w Londynie.

Początkowo, o czym jest mowa we wspomnianej wyżej „nocie redakcyjnej”, w Londynie przeważało przekonania, że postanowienia „okrągłego stołu” nie spełniają celów, którym służyła i służy emigracja niepodległościowa. W lipcu 1989 r. umiera prez. Kazimierz Sabbat i urząd obejmuje Ryszard Kaczorowski. W lutym 1990 przybył z oficjalną wizytą do Londynu premier Tadeusz Mazowiecki, ale nie doszło do bezpośredniego kontaktu z władzami na uchodźstwie. Mazowiecki ograniczył się, na masowym spotkaniu z emigracją, do oświadczenia: „...za wyrządzone krzywdy i za oszczerstwa, których Wam nie szczędzono w imieniu Rzeczypospolitej przepraszam”. Następne miesiące nie wniosły nic nowego. Dość jednolite na początku stanowisko władz uchodźczych wobec władz krajowych zaczęło się jednak łamać. Z rozwiązań, jakie najbliższe wtedy były postawie niepodległościowej emigracji i zapewnieniu ciągłości Państwa, był powrót do

10. „Szkiefko i oko” – z Jerzym Giedroyciem, redaktorem paryskiej „Kultury”, rozmawia Alicja Dołkowska w *Tygodniku Solidarność* z 14 czerwca 1996, str. 11.

konstytucji z kwietnia 1935 r. i na jej podstawie przeprowadzenie wolnych wyborów do Sejmu i Senatu oraz następcy prezydenta RP, a później konstytucję tę poddać zmianie lub zastąpić nową. Od maja do listopada 1990 r. władze uchodźcze podkreślały, że w ich pojęciu „legalizm łączy się silnie z Konstytucją kwietniową, dzięki której przez pół wieku została przechowana idea niezawisłości państwowej a zatem *restitutio ad integrum* tej Konstytucji” (str. 42). Z kolei Rada Narodowa RP w deklaracji z 20 października oświadczyła, że działalność legalnych władz zakończy się dopiero po wolnych wyborach do parlamentu i prezydenta.

Scenariusz zaczął ulegać zmianie po przyjeździe do Londynu 12 października Zdzisława Najdera¹¹, wysłannika Lecha Wałęsy, głównego menażera jego kampanii wyborczej, nad czym trudno nie ubolewać. Tutaj wyjaśnienia wymaga tło tego scenariusza, które niezbyt dobitnie zostało zaakcentowane w „nocie redakcyjnej”. Otóż po wyborze Jaruzelskiego prezydentem i mianowaniu Mazowieckiego premierem rządu, Wałęsa poczuł się odsunięty od władzy, mimo że wcześniej mógł się ubiegać o każde stanowisko i otrzymałby poparcie społeczeństwa, ale wolał nie narażać swojej osoby w trudnej sytuacji Kraju. Po rozpęтaniu „wojny na górze” Wałęsa rozpoczął kampanię za wybraniem go na urząd prezydenta, gdyż Sejm i Senat postanowiły skrócić kadencję Jaruzelskiego, wprowadziły do konstytucji zapis o wyborze prezydenta w głosowaniu powszechnym i uchwaliły odpowiednią ordynację wyborczą. Zmieniona przeto została kolejność wyborów: zamiast do Sejmu i Senatu pierwszeństwo dano wyborom prezydenckim, co okazało się bardzo złym wyjściem z sytuacji. Wałęsie na rękę było wykorzystanie w swojej kampanii zapowiedzi symbolicznego przejścia, gdy zostanie wybrany, insygniów rządu RP w Londynie.

Głównym celem spotkania Najdera z prez. Kaczorowskim z 12 października było zapewnienie Wałęsie – w

11. Zdzisław Najder był przewodniczącym Komitetu Obywatelskiego, powołanego przez L. Wałęsę, jako przedstawicielstwo środowisk i ugrupowań opozycyjnych. Komitet ten opracował program opozycji na rozmowy „okrągłego stołu” i będąc zapleczem politycznym Wałęsy prowadził jego kampanię wyborczą w 1990 r.

wypadku odniesionego zwycięstwa w wyborach – przejścia urzędu prezydenta od Kaczorowskiego a nie od W. Jaruzelskiego. W wyniku tego spotkania prez. Kaczorowski „wyraził swą gotowość – po dokonaniu w głosowaniu powszechnym w Polsce wyboru prezydenta – udania się do Warszawy na zaproszenie nowo wybranego prezydenta, by przekazać insygnia prawowitej władzy prezydenckiej Drugiej Rzeczypospolitej”. Prez. Kaczorowski powziął tę decyzję samodzielnie, co później sam podkreślał, bez konsultowania Rady Narodowej, co był obowiązany zrobić. Nie trzeba też zapominać, że nie istniał wówczas Sejm z wolnych wyborów, podstawowy warunek przekazania insygniów prezydenckich. Pożalowania godne były manipulacje Wałęsy, który – wraz z „Solidarnością” – przyczynił się do wyboru Jaruzelskiego prezydentem, a później urząd prezydencki wołał przejść od Kaczorowskiego. „Wszyscy uważaliśmy – przypominała wówczas Redakcja *Kultury* – że rola emigracji politycznej skończy się w chwili wolnych wyborów do parlamentu, uchwalenia nowej konstytucji i wyboru Prezydenta”¹².

Wybory prezydenckie wyznaczone zostały na dzień 25 listopada w pierwszej i 9 grudnia 1990 w drugiej turze. Czas nagiął. Do Londynu przyjeżdżają różni działacze krajowi lub też ich przedstawiciele. Zjawia się również marszałek Senatu Andrzej Stelmachowski, który ma być gospodarzem uroczystości przekazania insygniów, ustaloną na 22 grudnia, tego samego dnia w którym nowo wybrany prezydent zostanie zaprzysiężony. Dnia 3 grudnia prez. Kaczorowski powołał specjalną delegację dla ustalenia w Warszawie okoliczności, w jakich miało się to wszystko odbyć. W skład delegacji, pod przewodnictwem Zygmunta Szadkowskiego, prezesa Rady Narodowej, weszli ministrowie rządu RP na uchodźstwie: Jerzy Morawicz, Ryszard Zakrzewski i Jerzy Jan Zaleski. Po przybyciu do Warszawy delegacja omawiała od 17 do 21 grudnia z delegatami Wałęsy program uroczystości.

W tomie tym zostały zamieszczone, po „nocy redakcyjnej”, dwie relacje uczestników delegacji, gdzie przedstawili przebieg rozmów, przeprowadzonych wówczas w Warszawie

12. *Kultura* nr 11, Paryż 1990, str.7.

dla uzgodnienia programu uroczystości. Pierwsza z nich pt. *Delegacja prezydencka z Londynu w Warszawie 1990* jest pióra Ryszarda Zakrzewskiego, który m.in. pisze: „O godz. 2 po południu (16 grudnia) lądujemy na lotnisku w Warszawie... Podjeżdżamy autobusem do saloniku recepcyjnego. Przed wejściem orkiestra wojskowa gra ‘Pierwszą Brygadę’. Pełno ludzi. Wyróżniają się delegacje kombatanckie. Telewizja. Radio. Prasa. Wywiady. Czarna kawa. Pytania... pytania... pytania...” (str. 64). Zakrzewski nie podaje jednak jakie to były pytania i jak na nie odpowiadano. Autorem drugiej relacji pt. *Wrażenia z pobytu w Warszawie 1990* jest Zygmunt Szadkowski. Jedynym żyjącym dzisiaj członkiem delegacji jest Jerzy Jan Zaleski, którego relacja pt. *W piątą rocznicę. Przyczynki do rozmów delegacji prezydenckiej w Warszawie w roku 1990* ukazała się w tomie VIII. Nie chcę już omawiać tych relacji i ograniczam się jedynie do przytoczenia dwu zdań z relacji Jerzego J. Zaleskiego: „...Proces ten (przekazania insygniów – T.W.) odbiega od zaplanowanych przez uchodźstwo niepodległościowe i jego władze polityczne scenariuszy powrotu ciągłości prawnej Państwa Polskiego do Kraju”. Autor przypomina, że wtedy gdy toczyły się rozmowy delegacji, prezydentem był „Wojciech Jaruzelski, rządził ‘małokrwisty’ rząd Tadeusza Mazowieckiego, a na Wiejskiej (poza naszymi przyjaciółmi w Senacie) urzędował ‘kontraktowy’ Sejm z PZPRowską większością” (tom VIII, str. 194 i 196).

W przeddzień wyjazdu do Warszawy, prez. Kaczorowski wystosował z Londynu „Orędzie do Rodaków”, gdzie m.in. oznajmiał: „Oddam Prezydentowi Lechowi Wałęsie zwierzchnictwo nad emigracją niepodległościową, która dopełniła swojej misji przechowując pieczołowicie ideę Polski Niepodległej” (str. 185). W rzeczywistości trudno było i jest mówić o zwierzchnictwie nad emigracją i to tak w odniesieniu do okresu sprzed 1989 roku, jak i do następujących po tym okresie lat.

Prez. R. Kaczorowski przybył do Warszawy lotowskim samolotem „Tupolew 154M” 22 grudnia 1990 wraz z otoczeniem, liczącym 60 osób. Tego samego dnia w godzinach przedpołudniowych, w Zgromadzeniu Narodowym w gma-

chu Sejmu, Wałęsa składa przysięgę zgodnie z przepisami konstytucji z 1952. W godzinach popołudniowych w Sali Balowej Zamku Królewskiego odbywa się uroczystość przekazania insygniów, które obejmują: Chorągiew Rzeczypospolitej, pieczęcie prezydenckie, oryginał Konstytucji kwietniowej z 1935r. i Krzyże Wielkie Orderu Orła Białego i Polonia Restituta¹³.

Istotny przyczynek do tego okresu stanowi następne w tym tomie opracowanie, Romualda Turkowskiego pt. *Ostatnia Rada Narodowa RP na uchodźstwie 1989-1991*. Autor jest dobrze obznajomiony z tematem Rady Narodowej (RN) i jej działalność w latach poprzednich opisał w tomach I i III, o czym była już mowa. Teraz, w opracowaniu w tomie VI, na początku przypisów, R. Turkowski daje wzmiankę, że „nie mógł odbyć rozmów z żyjącymi uczestnikami tych wydarzeń z przyczyn od niego niezależnych. Nie miał też możliwości dotarcia do protokołów Rady Narodowej będących w posiadaniu ostatniego jej przewodniczącego” (str. 115), którym był Zygmunt Szadkowski. Niemniej jednak autor – w oparciu o dostępne mu źródła – starannie opracował temat z uwypukleniem sprzecznych początkowo tendencji, jakie nurtowały RN i późniejszych jej uchwał akceptujących narzucony stan rzeczy. Rada Narodowa rozwiązała się na uroczystym posiedzeniu w dniu 8 grudnia 1991 r., po wolnych wyborach (w październiku 1991) do Sejmu i Senatu – wolnych, ale w atmosferze powszechnego zubożnienia społeczeństwa, rozczarowanego skutkami rządów Mazowieckiego. Działalność RN w okresie od przekazania insygniów charakteryzowała się głównie jej konfliktem, pisze również o tym Turkowski, z Komisją Likwidacyjną, o której niżej jest mowa.

Ostatni artykuł w tym tomie, pióra Edwarda Szczepanika nosi tytuł *Komisja Likwidacyjna rządu RP na Uchodźstwie*. Dekretem z dnia 20 grudnia 1990r prez. R. Kaczorowski rozwiązał rząd premiera E. Szczepanika i na jego miejsce, dnia następnego powołał wyżej wymienioną Komisję, pod prze-

13. Przebieg tej uroczystości i w ogóle związanej z nią procedury zawiera „Kalendarium londyńsko-warszawskie przekazania insygniów prezydenckich do Kraju”, tom VI, str. 163 i nast.

wodnictwem E. Szczepanika. Komisja Likwidacyjna miała działać w oparciu o dyspozycje zawarte w protokole z 22 grudnia, który m.in. ustalił, że „dotychczasowy Rząd Rzeczypospolitej na Uchodźstwie ulega przekształceniu w Komisję likwidacyjną, która doprowadzi do zakończenia działalności wszystkich instytucji rządowych na obczyźnie”. Komisja ta istniała do 18 marca 1992 r. i przekazała część rezerw rządu i Skarbu Narodowego, jak podaje E. Szczepanik, „Zjednoczeniu Polskiemu w Wielkiej Brytanii (25 tysięcy funtów), resztę zaś (około 575 tysięcy funtów do 22 stycznia 1992 r.) – do *Polonia Aid Foundation Trust*, która głównie pokryła koszty wydanych tomów „Materiałów”. Fundacji tej oddano również z zamiarem sprzedania, co też później zrobiono, dzierżawę budynku przy 43 Eaton Place w Londynie, który był siedzibą władz na obczyźnie. Skład Komisji likwidacyjnej, jej „kadłubowość”, różne wydatki i diety jej członków, oraz odprawy pracowników rządu były kwestionowane na posiedzeniach Rady Narodowej i na łamach prasy londyńskiej, bez konkretnego jednak skutku.



Tom VII, opracowany przez Andrzeja Suchcitza, Ludwika Maika i Wojciecha Rojka zawiera WYBÓR DOKUMENTÓW DO DZIEJÓW POLSKIEGO UCHODŹSTWA NIEPODLEGŁOŚCIOWEGO 1939-1991. W tomie tym znajduje się 176 dokumentów, przejrzyste zamieszczonych w układzie chronologicznym. Każdy dokument opatrzone jest w sygnaturę archiwalną, co ułatwia dotarcie do źródła. Prawie wszystkie wykorzystane dokumenty pochodzą z Archiwum Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie, gdzie zostały przekazane przez Komisję Likwidacyjną rządu RP w latach 1991-1992. Niektóre zaś dokumenty wybrano z tych, jakie znajdowały się wcześniej w Instytucie Polskim. We wprowadzeniu autorzy zaznaczają, że skoncentrowali się na okresie od 1945, ponieważ lata drugiej wojny światowej są już lepiej znane w historiografii. Następnie piszą: „W zasadzie nie korzystaliśmy z prasy codziennej i druków ulotnych ze względu na dość licznie występujące w nich

błędy” (str. XXVII), z czym osobiście niezupełnie się zgadzam. Byłoby z pożytkiem dla tego tomu wykorzystanie materiałów z prasy i z innych publikacji, ożywiłoby to treść, która nabrałaby trochę „rumieńców”. W obecnym stanie rzeczy całość wyszła zbyt „sztywno”, urzędowo. Można się obawiać, że czytelnik podczas lektury tych wszystkich oświadczeń, orędzi, odezw, uchwał, sprawozdań, deklaracji memoriałów, komunikatów, przemówień itp. będzie miał wrażenie, że jest na uroczystej akademii dla uczczenia działalności polskiego Londynu... Starannie został przygotowany, przez Marię Bobińską-Suchcitz, indeks nazwisk z oznaczeniem tłustym drukiem strony na której jest przypis biograficzny. Autorzy położyli nacisk na staranne opracowanie przypisów biograficznych osób, o których jest mowa w tym tomie, co jest bardzo użyteczne teraz i przydatne na przyszłość, bo przecież pamięć o ludziach szybko zaciera się w pamięci.

Wybór dokumentów wymagał dużo mozolnej pracy i żaden nie byłby dla wszystkich zadawalający. Dokumentacja do każdego tematu w omawianym tutaj tomie musi być uzupełniona. Gorzej gdy całkowicie został pominięty jakiś temat i związana z nim problematyka. Tak np. stało się z poakowskim Zrzeszeniem WiN-u („Wolność i Niezawisłość”), które zostało utworzone w 1945 r. Dzieje tego Zrzeszenia, bohaterskie i tragiczne, odzwierciedlają złożoność, w okresie powojennym, stosunków Kraju ze środowiskiem polskiego uchodźstwa w Londynie¹⁴. Stosunki te zaciążyły później na tzw. sprawie Bergu i innych o agenturalnej działalności. Autorzy tego tomu zamieścili pod numerem 52 „Protokół nr 8 z posiedzenia Rady Ministrów w sprawie tzw. Bergu”, z 9 marca 1954, gdzie sprawa ta jest przedstawiona w zwięzłym zarysie, ale można było również odesłać do obszerniejszego opracowania, jakie ukazało się na łamach *Zeszytów Historycznych*¹⁵. Z posiedzenia tego, warto odnotować słowa Jerzego Hryniewskiego, ówczesnego premiera, że

14. Zob. *Zeszyty Historyczne* nr 110, Paryż 1994, str. 133-151. Ostatnio ukazała się wartościowa na ten temat publikacja: *Zrzeszenie 'Wolność i Niezawisłość'*. Tom I „Wrzesień 1945 – czerwiec 1996”. Zarząd Główny WiN. Wrocław 1997. Tom II jest w druku.

15. *Zeszyty Historyczne* nr 79, Paryż 1987, str.3-87.

„wrażliwość moralna naszej emigracji najwidoczniej stępsiała, gdyż reakcja (na sprawę Bergu) polskiej opinii publicznej w wolnym świecie była właściwie słaba”, a później pogłębiała się jeszcze bardziej w rezultacie tego, co działo się na emigracyjnej górze.

Autorzy starali się materiał dotyczący konfliktowych problemów władz uchodźstwa w Londynie (Rada Trzech i Zamek) przedstawić możliwie z obydwu stron. Mowa jest również o skutkach tego rozbitcia. I tak np. w liście-memoriale z 3 czerwca 1953, jaki wysłał Kazimierz Papée, ambasador RP przy Stolicy Apostolskiej, do ministra spraw zagranicznych rządu RP w Londynie, Papée pisał, że paradoksem jest iż „Czecho-Słowacy, znacznie bardziej podzieleni od nas, potrafią stwarzać na zewnątrz przynajmniej fikcję jedności, z którą potężny partner się liczy. Jeszcze niedawno zwracano mi na to uwagę w Watykanie ...Stan wegetacyjnego trwania, w którym obecnie obóz niepodległościowy się znajduje, nie pozostawia sił dla efektywnej pracy dla naszej sprawy” (str. 249). Trzy lata później arcybiskup Józef Gawlina, opiekun polskiej emigracji, pisał w memoriale¹⁶ z 14 kwietnia 1956 do prezydenta Augusta Zaleskiego: „...Rozbicie [emigracji] zmniejszyło możliwości polskiej akcji politycznej zagranicą. Byliśmy jedyną emigracją powojenną mającą legalne władze i największą wśród innych emigracji ilość ludzi nadających się do pozytywnej akcji zagranicą. Tymczasem widzimy dziś podwójne delegacje w Genewie, dwutorowe wystąpienia w stosunku do Stolicy Apostolskiej, zmiany zarządzane na stanowiskach reprezentantów naszych w Madrycie i Waszyngtonie, to wszystko niweczy resztki naszych dyplomatycznych możliwości...” (str. 334).

Przykładem jak treść jakiegoś dokumentu – bez żadnego komentarza, lub uzupełnienia innym materiałem – może zniekształcić fakty, świadczy zamieszczone w tym tomie oświadczenie Rady Trzech z dnia 3 stycznia 1961 o powrocie Skarbów Wawelskich do Polski, w którym twierdzono:

16. Autorzy podają, że zamieścili tekst tego memoriału z oryginału maszynopisu, jaki znajduje się w Instytucie Sikorskiego. Oprócz tego tekstu jest również w Instytucie maszynopis (sygnatura: Kol 270/14) bez podpisu o lekko zmienionej treści a zwłaszcza formie.

„Koszty konserwacji opłacało uchodźstwo polskie ze składek na Skarb Narodowy... Dziś skarby te, którymi do tej chwili opiekowało się uchodźstwo, wracają do Polski” (str. 440-441). W rzeczywistości jednak pomoc emigracji nie była w żadnym wypadku wystarczająca a kustosz i niezmordowany opiekun Skarbów Wawelskich, Józef Polkowski „znosił biedę i upokorzenia w pracy – najbardziej jednak bolała go obojętność rządu RP w Londynie”¹⁷.

Najwięcej miejsca, dokładnie 100 stron, poświęcono posiedzeniu Rady Narodowej RP, które odbyło się 9 marca 1991 w gmachu POSK-u. Jest to maszynopis stenogramu odpisany, jak informuje nota redakcyjna, z taśmy magnetofonowej, zaznaczając że „maszynopis urywa się z końcem kasety i nie jest sygnowany”. Trudno nie wyrazić zdziwienia, że nie zostały zrobione skróty tych nic konkretnego nie przynoszących dyskusji. Przypuszczalnie jednak autorzy woleli ogłosić całość, żeby pokazać zagubienie i bezsilność Rady Narodowej (RN) – mającej być przecież *sui generis* parlamentem – w tej jakby nie było przełomowej dla emigracji chwili. Niekończące się na tym posiedzeniu dyskusje toczyły się, ponieważ zresztą, wokół przekazania insygniów prezydenckich i ustalenia składu delegacji do Warszawy, braku konsultacji RN przez prez. R. Kaczorowskiego, krytyki wydatków Komisji Likwidacyjnej rządu RP, oraz ustalonego przez nią preliminarza budżetowego na rok 1991 i tym podobnych problemów, o których pisał też Romuald Turkowski w tomie VI. Z krytyką tego budżetu – którego wydatki zamykały się sumą 250 tysięcy funtów (str. 718) – wystąpiła zwłaszcza Teresa Affeltowicz, sprawozdawczyni Komisji Finansowej RN. Pisała również o tym prasa, kwestionując m.in. „pozycję 2 tysięcy funtów na likwidację Ministerstwa Spraw Wojskowych. Czyli komunikaty o orderach, odznaczeniach i awansach na prawie pół wieku po szczęku oręża”¹⁸.

Z zabierających wówczas głos na posiedzeniu RN, warto

17. Janina Mazurkova „Inż. Józef Krzywda-Polkowski wierny stróż Skarbów Wawelskich” w: *Teki Historyczne* nr XXI, Londyn 1994-1995, str. 298.

18. Krystyna Cywińska, „Popis demokracji w POSK-u” w: *Dziennik Polski* z 18 marca 1991, str. 2.

wynotować kilka przynajmniej wypowiedzi: Józef Rusecki zwracał uwagę, że „przy przekazaniu prezydentury i insygniów nie było reprezentacji Armii Krajowej. A przecież Armia Krajowa to nie tylko ramię zbrojne, to było ‘Państwo Podziemne’ w czasie konspiracji”. Jan Kazimierski oświadczył wprost, że „Rząd [polski w Londynie – T.W.] nie orientował się i nie orientuje się w życiu politycznym emigracji politycznej” (str. 748). W odpowiedzi na różne zarzuty pod adresem rządu RP w Londynie, Edward Szczepanik oświadczył: „Zakończenie działalności władz Rzeczypospolitej na obczyźnie nastąpiło szybciej, niż się tego spodziewaliśmy” (str. 710). Potwierdził to również Walery Choroszewski, minister spraw emigracji w rządach K. Sabbata i E. Szczepanika, w zabranym wtedy głosie: „Na emigracji niczego nie mieliśmy przygotowanego. Wszystkie te dekrety, które są datowane 20-ty, 21-szy, 22-gi [grudnia 1990 – T.W.] były robione w styczniu i postdatowane, bo nic nie było przygotowane. Nic nie było przedyskutowane. Cała emigracja była zaskoczona – kompletnie” (741) i to po półwiecznym prawie oczekiwaniu na uwolnienie Polski spod reżimu komunistycznego. Trzeba tutaj jeszcze uzupełnić, że emigracja była przede wszystkim zaskoczona tak pośpiechem, z jakim odbyła się cała ceremonia, jak i żwawością pchania się do krajowego „ołtarza”.

Na zakończenie przytoczę jeszcze wyjątki z wypowiedzi na tym posiedzeniu Jerzego J. Zaleskiego: „...politycy nie mogą pisać historii, bo by pisali o sobie, mówiąc o wydarzeniach ostatnich 45-ciu lat... Historia łączy się nie tylko z zestawieniem chronologicznym, czy pragmatycznym faktów – ale oceną. Ocenę politycy postawić nie mogą” (str. 760-761), co usiłowali jednak zrobić, mniejsza już z tym, że przeważnie robili to w sposób pośredni.



Tom VIII zawiera UZUPEŁNIENIA DO TOMÓW I, II, V, VI. Opracowany został pod redakcją Zbigniewa Błazyńskiego, odpowiedzialnego również za redakcję tomów I i VI. Na tom ten składają się wystąpienia uczestników na III Kongresie Kultury Polskiej na Obczyźnie, zorganizowa-

nego (z funduszy porządowych) przez PTNO i poświęconego głównie historii „Drugiej Wielkiej Emigracji”¹⁹, który odbył się w Londynie w dniach 20-26 sierpnia 1995 r., jak też nadesłane opracowania, wiążące się przeważnie z tematami w opublikowanych już tomach.

O samym Kongresie wiele można byłoby powiedzieć, ale nie tutaj jest na to miejsce i ograniczam się do kilku uwag natury ogólnej. Prof. Andrzej S. Ehrenkreutz z Australii wyraził ubolewanie, że „Kongres został zdominowany przez emigrację Wielkiej Brytanii, praktycznie nie poruszając spraw Polonii amerykańskiej, kanadyjskiej czy australijskiej”²⁰. Podobnie było w stosunku do Polonii w krajach europejskich i co też charakteryzuje wydane w Londynie omawiane tomy „Materiałów”. Wyrażono też opinię, że „Kongres Kultury Polskiej mógłby być bardziej użyteczny, gdyby odbywał się w Polsce. Łatwiej by tam było rozprowadzić wiedzę o długoletniej działalności emigracji o której w Kraju są znikome wiadomości. Dzisiaj niedobitki działaczy emigracyjnych inkasują dorobek tych którzy zmarli już, a którym emigracja, jak i Kraj tak wiele zawdzięczają”²¹. W odpowiedzi wyraziłowi tej opinii, głos zabrał Stanisław Portalski, członek PTNO, któremu w 1993 r. powierzono zorientowanie się w Warszawie w możliwościach zorganizowania kongresu w Polsce. Po powrocie do Londynu S. Portalski oświadczył: „W kraju nie było i nie ma jeszcze odpowiednich warunków do dyskusji o poczynaniach patriotyczno-niepodległościowych. Samo słowo ‘patriotyzm’ nie jest w modzie... umysły ludzkie niewiele się zmieniły. Większość ludzi prawie nie zauważyła, kiedy PRL przestała istnieć”²², w konsekwencji czego Kongres zorganizowano nie w Warszawie lecz w Londynie. Czy jednak tego rodzaju argumentacja nie powinna była być jednym powodem więcej, żeby Kongres odbył się właśnie w Polsce,

19. Edward Szczepanik w: *Rocznik XXXVIII PTNO*. Rok 1994/95, Londyn, str.3

20. Andrzej S.Ehrenkreutz, „O nas bez nas” w: *Kurier Zachodni* (red. Andrew S. Basiński) nr 107/1996, Hawthorn, Australia, str. 24.

21. J.J. Korabiowski w: *Dziennik Polski* (rubryka: Listy do redakcji) z 5 września, Londyn 1995.

22. Stanisław Portalski, „Dlaczego Kongres Kultury Polskiej nie odbył się w Warszawie?” w: *Dziennik Polski* z 5 października, Londyn 1995.

co przyczyniłoby się może do ożywienia dyskusji o „poczynaniach patriotyczno-niepodległościowych”?!]

Powracając do tomu VIII, to jest on podzielony na cztery części, będące uzupełnieniami do tomów, o których jest mowa w tytule, a czasem jedynie podsumowaniem opracowań zamieszczonych w tych tomach. Uzupełnienia do tomu I otwiera artykuł Mariana Marka Drozdowskiego pt. *Spór o instytucję prezydenta w Polsce 1919-1945*, który jest jednocześnie dobrym wprowadzeniem do problematyki, związanej z urzędem prezydenta na obczyźnie. W dalszej kolejności znajdują się tam opracowania: Józefa Garlińskiego, *Rząd na obczyźnie i kraj podczas II wojny światowej*; Tadeusza Wyrwy, *Pierwsze kroki rządu RP we Francji 1939-1940*; Magdaleny Hułas, *Wielka Brytania i wschodnia granica Polski*; Memorandum Stafforda Crippsa 1940; Marka Ney-Krwawicza, *Sztab Naczelnego Wodza na Obczyźnie, organizacja prac nad Powstaniem Powszechnym w Kraju*; Edwarda Kołodzieja, *Wybuch wojny i polska służba zagraniczna 1939-1940*; *Stan i rozwój sieci placówek zagranicznych*; Andrzeja Leśniewskiego *Memoriał ministra Romana Knolla 1944 roku*.

Uzupełnienia do tomu II obejmują następujące artykuły: Józefa Jasnowskiego *Rodowód emigracji polskiej po II wojnie światowej*, oparty głównie na danych liczbowych; Jana Radomyskiego *Uwagi do pracy o historii i działalności SPK*, gdzie autor pisze o niezadawalającym opracowaniu na temat SPK, jakie ukazało się, pióra Mariana Skoczka, w tomie II. Zbigniewa Janika *Komitet Obywatelski Pomocy Uchodźcom Polskim*, w którym autor – jeden z jego współorganizatorów i wieloletni sekretarz i wiceprzewodniczący – przedstawia dwa okresy działalności Komitetu: lata 1939-1945 i okres powojenny do roku sprawozdawczego 1994-1995; Wacława Nettera *Towarzystwo Pomocy Polakom*, które po wojnie przejęło działalność PCK; Ryszarda Zakrzewskiego *Pół wieku polskiej akcji wydawniczej w Wielkiej Brytanii* zawiera zarys akcji wydawniczej ze zwiążłym omówieniem firm. Zniekształceniu uległo (str. 152) nazwisko R. Wegner – a nie Wagnera – gdy Zakrzewski pisze o Wydawnictwie Polskim Tern (Rybitwa), którego właścicielem

był Tadeusz Rybotycki i który nawiązywał do przedwojennej, poznańskiej firmy wydawniczej R. Węgnera. Błąd wkradł się też do imienia nie Ireny lecz Krystyny Bednarczykowej, gdy mowa jest o Oficynie Poetów i Malarzy, którą prowadziła wraz z mężem Czesławem.

Następne opracowanie pt. *Rola polskich instytucji na obczyźnie – przeszłość i teraźniejszość* jest pióra Marii Barbary Topolskiej. Autorka nawiązuje do opracowań tomu II, ale niewiele je jednak uzupełnia. Zaznacza m.in. że „Polacy, naukowcy w USA oraz polskiego pochodzenia mają dziś dobrą pozycję i tworzą lobby dla polsko-amerykańskiej współpracy naukowej i kulturalnej” (str. 162). Niestety, lobby tego rodzaju, ani też o innym charakterze, nie istnieje. Autorka pisze o upowszechnianiu od 1842 r. dóbr polskiej nauki i kultury przez Instytut Historyczno-Literacki w Paryżu (str. 163). Otóż takiego Instytutu nie było i nie ma. Istnieje natomiast Towarzystwo Historyczno-Literackie, jakie powstało po połączeniu Towarzystwa Literackiego z Historycznym, zapoczątkowane w 1853 roku i oficjalnie potwierdzone przyjętym statutem w lutym 1854 roku. M.B. Topolska pracuje w Zakładzie Badań Narodowościowych PAN (dawniej Zakład Badań nad Polonią Zagraniczną) w Poznaniu, gdzie – jak informuje – przygotowywana jest, z inicjatywy prof. Kazimierza Dopierały, kilkunastotomowa „Encyklopedia Polaków i Polonii”, stąd tym większa potrzeba zwracania uwagi na wszelkie błędy w dotychczasowych publikacjach, żeby nie powtarzały się w przyszłych wydawnictwach.

Uzupełnienia do tomu V otwiera opracowanie Andrzeja Ciechanowieckiego pt. *Prywatne Fundacje Polskie na Zachodzie*. Na wstępie Autor pisze, że nie miał wystarczających informacji o ważnych inicjatywach na terenie USA i Kanady i ograniczył się do trzech fundacji działających w Europie. Pierwszą z nich jest – bardzo zasłużona dla nauki i kultury polskiej na emigracji i w Kraju – Fundacja im. Lanckorońskich, która powstała we Fryburgu w 1967 r. i druga w Londynie, związana z nią Fundacja z Brzezia Lanckorońskich, ufundowane przez prof. Karolinę Lanckorońską. Działalność Fundacji obejmuje: akcję wydawniczą, udzielanie stypendiów i subsydiów, pomoc charytatywną i inną, jak np.

pomoc Bibliotece Polskiej w Paryżu, bez której Biblioteka ta nie miałaby szans samodzielnego przetrwania a dzisiaj istnienia. Następnie przedstawiona jest Fundacja im. Ciechanowieckich, która powstała w 1984 r., oficjalnie zarejestrowana w Warszawie w 1986 r. Celem Fundacji, podaje autor, jej fundator, „było w pierwszym rządzie przekazanie ponad 2000 cennych dzieł sztuki do zbiorów Zamku Królewskiego w Warszawie”, wzbogacając nadal kolekcję nowymi dziełami. Nadto pokrywa koszty prac konserwatorskich nad przekazanymi dziełami sztuki i finansuje różne wydawnictwa. W kolejnym artykule A. Ciechanowiecki omawia rzymską Fundację Janiny Umiaszowskiej, powołanej do życia w 1944 r. dla wspierania nauki i kultury polskiej, oraz pisze o Związku Polskich Kawalerów Maltańskich i jego działalności humanitarnej. Następne opracowanie, pióra Julie Hykiel, jest o Fundacji *Friends of Poland*, organizacji charytatywnej, utworzonej w styczniu 1982, niosącej pomoc więźniom politycznym PRL i ich rodzinom a później, od 1990 roku – koncentrując się na pomocy chorym dzieciom. Część tę zamyka artykuł Jana Radomyskiego pt. *Znaczenie 'Studium Spraw Polskich' w Londynie*, który jest podsumowaniem opracowania tego autora, jakie zostało zamieszczone w tomie V.

W Uzupełnieniach do tomu VI znajdują się trzy artykuły. Do dwu nawiązywałem już w omówieniu tomu VI i tutaj nie będę do nich wracał. Chodzi o opracowania: Wandy Jarząbek pt. *Rola i aspekty układu 'Okrągłego Stołu' 1989* i Jerzego Jana Zaleskiego pt. *W piątą rocznicę. Przyczynki do rozmów delegacji prezydenckiej w Warszawie w 1990 roku*. Trochę natomiast miejsca należy poświęcić trzeciemu opracowaniu, które zamyka ten tom i całą serię wydanych „Materiałów”. Autorem opracowania jest Janusz Kamocki a jego tytuł brzmi: *Likwidacja władz na Uchodźstwie w ocenie organizacji niepodległościowych w Kraju*. Autor był działaczem krajowego Ugrupowania Niepodległościowego „Zamek” (nazwa nawiązywała do „Zamku” londyńskiego) z lat osiemdziesiątych. Artykuł ten charakteryzuje się przede wszystkim odmienną oceną sytuacji, w jakiej nastąpiło przekazanie insygniów prezydenckich i można wyrazić zdziwienie, że został zamieszczony.

Mógł sobie na to pozwolić Z. Błazyński, redaktor tego tomu, dobrze osadzony w środowisku polskiego Londynu. Może też sądzono, że z upływem czasu argumentacja J. Kamockiego łatwiejsza będzie *post factum* do przyjęcia, a dla krajowego teraz czytelnika – mało realna.

J. Kamocki wychodzi z założenia, że nastąpiło nie tyle przekazanie insygniów prezydenckich, ile po prostu zlikwidowanie rządu RP w Londynie, bez spełnienia po temu odpowiednich warunków. „Wąłęsa – pisze autor – złożył przysięgę na wierność konstytucji PRL-owskiej, uroczystość na Zamku Królewskim w Warszawie była już tylko fetą pogrzebową II Rzeczypospolitej. Została zachowana konstytucja PRL-owska (poddana nieznacznym tylko zabiegom kosmetycznym), zachowano ciągłość prawną PRL-u, łącznie z dekretemi PKWN-u, z tradycji rządu na uchodźstwie pozostawiono jedynie uznanie ważności nadań stopni wojskowych i orderów. Ale czy dla tych rang i odznaczeń warto było przez kilkadziesiąt lat uparcie trwać na ‘zamku londyńskim’?” (str. 210). W przypisie Kamocki dodaje, że stopnie wojskowe nadane przez rząd RP w Londynie nie zostały automatycznie zatwierdzone i dla ich zatwierdzenia należało złożyć podanie w warszawskim Ministerstwie Obrony Narodowej, procedura która zdaje się ciągle jest jeszcze aktualna.

W opracowaniu o zakończeniu działalności instytucji rządowych na obczyźnie, E. Szczepanik pisze, że organom polskich władz państwowych (w Warszawie) przekazano wnioski o zajęcie stanowiska w sprawach: „dekretów Prezydenta RP, wydanych na obczyźnie w latach 1939-1990; nadanych przez Władze RP na Uchodźstwie odznaczeń państwowych i stopni wojskowych; emerytur należnych urzędnikom państwowym i żołnierzom zawodowym, służącym Polsce na obczyźnie w latach 1939-1990; opieki nad wojennymi cmentarzami i grobami żołnierzy PSZ oraz przywódców na obczyźnie; wykorzystania w polskiej służbie dyplomatycznej i konsularnej usług i doświadczeń członków b. władz RP na Uchodźstwie”. Następnie Szczepanik ubolewa, że „w wyżej wymienionych sprawach (z wyjątkiem odznaczeń), do chwili ukazania się niniejszej publikacji (1995 r.) rząd RP nie zajął stanowiska” (tom VI, str. 149).

W przeciwieństwie do nerwowego pośpiechu, z jakim odbyło się przekazanie insygniów prezydenckich, z podporządkowaniem się narzuconej w Kraju procedurze, rząd RP w Warszawie nie widzi zapewne dla siebie potrzeby spieszenia się, a może w ogóle i załatwienia tych spraw, tym bardziej że niektóre z nich nie powinny były być w ogóle wysuwane i chluby emigracji nie przynoszą. Trudno się zresztą dziwić, że postulaty b. rządu polskiego w Londynie nie są brane poważnie pod uwagę, o czym może świadczyć następujący przykład: uchwałą Rady Ministrów z dnia 22 października 1990 r. „Żołnierze Polskich Sił zbrojnych, urlopowani bezterminowo na podstawie uchwały Rady Ministrów z dnia 3 września 1946 roku²³, zostają przeniesieni: w stan spoczynku – oficerowie i podoficerowie służby stałej; do pospolitego ruszenia – oficerowie rezerwy, podoficerowie rezerwy i szeregowcy”. Uchwałę podpisali: prezes Rady Ministrów, prof. dr Edward F. Szczepanik i minister spraw wojskowych, inż. Jerzy Morawicz. Nadto, zarządzeniami z 10 listopada awansowano oficerów i podoficerów o jeden stopień wyżej (tom VII, str. 672-674). Czy rzeczywiście trzeba było w ten groteskowy sposób przypieczętować bohaterskie, z czasów wojny, dzieje Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie?!



Opublikowane tomy „Materiałów” nie mogą w żadnym wypadku stanowić „historii drugiej emigracji”, do czego pretenduje E. Szczepanik i jego ekipa, a przed czym przestrzegał Zygmunt Szadkowski, długoletni przewodniczący Rady Narodowej, wyrażając „wątpliwość co do potrzeby ‘pisanie historii o sobie’” (Tom VI, str. 110). Nie zmieni tego fakt, że niektóre artykuły są wartościowe. Całość jednak, ograni-

23. Chodzi o oświadczenie, nie uchwałę i z dnia 24 maja a nie 3 września 1946 roku, którego już sam tytuł wskazywał na to o czym jest w nim mowa. Zob: „Oświadczenie rządu RP w sprawie rozwiązania (podkreślenie – T.W.) Polskich Sił Zbrojnych na Obczyźnie”. Zob. również: „Orędzie Prezydenta RP do Polskich Sił Zbrojnych w związku z rozwiązaniem PSZ na Obczyźnie” (Tom VII, str.48-52). Natomiast w oświadczeniu rządu RP z 3 września rząd „zalecał żołnierzom PSZ wstępowanie do PKPR” (Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia).

czona przeważnie – i to tendencyjnie – do środowiska londyńskiego, zniekształca profil emigracji. Brak jest zupełnie opracowań o uchodźstwie w Niemczech, a podobnie jest przeważnie i z innymi krajami. Pominęto sprawy bardziej drażliwe, np. zmarnowanie po wojnie różnych fuduszy. Nie wykorzystano bogatej literatury pamiętnikarskiej i opublikowanych dawniej relacji. Większość artykułów, to raczej zbiór dokumentów arbitralnie wybranych i w pośpiechu, z błędami różnej natury, przygotowanych do publikacji, bez staranniejszego opracowania i niezbędnej analizy faktów, powtarzanych niejednokrotnie przez kilku autorów

Na podstawie tych „Materiałów” trudno będzie odtworzyć pełniejszy i bardziej autentyczny obraz wypadków i działalności emigracji na Zachodzie. Dziedzina kultury, wkładu polskich uczonych do różnych gałęzi wiedzy powszechnej, poruszane są jedynie fragmentarycznie. Brak jest zupełnie, z wyjątkiem tomu I – i to niewystarczającej – bibliografii. Redaktorzy nie byli przypuszczalnie zainteresowani bibliografią, to co inni opracowali ich nie obchodziło. Nie postarano się o rozesłanie tomów „Materiałów” do bibliotek w krajach zachodnich, wnioskuje to z tego, że Biblioteka Polska w Paryżu nie otrzymała żadnego tomu. Wydawcy nastawieni są wyłącznie na czytelnika w Polsce i publikacja „Materiałów” ma zapewne spełniać rolę swego rodzaju „przepychanki” do Kraju, ukształtowanego przez nich obrazu środowiska londyńskiej emigracji.

Szkoda jednak, że w tym całym gąszczu deklaracji, programów, sprawozdań prezesów i zarządów różnych organizacji, których działalność istniała niejednokrotnie tylko na papierze, trudno będzie dotrzeć do pracy ludzi i ich, bez fanfaronady, pozytywnego wkładu w życie uchodźstwa. W tym wszystkim warto przypomnieć, to o czym wiele lat temu pisał, z dobrą znajomością polskiego Londynu, Jan Bielatowicz: „Biada, jeśli potomność sądzić nas będzie z papierów emigracyjnych!” a wyglądałoby „że do historii przejdzie po moście papierowym emigracji tylko to co lekkie”²⁴. Do utrwalenia tego „mostu papierowego” przyczyniają się

24. Jan Bielatowicz, *Literatura na emigracji*, PFK, Londyn 1970, str. 46-47.

również tomy „Materiałów”, których wydanie wiele kosztowało pieniędzy z publicznych funduszy i można było opracować dzieje emigracji z większym dla historii pożytkiem.

Niewłaściwy jest też termin „Historia drugiej emigracji” zapoczątkowany przez E. Szczepanika i który spotyka się już gdzie indziej. Zwraca na to uwagę Maria Danilewicz Zielińska pisząc, że termin ten określając „naszą” emigrację mianem „drugiej” budzi wątpliwości i „nie wróżę mu powszechnej akceptacji....podświadomie (bowiem) wyłania się obawa kontynuowania, na psa urok, tej złowieszczej numeracji”²⁵. Użycie przez E. Szczepanika tego terminu nie było zapewne przypadkowe. Nie wypadało mu już dodać, że ta „druga” emigracja jest również „wielka” i aluzjami zrobili to inni na Kongresie z 1995 roku, o którym była mowa.

Czy zinstytucjonalizowana emigracja londyńska – bo o tej jest głównie mowa w „Materiałach” – ma dane po temu, żeby otrzymać miano wielkiej? Wiele będzie zapewne wysuwanych co do tego zastrzeżeń. Na razie dzieje jej są ciągle mało znane a do ich bardziej wszechstronnego poznania potrzebna jest również wiedza tego, o czym m.in. pisał, w latach osiemdziesiątych, Mieczysław Sas-Skowroński, jeden z rektorów Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie, zajmujący nadto w polskim Londynie różne stanowiska o charakterze społecznym i politycznym: „...na emigracji brak jest odpowiedniego przywództwa, brak kośćca moralnego. Brak również dalekowzrocznej, charyzmatycznej myśli, brak na szerszą skalę zakrojonej działalności politycznej ...Największe przeszkody tkwią w nas samych. Na imię im: małoduszność, brak odwagi moralnej...”. Następnie autor zapytuje: „Czyż to jest konieczne, aby emigracja pod niejednym względem przypominała cmentarz zmarnowanych możliwości, a przecież bardzo realnych – gdyby dopisała tylko wielkość moralna i umysłowa?”²⁶.

25. Maria Danilewicz Zielińska, „Odślanianie kurtyny. Uwagi o ‘Literaturze złej chwili dziejowej’ Janusza Kryszaka” w: *Kultura* nr 11, Paryż 1996, str. 142.

26. Mieczysław Sas-Skowroński, „Zadania emigracji” w: *Tydzień Polski* z 9 lutego 1985 r., Londyn, str. 7.

W posłowie do tomu VI „Materiałów”, Józef Jasnowski pisze: „Co pozostawia emigracja w spadku swemu potomstwu? W pierwszej kolejności – wspaniałą tradycję rycerską, o której utrwalenie zabiegają liczne organizacje kombatanckie, a której widomym pomnikiem są cmentarze na wszystkich prawie pobojuwiskach drugiej wojny światowej” (str. 207-208). Z pożytkiem dla historii byłoby, żeby wreszcie wyraźnie oddzielić wojenne, heroiczne dzieje żołnierza polskiego od powojennych, żałosnych dziejów londyńskiego przywództwa emigracji. Ku chwale pierwszych – wystawiono zasłużone pomniki; drugim – usiłuje się wzniesć pomniki już teraz²⁷, bo w przyszłości potomność może tego nie zrobić...

Tadeusz WYRWA

27. Oprócz wydanych tomów „Materiałów”, do pomnikowej akcji polskiego Londynu zaliczyć również można „przyznanie (przez Polonia Aid Foundation Trust) tysiąca funtów artyście plastykowi Mariuszowi Kałdowskiemu jako częściowego honorarium za namalowanie portretów osób zasłużonych na emigracji w akcji niepodległościowej, politycznej, społecznej i artystycznej. Czy nie za wcześniej – pyta red. Jerzy Giedroyc – na tworzenie takiej galerii i czy nie ma ważniejszych wydatków?” – *Kultura* nr 9 (600), Paryż 1997, str. 171.

Karol MODZELEWSKI

CYRYLICA W POLSKIM ZWIERCIADLE

Niepodległa Polska zaczyna kształtować własną politykę wschodnią. Mamy przy tym wiele okazji, by przekonać się, że stronami stosunków Polski z Rosją, Litwą czy Białorusią są nie tylko rządy, lecz także społeczeństwa; od ich postaw, historycznych doświadczeń, urazów i fobii zależy dziś znacznie więcej niż w czasach niewoli. Szczególnie istotny wpływ na kształtowanie wzajemnych stosunków wywierają obiegowe wyobrażenia o charakterze sąsiednich narodów, o rachunkach historycznych zasług i krzywd oraz o naukach, jakie wynikać mają z dziejowych zaszłości między sąsiadami. Mimo rosnącej roli telewizji, głównym krzewicielem tych stereotypów pozostaje edukacja szkolna. Dlatego opublikowaną przez Ośrodek Studiów Wschodnich pionierską analizę Wojciecha Stanisławskiego „Obraz Polski w rosyjskich podręcznikach historii” uznać trzeba za wydarzenie dużej wagi. Jest to, rzecz jasna, dopiero pierwszy krok, prowokujący do dyskusji nad tym, w jakim kierunku powinny zmierzać kroki następne.

W. Stanisławski jest powściągliwy w uogólnieniach. Może nawet nazbyt powściągliwy, gdyż tezy jego, nie sformułowane *explicité*, dają się bez większego trudu odczytać ze sposobu, w jaki wybiera on i opisuje treści zawarte w analizowanych podręcznikach. Najogólniej rzecz biorąc autor

skłania się do twierdzenia, że obraz Polski w rosyjskich podręcznikach historii, mimo ich znacznego zróżnicowania światopoglądowego, kształtowany jest przez kanon stereotypów o charakterze nacjonalistycznym. Trzeba się z tym zgodzić, podobnie jak z opinią Stanisławskiego, że nacjonalizm ów nie jest nacechowany nienawiścią i nie łączy się zazwyczaj ze złą wolą, lecz wynika ze sposobu ujmowania przedmiotu i z siatki pojęciowej, w obrębie której poruszają się nawet najbardziej otwarci autorzy szkolnych kompendiów.

Szczególnie ważne jest to, że z 16 dostępnych na rynku podręczników aż 14 (w tym wszystkie wielonakładowe) to wykłady „historii ojczystej”. Wygląda na to, że edukacja historyczna w rosyjskich szkołach jest niezwykle etnocentryczna. Daleko idące ześrodkowanie na dziejach własnego państwa i narodu powoduje, że historia jawi się jako nieustanny mecz pomiędzy Rosją a „resztą świata”; z pewnością nie tylko „nasz kraj pojawia się na kartach podręczników głównie przy okazji kontaktów i konfliktów z Rosją” (s. 3) i nie tylko „w opisie stosunków polsko-rosyjskich przeważa element konfrontacji” (wstęp redakcyjny).

Charakterystyczne dla ujmowania historii jako meczu między „swoimi” a wszystkimi „obcymi” jest przyjmowanie przez czytelnika i autora, nawet gdy stara się zachować obiektywizm, postawy kibica. Kibicowanie „swoim” prowadzi do emocjonalnego i moralnego utożsamiania się z najbardziej nawet odległymi w czasie poprzednikami własnego państwa i narodu, traktowanego niczym diachroniczna, zbiorowa osoba. Łączy się z tym skłonność do ferowania ocen w kategoriach etycznych: szuka się usprawiedliwień dla wątpliwych moralnie poczynań „swoich”, demaskuje się odrażające postępowanie wrogów, nade wszystko zaś szuka się legitymizacji roszczeń wysuwanych i realizowanych przez własną państwowość na przestrzeni wieków. W skrajnej postaci nacjonalizm żywi się przekonaniem o absolutnym i odwiecznym anielstwie własnego narodu oraz równie absolutnym diabelstwie wszystkich, którzy stawali i stają mu na drodze.

Elementy tego syndromu odnajduje W. Stanisławski w negatywnym stereotypie Polski jako zbiorowości kłótlivej, awanturniczej, ale chętnie kryjącej się za plecami silniejszych

protektorów i wspólnie z nimi występujących przeciw Rosji (s. 42). Żaden podręcznik nie formułuje, rzecz jasna, wprost takiej ogólnej oceny, ale W. Stanisławski dostrzega ją nie bez racji w sposobie opisu rozmaitych wydarzeń historycznych. Podkreślić jednak trzeba, że podręcznikowy obraz Polski uwikłanej w konflikty z Rosją nie zawsze jest negatywny. Rozbiory traktowane są z wyraźnym zakłopotaniem i – mimo doszukiwania się w motywacjach Katarzyny jakichś łagodzących okoliczności – nie jawią się bynajmniej jako akt sprawiedliwości dziejowej. Przeciwnie: powstanie kościuszkowskie, a także listopadowe i styczniowe traktowane są z wyraźną sympatią jako zrywy „narodowo-wyzwoleńcze” kierowane przez patriotów. Represje popowstaniowe spotykają się w podręcznikach z potępieniem; oceny tej nie podważa podjęta w jednym z nich kuriozalna próba wybielenia Suworowa i złożenia wyłącznej winy na carski dwór. W odróżnieniu od Ukraińców, Białorusinów, a może i Litwinów, niepodległościowe aspiracje Polaków są w oczach autorów analizowanych podręczników usprawiedliwione, również wtedy, gdy realizowane są w zbrojnej walce z Rosją.

Kluczem pozwalającym zrozumieć konstrukcję stereotypów „ojczystej historii” jest dający się wydobyć ze szkolnych podręczników stosunek do Rosji, a nie do Polski. Ruś moskiewska, następnie zaś nowożytna Rosja carów jest tam traktowana jako uprawniony spadkobierca Rusi Kijowskiej. Nie jest to, rzecz jasna, twierdzenie empiryczne, lecz aksjomat, na którym opiera się nacjonalistyczny kanon historii Rosji. Nie miałoby sensu pytać o stosunek owego aksjomatu do faktycznej wieloetniczności państwa Włodzimierza I i Jarosława Mądrygo. Nie chodzi tu o empirię, lecz o głębokie przekonanie legitymizujące dążenia Moskwy do panowania nad całą schedą po kijowskich władcach. Z tego punktu widzenia „usprawiedliwiony” był podbój Nowogrodu Wielkiego, podczas gdy ekspansję litewską na ziemie zachodnioruskie można traktować jako zgola niesprawiedliwą uzurpację. Z tego samego punktu widzenia państwo polskie, mające „słuszne prawo” do samodzielnego bytu w piastowskich („etnicznie polskich”) granicach, wykraczając poza linię Bugu stawało się agresorem wydzierającym

Moskwie to, co się jej „sprawiedliwie należy”, nawet gdy chwilowo znajduje się poza jej kontrolą.

Etyczno-emocjonalna postawa wobec Polski jest tu, jak widać, funkcją stosunku do Ukrainy, Białorusi i Litwy. „Czarny” stereotyp Rzeczypospolitej pojawia się na kartach rosyjskich podręczników wtedy, gdy państwo polskie występuje jako rywal, który przeszkadza Rosji w osiągnięciu słuszenie jej należnego panowania nad Ukraińcami, Białorusinami lub nie uformowanymi jeszcze w narody przodkami Ukraińców i Białorusinów. Dlatego Litwa (jak trafnie zauważył W. Stanisławski (częściej i wyraźniej niż Polska, przedstawiana jest jako „antyrosyjski agresor” na ziemiach skądinąd nierosyjskich, ale jakże bliskich Moskwie. Z rozmaitych (m.in. wyznaniowych) względów państwo litewskie traktowane jest ponadto jako swego rodzaju koń trojański na obszarach wschodniosłowiańskiego prawosławia.

Przedmiot, do którego odnosi się cały ten zestaw stereotypów i emocji, można bez trudu wskazać na mapie. To „bliska zagranica”, traktowana dziś przez moskiewskich polityków i generałów jako strefa szczególnych interesów Federacji Rosyjskiej. Polska jest w tej doktrynie strategicznej i była według podręczników „historii ojczystej” zagranicą nieco dalszą; jej odrębność nie ulega wprawdzie kwestii, ale będąc suwerennym w zasadzie podmiotem wymaga ona przecież opieki ze strony Rosji, aby nie popaść pod wpływ zachodnich potęg. Zbieżność perspektywy ze strategiczną doktryną nie oznacza bynajmniej, że podręczniki historii pisane są pod dyktando sztabowców i dyplomatów. Przeciwnie – to raczej sposób myślenia polityków i wojskowych kształtuje się pod wpływem tych samych stereotypów, którym ulegają i które upowszechniają autorzy podręczników i szkolni nauczyciele.

Mimo wszystko niełatwo, a może nawet nie warto oddzielać „obrazu Polski” w rosyjskich podręcznikach od obrazu Ukrainy, Litwy i Białorusi. W tym względzie W. Stanisławski nie wyprowadził wszystkich wniosków ze swej analizy. Widziane przez pryzmat podręczników stosunki pomiędzy Polską a Rosją interesują go w sposób zanadto wyłączny. Ale i w stosunkach bilateralnych stereotypy jednego

narodu wchodzą w relacje ze stereotypami drugiego. Medal, któremu przyglądał się uważnie W. Stanisławski, ma także drugą stronę. Szkoda, że autor tam nie zajrzał. W zarysowanej na zakończenie „propozycji dalszych badań” postuluje on uzupełnienie wykonanej już pracy analizą obrazu Rosji, Ukrainy, Litwy i Białorusi w polskich podręcznikach historii. Znajdziemy tam zapewne niejednen stereotyp będący zwierciadlanym (a więc odwróconym) odbiciem znaków i znaczeń wielkoruskiego kanonu „historii ojczystej”.

Okruchy naszego, polskiego kanonu, dają się zresztą odczytać z wyrażonego w analizie W. Stanisławskiego stosunku do rosyjskich interpretacji podręcznikowych. Ocnom, w których państwo polsko-litewskie traktowane jest jako agresor stosujący wobec zniewolonej ludności zachodnich ziem ruskich ucisk etniczny i wyznaniowy, W. Stanisławski zarzuca ignorowanie „fenomenu Rzeczypospolitej Wielu Narodów” (s. 4 i wstęp wydawcy). Wydaje się, że mamy tu do czynienia ze zderzeniem dwóch konkurencyjnych mitologii: rosyjska legitymizuje roszczenia Moskwy do terytoriów Ukrainy i Białorusi powołując się na schedę po Rusi Kijowskiej, wspólnotę wyznaniową i bliskość etniczną, podczas gdy polska mitologia kładzie nacisk na tolerancję posuniętą niemal do równouprawnienia różnych narodów i wyznań w obrębie wspólnej Rzeczypospolitej oraz na misję cywilizacyjną Polski i Kościoła katolickiego na Wschodzie. Obie wizje, choć konkurencyjne, mają znamienny rys wspólny: obie traktują społeczności żyjące między Polską i Rosją („bliską zagranicę”) w sposób raczej przedmiotowy niż podmiotowy. Warto przy okazji zauważyć, że w Polsce XVI-XVIII w. pojęcie narodu miało wyraźną konotację stanową i polityczną. Termin Rzeczpospolita Obojga Narodów odnosił się głównie do stanu szlacheckiego i do dwóch podmiotów Unii: Korony oraz Wielkiego Księstwa Litewskiego. Przerabianie tej kategorii pojęciowej – przynależnej do epoki – na skonstruowaną w gabinetach XX-wiecznych uczonych Rzeczpospolitą Wielu Narodów wydaje mi się zabiegiem dyskusyjnym.

Stereotypowe wizje sąsiadów są równie niebezpieczne co podstępne. Łatwo dostrzegamy stereotypy cudze, zwłaszcza gdy są nam nieprzyjemne, z trudem natomiast zdajemy sobie

sprawę, że i my patrzymy na innych poprzez własne stereotypy; są one dla nas czymś naturalnym, a przeto niewidzialnym. Nie ulega wątpliwości, że dwustronne i wielostronne dyskusje na temat podręczników mogą przyczynić się do poprawy atmosfery między wyzwolonymi narodami wschodniej Europy. Przy istnieniu dobrej woli politycznej jakieś wspólne komisje mogą doprowadzić do bardziej wyważonego obrazu sąsiadów w szkolnym nauczaniu historii. Nie czułbym się jednak usatysfakcjonowany, gdyby rzecz zakończyła się starannie wynegocjowanym remisem w ciągle tym samym dziejowym meczu „naszych” z „resztą świata”. Taka perspektywa nieuchronnie zamyka narodową historię w nacjonalistycznym kominie, choćbyśmy póki co rozsądnie trzymali na smyczy wzajemne urazy i fobie.

W. Stanisławski słusznie traktuje przytłaczającą dominację „historii ojczystej” w rosyjskich podręcznikach jako powód do niepokoju. W polskim nauczaniu szkolnym proporcje między własnym krajem a światem przedstawiają się znacznie lepiej. Postulat, by historię narodową traktować jak część składową historii powszechnej warto jednak kierować do wszystkich stron podręcznikowej debaty. Na gruncie historiografii antropologizującej, uprawianej przez poważnych uczonych, jest to postulat zgoła oczywisty, ale do jego konsekwentnej realizacji w szkołach i popularnych publikacjach pozostaje jeszcze szmat drogi. Gdy ją przejdziemy, rozszerzy się bardzo krąg ludzi, którzy poza wojnami i podbojami dostrzegą w dziejach środkowo-wschodniej Europy wspólnotę kultury i losów historycznych, podobieństwo cywilizacyjnego dorobku i miejsca w świecie. Nie tylko uczeni, ale i szersza publiczność, zamiast kibicować Chmielnickiemu albo Wiśniowieckiemu i ferować poniewczasie wyroki, postara się raczej rozumieć uwarunkowania, motywy i następstwa działań ówczesnych ludzi, ich odmienną od naszej kulturę oraz długotrwałe procesy kształtowania się narodów. Wymaga to żmudnej pracy edukacyjnej ale wysiłek ten sowicie się opłaci: dzięki niemu manipulatorom coraz trudniej będzie budzić upiory i wpędzać nasze narody w starą pułapkę.

Karol MODZELEWSKI

WSPOMNIENIA

Krzysztof GŁUCHOWSKI

W POLSKIM LONDYNIE 1947-1970

WPROWADZENIE

„Polski Londyn” jest określeniem zmiennym i wieloznacznym. Był czas, gdy oznaczał Rząd RP na Wygnaniu urzędujący nad Tamizą i obejmujący swą symboliczną jurysdykcją ogół uchodźstwa. Był, podobnie jak *Polish Corridor* umownym określeniem dzielnic gęsto zasiedlonych przez Polaków. Miał wyraźną odrębność, rządził się swoimi prawami. Zmieniał się z upływem lat i następstwem pokoleń. Rozdrabniał na „polski Kensington”, „polski Ealing”, skupiał się w *Daquise*, „Ognisku” czy POSK-u. I dalej trwa na łamach *Dziennika Polskiego* jako ośrodek skupiający usiłowania zabrania głosu w sprawach polskich wobec niesfornego świata.

Początków „polskiego Londynu” szukać trzeba raczej w czerwcu 1940 niż w historycznym wrześniu, to znaczy w okresie, gdy nagle wyłoniła się na Wyspach Brytyjskich nowa społeczność przynosząca ze sobą prezydenta, rząd, urzędy, wydawnictwa i zwyczaje. W ciągu z górą już półwiecza ów nalot cudzoziemców stracił wiele z pierwotnej egzotyki, raził, ale i oswajał tuziemców, stał się wreszcie częścią wieloetnicznego Albionu.

„Polski Londyn” i „Polska nad Tamizą” czeka na syntetyczne opracowanie uwzględniające poszczególne fazy

wrastania w otoczenie. „W polskim Londynie” na przykładzie biografii Krzysztofa Głuchowskiego ilustruje losy Polaków, których we wczesnym okresie powojennym przygarnął Londyn, wielka stacja przeładunkowa, przez którą przewinęły się setki tysięcy Polaków dowożonych ze wszystkich stron świata a następnie rozsyłanych do nowych miejsc osiedlenia. Autor, mający za sobą udział w podziemiu i powstaniu warszawskim, zdobył wykształcenie zawodowe i przeżył lata formatywne w arcypolskim wówczas Londynie skupiającym młodzież raczej w poczuciu wspólnoty narodowej niż akcji politycznych pod szumnymi hasłami. Wyładowywał się raczej w działalności harcerskiej i sportowej, otarł się jednak o próby szkolenia z bronią w podziemnej podchorążówce. Po jako takim ustaleniu bytu, po „urządzeniu się” obudził się w nim instynkt społeczny, najpełniej dochodzący do głosu w działalności zmierzającej do stworzenia Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego, do grona którego twórców należy jako bliski współpracownik Romana Wajdy z okresu, gdy kształtował się mgliście kształt i rozmiary przyszłej siedziby rodzącej się opornie organizacji.

Na szczególną uwagę zasługuje fakt, iż mimo zmiany adresu na brazylijski, związki Głuchowskiego z „polskim Londynem” są nadal bliskie i dla obu stron korzystne. Świadczą one o nie wygasającej atrakcyjności „polskiego Londynu” jako siedziby placówek kulturalnych, skupiska osiadłych na Wyspach Brytyjskich Polaków (i ich potomków), jednego z najważniejszych, jeśli nie najważniejszego, adresu Polonii zagranicznej.

Losy „polskiego Londynu” układały się kapryśnie i historyk opisujący jego dzieje odnotuje w nich długi szereg kryzysów wiążących się ze zmianami polityki brytyjskiej w stosunku do cudzoziemców i wewnętrznymi przesileniami w łonie własnych polskich organizacji. O te ostatnie potrąca w swych wspomnieniach Głuchowski, wykazując rzadką u przedstawicieli jego pokolenia wyrozumiałość w stosunku do konfliktu pokoleń, który ciężką chmurą kłębi się nad emigracyjną sceną.

Jest Głuchowski niesłychanie wiarygodny i ostrożny w formułowaniu oskarżeń. Jest świadkiem a nie sędzią. Pisze gładko, snując tok wydarzeń jak opowieść przy kominku. Rzadko opuszcza go poczucie humoru, a wiernie towarzyszy stara, wypróbowana przez kilka pokoleń, polszczyzna sienkiewiczowska. Kolekcjoner i znawca poloników nigdy nie

rozstaje się z polszczyzną we wszystkich jej odmianach. Szkoda, że możemy otrzymać, w tej fazie, tylko fragmenty wspomnień i nie możemy poznać dalszych wędrówek po szerokim świecie swoistymi, polskimi ścieżkami, z Polską w plecaku.

8 września 1997

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

ŻYCIE EMIGRACYJNE

Praca uszlachetnia

Niestety Jego Królewska Mość nie był tak miłościwy, aby nam płacić stypendium przez całe życie. Po zakończeniu studiów trzeba było szukać jakiejś pracy. Ambicje mieliśmy duże, natomiast rynek nie był zbyt hojny z ofertami. Studiowaliśmy ogłoszenia w gazetach angielskich i pisali niezliczone listy... *Dear Sir, in reply to your advertisement dated...*¹. Z odpowiedziami było gorzej. Prawie z reguły nasze podania szły do kosza. Powodów na to było szereg. Przede wszystkim to, że byliśmy zza żelaznej kurtyny i mieliśmy tam nasze rodziny, co stanowiło ryzyko bezpieczeństwa, jeżeli chodziło o firmy związane z przemysłem wojennym, a takich w tamtych latach była większość. Poza tym nie mieliśmy żadnej praktyki, a nasze przydługie nazwiska, pełne spółgłosek, z miejsca odstraszały, nie słynących ze zdolności lingwistycznych, kierowników biur personalnych, którzy i tak nie kochali zbyt długich nazwisk przybylszy zza Kanału. W rezultacie większość naszych podań spotykał smutny los, a jedynie na nieliczne dostawaliśmy odpowiedź zaczynającą się nieodmiennej żalostną formułką ... *We regret to inform you, that your qualifications do not meet with our requirements...*² Już nie pamiętam jakie było zakończenie, ale nie zdziwiłbym się gdyby brzmiało w tych formalnych czasach podobnie jak we wszystkich odmowach urzędów JKM: – *I am Sir, your humble and*

1. Drogi Panie, w odpowiedzi na wasze ogłoszenie z dnia...

2. Jest na przykro zawiadomić, że pańskie kwalifikacje nie odpowiadają naszym potrzebom.

*obedient servant...*³ Jeżeli chodzi o prace poza granicami Zjednoczonego Królestwa, to dochodziła jeszcze dodatkowa trudność braku obywatelstwa, a tym samym i paszportu, bo sławetny zielony *Travel Document* nie wchodził w tym wypadku w rachubę.

Tak więc pisaliśmy podania dalej. Największą sztuką było dostać się osobiście na tak zwane *interview*. Zawsze w bezpośrednim spotkaniu łatwiej jest zademonstrować, że nasze niewymawialne nazwiska kryją za sobą całkiem normalnych ludzi. To też gdy w *Evening Standard* ukazało się ogłoszenie londyńskiej firmy CAV, bezzwłocznie popędziłem na Acton. Ogłoszenie to nie mogłoby się ukazać obecnie, gdyż było wręcz dyskryminacyjne. Poszukiwało bowiem wyłącznie młodych mężczyzn. W owych czasach nie było jeszcze praw opiekujących się płcią piękną i wszelkiego rodzaju mniejszościami.

Wydział personalny CAV mieścił się w głównym, nowoczesnym budynku biurowym przy końcu Warple Way. Dojeżdżało się tam Uxbridge Road trolejbusami 607 do przystanku Kings Arms. Warple Way była ulicą w pełni przemysłową o atmosferze jeszcze z końca XIX wieku. Oprócz CAV było tam szereg fabryk, między innymi farmaceutyczna Phillips i wonna fabryka mydła Bramley. Po lewej stronie, na budynku British Light Steel Pressings, zamocowany na wysuniętym ramieniu, dominował nad ulicą wielki zegar, mający ogromny wpływ na życie rzesz pracowników. Jego to wskazówki decydowały o tym, kiedy rozlegnie się fabryczna syrena i w mgnieniu oka cała ulica wypełni się ludzką falą, płynącą jak spiętrzona woda z nagle otwartej śluzy. W owych czasach prawie nie było samochodów, a i motocykli nie było za wiele. Większość ludzi polegała na transporcie publicznym i wyścig do przystanku na Uxbridge Road był naprawdę imponujący!

Do biura personalnego wchodziło się osobnym wejściem. Królował tam potężnej postaci Mr Norderman. Był to ciekawy przykład kierownika personalnego starej daty. Wywodził się z warsztatów. Świetnie się rozumiał z robotnikami. Mówił ich soczystym językiem i niewiele miał wspólnego z dzisiejszymi wyszukanymi teoriami jak należy traktować per-

3. Pozostają Pańskim niskim i posłusznym sługą.

sonel. *Shop stewards*⁴ bardzo brzydko, z dodatkiem wybranych przymiotników, poddawali w wątpliwość jego prawe pochodzenie, ale ufali jego słowu. Kierował się zdrowym rozsądkiem, co wielokrotnie oszczędziło strajków. Klasycznym przykładem było jego rozwiązanie, gdy już w późniejszych latach, jeden z nowych kierowników personalnych prawie doprowadził do strajku, zabraniając, ze względów bezpieczeństwa, przejścia do kantyny przez najbliższą bramę. Już się prawie rozlegał sakramentalny okrzyk *brothers, down tools*⁵, gdy odwołano się do Nordy, jak go powszechnie zwano. Ten z miejsca kazał wybić furtkę obok bramy i niewielkim kosztem uniknął strajku, który kosztowałby obie strony fortunę.

Przestudiowawszy wypełniony przeze mnie formularz, Mr N. orzekł, że na asystenta laboratorium się nie nadaję, bo nie mam żadnego doświadczenia praktycznego, ale spytał się mnie słodko, czy nie rozważyłbym przypadkiem przyjęcia pracy kreślarza w biurze projektów? Jak to mówią obecnie w Polsce, na tym etapie, bez szans znalezienia jakiejkolwiek pracy, byłem skłonny rozważać nawet posadę zamiatacza i prospekt zostania kreślarzem przyjąłem z wielkim entuzjazmem. Była to dopiero pierwsza przeszkoda. Posłano mnie na górę. Emocja była podwójna. Mianowicie nie tylko byłem przejęty nadchodzącym *interview*, ale aby się dostać do biura projektów, trzeba było jechać windą *paternoster*. Było to niezwykle urządzenie, gdzie szereg otwartych klatek bezustannie krążyło w górę i w dół. Trzeba było w ruchu wskakiwać do nadchodzącej klatki i na odpowiednim piętrze równie szybko wysiadać. Przy tym pozostawało niepokojące pytanie, co się stanie, gdy nie zdążę wyskoczyć i dojadę do samej góry? Obawa ta była bezpodstawna, wagoniki dojeżdżały do końca i nie zmieniając pozycji zawracały w przeciwnym kierunku. Urządzenie to było związane z pewnym skandalem. Kiedyś zauważono, że jedna z pracowniczek zjechała na dół, a za jakiś czas podążył za nią jeden z pracowników. Ponieważ żadne z nich nie powróciło, wysłano ekspedycję rozpoznawczą. W rezultacie namiętna para musiała się śpiesznie rozstać z CAV, a nisza na dole została szczelnie zabita sklejką.

4. Reprezentanci związków zawodowych.

5. Bracia, kłaść narzędzia.

Rozmowa z Mr Douglas, szefem biura projektów, była niezmiernie krótka, za parę tygodni miał on przejść na emeryturę i choć urzędował jeszcze w uprzywilejowanej klatce w rogu sali, więcej go zajmowały marzenia o tym, jak wkrótce będzie łowił łososie w górskich potokach w krainie za murem Hadriana, skąd pochodził, niż kwalifikacje kandydata na kreślarza! Błyskawicznie zostałem więc przekazany zastępcy, który siedząc tuż przed drzwiami, warował tam, pilnując, aby się ktoś przypadkiem nie wkradł przed nim do wysnionego gabinetu. Zostałem poddany obszernej indagacji co do moich dyplomów i kwalifikacji. Wreszcie Mr Bates wyciągnął ogromny rysunek wałka krzywkowego i patrząc na mnie surowo zapytał, czy potrafię obliczyć natężenia w tej części pompki. Oblały mnie zimne poty i aby się ratować przed katastrofą, odpowiedziałem, że o ile miałbym dużo czasu i nieograniczony dostęp do książek, to może i mógłbym obliczyć. Odpowiedź ta zadowoliła inkwizytora. Po latach dowiedziałem się, że ani Mr B., ani nikt w całej firmie nie był wówczas w stanie teoretycznie tego obliczyć!

Zresztą całe te wysokie wymagania nie były zupełnie potrzebne. Gdybym jedynie umiał trzymać ołówek i rysować proste linie i kółka, to w zupełności wystarczyłoby na dawanie sobie rady z pierwszą pracą, którą mi wyznaczono. Zostałem zatrudniony jako kreślarz z wynagrodzeniem siedmiu funtów i dziesięciu szylingów tygodniowo! Stałem się specjalistą od poprawek dziurek dysz wtryskiwaczy!

Po wypełnieniu wszystkich formalności w wydziale personalnym, zostałem przyjęty przez mego sekcyjnego, Johnny Walker, bardzo sympatycznego Szkota, byłego pilota bombowego, który po kilku turach nalotów na Niemcy, zupełnie osiwiiał. Spokojny i małomówny, przedstawił mnie sprawdzaczowi, Gordon Pike, a następnie zaprowadził do wolnej rysownicy. Gordon był fenomenem. Nie było rysunku, którego numeru by nie pamiętał, co w przed komputerowych czasach było nieocenioną zaletą. W ogóle wiele umiejętności użytecznych w tamtej odległej epoce jest obecnie zupełnie zbytecznych i przeszło do historii. Do takich należała, między innymi, sprawność w kreśleniu i wykonywaniu ładnie prezentujących się napisów.

Warunki pracy były dobre. Sala kreślarni była obszerna, jasna i dobrze oświetlona. Mieliśmy sporo miejsca, dobre biurko z szeregiem szuflad na duże rysunki. Deska do rysowania mogła być w pełni ustawiana zgodnie z potrzebami. Początkowo prostownica była jedynie równolegle poruszającą się linią, z czasem zamocowane zostały ramiona z nastawnym kątem prostym. Co mnie bardzo dziwiło, to hojność z materiałami piśmiennymi. Przyzwyczajony do polskiej oszczędności, zarówno w czasach wojennych jak i w 2. Korpusie we Włoszech czy już w Anglii, zaskakiwało mnie wydawanie nieograniczonych ilości ołówków, gumek, zeszytów. Niewątpliwie Anglia była bogata! Ujemną stroną pracy w kreślarni było to, że byliśmy przywiązani do rysownic i trzeba było mieć dobre wytłumaczenie, aby móc je opuszczać. Wyjątek stanowiła Wigilia Bożego Narodzenia. Już od obiadu zaczynaliśmy celebrować, odwiedzając wydziały z którymi współpracowaliśmy. Wszędzie podejmowano nas alkoholem, który wbrew surowym przepisom, znoszono galonami, na co cerberzy przemykali oczy. Każdy wydział organizował swój bar. To co się działo w fabryce po paru godzinach libacji, wybitnie zaprzeczało powszechnemu mniemaniu, że Anglicy są zimnokrwieści. Nie tylko dziewczęta były zagrożone gorącymi zalotami, ale w wydziałach, gdzie głównie pracowały kobiety, podobny los spotykał młodzieńców, którzy nieopacznie się tam znaleźli. Krążyło po tym sporo pikantnych historyjek.

Wśród moich kolegów w kreślarni było kilku Polaków. Był też i Białorusin z 2. Korpusu. Ciekawym wydarzeniem przerywającym monotonię, była uroczystość związana z koronacją królowej Elżbiety II w czerwcu 1953 roku. Cała fabryka i wszystkie biura były odświętnie ustrojone i otwarte dla publiczności. Na mej rysownicy dumnie powiewała polska chorągiewka.

Pracując ze starymi rysunkami stykaliśmy się z historią, CAV, część grupy Lucas, była przed wojną związana umową licencyjną z niemiecką firmą Bosch. Znakiem przymierza było dwu robotników ciągnących zgodnie za linę. W czasie wojny lina się zerwała i CAV stała się niezależna, produkując osprzęt do silników, zarówno naziemnych jak i lotniczych. To

samo po drugiej stronie czynił Bosch. Wśród niemieckich dokumentów zdobytych przez aliantów znaleziono fotografie lotnicze fabryk CAV, ze szczegółowym opisem rozmieszczenia kluczowych warsztatów, naniesionym przez byłych współpracowników, w celu ułatwienia wyboru do bombardowań. Głęboka była przepaść. Nie przeszkodziło to jednak temu, że po wojnie na ścianie bloku H od strony Larden Road, przez długie lata wisiała niewielka mosiężna tabliczka oznajmijająca wszem i wobec, że jest to zarejestrowany adres angielskiego biura niejakiej firmy Bosch. Dziwnym też zbiegiem okoliczności, nowy sprzęt w biurze projektów zakupiony został w szwajcarskiej firmie, nazywającej się Scintilla, a będącej filią, nie kogo innego, jak tegoż srogiego konkurenta CAV.

Ciekawe, jak w użyciu trwały nadal stare nazwy części fabryki. Na przykład wiadomo było, gdzie była rzeźnia Wallsa, choć przestała ona istnieć ćwierć wieku wstecz, zastąpiona fabryką odkurzaczy Luvacs, która z kolei ustąpiła miejsca warsztatowi diesla. Budynki opowiadały nam historię rozrostu firmy.

Może poprawiałbym dziurki w dyszach aż do emerytury, gdyby nie pomyślny zbieg okoliczności. Mianowicie w wyścigu o zdobycie większego skrawka rynku, CAV postanowiła zaprojektować nową pompkę rotacyjną. Przystąpiono do energicznej akcji, w rezultacie czego wszyscy projektanci byli bardzo zajęci. Tymczasem dyrektor wydziału sprzedaży eksportu miał córkę, która wyszła za Holendra i mieszkała w Holandii. W tymże kraju istniała firma produkująca wagony kolejowe, Allan Railcar, do których potrzebowała specjalnych regulatorów. Bez regulatorów nie byłoby ani interesu, ani częstych odwiedzin u córki, stąd Mr Miller, poruszył niebo i ziemię, aby w jakiś sposób rozpocząć projekt. W rezultacie, z godziny na godzinę, poprawki do dziurek w dyszach objął jakiś nieszczęsny czeladnik, a ja stałem się w pełni opierzonym projektantem z nie byle jakim wyzwaniem. Moim partnerem w laboratorium był Fred Houchin, późniejszy kierownik wydziału sprzedaży, wówczas również początkujący inżynier. Warunki mieliśmy bardzo sprzyjające. Nasi szefowie zajęci byli pompką rotacyjną, równocześnie *Dusty* Miller swym autorytetem zapewniał nam

dostateczne pierwszeństwo w warsztatach. Zostawieni sami sobie, bez komitetów, z projektów których, jak mówią Anglicy, miast konia wychodzi wielbłąd, w niedługim czasie mieliśmy gotowy prototyp. Fred przeprowadził próby na jednym z wagonów operujących w Portugalii. Okazało się, że regulator działał tak sprawnie, że Holendrzy z miejsca przyśleli zamówienie. Mr Miller mógł dalej spokojnie odwiedzać swą córę. Osobiście też nie mogłem narzekać, bo projekt ten otworzył mi drogę do laboratorium i wyzwolił mnie na zawsze od dziurek w dyszach i ich poprawek.

Emperor's Gate

Dla młodych małżeństw dostać pokój nie było tak łatwo. *Landladies* nie bardzo miały ochotę wynajmować im pokoje w przewidywaniu, że po jakimś czasie zwykle przychodzi hałaśliwy dodatek i związane z nim kłopoty. Mieliśmy jednak szczęście bo funkcję *caretakera*⁶ w domu Skarbu Narodowego piastował teść, ppłk dypl. Tadeusz Kozłowski i zaoferował nam tam pokój. Akurat wyprowadził się inż. Stefan Tyszkiewicz, sławny konstruktor samochodu Stetysz, pracujący właśnie nad nowym wynalazkiem, takim niezwykłym urządzeniem, które samo miało odbierać telefon!

Dom Skarbu Narodowego mieścił się pod numerem 42 przy *Emperor's Gate*, cichym zaułku, niedaleko od stacji kolejki podziemnej Gloucester Road, w samym centrum polskiego emigracyjnego Londynu.

Jakże inne to były czasy! Mleko rozwożone było jeszcze wózkami ciągniętymi przez kucyki. Znały one codzienną trasę i rutynę. Ze spokojną cierpliwością czekały, gdy w sobotę mleczarz, według notatek w książce oprawnej w ceratę, zbierał zapłaty za tygodniowe dostawy. W całej Wielkiej Brytanii butelki mleka, podobnie zresztą jak i gazety, oczekiwały na stopniach domów, aż zostaną zabrane do środka. Jedynymi złodziejami były sikorki, które nauczyły się przebijać dziobkiem metalowy kapsel i spijać śmietankę.

6. Administrator.

Przy samym wejściu na Emperor's Gate stał niewielki kościółek, należący do Church of England. Z czasem, z braku wiernych, został zamknięty. Miał nawet na niego oko nasz ks. Sołowiej, ale okazało się, że anglikanie za żadne skarby nie chcieli sprzedawać swych kościołów katolikom. Ostatecznie kościółek wypożyczony został prawosławnym, z którymi łączy Church of England więzy, datujące się jeszcze z czasów Henryka VIII, gdy dostali od nich sakrę.

Ciekawe jak w Anglii domy w miastach mają zawsze ten sam ustalony rozkład. Już od czasów georgiańskich, plany wewnątrz powoli przybierały jednakowy format, by w epoce królowej Wiktorii zupełnie skostnieć i w tej postaci dotrzeć do naszego zjawienia się w Wielkiej Brytanii. W śródmieściu istnieją tak zwane *terraces*, szeregi przylegających do siebie jednakowych budynków, dzielących z sąsiadami boczne ściany. Każdy z nich ma swego bliźniaka, będącego jego lustrzanym odbiciem. W bogatszych dzielnicach na zapleczach istniały stajnie i wozownie, tak zwane *mews*. Obecnie poprzerabiane na luksusowe małe domki kosztują fortunę. Dom Skarbu Narodowego był to duży wielopiętrowy budynek, a raczej dokładnie dwa sąsiednie, połączone w jedną całość. Pochodziły z epoki królowej Wiktorii, gdy służyły jako pojedyncze rezydencje zamożnych rodzin. Dowodem tego były nie tylko dzielnica i rozmiar, ale również przed-elektryczne dzwonki poruszane systemem drutów i przekładni, których kierunki wskazywały gdzie niegdyś mieszkali państwo, a gdzie gnieździła się służba. W prawym budynku parter i pierwsze piętro zajmował nieusuwalny lokator, z którym, normalnym zwyczajem, były kłopoty. Pod nim w suterynie mieszkał wraz z rodziną dyrektor biura Skarbu Narodowego, sławny Cichociemny, płk dypl. Kazimierz Iranek-Osmecki. W czasie wojny dwa razy wysłany był do kraju. Raz jako emisariusz Naczelnego Wodza do Komendanta ZWZ odbył sześciotygodniową podróż poprzez Afrykę, Środkowy Wschód i Bałkany, by dotrzeć od celu tuż przed świętami Bożego Narodzenia 1940 roku. Drugi raz skakał z 13 na 14 marca 1943 roku. Pułkownika poznałem jeszcze w Warszawie, gdy w drugim dniu Powstania, przyprowadziliśmy mu z dowództwa zgrupowania „Radosław” na

Dzielną jeńców niemieckich na przesłuchanie. Był on wówczas szefem II Oddziału Komendy Głównej Armii Krajowej. Obok, w suterynie pod głównym wejściem, znajdował się skład rzeczy odziedziczonych przez Skarb Narodowy po rozmaitych polskich instytucjach rządowych i wojskowych z czasów wojennych. Była to w gruncie rzeczy okropna graciarnia zupełnie bezużytecznych przedmiotów. W późniejszych latach została zresztą zlikwidowana i miejsce jej zajęło elegancko przebudowane mieszkanie. Główne wejście, przez ganeczek z kolumnami, prowadziło do korytarza na parterze. Po prawej stronie było biuro, o ile się nie mylę, Rady Narodowej, która również mieściła się w gmachu Skarbu Narodowego. Wprost szły schody na górę, a za nimi był pokój opiekuna domu. W małym korytarzyku na prawo znajdowała się jedyna, samotna ubikacja, a przed nią, w dni zebrań, długi ogonek dostojnych radnych. Na pierwszym piętrze od tyłu było pomieszczenie biura Skarbu Narodowego. Zebrania odbywały się naprzeciw w obszernej, pięknej sali frontowej z wysokimi oknami. Proste drewniane stoliki i krzesła, spadek po jakiejś wojskowej kantynie, ustawione w podkowę, stanowiły jedyne umeblowanie. Orzeł w koronie na ścianie i zielone sukno przykrywające stoliki, dodawały dekorum całości. Nad drzwiami do sali widniał napis SALUS REI PUBLICAE SUPREMA LEX ESTO. Z napisem tym łączy mi się wspomnienie. Były to czasy, gdy polskim zwyczajem Emigracja podzielona była na wiele odłamów. Właśnie na wiosnę 1953 roku, pod przewodnictwem gen. Sosnkowskiego, który w tej sprawie parokrotnie przyjeżdżał z Kanady do Londynu, prowadzone były rozmowy w celu pojednania dwu obozów. Wpadłem wtedy na pomysł, aby starać się wpłynąć na członków Rady Narodowej poprzez rzymską maksymę. Chciałem to zrobić w tajemnicy, ale gdy w nocy przyklejałem litery napisu, wykrył mnie wracający późno do domu Edzio Chudzyński. Oczywiście moją tajemnicę szlag trafił. Edzio roztrąbił ją na wszystkie strony i w rezultacie dostałem od amb. Wacława Grzybowskiego, ówczesnego Prezesa Rady Narodowej, piękną laurkę zaczynającą się od słów „Byłem wzruszony inicjatywą Sz. Pana i p. Edwarda Chudzyńskiego...”. Miałem więc współnika!

Ostatecznie z wysiłków pojednania nic nie wyszło i powstał głęboki rozłam: z jednej strony tak zwany Zamek, pod przewodnictwem prez. Zaleskiego, a z drugiej Zjednoczenie pod przewodnictwem Rady Trzech – gen. Andersa, gen. Bór-Komorowskiego i amb. Raczyńskiego. Chyba jedną z ostatnich wielkich uroczystości, w której te dwa obozy wystąpiły razem, było wielkie zebranie Skarbu Narodowego w nie istniejącym już dziś Caxton Hall opodal stacji St. James Park. Było to bardzo imponujące wydarzenie. W roku 1952 wszyscy nasi przywódcy byli względnie młodzi, a Skarb Narodowy, mający zasięg na wszystkie kontynenty, był instytucją prężną, pełną dobrych myśli i mającą szerokie poparcie wśród naszej diaspory. Na ścianie ponad stolikiem prezydialnym, zawieszony był orzeł i wielkie plansze pokazujące liczbę i rozmieszczenie ogniw Skarbu Narodowego, oraz jego wpływy i wydatki. Z boku, na fotelu z wysokim oparciem, na którym również był orzeł, siedział prezydent Zaleski. Głównym mówcą był gen. Anders. Smutno pomyśleć, że ten nasz wielki potencjał, niesnaskami rozmieniliśmy na drobne. Na zebraniu byłem obecny z ramienia zarządu Zjednoczenia Polskiego, którego byłem wtedy członkiem.

Zjednoczenie Polskie w Wielkiej Brytanii było wówczas organizacją w rezerwie, powołaną „na wszelki wypadek”. Na członków zarządu byliśmy wydelegowani przez organizacje polityczne i społeczne, które gdzie indziej decydowały o emigracyjnych sprawach. Nam pozostawała koordynacja obchodów i uroczystości oraz przydział czasu na zbiórki pieniędzy na rozmaite cele. W późniejszych czasach przewidywania okazały się słuszne i ta „rezerwa” stała się potrzebną. Zjednoczenie Polskie, jako organizacja reprezentująca Polaków w Wielkiej Brytanii, szczególnie się przydało, gdy broniliśmy Biblioteki Polskiej i mogło ono wystąpić jako firma w czasie pertraktacji z rządem JKM, powołując Radę Biblioteczną. Obecnie, po zmianach politycznych w Polsce i zakończeniu okresu Emigracji Politycznej, stało się ono główną reprezentacją Polaków na Wyspach Brytyjskich.

W tamtych odległych czasach zebrania zarządu odbywały się w siedzibie Zjednoczenia Polskiego, małym pokoiku na

poddaszu domu Stowarzyszenia Polskich Kombatantów przy 18, Queens Gate Terrace. Prezesem był mec. Borkowski, wiceprezesami panowie Lis, Płazak i Przedrzyński, sekretarzem pan Henryk Moszczyński, skarbnikiem pan Krzakowski a członkami panowie Archutowski, Lang, Nebelski, Tułasiewicz i ja. Świata nie przebudowywaliśmy, ale staraliśmy się wykonać sumiennie powierzone nam zadania.

Ponieważ większość działaczy emigracyjnych pracowała, wielu jako robotnicy w fabrykach, zebrania na Emperor's Gate odbywały się w soboty i niedziele lub wieczorami. Cały dom wypełniał się wówczas gwarem i gęstym dymem papierosów, który docierał do naszych pokoi, aż na samą górę.

Nad Skarbem Narodowym

Nasz pokój był na poddaszu. Okno jego wychodziło na zaplecza. Roztaczał się z niego widok na szereg podobnych budynków przy pobliskiej ulicy. W tamtych czasach były one również powynajmowane na pojedyncze pokoje. Był to, szczególnie w ciepłe dni letnie, ekran na którym się przeżywało życie. Pokój był w kształcie litery L. Dwa tapczany, stół, dwa krzesła, szafa, wyfroterowane na lustro brązowe linoleum, mające większe zalety jakości niż piękna, ot i całe umeblowanie. Ogrzewanie, przynajmniej od strony, którą człowiek wystawiał, zapewniał piecyk gazowy wmontowany w kominku. Gotowaliśmy obok na pojedynczym palniku stojącym na podłodze. Całość zasilana była przez przyrząd noszący miano gazomierza. Myślę, że nie ma wśród emigrantów w Wielkiej Brytanii ani jednego, którego wspomnienia nie byłyby związane z tym urządzeniem! Istniało ono we wszystkich pokojach do wynajęcia i ich łazienkach. Było niezmiernie głodne na monety, tylko niestety nie wszystkie. Niektóre aparaty przyjmowały jedynie wielkie miedziane pensy, inne akceptowały wyłącznie szylingi czy pół korony. Biada „bogaczowi”, mającemu choćby nawet istną fortunę w postaci pięknie wypisanego gęsim piórem banknotu pięciofuntowego – o gorącej kąpieli mógł jedynie marzyć. Toteż nic dziwnego, że sąsiedzi pukali nawzajem do drzwi w

poszukiwaniu odpowiedniej monety. Jak dziś pamiętam panią Dobrucką, posłankę Rady Narodowej, która w szlafroku z drobniakami w garści zapytywała, czy mamy przypadkiem upragnione szylingi, których żądał gazomierz w łazience. Łazienka, dzielona przez wszystkich, znajdowała się o piętro niżej. Było to jedyne źródło wody, tam kąpaliśmy się, myli, zmywali naczynia, robili pranie... O automatycznych pralkach, lodówkach i innych udogodnieniach dnia dzisiejszego nawet nie śniliśmy. Pani Dobrucka z czasem wyemigrowała do dzieci do Kanady, skąd w listach, z jednej strony wychwalała wspaniałe urządzenia ułatwiające życie, a z drugiej wzdychała sobie za polskim Lončynem.

Najbliższym naszym sąsiadem przez ścianę, był kochany, nieoceniony Feluś Stawiński, wręcz jedna z londyńskich emigracyjnych instytucji. Gdy obchodził osiemdziesiąt wiosenek, dziennik uczcił to zamieszczając fotografię Felusia w pięknym kontuszu. Do ostatnich chwil zawsze pogodny i uczynny czarował wszystkich swymi błękitnymi, dobrymi oczami. W początkach lat 50-tych Feluś był dziarski i młody, to też nic dziwnego, że niejedna niewiasta traciła dla niego głowę.

Nie wiem jak by wyglądał bez Felusia emigracyjny teatr. Ileż on włożył w niego wysiłku i pracy! Na plakatach prawie wszystkich przedstawień widniało nieodmiennie: Światła – Feliks Stawiński, ale też i pomagał on w przygotowywaniu dekoracji, szoferował w czasie wyjazdów na prowincję i wreszcie sam występował na scenie. Poza tym Feluś był niezawodnym majster klepką i niejedna emigracyjna chałupa w Londynie zawdzięcza mu swój obecny piękny wygląd.

Feluś pochodził z Brodnicy, gdzie rodzina Sławińskich, dzięki niemieckiemu skrybie, została błędnie wpisana jako Stawińscy. W czasie wojny Brodnica była włączona do Reichu. Z czasem Feluś, działający w podziemiu, dostał rozkaz zapisania się do Organizacji Todt. Miał siedzieć cicho i oczekiwać na rozkazy. Wysłany do Niemiec pracował w jakichś magazynach. Pewnego dnia dostał z Podziemia instrukcje, aby zdobyć i przekazać wskazanemu kurierowi próbkę zawartości skrzyń specjalnie strzeżonych przez Niemców. Felusiowi udało się zdobyć i wysłać żadaną prób-

kę. Był to aluminiowy proszek używany do mylenia alianckich namiarów radarowych. Akcja, pomimo, że w pełni udana, przyniosła jednak zagrożenie. Mianowicie w czasie otwierania skrzyni w magazynie, Feluś został zaskoczony przez niemieckiego wartownika i musiał go zasztyletować. Trupa udało mu się ukryć, bodajże w bagnie, ale pozostała groźba, że może się cała sprawa wydać. Trzeba było kombinować, jak tu zniknąć z bezpośredniego sąsiedztwa dowodu winy. Wymagało to sporo pomysłowości i odwagi, ale dzięki nim, Organizacja Todt wysłała Felusia do północnych Włoch jako jednego z zaufanych kierowców samochodowych III Rzeszy. Tam już pozostało jedynie zagadnienie w jaki sposób nawiązać kontakt z włoskimi partyzantami. Nie było to takie łatwe, gdyż bali się oni nasłanych agentów i byli bardzo ostrożni. Z czasem jednak Feluś zawarł znajomości z włoskimi robotnikami.

Kiedyś od niechcenia powiedział im, że pozostawi pod mostem bańkę benzyny. Bańka znikła. Pozostawił następną i ta znikła. Po jakimś czasie tych regularnych dostaw, Feluś otrzymał zaproszenie na spotkanie z nauczycielem w pobliskim miasteczku. Okazało się, że był to dowódca lokalnej komórki, do której należeli partyzanci. Droga była otwarta i wnet Feluś, wraz z kilkoma innymi Polakami z wojska niemieckiego, znalazł się w partyzanckich szeregach, gdzie dowodził całym oddziałem, do chwili, gdy udało mu się prze dostać przez front i do 2. Korpusu.

Gdy artykuł ten ukazał się w *Dzienniku* jeszcze za życia Felusia, był on z niego bardzo zadowolony, tylko dopominał się dlaczego nie napisałem o królikach. Otóż gdy działali w górach Gran Sasso, któregoś dnia Feluś podszedł od tyłu załogę niemieckiego karabinu maszynowego. Siedzieli trzej z wystawionymi głowami i plecami jak króliki na jarmarcznej strzelnicy. Feluś miał ich jak na dłoni o kilkanaście kroków, jednak nie mógł się zdobyć na strzelanie w plecy, bo to jak mówił „hadko”. Gdy tak filozofował, Niemcy skryli się, spłoszeni hałasem z boku. Z wielu, takie to właśnie przeżycie było dla Felusia najważniejsze.

Za partyzantkę Włosi dali Felusiowi wysokie odznaczenie, *Medale per Valore Militare*. Zresztą Feluś opowiadał o

tym medalu z humorem, że dostał go jedynie przez przypadek, gdyż kiedy przyszły do oddziału odznaczenia, dowódca wybrał sobie *Croce* bo wyglądał na wyższe, a podchorążemu pozostawił *Medale*, bo to przecież niższe. Bardzo też się zawiódł, gdy do odznaczenia Włosi ustawili Felusia na samym przodzie. Kiedyś imieniny Felusia urządzone były w naszym pokoju. Jednym z honorowych gości był pułkownik Antoni Bogusławski. Nigdy nie zapomnę pełniutkiej filiżaneczki czarnej kawy, którą pułkownik, w zatłoczonym gościu małym pokoju, siedząc niewygodnie na skraju tapczana i żywo dyskutując, niezmiernie zręcznie balansował. Już, już kawa miała wylądować na podłodze, by w ostatnim momencie skierowaną zostać w jeszcze niebezpieczniejszym kierunku pułkownikowych spodni, znów w ostatnim ułamku sekundy uratowanych od katastrofy. Gdy odwiedzam grób mego stryja Janusza, na Brompton Cemetery, który to cmentarz Andrzej Suchcitz tak sumiennie opisał w swym NON OMNIS MORIAR, czyszczę na grobie pułkownika skromną płytę z krzyżem *Virtuti Militari*.

Naprzeciw, w małym pokoiku od frontu, mieszkał Edzio Chudzyński, jeden z emigracyjnych poetów, którego zbiór satyr i piosenek pod tytułem „A to ci pech!”, ukazał się parę lat temu nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej. Była to bardzo barwna postać. Edzio miał niesłychanie bujną wyobraźnię i często wyimaginowane historie stawały się dla niego jak najbardziej rzeczywistą prawdą. Zaletą było to, że zawsze opowiadał je bardzo ciekawie. Na jesieni 1952 roku Feluś i Edzio skoro świt wybrali się ciężarówką do lasu na grzyby. W tamtych czasach nasi rodacy nie mieli jeszcze samochodów, tubylcy, zgodnie z królewskim nakazem datującym się gdzieś w średniowieczu, grzybów nie zbierali, tak że w pobliskich lasach na południe od Londynu, rosły spokojnie tysiące najprzedniejszych borowików i rydzów. Nigdy w życiu nie widziałem takiej ilości wspaniałych okazów! Chyba nie przesadzę, że rezultatem grzybobrania było z tuzin wielkich pak po herbacie. Stoi mi przed oczyma obraz, gdy właśnie nad tymi pakami pełnymi grzybów, Edzio w natchnieniu i z wielkim patosem deklamował swój piękny poemat o szalonym derwiszu, jak mi się wydaje, najlepszy

jego utwór. Niezależnie od uczty duchowej, mieliśmy wspaniały bankiet duszonych i smażonych grzybów!

Edzio prowadził bohemijne życie, często nie dojadł i zaniepokojona pani Dobrucka dożywiała go, gdyż wyglądał jak głodomór.

Obok pokoju Edzia mieszkali państwo Kuncewiczowie. Nie wiem, może pani Kuncewiczowa gdzieś wspomniała te czasy w swej twórczości.

Po drugiej stronie domu mieszkał pan Sopicki, malutki, uczynny i niezmiernie pracowity. W jego sąsiedztwie zajmował pokój pan Hugon Hanke. W późniejszych latach wstąpił się on powrotem do kraju i rozmaitymi wypowiedziami na temat Emigracji. Trzecim lokatorem po temtej stronie był jegomość, którego nazwiska już nie pamiętam. Chodził niezmiernie przygnębiony, gdyż coraz bardziej tracił słuch. Był już na dnie rozpacz, gdy przyjechała go odwiedzić energiczna kuzynka z Polski. Zaniepokojona jego stanem, zabrała go do szpitala na badania. Tam wypłukali pacjentowi wosk z uszów i jakby cudem przywrócony został w świat dźwięku.

Nieco później mieszkała na Emperors Gate Natalka Czartoryska. Studiowała wówczas biologię, a hobby jej było nurkowanie. Była instruktorką w londyńskim Aqua-lung Diving Club i chyba jedyną kobietą, którą Metropolitan Police wzywała, gdy trzeba było z miejskiego rezerwuaru wyłowić jakiegoś topielca. Największym osiągnięciem Natalki jako nurka i podmorskiego archeologa, było odkrycie w Morzu Śródziemnym, zaginionego pod wodą, legendarnego miasta Plitra.

Otoczający nas świat

Do pracy jeździłem kolejką ze stacji Gloucester Road. Obecnie jest ona już całkowicie przerobiona, w latach pięćdziesiątych wyglądała jeszcze tak, jak w czasach, gdy zaczęła działać pierwsza londyńska linia okólna, której pociągi ciągnięte były przez parowozy. Przy wejściu był kiosk z gazetami, gdzie można było dostać *Dziennik Polski*. Na-

przeciw stacji, schodki za żelaznymi sztachetami wiodły do niewinnie wyglądającej suteryny, gdzie mniej więcej w tamtych czasach, sławny morderca Haigh, w wannie rozpuszczał w kwasie swoje liczne ofiary. Na samej zaś stacji, na dole na peronie linii Piccadilly w kierunku zachodnim, tuż przy schodkach wiodących do windy, 24 maja 1957 roku zamordowana została pani Teresa Łubieńska. Morderstwo to nigdy nie zostało wyjaśnione. Pani Łubieńska, ppor AK, przeszła przez Oświęcim i Ravensbrück, była bardzo czynna w Kole AK i w Związku b. Więźniów Politycznych Niemieckich Obozów Koncentracyjnych. Była więc świadkiem, który mógł być niewygodny dla któregoś z naszych wrogów. W okolicach Gloucester Road, w jednym z małych hoteli, zamordowana została też inna Polka, sławna ze swych uczynków w czasie wojny, Krystyna Skarbak Giżycka, występująca pod pseudonimem Christine Granville. Zamordował ją Dennis Muldowney, steward okrętu na którym razem pracowali. Morderstwo zaliczone zostało do pasjonalnych.

W Imperial War Museum na Lambeth można oglądać pamiątkę po Christine Granville, pistolet Vis z którym przedarła się z Polski wioząc do Anglii polski karabin przeciwpancerny, będący wówczas bronią interesującą sprzymierzonych. Okaz tego karabinu znajduje się również w IWM.

Opowiadała mi kiedyś moja mama, że jedną z turystek, w grupie z którą w 1937 roku odwiedzała Wystawę Światową w Paryżu, a następnie Rzym, była właśnie Krystyna Skarbak. Mówiła płynnie wieloma językami, olśniewała inteligencją, energią i wielkim temperamentem. Wydała się wtedy mamie idealną kandydatką na agenta wywiadu.

Do pracy dojeżdżałem do Turnham Green, a stamtąd już było niedaleko do CAV przechodząc przez Bedford Park, pierwszą w Anglii planowaną dzielnicę ogrodową, o bardzo interesującej architekturze. Kiedyś była to okolica, gdzie, między innymi, mieli studia dobrze prosperujący portreciści.

We wczesnych latach pięćdziesiątych w Londynie pokazywały się liczne kafeterie ze świetną kawą ekspresową i ciastkami. Podobno pierwszą stworzył Polak, były oficer lotnictwa, żonaty z Angielką. Nie znam jego nazwiska, ale spotkałem go, gdy kiedyś zawiózł nas tam Andrew Fraser. Kafeteryjka

znajdowała się na Park Lane, w jednym z niewielkich domków, opodal Dorchester Hotel. Andrew Fraser to bardzo ciekawa i barwna postać. Danuta poznała go, gdy przed otrzymaniem stypendium pracowała jako kelnerka w małej restauracji „Cul de Sac”, mieszczącej się w piwnicy przy Brompton Road, naprzeciw Scotch House, tuż przy początku Knightsbridge. Zaprosiła go do nas na kolację przygotowaną na gazowym ringu i odtąd zawiązała się nasza przyjaźń.

Andrew, wysoki, przystojny pan w średnim wieku, należał do uprzywilejowanej *upper class* i *establishment*. Był członkiem ekskluzywnych klubów mieszczących się przy sławnej Pall Mall, w innym od naszego emigracyjnego świecie. Znał osobiście większość potentatów wielkich firm przemysłowych, jeszcze z czasów, gdy budowali oni swe imperia w małych garażach i pod łukami wiaduktów. Pochodził z Południowej Afryki, gdzie się jego szkocka rodzina osiedliła jeszcze za czasów królowej Wiktorii. Opowiadał jak wtedy wyglądał przydział ziemi dla nowych osadników. Otóż kandydat wsiadał na konia i w ciągu dnia zataczał na nim krąg. Co objechał to było jego. Lubił gwarzyć o czasach swego dzieciństwa, a w szczególności o zwierzakach. Opowiadał, na przykład, o niebezpieczeństwie grożącym ze strony niewielkich świniaków stepowych, które miały zwyczaj pędzić jeden za drugim ścieżką wśród wysokich traw, z taką szybkością, że z łatwością mogły zwalić człowieka z nóg i zupełnie go stratować małymi racicami. Czy też o pawianach, z których stare samce umiały liczyć do pięciu. Gdy na polach kukurydzy, gdzie stał mały barak, weszło do niego na przykład sześciu ludzi, młode pawiany ruszały z pagórków w kukurydzę już po wyjściu trzech czy czterech. Natomiast stare siedziały dalej na swych bezpiecznych punktach obserwacyjnych i dopiero traciły rachubę, gdy piąty człowiek oddalał się od szałasów. Kiedy dorósł, ojciec wysłał Andrew na praktykę do warsztatów swego przyjaciela w Anglii. Dał mu pieniądze na przejazd, które on, jako nieodrodny Szkot, schował do kieszeni i drogę odbył jako palacz na frachtowcu płynącym do Liverpool.

Po paru latach praktyki, przyszła wojna i Andrew zaciągnął się do formacji, która była wtedy odpowiednikiem

komandosów. Kandydat musiał być wysportowany, umieć dobrze jeździć konno, prowadzić samochód, jeździć na motocyklu. Kontrakt był bodaj na rok, czy najwyżej dwa, po czym następowało zwolnienie. Jakoś się Andrew udało przeżyć czas kontraktu i wykorzystał zwolnienie, aby zaciągnąć się do nowo powstałej broni – lotnictwa. Latali na samolotach z drzewa, płótna i sznurków, na których zawieszony był silnik i karabiny maszynowe. Bomby i granaty rzucali przez burtę. Na froncie zachodnim życie lotnika oceniane było na kilka tygodni. Andrew został zestrzelony po stronie niemieckiej poza linią okopów. Jak opowiadał, gdy strącony samolot spadał w korkociąg, najważniejszą sprawą było uporządkować *cockpit*⁷, a w szczególności odsunąć na bok drążek sterowy, tak, aby się na niego nie nadziać. Andrew dostał się do niemieckiej niewoli, skąd po krótkim czasie zwiął i przedostał się z powrotem przez front, tylko po to, aby dowiedzieć się, że właśnie nastąpiło zawieszenie broni. Po wojnie pozostał w lotnictwie jako pilot latający na prototypach samolotów w wojskowych zakładach w Farnborough. Kiedyś przejeżdżaliśmy koło wiaduktów kolejowych w południowym Londynie. Andrew wskazał, że tam właśnie pod jednym z łuków, pani de Havilland własnoręcznie zszywała płyty płótna na skrzydła samolotów projektowanych przez męża. Sam Andrew miał wielki dar wynalazcy i już w Farnborough zaczął rejestrować liczne patenty. Między innymi opowiadał mi o swym projekcie bomby do nocnych bombardowań, która po zrzuconiu z samolotu miała się kierować na ogień pod kotłami parowozów. Niestety w tamtych czasach brak było dostatecznie czujnych mechanizmów kontrolnych. Myśląc o Andrew zawsze przypomina mi się moment, gdy syci po świetnym obiedzie przygotowanym przez żonę Andrew, Delię, siedzieliśmy patrząc jak na kominku, wydając kłęby dymu, z trudnością się rozpałał węgiel. Andrew bacznie obserwował ogień, by wreszcie stwierdzić, że ten co wynajdzie katalizator, który pomoże w bezdymnym spalaniu, zrobi fortunę. Z czasem z Farnborough Andrew przeszedł do przemysłu, zakładając fabrykę materiałów

7. Kabina pilota.

chemicznych. W jednym z procesów, które wynalazł, cały sekret polegał na kryształach działających jako katalizator. Tylko Andrew znał tajemnicę jak wybierać kryształy według ich kształtu. Opowiadał, że w fabryce wszystkie przyrządy miały mylnie skale, tak, aby konkurenci nie mogli zdobyć sekretów. Produktem, którym zajęł się następnie, był bakelit z którego robił rozmaite pudełka. Interes szedł dobrze i Andrew założył fabryki również i na kontynencie: we Włoszech, Niemczech, Danii i bodaj na Węgrzech. Patrząc się z perspektywy na tę kontynentalną działalność Andrew, zupełnie nie zdziwiłbym się, gdyby równolegle nie prowadził on wywiadu na korzyść Imperium. Zresztą fabrykę we Włoszech wnet zarekwirował Mussolini, który pierwszy dobrał się do przedsięwzięcia należących do cudzoziemców. Następnie poczuł apetyt Hitler. Przyszła wojna. Na pilota Andrew był już za stary. Pozostał w przemyśle prowadząc swe fabryki, z których jedna znajdowała się na Ealing niedaleko ratusza, tam gdzie później była firma samochodowa Steward and Arden. Z czasem, gdy nadeszły naloty Luftwaffe, Andrew powołany został do służby w Ministerstwie Wojny Ekonomicznej. Gdy któraś z fabryk została zbombardowana, zadaniem jego było znalezienie sposobów, aby jak najszybciej znowu uruchomić produkcję. Gdy go poznaliśmy, miał jeszcze duże warsztaty obróbki mechanicznej, pracujące na specjalne zamówienia klientów. Mieściły się na Acton przy Uxbridge Road, niedaleko Askew Arms. Między innymi pracowały one dla brytyjskich linii lotniczych, odnawiając rozmaite części samolotów, a w szczególności ich podwozi. Miały świetne wyposażenie, wśród którego znajdowała się największa w całej Anglii, horyzontalna frezarka Cincinatti. W fabryce tej, w godzinach po pracy w CAV, odbyłem praktykę niezbędną do uzyskania tytułu *Chartered Engineer*⁸. Prócz tego nadal istniała fabryka Andrew w Danii. Andrew często zabierał nas na przejażdżki swym wspaniałym Bentleyem. Jego ulubionym miejscem była restauracja na lotnisku, skąd można było obserwować ruch samolotów.

Danuta dostała stypendium i zaczęła znów studiować

8. Inżynier z pełnymi uprawnieniami.

malarstwo, tym razem w St. Martin's School of Art przy Charing Cross Road. Uprzednio, jeszcze przed ślubem, studiowała na Sir John Cass College w City, gdzie zgromadziła się duża grupa naszych studentów.

Mówił mi Władysław Szomański, że przyczyną tego była wielka przychylność dyrektora, prof. Copnalla, mającego sentyment do Polaków jeszcze z okresu, gdy zetknął się z polskimi żołnierzami w czasie wojny. Lista naszych artystów, którzy przeszli przez tę uczelnię jest imponująca. Niektórzy byli już po studiach i Sir John Cass College stanowił dla nich odskocznię na angielskim terenie, inni rozpoczynali od początku. Wielu stało się znanymi nie tylko na polskim terenie.

Według Szomańskiego, oprócz niego uczęszczali tam: Janina Baranowska, Beutlich, Andrzej Bobrowski, Chojko, Antoni Dobrowolski, Barbara Dzieduszycka, Zygmunt Dźwig, Stanisław Frenkiel, Marian Kościółkowski, Piotr Mleczko, Alek Ossowski, Psiewodzki, Alek Werner i bodajże Stefan Knapp.

Na St. Martin's School of Art Polaków prawie nie było, ale za to zaprzyjaźniliśmy się z trojgiem Anglików – Jo Boston, Ning Evans i Kennethem Walchem. Jo, rozwódka, dobrze starsza od nas, bardzo elegancka pani, była z *upper middle class*, a równocześnie komunistką. Wszelkie dyskusje z nią na tematy polityczne były tabu, gdyż nie prowadziły do niczego, a jedynie psuły nerwy. Ojciec Jo był organistą gdzieś w West Country. Jo skończyła konserwatorium i sama grała na wiolonczeli. Przyjaźniła się z wieloma ciekawymi ludźmi, między innymi ze sławnym fotografem francuskim Bressonem. Tak jak wielu „intelektualnych” komunistów angielskich, Jo głęboko przeżyła powstanie węgierskie, gdy cała jej wiara w sowiecki raj runęła w gruzy. Ning z kolei nie interesowała się polityką. Inteligentna, czytana, nie miała też najmniejszej ochoty iść w ślady swej matki, bardzo przedsiębiorczej właścicielki wielkiej agencji sekretarek w City. Ken również nie zajmował się polityką. Całą swą energię wkładał w malarstwo. Nosił się nieco dziwnie z wielką brodą i w ogóle lubił pozować na wiktoriańskiego dżentelmena, co mu się świetnie udawało, z piękną angielską wymową z *public school* i wyrażeniami typu „nie, dziękuję, już miałem elegan-

cką dostateczność”. Ojciec Kena był emerytowanym komandorem marynarki JKM, który długie lata spędził jako *attaché* ambasady w Brazylii. Po przejściu na emeryturę przez kilka lat próbował, bez powodzenia, stać się chodowcą owiec w Australii. Ostatecznie wrócili całą rodziną do Anglii. Z trójką z St. Martin’s zaprzyjaźniliśmy się serdecznie i stali się oni jednym z pomostów łączących nas z otaczającym angielskim światem.

Pierrepont Road

Od września 1952 roku zabrałem się znów za naukę, tym razem na kursach wieczorowych, gdzie uzupełniałem moje kwalifikacje. Chodziłem na Acton Technical College, które w późniejszych czasach stało się fundamentem uniwersytetu Brunella. Przez następne trzy lata, zajmowało mi to okropnie dużo czasu i bardzo ograniczyło moje możliwości działania na terenie emigracyjnym. Na Acton Technical College poznałem Michaela Powella, z którym do dziś łączy mnie serdeczna przyjaźń. Michael pracował w biurze projektów nie istniejącej już dziś firmy AEC na Southhall. Ojciec jego był jednym z dyrektorów Great Western Railway⁹, ale dawszy Michaelowi średnie wykształcenie w sławnej Haberdashers Public School w City, uważał że syn jest już znakomicie wyposażony na życie i nie interesował się jego dalszymi studiami. Toteż Michael, nie mając funduszy, nie miał innego wyboru, tylko musiał uczyć się na kursach wieczorowych. Żona Michaela, Joan, pochodziła z jednej z czołowych angielskich rodzin katolickich, które pomimo wszystkich prześladowań, trwających wieki, utrzymały swą wiarę. Brat Joan był wysokim oficerem w RAF. Michael był anglikaninem. W Anglii, nie słynącej z tolerancji religijnej, nie ułatwiało im to życia. Zostaliśmy zaproszeni na pierwsze urodziny ich córeczki, Clare, gdzie mieliśmy możliwość poznać rodzinę zarówno Michaela jak i Joan. Mieszkali oni wówczas na Ealing w mikroskopijnym mieszkaniu mansardowym.

9. Linie kolejowe GWR.

Michael był zapalonym entuzjastą samochodów starej daty i miał wspaniały, otwarty *vintage*¹⁰ Vauxhall z roku 1928. Było to istne cacko. Już z daleką można było go rozeznąć po charakterystycznym i dosyć głośnym dźwięku. Między innymi wybraliśmy się kiedyś z nimi razem tym wspaniałym pojazdem, do Lasham, aby podziwiać pokazy szybowców, hobby mego kolegi Anglika z biura projektów, Petera Langforda, który mimo, że po polio nie miał pełnej sprawności fizycznej, na szybowcach dokonywał niemałych wyczynów.

Langford miał jeszcze inne hobby. Mianowicie był entuzjastą Music Hall¹¹, którego tradycje podtrzymywał nowo stworzony klub, mieszczący się pod łukami wiaduktu kolejowego pod stacją Charing Cross. Music Hall to wybitnie angielska instytucja, bez znajomości której, podobnie jak bez znajomości *nursery rimes*¹², nieraz bardzo trudno jest zrozumieć człowiekowi o czym Anglicy mówią.

Na wiosnę 1953 roku w domu Józia Zielickiego zwolnił się pokój po pani Herminii Naglerowej i Józio zaproponował, abyśmy się tam wprowadzili. W tamtym okresie uczył on jeszcze w polskim gimnazjum żeńskim w Lilford koło Oundle w hrabstwie Northants, a następnie w Stowell Park koło Northleach w hrabstwie Gloucester i do Londynu przyjeżdżał jedynie rzadko. Nie mieliśmy wiele dobytku, ale co się już uzbierało, przewieźli nam Tadek Patzer i Feluś Stawiński. Tak więc jak całe rzesze rodaków ruszyliśmy na zachód, by osiedlić się w części Londynu, gdzie było największe skupisko Polaków.

Ulica, choć nosiła imię oficjalnego kata Anglii, nie miała w sobie nic ponurego. Zadrzewiona, pełna zieleni i kwiatów, zabudowana była dostatnimi domami stojącymi pojedynczo w sporych ogrodach. Takim też był i dom Józia, z tym, że parter zajmowali nieusuwalni lokatorzy. Jak to bywało zwyczajnie w takich wypadkach, płacili mało, ale wymagania mieli za to duże. Do naszej polskiej części domu noszącej numer z literą A, wchodziło się od razu na pierwsze piętro, odkrytymi kamiennymi schodkami przylegającymi do bocznej

10. Samochody z lat 1918-1930.

11. Typ angielskiego kabaretu.

12. Wierszyki z pokoi dziecięcych.

ściany domu. Piękny, obszerny ogród dzieliła podłużna linia demarkacyjna. Do polskiej części po lewej stronie, co nie miało bynajmniej konotacji politycznych, dostawaliśmy się boczną furtką, podczas gdy z dołu było bezpośrednio wyjście z pięknej oranżerii. Jeszcze przed naszym wprowadzeniem się, zmarł Mr Bishop. Często go wspominaliśmy patrząc na brzydki, podłużny klomb pośrodku trawnika, tuż po drugiej stronie linii demarkacyjnej. Klomb do złudzenia przypominał mogiłę i stąd dostał miano „grobu Bishopa”. Jego wdowa, „Bishopka”, jak ją powszechnie zwaliśmy, cieszyła się natomiast pełną życia werwą, i Józio jeszcze przez długie lata nie mógł odzyskać parteru.

Po naszym pokoiku na poddaszu przy Emperors Gate, nowe mieszkanie było wręcz luksusem. Mieliśmy obszerny, piękny pokój z wielkim oknem od frontu, a obok dostatecznej wielkości kuchnię. Łazienkę wprawdzie dzieliliśmy z innymi lokatorami, ale była przynajmniej na tym samym piętrze. Poza tym w kuchni mieliśmy wodę, co znacznie ułatwiało sytuację. Na górze było siedem pokoi. Pod samym dachem było dwupokojowe mieszkanko mansardowe, w którym początkowo mieszkali, dopóki nie wyjechali za ocean, kuzynka Józia z mężem i małym synkiem. Od nich przejęliśmy opiekę nad domostwem Józia. Polegało to na sprzątaniu korytarza i łazienki, oraz zbieraniu komornego i płaceniu rachunków. Pod względem czystości Józio był bardzo wymagający i napędzał nas, aby wszystko świeciło jak lustro. Następnie mansardowe mieszkanie zajęli Kazik i Irena Łukomscy, którzy z czasem również wyruszyli za morze do Chicago, gdzie oboje stali się znani ze swej działalności na terenie Polonii amerykańskiej. Trochę niżej na półpiętrze, mieszkał Mietek Puszczański, kolega Józia z czasów Oddziału Kultury i Prasy 2 Korpusu we Włoszech. W Londynie pracował bardzo ciężko na nocną zmianę w rzeźni Wallsa. Ulubioną jego rozrywką było stawianie pasjansów. Obok nas zajmował pokój Stasio Słusznis, o ile mnie pamięć nie myli, porucznik z I-szej Dywizji Pancerniej, który po demobilizacji, skończył kurs zegarmistrzowski i pracował w tym zawodzie w jakiejś firmie angielskiej, a i w domu reperował zegarki. Było to jeszcze w czasach, gdy zegarki były mechaniczne, a że były drogie, opłacało się je reperować.

W pokoju z malutką kuchenką, znajdującym się o parę stopni niżej, mieszkał Władzio Klementowicz. On z kolei pracował w fabryce lodów, innym przedsiębiorstwie sławnego Wallsa. Władzio był z żandarmerii 2 Korpusu. Tworzyliśmy bardzo zgraną rodzinę. Szczególnie było to ważne w czasie świąt, gdy tak bardzo odczuwaliśmy tęsknotę za rodzinnym krajem i bliskimi, którzy tam zostali.

Trzeba powiedzieć, że w naszym emigracyjnym Londynie bardzo pilnowaliśmy, aby zawsze było dodatkowe miejsce przy stole wigilijnym, czy wielkanocnym i aby żaden z samotnych, nie był wykluczony z kręgu ciepła polskich tradycji. Dotyczyło to zarówno prywatnych domów polskich, jak i wszystkich naszych instytucji, od parafii do Ogniska Polskiego, Polskiej YMCA czy *Orła Białego*, gdzie organizowane były wspólne Wigilie i Świątce.

Do tych naszych tradycyjnych ucht świątecznych, jak zresztą i na codzień, nigdy nam nie brakowało ani polskiego pieczywa, ani wędlin, ani ciast. Nie jest przesadą twierdzenie, że w Londynie, a i też w niektórych innych miastach Wielkiej Brytanii, można było spokojnie żyć bez znajomości angielskiego języka, bo to i sklepik polski był i kawiarenka, gdzie można było sobie trochę poplotkować nad kawą z dobrym polskim ciastkiem, i do teatru można było pójść, i w Town Hallu do głębi duszy rozczulić się na obchodzie jakiegoś święta narodowego, a już w kościele, gdy po mszy zgodnie huknęliśmy – Boże coś Polskę... a na zakończenie jeszcze głośniejsze... Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie, trudno było uwierzyć, że nie jesteśmy u siebie w domu!

Mieliśmy też gości z zagranicy! Przez jakiś czas, ucząc się angielskiego, mieszkał na Pierrepont Road Adam Nowak, którego ojciec, wybrany na jedno z czołowych miejsc w zarządzie Światowej Federacji SPK, nie mógł objąć swej funkcji, gdyż na skutek donosu, Brytyjczycy nie chcieli mu dać pozwolenia na pobyt w Anglii. Musieli więc pozostać we Francji. Kiedyś odwiedziła syna pani dr Nowakowa. Opowiadała, jak trudne, w porównaniu z Anglią, mają warunki emigranci we Francji. Sama nie mogła praktykować jako lekarz, a nawet jako nocna pielęgniarka, pracowała po kryjomu. Zresztą nie dotyczyło to wyłącznie Polaków. Ciekawym

przykładem był Szwed, który studiował medycynę w Paryżu. W czasie wojny, jeszcze jako student końcowego roku, opatrywał rannych z francuskiego Ruchu Oporu. Po wojnie otrzymał za to medal, ale mimo to, po ukończeniu studiów i uzyskaniu dyplomu, nie dostał pozwolenia na pracę we Francji w swym zawodzie.

Na Pierrepont Road przyjeżdżał regularnie ruchomy sklepik. Przez jakiś czas obsługiwali nas bracia Lorenc, ale w innym okresie przyjeżdżał major, który mieszkał przy Hartswood Road. Nie mogę sobie przypomnieć jego nazwiska.

Acton był bardzo uprzywilejowany. Sklepików polskich było kilka. Z tych co pamiętam to jeden, prawie naprzeciwko nie istniejącego już dziś sklepu Poors&Son, przez jakiś czas prowadził por. Józef Słysz, oficer naszego 7 Pułku Ułanów Lubelskich. Po demobilizacji nauczyciel się torebkarstwa, prowadził on przez długie lata na Shepherds Bush Market, niedaleko od wejścia od Goldhawk Road, stragan z własnymi wyrobami. Z czasem przerzucił się na delikatesy. Inny sklepik był w kierunku Twyford Avenue, naprzeciw remizy autobusów. A cóż mogło być lepszego na ploteczki, jak pół czarnej i ciacho z kremem w Bettinie??!

Ambasadorzy sprawy polskiej

Po powrocie z wakacji we Włoszech w 1953 roku, mieliśmy jeszcze odwiedziny Freda Nicklasona i Dana Borga, naszych Amerykanów z Pensylwanii, których poznaliśmy w Rzymie i zaprosili, oferując im, że w Londynie mogą się u nas zatrzymać. Okazało się, że gdy po swej wyprawie na południe Europy przejeżdżali przez Paryż, odwiedzili Maisons-Laffitte. Skorzystali z adresu *Kultury*, który dałem im w Rzymie. Wydawało mi się, że powinniśmy jak najbardziej starać się wpływać na młodzież akademicką zachodniego świata, bo przecież ona w przyszłości będzie kierować losem swych krajów. Nie mogłem im nic obiecywać, ale byłem przekonany, że w Maisons-Laffitte podobnie patrzą na to zagadnienie. W *Kulturze* przygarnięto ich serdecznie i jak mi pisał pan Zygmunt Hertz:

...Cieszę się że tym dwóm chłopcom podobało się w Laffitte. Dostali pokój i robili to co chcieli. Zrobili na mnie jak najlepsze wrażenie. Byli prości, mili i naturalni i mieli lepiej w głowie niż przypuszczałem. Okazuje się, że „prymitywizm” amerykański ma wyjątki a raczej, że mamy wszyscy jakiś nieuzasadniony prąd do uogólniania i budowania na emocjonalnych przesłankach. Bo że istnieją comicsy, że audyencje w Białym Domu są dziwacznym widowiskiem, bo publicity – na tej zasadzie budujemy nie obraz, a gmach opinii...

Miał rację pan Zygmunt, że Fred i Dan, potomkowie emigrantów szwedzkich, robili dobre wrażenie. Obaj właśnie skończyli pierwszą fazę studiów na Uniwersytecie Pensylwanii. Wycieczka do Europy była jakby jej uzupełnieniem. W Londynie przegadaliśmy z nimi niejedną godzinę. Były wakacje i Józio Zielicki też był w domu. Myślę, że nasze wspólne wysiłki w Paryżu i Londynie zmierzające do tego, aby w Europie, którą zwiedzali, nie brakło i Polski, nie były daremne. Dan, jako Fulbright Scholar, został jeszcze w Europie studiując na Uniwersytecie w Tubingen. Fred wrócił do Stanów, gdzie kontynuował swe studia na Huebner Foundation. Dostałem od niego list w którym pisał:

...the first thing that I would like to thank you for, is the friendship. In addition to that, there developed something a bit more intangible, if there could be such. This something was brought about by our discussions with you about everything in general and Poland in particular. By this last sentence I mean that you opened our eyes to many things that we had overtly tried to learn about in our talks with different people throughout the summer but failed to find. We failed to find either because of our inadequate command of the language or short length of time. But when we were with you we learned many things that we weren't looking for – that's where „Poland in particular” comes in. We were guilty of that which many Americans are. In our conversations throughout the summer the questions usually centered around a particular

country in Europe and Russia in general. Never once did we think to ask about any country which was in the grasp of Russia – let alone anything about Poland. But since our talks with you my attention has been brought to bear on many of your country's problems. I find that your fellow countrymen in the States are the most active group of such a nature. Although I realize that they are not as active as they would be if they are a little closer to the actual situation nevertheless their voices are heard 'very frequently. I am sending one of the many articles that I have read since this summer in this letter. No doubt you have heard of the author. He is probably the most known and influential Catholic in this country – at least to the general public. So this is something else I wish to thank you for, the stimulation for Poland's problem¹³.

Zespół Kultury poznałem przez Józia Zielińskiego, ale później okazało się, że państwo Hertzowie dobrze znają moją rodzinę i że w 1939 roku po Wrześniu, pan Zygmunt spędził

13. „... pierwszą rzeczą, za którą chciałbym Wam podziękować, jest przyjaźń. Następnie rozwinęło się coś bardziej nieuchwytnego, jeżeli może istnieć taka rzecz. To coś było wynikiem naszych dyskusji z Wami o wszystkim ogólnie i o Polsce w szczególności. Przez to zdanie mam na myśli to, że otworzyliście nam oczy na wiele rzeczy, które oczywiście próbowaliśmy poznać w naszych rozmowach z różnymi ludźmi w czasie całego lata, ale ich nie znaleźliśmy. Nie udało nam się ich znaleźć, albo przez niedostateczną znajomość języka, lub też przez krótki okres czasu. Ale gdy byliśmy z Wami, dowiedzieliśmy się wielu rzeczy, których nie poszukiwaliśmy – tu właśnie gdzie „Polska w szczególności” się pojawia. Byliśmy winni czegoś, czym grzeszy wielu Amerykanów. W naszych rozmowach pytania koncentrowały się zwykle na danym kraju w Europie w szczególności i Rosji ogólnie. Ani razu nie przyszło nam na myśl pytać się o któryś z krajów będących w garści Rosji – nie mówiąc już o czymkolwiek o Polsce. Ale od naszych rozmów z Wami, moja uwaga zwrócona została na wiele problemów Waszego kraju. Znajduję, że Wasi współziomkowie w Stanach są najbardziej czynną grupą tego typu. Chociaż zdaję sobie sprawę, że nie są tak czynni, jak byliby, gdyby się znajdowali nieco bliżej obecnej sytuacji, niemniej ich głosy słyszane są bardzo często. W załączeniu w tym liście przesyłam jeden z licznych artykułów, które przeczytałem od lata. Niewątpliwie musieliście słyszeć o autorze. Jest on jednym z najbardziej znanych i wpływowych katolików w tym kraju – przynajmniej dla szerokiej publiczności. To jest coś innego za co pragnę Wam podziękować, wzbudzenie zainteresowania problemem Polski...”.

pewien czas w Stanisławowie, gdzie zetknął się z moją ciotką, która tam mieszkała. Z panem Zygmuntem prowadziliśmy korespondencję, głównie w sprawach jak zdobyć nowych prenumeratorów *Kultury*. Wkładał on w to niezmiernie dużo pracy, zbierając adresy rodaków od znajomych i pisząc listy na wszystkie strony świata. Wydusić prenumeraty nie było łatwym zadaniem. Ci, którzy chcieli czytać nie bardzo mieli pieniądze, a ci którzy mieli pieniądze nie bardzo chcieli czytać. Napotykaliliśmy też czasami na dziwne reakcje, jak na przykład ze strony jednego z moich przyjaciół i rówieśników w Stanach, którego adres podałem panu Zygmuntowi, a który w jakiś niewytłumaczalny sposób, zbuntował się przeciwko wszystkiemu co emigracyjne, równocześnie będąc jak najbardziej przeciwnikiem komunizmu i Rosji. Okazowy numer *Kultury* odesłał nienaruszony. W listach naszych pojawiały się też wzajemne prośby o różne drobiazgi, głównie o kupno lekarstw do kraju. Widać tam też, że jeszcze były pewne trudności z dostawaniem angielskich produktów we Francji i na odwrót.

Nadal byłem członkiem Kwatery Głównej Starszego Harcerstwa. Współpracowałem też z Biurem Informacji i Prasy Zrzeszenia Studentów Polskich na Uchodźstwie.

Trudno jest może obecnie zrozumieć, jak ważne w tamtych czasach były dla nas symbole. Rozrzuceni wśród Anglików, opieraliśmy się naturalnym presjom ze strony gospodarzy, pragnących nas wchłonąć bez śladu. Toteż przy każdej okazji staraliśmy się zaznaczać, że jesteśmy Polakami. Stąd te nasze częste ubieranie się w polskie mundury i wywieszanie biało-czerwonych flag na polskich instytucjach, a z okazji koronacji królowej Elżbiety II i na prywatnych domach. Nie mieliśmy oparcia ani w ambasadzie ani w konsulacie, które przejęte przez komunistów były dla nas obce. Musieliśmy być zupełnie samowystarczalni. W Londynie byliśmy w liczbie, która zaludniłaby spore miasto powiatowe. A i na prowincji były duże skupiska. Mieliśmy kilka ośrodków jeszcze z czasów wojennych. W pierwszym powojennym okresie powstały dalsze, zakupione z funduszy odziedziczonych po rządzie, wojsku i innych polskich instytucjach. Niestety w tym czasie, nieśmiałe inicjatywy stworzenia

wielkiego ośrodka polskiego w Londynie, spędzili na niczym. Przyczyn było wiele, jedną z podstawowych była wiara, że wkrótce dane nam będzie wrócić do Polski, a w takim razie po co nam wielki ośrodek w Anglii. Lata szły i z czasem, gdziekolwiek nie istniały skupiska Polaków w Wielkiej Brytanii, zaczęły powstawać polskie kościoły, domy parafialne, kluby, domy spokojnej starości... Wszystko to było już tworzone, nie w oparciu o jakieś odziedziczone schedy, ale za pieniądze zbierane wśród naszego emigracyjnego społeczeństwa. A przecież równocześnie stało ono tysiące paczek do kraju.

Istniała polityka emigracyjna, emigracyjne partie, rządy, organizacje, propaganda... ale równolegle powstawały lokalne ośrodki i istniała nasza ogromna masa emigrantów, z których każdy indywidualnie poczuwał się do obowiązku informowania otoczenia w którym się znajdował, o tej wielkiej krzywdzie, jaka spotkała naszą Ojczyznę. Były to kropelki w morzu, ale ten odległy kraj, o którym dawniej wielu z naszych gospodarzy myślało, że chodzą tam po stolicy niedźwiedzie, stawał się im jakoś bliższy. Nabierał znajomych rysów pracowitego *Johnny the Pole*¹⁴ który niemiłosiernie maltretowanym angielskim, próbował wytłumaczyć, czy to w pracy, czy przez płot sąsiadowi, że ten rosyjski komunistyczny raj *no good*¹⁵ że *Poland not free*¹⁶. Ale może najlepszą propagandą Polski było przykładowe indywidualne i społeczne zachowanie się tych emigracyjnych rzesz ambasadorów sprawy polskiej.

Zgoda i niezgoda

Mój stryj Janusz, generał, był bardzo czynny na terenie emigracyjnym. Był jednym z twórców, a z czasem aż do śmierci, prezesem Instytutu Józefa Piłsudskiego. Do ostatnich chwil życia był prezesem Koła Generałów i Pułkowników b. Wyższych Dowódców, prezesem Zrzeszenia Kół Pułkowych Kawalerii, prezesem Koła I Pułku Ułanów Legionów Polskich

14. Jasia Polaka.

15. Niedobry.

16. Polska nie wolna.

Beliny, prezesem Koła 1 Pułku Ułanów Lubelskich, prezesem honorowym Koła 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich.

Od 1951 roku był też inspektorem wyszkolenia Brygadowego Koła Młodych „Pogoń”. Była to organizacja na wzór oddziałów Związku Strzeleckiego, działających zagranicą przed I wojną światową. Celem jej było przygotowanie wojskowe młodych emigrantów i szkolenie ich na przyszłych dowódców oddziałów Armii Polskiej, które miały powstać i walczyć przeciw Rosji u boku zachodnich sprzymierzonych. Założycielem i komendantem „Pogoni” był ppłk dypl. Zygmunt Czarnecki, który marzył o tym, że będzie drugim Piłsudskim. Kwatera Główna „Pogoni” mieściła się w domu pułkownika przy Grange Road pod numerem 44, na Chiswick, niedaleko stacji kolejki podziemnej Gunnersbury. Był to duży, samodzielnie stojący dom. Część jego oddana była na sale wykładowe, a w podziemiu znajdowały się wspaniałe mapy plastyczne do ćwiczeń. Pułkownik Czarnecki wkładał mnóstwo pieniędzy w „Pogoń”, sam będąc finansowany przez swego bogatego brata, który robił kokosowe interesy we Francji. W latach 50-tych „Pogoń” rozrosła się w pokaźną organizację, z oddziałami na prowincji i poza Wielką Brytanią. Przeszło przez nią wielu późniejszych działaczy emigracyjnych z nieco młodszego pokolenia, jak na przykład Krzysztof Barbariski, Ryszard Dembiński, Juliusz Englert, Jerzy Kowalski, ksiądz Józef Kozłowski, Jan Krasnodębski, Jerzy Mayer, Wacław Milewski, Wiesław Pater, Władysław Poncet, Janusz Szymański, Janusz Wiernicki, Andrzej Winogrodzki, aby wspomnieć kilku.

Wykłady odbywały się w dni powszednie wieczorami po pracy. W czasie weekendów prowadzone były ćwiczenia w terenie, a w lecie obozy ćwiczebne. W 1956 roku, po trzech latach kształcenia, odbyła się uroczysta promocja podchorążych.

Pod wpływem stryja wstąpiłem i ja do „Pogoni”. Zbiórki naszego turnusu podchorążówki broni pancernej odbywały się w lokalu biur Instytutu Gen. W. Sikorskiego przy 20 Princes Gate na South Kensington. Moja kariera kandydata na podchorążego nie trwała jednak długo. Po paru miesiącach, oprócz praktyki w fabryce Andrew Fraser, zacząłem uczęszczać wieczorami na wykłady do angielskiego *college*, aby uzupełnić kwalifikacje zawodowe, które jednakże w mojej opinii miały

pierwszeństwo nad kwalifikacjami na oficera. Zdecydowało to, że do końca życia pozostałem w szaczonej randze starszego ułana. Stryj Janusz był bardzo zasmucony, że opuściłem szeregi „Pogoni”. Smucił się też, że nie biorę czynnego udziału w działalności Instytutu Piłsudskiego, na co stale mnie namawiał. Nie brałem też udziału w emigracyjnej politycznej działalności Piłsudczyków. Jakoś uważałem, że partyjna działalność na emigracji nie prowadzi do niczego i że jest nas zbyt mało, aby rozpraszać na nią nasze wysiłki. W gruncie rzeczy nasze poglądy nie były jednak tak bardzo rozbieżne.

Stryj był bardzo zaangażowany w wysiłki Szefa naszego Pułku gen. Sosnkowskiego skierowane ku doprowadzeniu do zjednoczenia ośrodków politycznych Emigracji. Jeden z listów gen. Sosnkowskiego do stryja daje migawkę jego poglądów oraz stosunków jakie wówczas panowały. Gen. Sosnkowski pisał:

...Rozpatrując nasze stosunki wewnętrzne na tle rozwoju sytuacji międzynarodowej, doszedłem do wniosku że od czasu wybuchu wojny w Korei i rozpoczęcia powszechnych zbrojeń na skalę niebywałą w dziejach świata, czas na rozgrywki partyjne minął. Żałować doprawdy należy, że w latach 1947-51 nie zdołano zrealizować wyborów do Rady Narodowej (co doradzałem w roku 1948). Żałować należy że już w ciągu pierwszych trzech lat po wojnie nie zdołano przenieść przynajmniej części Rządu legalnego wraz z następcą na teren Stanów Zjednoczonych. Była to moja czołowa teza, gdy w październiku 1946 otrzymałem propozycję objęcia teki w Rządzie.

Dzisiejsze położenie przypomina mi sytuację z roku 1939 z tą różnicą, że niebezpieczeństwa grożące Polsce obecnie, są jeszcze o wiele większe. Podobne czasy wymagają skupienia sił i wspólnego dźwigania odpowiedzialności i dlatego stanowisko moje w roku 1951 jest takie samo jak przed 12 laty gdy doradzałem powołanie Rządu koalicyjnego.

Od dawna miałem wątpliwości o postępach „misji gen. Kukieła”. Brak tych wiadomości nie wróży bodaj nic dobrego. Jeśli rokowania rozbiły się, stanie na porządku dziennym sprawa nowej Rady Narodowej i prawdopodobnie nowego Rządu. Obawiałbym się rozwiązań zbyt

jednostronnych, które, zważając podstawę polityczną legalizmu do jednej bez mała grupy, mogłoby podciąć jego istnienie oraz doprowadzić do bardzo złych skutków w obu dziedzinach naszego życia, zewnętrznej i wewnętrznej.

Co do mego przyjazdu do Anglii, to pierwszy wskazany cel mej ewentualnej wizyty (sprawa Delegatury) okazał się w świetle rzeczywistości mało realnym, zgodnie zresztą z przewidywaniami, którym dałem wyraz w korespondencji z Wami i które powtórzyłem w liście do Prezydenta z dnia 20-go maja. Drugi cel, choć skromny ale użyteczny, mianowicie przyczynienie się do osiągnięcia w Ameryce harmonii i współdziałania pomiędzy ściślejszymi kołami niepodległościowego legalizmu a dyplomatyczną reprezentacją Rządu rozchwiał się dla powodów, podanych na wstępie tego listu.

Pokłosiem tej niedoszłej wizyty będzie zapewne wzmoczenie wersji o moim rzekomym „hamletyzowaniu”. Nie wątpię, że istnieje pewna ilość miłośników tzw. „rozgrywek” którym właśnie o podobny efekt chodziło. Nie przejmuję się tym bynajmniej; ostatecznie Hamlet był wcale porządnym człowiekiem. Z drugiej strony chętnie bym zaaplikował dawkę „hamletyzowania” autorom oraz wykonawcom prędkich i „jurnych” decyzji, które tyle już razy pozostawiły po sobie zgliszcza, ruiny i strugi krwi wylanej bez politycznych korzyści dla narodu i państwa, natomiast z niewątpliwymi zyskami dla obcych. Co do moich planów na najbliższą metę, to zamierzam poczynić wszelkie wysiłki celem uzyskania podstaw bytu w Stanach Zjednoczonych i przenieść się tam, aby bez tytułów i urzędowych godności starać się w zakresie dla mnie dostępnym uczynić, co można dla sprawy polskiej oraz bronić legalizmu, a więc jednego z największych dóbr jakie nam jeszcze pozostały.

Ściskam dłoń i łączę najlepsze wyrazy oddany

(-) Kazimierz Sosnkowski

4 listopada 1951

Arundel R.R.2 Quebec Canada

W czasie dwu zjednoczeniowych wizyt generała w Londynie, stryj asystował mu przez cały czas. Zorganizował też kilka spotkań Szefa z Siódmakami. Na jednym z nich wręczyliśmy generałowi ryngraf od Koła Pułkowego. Uroczystość odbyła się w hotelu Stanisława Józwiaka, 15/16 Victoria Road, niedaleko Kensington High Street, w którym się generał zatrzymał. Po raz drugi spotkałem generała Sosnkowskiego w czasie jego londyńskiej wizyty przypadkowo. Od czasu do czasu wpadałem odwiedzać Kazików Sabbatów, którzy wówczas już przeprowadzili się ze swego pierwszego domku przy Minster Road na Fulham, do dużego domu pod numerem 2, przy cichej uliczce Gipsy Lane, bocznicy Upper Richmond Road na Putney. Obecnie dom ten już nie istnieje. Na jego miejscu stanęły bloki mieszkaniowe. Podobny los spotkał również dom Instytutu Józefa Piłsudskiego, który był niedaleko, pod numerem 454 Upper Richmond Road. Kazikowie mieszkali całą rodziną i działała tam również firma Kazika, Limba. Po wyczerpaniu się źródeł z demobu, Limba przeszła na własną produkcję kołder i śpiworów. Niewątpliwie była ona pionierem w tej branży. Gdy zjawiliśmy się w Wielkiej Brytanii, watywane kołdry były prawie nieznane. Myślę, że właśnie Limbie i naszym rzeszom emigracyjnym można przypisać spopularyzowanie obecnie powszechnie używanych *continental quilts*¹⁷. Dom Kazików stał w dużym ogrodzie. Z przodu był zajazd, osłonięty od ulicy wysokimi krzakami. Nieodmiennie stała tam kolekcja pokracznych pojazdów Limby pochodzących jeszcze z demobu. Z tyłu był ogromny ogród, prawdziwy raj dla dzieciarni. Dom był symetryczny. Po lewej stronie była jadalnia i gdy się zjawiłem, gdy odwiedzał Kazików gen. Sosnkowski, wszyscy siedzieli tam przy dużym stole. Oprócz Hani i Kazika, byli również rodzice Hani, gen. Nikodem Sulik i pani Aniela, dh Michał Grażyński oraz Staszek Bartosz. Rozmowa toczyła się na temat etymologii nazwisk i gen. Sosnkowski bardzo ciekawie o tym mówił. Byłem pod wrażeniem. Nieczęsto się w życiu zdarza spotkać wielkiego człowieka, o którym tyle się słyszało od dzieciństwa. Stryj Janusz kiedyś porównał podejście do zagadnień Komendanta i Szefa, jak

17. Kontynentalne kołdry.

zawsze ich nazywał: *Bo widzisz Szeff to analizował zagadnienie tak jakby powoli rozbierał i kroił jabłko na drobne części, podczas gdy Komendant uderzał w nie pięścią i od razu dostawał się do sedna sprawy.*

Niestety, nawet przy swej wyjątkowej inteligencji, nie udało się gen. Sosnkowskiemu doprowadzić do zgody wśród naszych emigracyjnych polityków.

Z ciekawostek dotyczących tła niedoszłego zjednoczenia i ostatecznego rozłamu, opowiadał mi stryj, że wieczorem w przeddzień kluczowego spotkania obu stron, serdeczny kolega legionowy stryja, gen. Karaszewicz Tokarzewski przed samym rozstaniem w windzie kolejki podziemnej zapewniał go, że jest całą duszą za podpisaniem aktu zjednoczenia. Następnego dnia wystąpił jednak przeciw podpisaniu. Stryj uważał, że nie była to przypadkowa zmiana zdania, ale rezultat polecenia, które generał, mający silne powiązania ze światem tajnych stowarzyszeń, musiał otrzymać od swych przełożonych.

Bardzo kochałem mego stryja Janusza, ale należeliśmy do różnych pokoleń, żyliśmy w innym świecie i choć obaj dążyliśmy do tego samego celu, nie zawsze zgadzaliśmy się co do metod działania. Naszym wspólnym terenem pozostawało zawsze Koło Żołnierzy 7 Pułku Ułanów Lubelskich im. gen. Kazimierza Sosnkowskiego. Stryj będąc twórcą i pierwszym dowódcą Pułku był dożywotnim prezesem Koła, które skupiało żołnierzy z wszystkich okresów od początków w listopadzie 1918 roku, gdy zespół z 1 Pułku Ułanów Legionowych wniósł beliniackie tradycje, poprzez wojnę 1920 roku, czasy pokojowe, Wrzesień, konspirację w AK, powstanie warszawskie, aż po odrodzenie Pułku we Włoszech w 1945 roku. Będąc czwartym Głuchowskim w Pułku, podtrzymywałem rodzinną tradycję.

W Londynie było nas kilku z „Jelenia”, którym udało się przeżyć powstanie. Wobec tych co zginęli, poczuwaliśmy się do obowiązku sporządzić listy poległych. Gromadziliśmy też informacje o poszczególnych działaniach 7 Pułku Ułanów Lubelskich AK – „Jeleń”, tak warszawskiego dywizjonu w czasie powstania, jak i dywizjonu w okolicach Mińska Mazowieckiego i Wyszkowa w czasie „Burzy”. Były to jeszcze czasy, gdy łączność z Polską była bardzo trudna, a dla

bezpieczeństwa, spraw AK nie można było poruszać. Tym ważniejsze więc było zbieranie materiałów historycznych na emigracji. Musieliśmy jednak być bardzo ostrożni z publikowaniem tych materiałów, aby nie zaszkodzić naszemu w Kraju.

Na nowej drabinie

Na wiosnę 1954 roku dyrekcja CAV zdecydowała rozbudować laboratorium *diesel* i rozpoczęto rekrutację personelu. Oczywiście zgłosiłem się natychmiast. Byłem nawet przygotowany na przyjęcie pozycji z niższą pensją, byle tylko mieć szansę dostania się na stopnie drabiny, która sięgała wyżej. Podobno jest to system stosowany w japońskich firmach. Oczywiście o tym nie wiedziałem, ale chciałem się wyzwolić z łańcucha, który więził mnie przy rysownicy. Ponieważ zdobyłem nieco renomy na skutek dobrego działania regulatora, który zaprojektowałem dla holenderskiego Allan Railcar¹⁸, zostałem przyjęty i przydzielony do sekcji regulatorów.

Ku memu ogromnemu zdziwieniu, po trzech miesiącach, jako „sławny specjalista”, zostałem promowany na pełnego *Development Engineer*¹⁹ mianowany sekcyjnym i dostałem podwyżkę. Jak można sobie wyobrazić znalazłem się z miejsca w głębokim nurcie i aby nie utonąć musiałem się szybko nauczyć pływać. Ratowało mnie ogólne prawo rządzące w przemyśle, że specjalista to ten, kto wie krztynę więcej o przedmiocie niż inni wokół. Poza tym od czasów licencji Boscha i niemieckiego panowania, niewiele nowego w dziale regulatorów wprowadzono i większość problemów rozwiązywana była empirycznymi sposobami, które noszą w mowie Shakespearo śliczne miano *suck and see*²⁰.

Moji brytyjscy asystenci bardzo początkowo kręcili nosem na mą promocję. Miałem jednak szczęście, bo jednym z nich był John Cairns z którym prędko znaleźliśmy wspólny język.

18. Wagon kolejowy Allan.

19. Inżynier odpowiedzialny za rozwój produktu.

20. „Ssij i patrz” – czyli próbuj i patrz co będzie dalej.

Odkryliśmy bowiem, że obaj mieliśmy wątpliwy zaszczyt siedzenia w tej samej ciupie jenieckiej, Stalag XIB w Fallingbostel. Ojciec Johna był kanadyjskim Szkotem, który osiedlił się w Anglii. Jako osiemnastoletni ochotnik John zaciągnął się do Gordon Highlanders²¹ i wraz z nimi znalazł w Holandii. W czasie jednego z patroli wpadli na grobli w zasadzkę. Kapral dowodzący patrolem poległ, a John został ciężko ranny w nogi i dostał się do niewoli. Początkowo przebywał w wojennym szpitalu wraz z żołnierzami niemieckimi, by po podleczeniu zostać przeniesiony do Fallingbostel. Po wyzwoleniu poszedł na podchorążówkę, po której dostał promocję na podporucznika, ale marzenia o karierze w ukochanym pułku Gordon Highlanders zniweczyły ślady po niemieckiej kuli. Miał do piechoty, tej chluby armii brytyjskiej, przydzielony zostać do korpusu zaopatrzenia. Zdecydował przejść do cywila i po studiach znalazł się w CAV. Nasza przyjaźń z Johnem trwa do dziś.

Moje szczęście uzupełnione zostało, gdy któregoś dnia zadzwonił do mnie Michael Powell, przyjaciel z Acton Technical College. „Kris, co myślisz o możliwościach w CAV, bo właśnie ogłaszają pracę w laboratorium?” Powiedziałem mu, że warto spróbować, bo choć nie płacą dużo, ale praca jest ciekawa, można nabrać praktyki i powinny otworzyć się jakieś możliwości. W każdym razie wydostanie się z biura projektów, nie dającego dużych szans promocji. Michael posłuchał mej rady. Miałem zresztą rację. Zrobił on w CAV świetną karierę, która otworzyła mu drogę do dalszych promocji w przemyśle.

Gdy został przyjęty, poprosiłem szefa, aby przydzielił go do mojej sekcji. Tak więc staliśmy się nierozłącznymi trzema muszkieterami. Byliśmy zgranym zespołem. Wszyscy studiowaliśmy wieczorami i łączyło nas wiele wspólnych zainteresowań i ambicji. Były to czasy *vintage cars*²², *duffle coats*²³, i Nancy Mitford's *U and non U*²⁴. Obiady składające się

21. Wyborowy pułk piechoty szkockiej.

22. Samochody z okresu 1918-1930.

23. Wełniane burki z kapturami.

24. Pisarka Nancy Mitford podzieliła zachowanie na klasy wyższe (*U – upper*) i niższe (*non U*).

z *pinty best bitter, egg and chips*²⁵ czy też *bangers* – jak zwane były sławetne angielskie kielbaski, jadaliśmy w okolicznych pubach, zwykle w William IV na Acton, czy też w The Ship nad Tamizą, tuż przy jeszcze istniejącej, wspaniałej parowej stacji pomp. Charakterystycznie John czytał *Daily Telegraph*, Michael *The Times*, a ja *Manchester Guardian*, który z czasem zmienił nazwę na *Guardian*.

Do pracy i do uczelni jeździłem na rowerze. Zostawiałem go byle gdzie pod murem. Wprawdzie nie był to wspaniały okaz welocypeda, ale i znacznie lepsze można było wtedy spokojnie zostawiać bez kłódki i być pewnym, że po powrocie znajdziemy naszą własność.

W CAV nie brakło rodaków. Gdzie się człowiek nie ruszył, to można było spotkać kogoś znajomego. W laboratorium elektrycznym niewątpliwie widocznym i słyszalnym był Janusz Szymański, z czasem wybitny specjalista od alternatorów, występujący pod swym bardziej wymawialnym dla Anglików imieniem Jan w nienagannej polskiej wersji. Z tymi naszymi imionami i nazwiskami mieliśmy nieco kłopotu. Próbowaliśmy nauczyć tubylców ich poprawnej wymowy, ale były to trochę syzyfowe prace. Ciekawe, że im wyżej w hierarchii, tym mniejsze trudności napotykalismy. Dyrektorzy, o ile w ogóle nas zauważali, zwykle wymawiali nasze nazwiska bezbłędnie. Na ogół w większości dochodziliśmy do *modus vivendi*, występując pod naszymi z lekka zmodyfikowanymi imionami, lecz zachowując w dokumentach nie zmienioną formę zarówno imion jak i nazwisk, z tym, że polskie litery musiały zgubić swe ogonki i kreski. Z rzadka zdarzało się, aby ktoś zmieniał nazwisko na angielskie. Było to mało efektywne, bo w naszym pokoleniu wcale nie pomagało w czułym przygarnięciu przez tubylców, a nierzadko było nawet powodem naśmiewania się przez nich ze świeżo upieczonego „Anglika”. Znam natomiast wypadek, gdy jeden z naszych znajomych zmienił brzydko brzmiące, ale łatwo wymawialne nazwisko polskie na inne, o pięknym dla polskiego ucha brzmieniu, ale na którym tubylcy zupełnie łamali sobie język!

25. Kufel najlepszego gorzkiego piwa, jajka i frytki.

Na ogół Brytyjczycy przyjmowali z szacunkiem naszą determinację zachowania polskiej tożsamości.

Z mniejszym entuzjazmem natomiast widzieli nasze oddzielne organizacje typu Harcerstwa, czy SPK, które miały brytyjskie odpowiedniki i w których szeregach uważali, że powinni się również znaleźć Polacy mieszkający w Wielkiej Brytanii. Ostatecznie nasze organizacje emigracyjne pozostały i kwitły, a równocześnie niektórzy Polacy znaleźli się w szeregach *Scoutingu* czy *British Legion*²⁶ Klasycznym przykładem tego było, gdy w czasie wielkiego obchodu *Remembrance Day* w Albert Hall, sztandar *British Legion* niosła młoda niewiasta o bardzo polskim nazwisku i w komentarzu podkreślano, że ojciec jej walczył w czasie wojny w Polskich Siłach Zbrojnych. Kluczem oczywiście było zachowane polskie nazwisko.

Prócz Szymańskiego, w laboratorium elektrycznym pracowali dwaj inni Polacy, Szadkowski oraz specjalista od systemów kontrolnych Zygmunt Sobecki. W laboratorium *diesel* również nas nie brakowało. Pracował tam Jurek Chmielecki, *vel* George. Jednym z pionierów w pierwszych próbach nowej pompki rotacyjnej był Jurek Jakubowski, nazywany przez Anglików „Jako” – czytaj Dżako. Wybitnie zdolny, Jurek miał awersję do wszelkiego rodzaju raportów i sprawozdań. Wszystkie spostrzeżenia i rezultaty notował w małej książeczce, którą nosił w kieszeni. Z czasem „Jako” wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Dużo czasu zajęło jego następcom odtworzenie tajników, które wraz z książeczką wyemigrowały za ocean. Za ocean też, tym razem do Kanady, wyemigrował pracujący w laboratorium *diesel* Andrzej Wajda, syn profesora założyciela POSK. Jeszcze wcześniej wyjechał, również do Kanady, dr inż. Aleksander Muraszew, szef jednego z wydziałów laboratorium badań, wybitny specjalista od systemów wtryskiwania paliwa jeszcze z czasów wojennych w Polskich Siłach Powietrznych, a następnie, gdy odkomenderowany pracował w *Royal Aircraft Establishment*²⁸

26. Brytyjska organizacja kombatancka.

27. Dzień pamięci.

28. Królewski instytut badań lotniczych.

w Farnborough i prowadził badania w Queen Mary's College w Londynie. W CAV pozostała po nim legenda.

Były to czasy, gdy wielu z naszych kolegów wyruszało za morza. Anglia dawała nam możliwość względnie dobrej egzystencji, ale zza oceanu dochodziły wieści o istnym Eldorado. Toteż coraz częściej ktoś rozwijał skrzydła do lotu.

W biurze projektów CAV w rozmaitych okresach pracowali: Jurek Kruk-Strzelecki z AK, Stanisław Sosnowski, z Lotnictwa, Janek Michalczyzyn, o ile się nie mylę z 2 Korpusu, Tadeusz Lawiński, syn aktora, Zygmunt Gotowiec – ruchliwy „Zyga” z AK, Zbigniew Stefanowski, Wacław Szulc, Mieczysław Barowicz, Stokowski i jeszcze jeden Polak, którego nazwisko zaczynało się na K. W dziale instrumentów pracowało dwu Polaków. Jeden z nich powszechnie nazywany był *Stan with the kettle*²⁹. Funkcją jego było kalibrowanie instrumentów i termometrów i stąd zawsze chodził z elektrycznym czajnikiem.

W sekcji prób silników pracowali dwaj Polacy. Jeden z nich Antoni Krzywicki był z Lotnictwa. O ile się nie mylę ściągnął go do CAV dr Muraszew. Już w późniejszych czasach Krzywicki opowiadał mi jak dr Muraszew, który przeniósł się z Kanady do Kalifornii i pracował tam nad raketami, odwiedził Anglię. Podobno gdzie się nie ruszył, to postępowały za nim cienie pilnujących go agentów FBI czy innego CIA. Krzywicki stale kombinował jakby zrobić fortunę, by wyzwolić się od prób silników. Kiedyś łamał głowę nad zaprojektowaniem składającego się fotela do campingu. Nie wiem czy projekt mu się udał, ale pomysł nie był zły, bo wnet camping, szczególnie na kontynencie, stał się bardzo popularny i na pewno ktoś zrobił duże pieniądze na składanych fotelach.

Drugi, Wojciech Różycki był synem por. Stanisława Różyckiego z I Dywizji Pancernej, pracował w garażu prób CAV. Wojtuś powszechnie zwany Vick, dzieciństwo spędził w Szkocji. Mówił ślicznie po polsku, a z Anglikami porozumiewał się nienaganną, a nie łatwą do zrozumienia, szkocką wersją ich języka. W wydziale prób wytrzymałości, Polaków reprezentował Henryk Duszyński *vel* Henry.

29. Stan z czajnikiem.

Jedną z najbarwniejszych postaci w laboratorium CAV był zbrojmistrz z jednej z warsztatówek I Dywizji Pancерnej, Franciszek Matias, powszechnie zwany przez Anglików Frank. Był on typowym majstrem starej daty. Nie uznawał pośpiechu. Co nagle to po diable, mawiał i nawet żeby się paliło, to zawsze pracował w równym, spokojnym, wolnym tempie. Jedno było pewne. Po Franku nic nie potrzeba było poprawiać! Bezpośrednio po zakończeniu wojny, pan Franciszek wziął jeepa z dywizyjnymi znakami, dotarł nim do Polski i przywiózł stamtąd swą żonę. W czasie przerw obiadowych, Frank rozkładał *Dziennik Polski*, będący w tamtych odległych czasach wcale okazałych rozmiarów i z zapalną oświecał Anglików, którzy mu się nawinęli pod rękę, najnowszymi wiadomościami politycznymi, przyniesionymi przez tę nieomylną emigracyjną wyrocznię. Pan Franciszek był warszawiakiem. Syn jego poległ w powstaniu warszawskim. Musiał być w moim wieku i musiałem mu go przypominać, bo się bardzo serdecznie, po ojcowsku, do mnie odnosił. Był on jednym z pierwszych członków POSK, tych co uwierzyli wtedy, gdy było najtrudniej uwierzyć.

Ciekawą postacią był Polak pracujący w laboratorium badań, o ile się nie mylę nazywał się Lech Piasecki. Firma ustanowiła nagrody za egzaminy z obcych języków i nasz rodak niemal zawodowo zabrał się do ich zdobywania. O ile pamiętam, to zainkasował je coś w ośmiu językach.

Już znacznie później pojawił się w CAV George Dryja. Niestety rodzice, choć oboje Polacy, nie zadbali o to, aby George nauczył się po polsku. Niemniej George uważał się za Polaka i ożenił z londyńską Polką. Piszę pojawił się, bo istotnie było to podobne do zjawienia się komety. Przenośnia jest odpowiednia, bo George skończył astronomię. Po otrzymaniu dyplomu rozejrzał się za pracą, w swym zawodzie, ale się wnet zorientował, że albo będzie musiał wyjechać gdzieś na głucho pustkowia, na co bynajmniej nie miał ochoty, albo znajdzie pracę w zupełnie innym dziale. Rodzice mieszkali na Chiswick, toteż pobliskie CAV poszło na pierwszy ogień. Z wielkim talentem pokonał wszystkie bariery wydziału personalnego i ostatecznie stanął przed obliczem samego głównego inżyniera dr Glikin, na którym zrobił tak dobre wrażenie, że

ten z miejsca zaangażował go jako swego osobistego asystenta. Meteoryt nie zatrzymał się w locie i w chwili, gdy przechodziłem na emeryturę, George był już szefem wydziału prób pompki i silników.

Gdy w 1976 roku rozdawane były przez firmę pamiątkowe zegarki za 25-lecie pracy w CAV, na 74 osoby było 20 Polaków, czyli 27%!

Emigracyjne ognisko

Przyznam się, że mało mam wspomnień związanych z *Orłem Białym*, znajdującym się w pierwszych latach powojennych, w bardzo prestiżowym miejscu Londynu, naprzeciw ambasady Francji przy Knightsbridge. W suterynach mieścił się tam jakiś sklepik i bodaj firma wysyłająca paczki do Polski. Na wysokim parterze była obszerna sala restauracyjna z oknami wychodzącymi na Hyde Park. Góra tego potężnego budynku zajęta była przez rozliczne biura, włącznie z redakcją *Dziennika Polskiego*. Na pierwszym piętrze znajdowała się sala balowa, gdzie również była scena. Tam to 10 stycznia 1954 roku rozpoczął się pożar, który poważnie uszkodził budynek. Nie obeszło się też bez ofiary. Zmarł, już w szpitalu, Eugeniusz Chełchowski, prezes Związku Ziemi Północno-Wschodnich. Pożar zniszczył też biura redakcji *Dziennika Polskiego*, ale zgodnie z najlepszymi tradycjami naszej prasy, weszła do akcji improwizacja i następnego dnia ukazał się jak zwykle numer *Dziennika* niosąc na pierwszej stronie wiadomości o katastrofie. W rezultacie pożaru straciliśmy ten obiekt, będący zresztą dzierżawą od korony. Nie znam szczegółów tej sprawy, nie wiem czy można było uratować *Orla Białego* i czy wszystko było zrobione dla dobra naszego emigracyjnego społeczeństwa. Strata była bolesna.

Niedaleko na Knightsbridge była księgarnia Orbisu, która po stracie *Orla* przeniosła się w inne miejsce, by z czasem znaleźć się na Earls Court.

Oczywiście pozostali Kombatanci, Marynarze, Lotnicy, YMCA, ale jedynie w Ognisku Polskim przy Exhibition Road, a dokładniej mówiąc 55 Princes Gate był teatr.

Z tymi nazwami ulic w Londynie to jest rzeczywiście kłopot. Warto przeczytać „How to be an alien”³⁰, gdzie George Mikesz tłumaczy wszystkie arkana tych rozmaitych *squares* otoczonych domami, które miast być zwrócone w stronę placu, stoją do niego tyłem i wychodzą aż na cztery ulice, których jedna strona potrafi wówczas nosić nazwę jednego *square* a druga innego. O numeracji lepiej nie mówić, gdy nierzadko zdarza się, że kolejne numery rosnąc wędrują po jednej stronie ulicy, by przy końcu przejść na drugą i spokojnie dalej rosnąć, wrócić, by ze swej arytmetycznej wysokości patrzeć z pogardą na numer 1 po drugiej stronie. Nazywa się to tradycją.

Czasy były inne. Trudno jest nie powtarzać i podkreślać dziesięć razy, że w powojennym okresie naszej emigracji uważaliśmy nasze instytucje za należące do nas wszystkich, bez względu na to, kto formalnie był ich właścicielem.

Podobnie było też i z Ogniskiem. Był klub, był zarząd, byli członkowie, księga wyłożona przy wejściu, ale zaproszeni byli wszyscy Polacy. I było tam swojsko, rodzinie, po polsku.

Tak, Ognisko było szczególnie przyjemnym miejscem naszego londyńskiego emigracyjnego świata. Ileż to miłych chwil spędziliśmy tam zbiorowo i indywidualnie. Dla każdego było coś interesującego. Już w hallu na dole witała nas księgarnia pani „Kiki” Rudzkiej. Na ladzie rozłożone były emigracyjne pisma, w szafie książki. A nie brakło wówczas publikacji, które wydawaliśmy na obczyźnie. Były tam też i wspaniałe *polonica*. Nie jedną godzinę spędziłem przeglądając ich teczki i ucząc się wielu rzeczy od inżyniera Krynickiego, który mi opowiadał ciekawostki i wprowadził w wiele tajników dotyczących starych druków, map i sztychów. Od niego to dowiedziałem się o wspaniałej kolekcji map Polski pani Malinowskiej. Niestety słyszałem, że podobno została ona rozproszona i nie istnieje już jako całość. Wielka szkoda, ale dzięki Bogu była bardzo sumiennie opisana i pozostał po niej zestaw katalogów wydanych przez londyńskie *Map Collectors Circle*³¹. Świetnie uzupełniły one spis sporzą-

30. Jak być cudzoziemcem.

31. Koło zbieraczy map.

dzony przez Lelewela jeszcze w czasach Wielkiej Emigracji. Niestety zawartość mojej kiesy nie dorównywała mojemu apetytom i na większość skarbów w sklepiku pod schodami Ogniska mogłem jedynie łakomie spoglądać. Parę rzeczy udało mi się jednak kupić, z mapami, Speeda ozdobionej ładnymi rycinami strojów polskich, oraz Spode na której widnieje portret króla Zygmunta III Wazy, na czele. Stałem się również posiadaczem bardzo interesującego angielskiego sztychu przedstawiającego Kościuszkę. Była to ilustracja do nadchodzących z Polski wieści o Insurekcji. W owych czasach mundury generalskie na całym świecie wyglądały podobnie. Przedsiębiorczy wydawcy mieli więc zawczasu przygotowane sztychy, gdzie wystarczało jedynie, zgodnie z nadchodzącymi opisami, wypełnić szybko pusty owal twarzy, dodać podpis i fizjonomia wielkiego męża chwili mogła bez opóźnienia wędrować do rąk chciwej wiadomości publicznej. Widać, że źródła informacji z Polski nie były zbyt pewne, bo wstawiona w owal twarz Naczelnika jest ładząco podobna do dobrze odżywionego chomika i na dodatek ozdobiona haczykowatym nosem. Trochę żałuję, że nie kupiłem pięknych sztychów Dahlberga, pokazujących szereg bitew z czasów potopu szwedzkiego, ale jakoś nie mogłem się pogodzić z widokiem Polaków uciekających jak szczury.

Obok sklepiku przechodziła historia. Kogo tam nie można było zobaczyć. Wśród szarych emigranckich rzesz, przesuwały się postacie, które odegrały wielką rolę w życiu naszego narodu. Obecnie doczesnym szczątkom wielu z nich towarzyszą sztandary i kompanie honorowe. W Londynie, z zewnętrznego świata, który nieświadom kim byli, traktował ich obojętnie, czy co najwyżej z politowaniem, wchodząc do Ogniska, podobnie jak i do innych polskich instytucji, odzyskiwali swoją pozycję społeczną, swe tytuły. Czy było to śmieszne, niepoważne? Może i trochę. Więc na rewiach emigracyjnego teatru, śmiali się z siebie samych, zapewne nieraz przez łzy, słuchając dowcipnych skeczy o tych tytułach nie istniejących urzędów czy dostojenstwach. Ale z drugiej strony, czy były one w rzeczywistości nie istniejące, gdy w swoim środowisku, na podstawie dobrowolnej, niepisanej umowy, uznawane były jako ważne? Każde społeczeństwo

ludzkie potrzebuje swej hierarchii. Toteż gdy nagle, wskutek niesprawiedliwości w stosunku do naszej Ojczyzny, znaleźliśmy się na obczyźnie, rzuceni bezładnie w strukturę społeczną obcego kraju, budowaliśmy nasz własny emigracyjny świat, biorąc za podstawę znajome nam wzory. Przy wszystkich podziałach politycznych, których niestety nie brakło, stanowiliśmy bardzo zwarte i dobrze zorganizowane społeczeństwo. Przy tym, dopiero tak niedawno, z wiarą, że jedynie na krótko, złożyliśmy na przechowanie nasze bojowe sztandary i byliśmy przekonani, że naszą działalnością nadal walczymy o wolność, a niedługo znów wrócimy pod broń. Nie za chlebem znaleźliśmy się na obczyźnie i wierzyliśmy, że się nam nie wolno zamienić jedynie w jęgo zjadaczy.

Londyn stanowił centrum naszego życia politycznego i kulturalnego, a w Ognisku można było spotkać cały ten świat.

Może największe wrażenie zrobiła na mnie postać Retingera. Na pewno nie był to największy z ludzi przychodzących do Ogniska, ale za to otaczała go aura tajemniczości i sensacji. Patrząc na inwalidę wspierającego się na dwu laskach, trudno było uwierzyć, że to właśnie jest człowiek o tak barwnym życiu, który odegrał bardzo zagadkową rolę w naszej historii. Mieszkał on wówczas w jednym z dyskretnych mieszkań na najwyższym piętrze budynku magazynu Harrodsa, gdzie zapewne rezydowało więcej takich interesujących postaci.

W restauracji w Ognisku można było zawsze zjeść polskie potrawy. Dla niezamożnych ceny obiadów czy kolacji klubowych były dostępne. Poza tym wiele posiłków dla emerytów, wydawanych było bezpłatnie. Jako kelnerki pracowały wówczas, jak to się mówiło, panie z towarzystwa. Stoliki w większości miały swoich „właścicieli”. Przy jednym zasiadali panowie generałowie, inny opanowali ludzie pióra, przy dalszym zasiadali aktorzy, jeszcze inny był techników. W niedzielę publiczność była inna, zamożniejsza. Głównie lekarze, którzy przyprowadzali swe rodziny. W drugim pokoju, w kawiarni, nikt nie pośpieszał i nad filiżanką kawy można było spokojnie siedzieć godzinami.

Do tego, aby polskie instytucje mogły działać, musiały zatrudniać stałych pracowników. Jakże skromne warunki

dawały im one w tamtych czasach. Nie mając znikąd żadnych subsydiów, nie mogły sobie jednak pozwolić na zapewnienie lepszych. Zagadnienie było złożone. Ogólnie w tamtych czasach, rzadko który z Polaków miał dobre warunki finansowe. Prace w polskich instytucjach emigracyjnych chroniły, od nieraz bardzo ciężkich warunków w fabrykach, w dużej mierze na nocnych zmianach, czy też po prostu, od tak deprymującego bezrobocia, nawet, o ile *Assistance Board* zapewniał dach nad głową i nie dawał umrzeć z głodu. Z drugiej strony przy mizernych pensjach nie były one jedynie prostym spełnianiem obowiązków, w ciągu określonej liczby godzin. Wymagały bowiem społecznego podejścia do wykonywanych funkcji, i nierzadko wręcz poświęcenia. Bez tych elementów trudno sobie wyobrazić, abyśmy mogli mieć tak dobrą własną infrastrukturę, która pozwalała nam na nasze bujne życie społeczne i organizacyjne pod własnym dachem, we względnie przyzwoitych warunkach. Trzeba pamiętać, jak wiele dobrowolnej, ochotniczej pracy wymagał ten nasz emigracyjny świat. Tak więc nasze społeczeństwo dawało ją hojnie. Ale istniał problem. Ci, którzy pracowali w angielskim świecie, dając swój bezinteresowny wkład pracy uważali, że jedynie im się należała za to pochwała. Natomiast, jeżeli ktoś był zatrudniony w polskiej instytucji, to wszystko co tam robił, nawet gdy wychodziło daleko poza zakres pracy, było tylko jego świętym obowiązkiem. W stosunku do wielu, ten brak uznania za poświęcenie, był dużą niesprawiedliwością.

Na drugim piętrze oprócz pięknego pokoju, gdzie odbywały się herbatki i mniejsze zebrania, po drugiej stronie, od ogrodu, mieściły się pokoje brydżowe. Jeżeli chodzi o urządzenia sanitarne w Ognisku, to w tych początkowych latach zawdzięczały one swą lokalizację improwizacji, stąd podczas, gdy przybytek dla panów był skromnie ukryty w suterynie, jego odpowiednik dla pań znalazł się w bardzo prestiżowym miejscu na drugim piętrze i to od frontu.

Na wyższych piętrach były biura, między innymi Towarzystwa Pomocy Polakom, do którego należał budynek Ogniska i stąd szły paczki do kraju. Gdyby ktoś przejrzał zawartość naszych listów z tamtych lat, na pewno byłby zaskoczony proporcją jaką w tych listach zajmują sprawy paczek

i lekarstw. Wiele emocjonalnych więzi łączyło Emigrację z Krajem, lecz istniał chyba jedyny sposób w jaki mogliśmy okazywać nasze uczucia w formie praktycznej. Wysyłaliśmy paczki. Tysiące, tysiące paczek. Wysyłaliśmy je prywatnie do krewnych i znajomych, a czasem i do osób nieznanych. Wysyłały je do swych podopiecznych nasze organizacje charytatywne i społeczne, koła oddziałowe, parafie, redakcje wydawnictw... Pomoc szła i z Ogniska.

W sali na pierwszym piętrze odbywały się zebrania, odczyty, przyjęcia i przede wszystkim urzędował teatr. Scenę miał malutką, urządzenia, szczególnie w pierwszych powojennych latach prymitywne, ale nie ustępował on bynajmniej najprzedniejszym świątyniom Melpomeny. Zespół aktorów też mieliśmy jak się patrzy. Mogłby go pozazdrościć niejeden teatr pierwszej linii. Zresztą, jak mi mówił Witek Schejbal angielski związek aktorów Equity, który w stosunku do kandydatów na członków, stawiał z reguły wysokie wymagania, uznawał to, przyjmując w swoje szeregi aktorów naszego emigracyjnego teatru bez najmniejszych trudności.

Wystawiane rewie były aktualne, teksty Hemara, Ref Rena czy Edzia Chudzyńskiego dowcipne i cięte. Niezmienne przypominały nam one nasze cele polityczne i bezlitośnie krytkowały wszelkiego rodzaju zachodnie ciągoty do kompromisów i współpracy z gnębiącym nasz kraj sowieckim kolosem. Wystawiane też były i nowe sztuki, jak na przykład „Kwaterna nad Adriatykiem” Napoleona Sądka. Może nie było to monumentalne dzieło, ale brawa po zapadnięciu kurtyny były gorące. Nic dziwnego, bo sztuka mówiła przecież nie o odległych czasach, a sala teatralna wypełniona była po brzegi tymi, którzy sami wspominali swe adriatyckie przeżycia. Autor wiedział o czym pisał. W szeregach 3 Dywizji Strzelców Karpackich, już od rzeki Sangro zawierał znajomość z Adriatykiem. Opowiadał mi Czesław Woyno, jak w tamtych zimowych początkach, w małym miasteczku Vastogirardi, komendantem placu był właśnie autor „Kwatery nad Adriatykiem”. Po niedawnej akcji ktoś dopominał się u niego odznaczeń, spadł śnieg, duże zamiecie zasypały drogi, więc saperzy przyszli domagać się Włochów do pomocy, na co usłyszeli od zagonionego, ale nigdy nie tracącego humoru

porucznika Sądką: „... wy chcecie Włochów, oni medali, a ja tylko chcę, aby mi dali spokój!” Wszystko to było wtedy jeszcze tak niedawno...

Habeas Corpus

Mieszkaliśmy nadal w domu Józia przy Pierrepont Road. Wieczory miałem zajęte wykładami. Po zdaniu egzaminów do Institution of Mechanical Engineers nadal uzupełniałem kwalifikacje, tak aby móc uzyskać tytuł *Chartered Engineer*. Tym razem robiłem kurs administracji przemysłowej. Kombinowałem też jak można by dorobić trochę pieniędzy, bo pomimo wszystkich podwyżek moje pobory nadal nie były nadzwyczajne. Jednym z wielkich projektów robienia fortuny były zwierzątka z pokrytego kolorową izolacją drutu. Miałem szereg. Lis, kogut, kot, łabędź, pingwin, struś... Produkcja była masowa. Na przygotowanych deseczkach z wbitymi szpilkami nawijałem poszczególne części anatomii, by następnie montować je w zwierzaki. Były zabawne i podobały się. Gorzej było ze sprzedażą. Początkowo nawet udało mi się sprzedać sporą ilość mych arcydzieł do kilku magazynów londyńskich, jak Bourne & Hollingworth na Oxford Street, Peter Jones na Sloane Square, Bentalls na Ealingu, ale niestety nie chcieli powtórzyć zamówień. Zwierzaki nadal podobały się, ale zajmowały za dużo miejsca wystawowego w stosunku do swej wartości, a na dodatek łatwo się deformowały i nie były towarem rentownym. Nie zarobiłem więc fortuny!

Rok 1954 przyniósł nam wiele wydarzeń, zarówno światowych jak i na naszym emigracyjnym podwórku. W styczniu, pożar zniszczył *Orla Białego*. Jako rezultat jednego z kolejnych kryzysów, Biblioteka Polska przeniosła się do domu PUCAL przy 5 Princess Gardens. W maju upadła twierdza Dien Bien Phu. Później Amerykanie gorzko zapłacili za to, że zostawili Francuzów bez pomocy. W sierpniu ostatecznie nastąpił rozłam polityczny Emigracji, z obozem Zjednoczenia po jednej stronie, a Zamkiem po drugiej. W lipcu w Szwajcarii wybrał wolność Andrzej Panufnik.

Ucieczek w tym okresie nie brakło. Niektóre bardzo sensacyjne, jak ta gdy jeszcze na wiosnę 1953 roku porucznik Jarecki uciekł do Danii na myśliwcu MIG 15, lądując na wyspie Bornholm. Ucieczka, która najbardziej nas jednak poruszyła, wydarzyła się w samym Londynie.

W piątek 31 lipca 1954 roku, gdzieś zaraz po moim powrocie z pracy, dzwoni Hania Sabbatowa. „Słuchajcie zaraz zbierzcie się i przyjdźcie na Tower Bridge, gdyż musimy protestować, bo na statku ‘Jarosław Dąbrowski’ jest uciekinier, którego pokładowa bezpieka odkryła i jest więziony w jednej z kajut”. Bardzo by się na pewno zdziwił taką wiadomością patron statku, który właśnie za wolność ludu oddał swe życie na barykadach Paryża. Gdy przyjechaliliśmy na miejsce, była tam już spora grupa protestujących emigrantów, w większości naszych znajomych. „Jarosław Dąbrowski”, niewielki frachtowiec kursujący pomiędzy Gdynią a Londynem, jak zwykle przycumowany był przy nadbrzeżu firmy Mark Brown, po południowej stronie Tamizy, zaraz przy moście, dokładnie naprzeciw Tower of London. Obecnie okolica ta wygląda zupełnie inaczej. Wówczas cały teren zabudowany był magazynami portowymi, pomiędzy którymi, równolegle do mostu szedł aż do samej rzeki dosyć łagodny zjazd. Zajęliśmy pozycję przy jego wejściu, bo nadbrzeże było już opróżnione i dalej policjanci nie puszczali. Duże wrażenie zrobił na mnie moment, gdy ze statku zeszła na ląd grupa z załogi. Było ich z 5-6 osób wśród nich i kobiety. Oczywiście głośno wykrzykiwaliśmy do nich nasze protesty, ale do dziś nie jestem pewny, czy wszyscy oni byli agentami UB. Na pewno część tak, bo inaczej nie mogliby wyjść na ląd, ale czy nasze oskarżenia dotyczyły wszystkich, czy też w stosunku do niektórych były niesprawiedliwe? Z czasem dołączyli do nas, powiadomieni przez naszych dziennikarzy, reporterzy pism angielskich i zagranicznych. Informacje dawał im kpt. Ludwik Łubieński z biura gen. Andersa. Cała akcja rozpoczęła się, gdy w południe do redakcji *Dziennika Polskiego* dotarła wiadomość, że dokerzy londyńscy odkryli, że na pokładzie polskiego statku znajdował się, mówiący dobrze po angielsku, uciekinier Antoni Klimowicz, który został aresztowany przez kapitana, pobity przez UB i był więziony w jednej z kabin.

Redakcja zawiadomiła natychmiast biuro gen. Andersa oraz prezesów Stowarzyszenia Polskich Kombatantów – Stefana Soboniewskiego i Zjednoczenia Polskiego – Stanisława Lisa. Równocześnie dwu dziennikarzy z redakcji udało się na nadbrzeże koło Tower Bridge. Jeden z nich wszedł na pokład i zażądał widzenia się ze zbiegiem. Spotkał się z odmową i wyzweśkami części załogi. Około godziny 15.30 prezes Związku Dziennikarzy Bolesław Wierzbiański i przedstawiciel *Dziennika Polskiego* dr Ludwik Rubel udali się do Parlamentu i zwrócili się z prośbą do 3 posłów z obu partii o interwencję. Udało im się dotrzeć do wiceministra *Home Office* Sir Hugh Lucas Tooth i ten przyrzekł porozumieć się z *Home Secretary* Sir Maxwell Fife. Na pokładzie „Jarosław Dąbrowski” zjawił się urzędnik emigracyjny i przeprowadzał dochodzenia, co czasowo uniemożliwiło odpłynięcie statku. Nieco później *Home Office* poinformowało, że sprawa azylu nie zaistniała i Klimowicz odpłynie do Polski. W porcie podniecenie, rozczarowanie i obawa, gdyż urzędnik z tłumaczem zszedł z pokładu, lecz odmówił jakichkolwiek odpowiedzi. Około 21.00 prezes Wierzbiański, redaktor naczelny *Dziennika Polskiego* Tadeusz Horko i dr Rubel, z doków udali się do *Home Office*, gdzie powiedziano im, że sprawa jest rozważana. W tym samym czasie prezes PPS Adam Ciołkosz zwrócił się do Herberta Morrisona, czołowego działacza Labour Party, z prośbą o interwencję. Nieco później nastąpiła niezależna, pomysłowa próba wydostania uciekiniera. Adwokat Jaxa-Dębicki udał się do sądu w południowym Londynie i złożył skargę, iż Klimowicz w czasie uprzedniego pobytu w Londynie przywłaszczył sobie 10 funtów i 13 szylingów. Decyzja sędziego, aby sprowadzić Klimowicza do sądu, spotkała się niestety z protestem policji, która stwierdziła, że zarzut jest bezpodstawny. Przed samą północą nasz tłum próbował zatrzymać powracających na statek stewarda i stewardesę jako zakładników, lecz zostali oni uwolnieni przez policję. O godzinie 1.15 podniesiono zwodzone skrzydła Tower Bridge i na wysokim przypływie „Jarosław Dąbrowski” wraz z Klimowiczem ruszył w drogę. Na pokładzie znajdował się również dr Cort, Amerykanin, któremu Brytyjczycy odmówili prawa pobytu i który uzyskał azyl w Czechosłowacji.

Ze smutkiem rozeszliśmy się do domów. Wydawało się, że obecnie nic już nie może uratować zbiega. Nie upłynęło jednak więcej niż pół godziny, gdy *Home Office* drogą radiową wydało rozkaz zatrzymania statku. Zostało to wykonane przez motorówki policji rzecznej, w okolicach Woolwich. Około godziny 10.00 rano na pokład weszli znowu urzędnicy emigracyjni *Home Office*. O godzinie 11.00 do *Home Office* udała się, z prośbą o azyl dla Klimowicza, delegacja Zjednoczenia Polskiego w osobach wiceprzewodniczącego Henryka Archutowskiego i sekretarza Pawła Hęciaka. W tym samym mniej więcej czasie, ambasador PRL Milnikiel składał w *Home Office* protest przeciw zatrzymaniu statku. Po południu Federacja Wolnych Dziennikarzy wysłała do premiera Churchilla depeszę popierającą wysiłki Polaków. Z ramienia Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego mecenas J. Narożański odbył rozmowę z szefem wydziału imigracyjnego *Home Office*, prosząc o szybkie załatwienie sprawy i podkreślając, że dopóki Klimowicz jest w rękach kapitana statku, będąc sterroryzowanym, nie zdobędzie się na prośbę o azyl. W tym czasie nie dający za wygraną mecenas Jaxa-Dębicki przy pomocy barristera³² W. Glanville Brown, uzyskał zgodę sędziego Davis w Great Missenden na wydanie pozwu *Habeas Corpus*. Było to nie lada osiągnięcie, gdyż stało się to już w pełni tak ściśle przestrzeganego w Anglii weekendu. Nie zwlekając więc, barrister Glanville Brown i mec. Jaxa-Dębicki pędzą samochodem prowadzonym przez red. Wierzbiańskiego do Great Missenden, położonego o 35 mil od Londynu, wśród zieleni hrabstwa Buckingham. W czasie obrad z sędzią Davis, przysłała wiadomość o decyzji najwyższego sędziego Anglii. Opierając się na precedensie z początków XIX wieku, gdy przy pomocy pozwu *Habeas Corpus*, ze statku pod cudzoziemską banderą, uwolniony został murzyn niewolnik, lord Goddard orzekł, że i w wypadku Klimowicza ważna jest zasada, że w Zjednoczonym Królestwie człowiek jest wolny, o ile nie został skazany przez sąd. Zezwolił więc na wydanie pozwu nakazującego kapitanowi statku dostarczenie Klimowicza do sądu. I u nas kiedyś

32. Adwokata.

mieliśmy zasadę *Neminem captivabimus nisi iure victum est...*³³ Na wszelki wypadek prawnicy prowadzący polskie wysiłki przygotowali dodatkowy pozew przeciw kapitanowi statku za zatrzymanie Klimowicza. Tak więc pozostała jedynie sprawa doręczenia pozwu *Habeas Corpus* kapitanowi no i zapewnienia, aby się on zastosował do nakazu. Na wszelki wypadek, oprócz 10 motorówek policji rzecznej, pojawiły się na Tamizie dwa kontrtorpedowce Królewskiej Marynarki. Przy asyście 120 policjantów pozew wręczył osobiście Wysoki Komisarz Policji Metropolitalnej, Sir John Nott-Bower. Klimowicz został uratowany.

I później nie zabrakło Emigracji okazji do pomagania uciekinierom, jak na przykład, już we wrześniu, siedmiu marynarzom z kutra rybackiego „Puszczyk”, ale na pewno żadna z nich nie dorównywała dramatyczności akcji ratowania Klimowicza.

Lekarz – przyjaciel

Od czasów powojennych medycyna posunęła się niebywale. Czego to obecnie nie ma. I elektroniczne aparaty poruszające serce, i sondy dające wgląd w najgłębsze zakamarki naszego organizmu, i transplanty, i tyle innych nowych wynalazków mogących ratować życie. Gdy mieszkamy w kraju posiadającym sprawnie działającą służbę zdrowia, czy też mamy odpowiednie warunki materialne, jeżeli nasza dolegliwość wychodzi poza zwykłe normy grypy czy niestrawności, z miejsca odesłani jesteśmy na badania i analizy tej wielkiej bezosobowej, skomputeryzowanej maszyny rozporządzającej dziesiątkami specjalistów, z których każdy opiekuje się jakąś częsteczką naszego organizmu, o której ma głęboką wiedzę i którą może nam wykurować, zreperować, czy wręcz zamienić. Niewątpliwie nasze szanse dłuższego żywota wzrosły znacznie. Wielu z nas chodzi jeszcze po ziemskim padole tylko dzięki nowym wynalazkom.

Były jednak czasy, gdy nie było tych wszystkich postę-

33. Nikogo nie uwięzimy bez wyroku sądowego.

pów medycyny i człowiek aż się dziwi jak można było bez nich żyć. Ano żyliśmy i choć na więcej dolegliwości niż dziś nie było kuracji, to na wiele istniała w innej formie. Mieliśmy wspaniały wynalazek, który niestety nie jest obecnie w modzie. Wynalazkiem tym był nasz lekarz, którego pacjentami byliśmy całymi latami i który nie tylko znał nas na wylot, ale również znał naszą rodzinę, otoczenie i dla którego nie byliśmy jedynie numerem.

Londyńscy Polacy mieli wyjątkowe szczęście pod tym względem. Już od samego początku osiedlenia się po wojnie, nie brakło nam polskich lekarzy. Wielu z nich z czasem otworzyło swe praktyki w różnych dzielnicach metropolii, ale we wczesnych latach, pierwszym ośrodkiem była Przychodnia Lekarska, która w swej wędrówce poprzez 5 Bulstrode Street, ostatecznie, w początkach lat 50-tych, znalazła pomieszczenie w prestiżowym miejscu przy 33 Weymouth Street.

Nie mogę powiedzieć, abym był specjalnym entuzjastą konsula Poznańskiego za jego zupełnie niezrozumiałe dla mnie, opozycyjne stanowisko wobec, i wręcz zwalczanie, inicjatywy stworzenia Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego – POSK. Niemniej muszę wyrazić moje uznanie za opiekę nad Przychodnią Lekarską i bardzo rozsądny i dalekowszroczny wybór miejsca na jej lokal. Z jednej strony, tuż za rogiem, sławna ulica lekarzy – Harley Street, a z drugiej, wręcz w sąsiedztwie, gmach ambasady należący do Rzeczypospolitej, wówczas chwilowo okupowany przez nieproszonych gości.

Po wejściu do budynku przychodni znajdowaliśmy się w obszernej poczekalni z której wiodły drzwi do gabinetów oraz schody na górę, gdzie mieściły się dalsze gabinety oraz biura Obywatelskiego Komitetu Pomocy Uchodźcom.

Przychodnia pracowała w ramach *National Health*³⁴. W jakiś sposób nasza rejestracja była możliwa, pomimo, że nie mieszkaliśmy w pobliżu. Pacjenci przyjeżdżali więc z całego Londynu. Ruch zawsze był duży, niezmiennie ciągnęliśmy do swoich.

Kierownikiem przychodni był dr Julian Emil Niedźwir-

34. System powszechnego ubezpieczenia zdrowia w Anglii.

ski, legionista, obrońca swego ukochanego miasta Lwowa, barwna i zasłużona postać, który w bardzo sędziwym wieku odszedł od nas na wieczny odpoczynek w styczniu 1994 roku. W przychodni skupił on wokół siebie zespół wysokiej klasy, godnie reprezentujący nas w środowisku Harley Street, tej Mekki medycyny angielskiej. Między innymi pracowali tam dr Kryszek, dr Bram, dyrektor szpitala Mabledon, i dr Rozenberg z tych co pamiętam. Działyły tam również gabinety dentystryczne i laboratorium.

Moim lekarzem był kochany, mądry, nieoceniony dr Henryk Kryszek, prawdziwy lekarz przyjaciel. Urodził się 14 listopada 1914 w Tomaszowie Mazowieckim. Od 1926 uczęszczał do gimnazjum Towarzystwa Szkoły Średniej „Collegium” w Warszawie. Po zdaniu matury w 1934 wstąpił na wydział lekarski Uniwersytetu Warszawskiego. Do wybuchu wojny zaliczył 5 lat studiów. W październiku 1939 wstąpił do Armii Polskiej we Francji, by wraz z nią w lipcu 1940, znaleźć się w Wielkiej Brytanii. W marcu 1941 odkomenderowany został do Polskiego Wydziału Lekarskiego w Edynburgu, gdzie w lipcu 1942 uzyskał dyplom. Już jako lekarz służył na Środkowym Wschodzie a następnie w 2 Korpusie we Włoszech, by po wojnie znów znaleźć się w Wielkiej Brytanii.

W przychodni początkowo przyjmował w gabinecie na pierwszym piętrze, ale po zawale serca, przeniósł się na parter. Siedział za wielkim biurkiem z głową otoczoną aureolą włosów i już od drzwi, swym łagodnym spojrzeniem jasnych oczu, lustrował pacjenta sponad okularów zsuniętych na czubek nosa. Kiedyś, właśnie po powrocie doktora do pracy po zawale, wchodząc do gabinetu zapytałem się: Jak się pan doktor czuje? Na co on z uśmiechem odpowiedział swym głębokim głosem: „Wszyscy mi tylko mówią jak się oni czują, jest pan pierwszym, który chce wiedzieć jak ja się czuję”. Opiekował się mną serdecznie. Ile razy potrzebna była operacja posyłał mnie do najlepszych szpitali. Tak więc ślepą kışkę wycięto mi w St. Mary's Hospital na Paddingtonie, a przepuklinę zaszyto w St. George's Hospital przy Hyde Park Corner. Nie był zbyt zwolennikiem wszelkich osobnych pokoi w szpitalach, uważając je za niepotrzebne marnowanie

pieniędzy i wierząc, że na ogólnej sali oprócz opieki lekarzy i pielęgniarek, istnieje również opieka pacjentów na sąsiednich łóżkach, którzy w razie potrzeby podnoszą alarm. Może najlepszym przykładem opieki, rozsądku i doświadczenia dr. Kryszka była okazja, gdy mnie cudownie i natychmiastowo uleczył z mych dolegliwości. Miałem rozmaite zmartwienia, do których dołączyły się ostre bóle w okolicy płuc i serca. Przerażony, że już nadchodzi koniec mych dni, powędrowałem do dr. Kryszka. On wysłuchał sagi o mych cierpieniach, po czym dosyć szorstko stwierdził, że jest przekonany, że nic mi nie jest, ale zbada mnie dokładnie i jeżeli potwierdzi, że jestem zdrowy, to nie chce mnie widzieć prędko w swym gabinecie. Rozpoczęło się bardzo szczegółowe badanie, w czasie którego poszliśmy na dół do aparatu Rentgena, gdzie dr Kryszek na ekranie obejrzał moje zbolełe rejony. Swoją drogą jak w tamtych czasach nie zdawaliśmy sobie sprawy, że promieniowanie jest aż tak niebezpieczne. Powszechnie robiliśmy indywidualnie i zbiorowo największe głupstwa pod tym względem, zaczynając od pokazów rozmaitych promieni w czasie lekcji fizyki w szkołach, poprzez przyrządy do prześwietlania stóp w sklepach z obuwem, po spokojne przyglądanie się próbnym wybuchom bomb atomowych. W czasie mego badania dr Kryszek na pewno otrzymał dość promieni, która dziś uważana byłaby za niedopuszczalną.

Tak więc opukany na wszystkie strony, obejrzany od wewnątrz i na zewnątrz, czekałem na wyrok. Jest pan zdrow jak ryba – zagrzmiął bas – niech mi się pan nie pokazuje na oczy! Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, wszystkie bóle znikły. Wychodziłem z gabinetu w pełni uzdrowiony. Jestem przekonany jednak, że gdyby dr Kryszek nie poświęcił swego czasu, aby badaniami, do których miałem zaufanie, przekonać mnie, że nic mi nie jest, mięśniowe bóle trwałyby nadal i wraz z niepokojem mogłyby być przyczyną rozwinięcia się jakiejś innej, prawdziwej choroby. Tragedią tego wybitnego lekarza było to, że mimo wielkich wysiłków znalezienia wśród najnowszych odkryć ratunku, nie mógł pomóc swemu synowi, który cierpiał na jedną ze strasznych nieuleczalnych chorób, o ile mnie pamięć nie myli, atrofię

muskularną. Pomagał innym, a nie mógł pomóc własnemu synowi.

Zmarł młodo, mając zaledwie 52 lata. Gdy 30 września 1966, w krematorium na Golders Green, odprowadzaliśmy dr. Kryszka na wieczny odpoczynek, nie brakło okazałej liczby pacjentów doktora. Głęboko przeżywaliśmy stratę przyjaciela i opiekuna.

Fawley Court i anteny

Na Zielone Świątki wybraliśmy się z Romkami Krzyczkowskimi do Fawley Court. Rozbiliśmy nasze namiociki na zarosniętej łące pomiędzy pałacem a Tamizą, prawie nad samym jej brzegiem. Miejsce było śliczne, jak to mówią romantyczne, co również obejmowało wilgoć, chmary komarów i brak wszelkich wygod. Sytuację ratowała bliskość pałacu, gdzie całym sercem podjął nas śniadaniem Ojciec Jarzębowski. Wiele już napisano o tym wspaniałym Polaku. Jak zwykle bywa z naprawdę wielkimi ludźmi, ten wysoki, smukły ksiądz w nienowej sutannie, był osobą bardzo skromną i przystępną, i podobnie skromnie żył w swym małym pokoiku. Jedynym luksusem Ojca Superiora, gdziekolwiek się nie znalazł, była pasja zbierania *polonica*. Właśnie wrócił z krótkiego odpoczynku w Maroku i zapytywał nas co można sobie przywieźć na pamiątkę z tego odległego kraju. Ano jasne – polską szablę, i z dumą pokazał nam swój nowy nabytek. Były to pierwsze lata Ojców Marianów w Fawley Court. Nie było jeszcze ani kaplicy, ani szkolnych baraków, ani rozszerzonych terenów, wyczyszczonych kanałów, uporządkowanego parku. Istniały one jedynie w marzeniach Księdza Superiora i jego żelaznej woli urzeczywistnienia tych snów. Na razie sytuacja nie była wesoła. Zaciekał dach pałacu, nie było pieniędzy nawet na powierzchowne reperacje. Tyle, że pałac stał. A że stał, było wyłącznie zasługą Ojca Jarzębowskiego. Historia jest niecodzienna. W pierwszych powojennych czasach rozglądał się on za miejscem, gdzie mógłby odtworzyć, gdzieś niedaleko Londynu, swe ukochane Bielany. W czasie poszukiwań dowiedział się, że niedaleko Henley,

nad samą Tamizą, jest do sprzedania rezydencja nadająca się jedynie na rozbiórkę. Gdy pojechał na miejsce, zobaczył stojący na resztówce pięknego parku, zniszczony, lecz nadal wspaniały, XVII-wieczny pałacyk, dzieło ni mniej ni więcej tylko Christophera Wrena, architekta, który po wielkim pożarze Londynu wybudował tam dziesiątki kościołów, między innymi, katedrę Św. Pawła. Z miejsca Ojciec Jarzębowski ujrzał swe Bielany w Henley. Łatwo jest marzyć, trudniej wprowadzać marzenia w życie, szczególnie gdy przerastają one finansowe możliwości. Trzeba było działać. Ojciec Józef poruszył niebo i ziemię, aby nie stracić tej niezwyklej okazji. Zapewnił sobie pierwsze pożyczki i stanął do walki przeciw gromadzie rozmaitych *developers*³⁵ czy innych *demolishing contractors*³⁶. W międzyczasie zmobilizował wśród miłośników historii Anglii kogo mógł do akcji, aby włączyć pałacyk pod ochronę zabytków. Z tych pierwszych bitew wyszedł zwycięsko. Obecnie przeciekał dach...

Jak wiemy, niespożyta energia Ojca Jarzębowskiego, poparta przez rzesze naszej Emigracji, dające hojnie nie tylko pieniądze, ale również i swą pracę, nie tylko uratowała, ale powiększyła i rozbudowała tę twierdzę polskości. Zmarł w 1964 roku. Leżąc śmiertelnie chory w szpitalu, niestety nie mógł już być świadkiem, gdy Fawley Court, był miejscem jednej z większych manifestacji emigracyjnych – Zjazdu Żołnierzy AK w 20-tą rocznicę powstania warszawskiego i 25-tą rocznicę założenia tajnej organizacji, która z czasem rozrosła się w tysiące podziemnych oddziałów bojowych, dostąpiła zaszczytu podniesienia jej do rangi armii – Armii Krajowej.

Fawley Court nadal służy rzeszom Polaków i miejmy nadzieję, że Księża Marianie, spadkobiercy spuścizny po swym wielkim poprzedniku, nie zapomną nigdy, że pałacyk nad Tamizą został uratowany, by służyć nie tylko Chwale Bożej, ale również i Polsce, która wierna wierze swych ojców, potrzebowała i nadal będzie potrzebować miejsc za granicami, będących ostoją dla jej synów i służących jej kulturze.

35. Przedsiębiorcy budowlani.

36. Kontraktorzy rozbiórki.

W tamtych czasach, na całym świecie nasze emigranckie anteny ustawione były na te dalekie wieści płynące z Kraju, tego pisanego zawsze przez duże K. Przychodziły w listach, zawołowane wśród opisów drobnych rodzinnych wydarzeń. Wyczytywane były między liniami w drętwej prasie reżymowej. Wysłuchiwane w audycjach wszystkich radiostacji zachodnich nadających po polsku. Chłonięte z całej prasy emigracyjnej. Paryska *Kultura* w szczególności dbała o zbieranie materiałów informacyjnych o komunistycznej administracji, wydając specjalne numery poświęcone analizom sytuacji politycznej i gospodarczej. Klasycznym przykładem tych nastrojonych anten jest przeżyta i napisana w dalekim Montevideo, a wydana przez Instytut Literacki w Paryżu, czyli *Kulturę*, książka Czesława Straszewicza „Turyści z bocianich gniazd”. Pamiętam jak wielkie na mnie zrobiła ona wrażenie. Rozrzuceni po całym świecie, sercem byliśmy niezmiennie w ziemi ojczystej.

W tym okresie na obczyźnie wychodziły też książki ze wspomnieniami z czasów okupacji i powstania. Najważniejszymi były „W Imieniu Rzeczypospolitej” Korbońskiego, wydana w Paryżu przez *Kulturę*, oraz zbiorowe wspomnienia „Drogi Cichociemnych”, wydane w Londynie przez Veritas.

Oczywiście obie przeczytałem jednym tchem, co nie było taką nowością, bo wszystko, co wychodziło o AK i podziemiu połykałem błyskawicznie. Przyznam się, że pomimo wspańskiego stylu Korbońskiego, wołałem niemal bezmiennie opowiadania Cichociemnych. W walce podziemnej jest jakaś specjalna wielkość bezmienności i choć „W Imieniu Rzeczypospolitej” jest pamiętnikiem, to wysunięty na czoło pierwiastek „ja” autora, jakoś mnie raził, a opowiadania o rozgrywkach politycznych wprost bolały. Zbyt blisko były te tragiczne momenty i zbyt bolesne straty w moim pokoleniu, abym mógł spokojnie przyjąć, że depesze nadawane za cenę krwi tych młodych radiooperatorów mogły służyć małym, nieistotnym rozgrywkom partyjnym.

W Zrzeszeniu Studentów Polskich na Uchodźstwie, mieszczącym się w gmachu Skarbu Narodowego przy 42, Emperor's Gate, powstało Biuro Informacji i Prasy, którego kierownikiem był Ludwik Angerer. Wchodziłem do niego

z ramienia ZHP. Działalność biura, oczywiście złożonego z samych ochotników i urzędującego w godzinach po pracy, rozciągała się na szereg odcinków, od redagowania *Życia Akademickiego*, przygotowywania broszury „Jak się uczyć w Anglii”, poprzez kontakty z Zespołem Tanecznym im. Kolberga, po Komisję Radiową, której przewodniczącym był Andrzej Stypułkowski, a bardzo aktywnym członkiem Danusia Bieńkowska. Komisja ta zbierała się przy Earls Court Square, w mieszkaniu przewodniczącego Zrzeszenia, którym wówczas był Tułasiewicz. Nasze pokolenie torowało sobie powoli drogę na łamy pism i audycji radiowych. Na przykład w *Kulturze* ukazały się wiersze Danusi Bieńkowskiej, Floriana Śmiei, Zygmunta Ławrynowicza, Bogdana Czaykowskiego, artykuły Zbigniewa Różyckiego, Romka Krzyczkowskiego, Wojtka Gniatczyńskiego.

Wojtek skończył studia w Irlandii. Pomógł mu się tam dostać nasz kapelan z Gimnazjum i Liceum 3DSK, ksiądz Mendrella, co bardzo dobrze o nim świadczy, bo nie można powiedzieć, aby Wojtuś był zbyt zapalonym katolikiem. Po powrocie do Anglii, żyjąc z pióra i nie umiejąc się przepychać łokciami przez życie, Wojtuś klepał biedę z pomocą *Assistance Board*. Wprawdzie zbierał nagrody literackie, ale chodził niedożywiony, co oczywiście przy nadwyrężonym pobytem w Oświecimiu zdrowiu, nie było wskazane. Dzięki Bogu, bodaj na lekcjach malarstwa prof. Szyszko-Bohusza w polskiej YMCA na Bayswater, poznał swą przyszłą żonę, Lalkę, która prędko go zorganizowała. Pobrali się, los im się uśmiechnął i wnet wyjechali do Radia Wolnej Europy. W Monachium byli już Jasiowie Krok-Paszkowsy i Olkowie Menhardowie.

Początki jak to początki. Jak pisał Wojtek – ...*mieszkamy w pensjonacie. Lalka pichci jak może na dwóch elektrycznych ‘hot plates’, nie ma naczyń, zupe jemy z podstawków łyczeczką od herbaty (co długo trwa), ale – przynajmniej można herbatę po ludzku wypić z filiżanek a nie wprost z czajnika. Nota bene, Lalka po niemiecku nie umie, i jak poszła kupować śmietaną, za pierwszym razem przyniosła coś, co podejrzewam było płynem do czyszczenia srebra (ale dobrze smakowało), a za drugim razem –*

twaróg. Lalka jeszcze Paszkowskich nie poznała. Mam jednak nadzieję, że się wnet spikniemy. Mieszkamy blisko siebie (Paszkowscy i my; Lalka i ja mieszkamy bardzo blisko siebie), a oni są bardzo fajni. Córeczka chowa im się dobrze, samochód też... Pogodę mamy od paru tygodni świetną: śnieg że można zwariować, w Anglii człowiek tego nie widział (chyba w roku 1946/7 – pamiętasz, Krzysztof, jakeśmy pod dowództwem Kapicy śnieg odwalali z torów kolejowych w Norfolk?)... Krzysztof co się dzieje z Kamlerem? Zamilkł jak trup!...

Chodziło o Janusza Klepacza, którego często nazywaliśmy Kamlerem, na cześć rodziny jego mamy. Cała rodzina Klepaczów, z którą wspólne przeżycia w dwu pokoleniach, tak silnie mnie wiązały, wyjechała do Nowego Jorku. Z nimi pojechali razem rtm. Karwat z 7 P.Uł. i Marian Dzwonkowski, nasz kolega z Gimnazjum i Liceum 3DSK. Jak zawsze, tak i w Nowym Jorku, dom ich, w którym królowała niespożytej energii mama Janusza, Ciocia Zosia (pokrewieństwo pułkowe), stał się centrum skupiającym okolicznych rodaków. Okolica ta rozciągała się od Nowego Jorku po wybrzeża Pacyfiku.

Pożyczka na dom

W Anglii nie było właściwie mieszkań do wynajęcia. Gnieździłiśmy się więc w pokojach, czasami udających mieszkania. Było to bardzo niewygodne, a przy tym kosztowne. Marzeniem więc wszystkich emigrantów polskich było dorobić się domu, stać się *landlordem*³⁷ Warunki do tego były bardzo sprzyjające. Nie było bezrobocia i prawie wszyscy pracowaliśmy. Oczywiście trzeba było uciulać trochę oszczędności, resztę można było pożyczyć. Z pożyczkami było rozmaicie. Na domki na przedmieściach, można było dostać pożyczki hipoteczne, sławetne *mortgage*³⁸ z wielkich *Bulding Societies*³⁹ pod warunkiem, że domek taki, w większości

37. Właścicielem domu.

38. Pożyczka hipoteczna.

39. Towarzystwa hipoteczne.

semi-detached, musiał być wybudowany w nie tak odległej przeszłości i według uświęconego tradycją planu, którego jedyną odmianą mogło być to, czy był w prawo czy w lewo. Reszta zawsze pozostawała bez zmian: – Mały korytarzyk i schody na górę. Od frontu *sitting room*, za nim *dining room*, z tyłu kuchnia, na górze dwie czy trzy sypialnie i łazienka. Wszelkie inne projekty, w szczególności nowoczesne, a co nie daj Boże kontynentalne, były ściśle wykluczone. Na zaaprobowane domki pożyczki udzielane były na bardzo korzystnych warunkach. Miały najniższe procenty i spłaty rozciągały się na 20-25 lat. Niestety istniało wiele ograniczeń. Przede wszystkim zabraniały wynajmowania pokoi. W tych czasach dla przeciętnego Polaka nie nadawały się więc zupełnie. Dla nas idealnym rozwiązaniem był obszerny, stary dom, mający jak najwięcej pokoi, które można było wynajmować. Na takie domy również można było dostać pożyczki, ale kosztowały one drożej i były zwykle na krótsze okresy.

Już od lat, podobnie jak większość naszych znajomych, mieszkaliśmy w zachodnim Londynie. Pracowałem dalej w CAV na Acton. Rozpocząłem więc poszukiwania w tych okolicach.

Jak zwykle bywa, ambicje były duże, a pieniędzy mało i wiele pięknych posesji pozostało w sferze marzeń. Wreszcie znalazłem coś, co było w zakresie mych możliwości. Piszę coś, bo dom ten bez trudności mógłby być zaliczony do kuriozów Londynu. Podobno w okolicach Smithfield Market w City istnieje budynek, który dziwnym zbiegiem okoliczności do dziś przetrwał w stanie takim, jak go w XVIII wieku urządzili jego pierwsi właściciele Hugenoci. Obecnie jest on zamieniony na muzeum. Dom przy Minford Gardens na Shepherds Bush nie mógł sobie rościć pretensji do tak wspaniałej roli. Natomiast niewątpliwie był wyjątkowo niezwykłym zjawiskiem. W środku stolicy Imperium Brytyjskiego, w roku Pańskim 1958 nie posiadał bowiem elektryczności! Jak za dobrych czasów nieboszczki królowej Wiktorii, oświetlenie było jedynie gazowe. Natomiast posiadał jednak ten wspaniały luksus, że była doprowadzona woda i miał na piętrze łazienkę ze smętnie wyglądającą samotną wanną, a nawet

ubikację, wszystko oczywiście z oryginalnym, a dobrze sfatygowanym wyposażeniem. Kuchnia była na dole. Miała zlew i kuchenkę gazową, oba te antyki w stylu późnowiktoriańskim.

Na świeżym powietrzu, na niewielkim podwórku, w gody domowe uzupełniała mała przybudówka, w której mieścił się przybytek dumania. Coś w rodzaju cywilizowanej wyprawy za stodołę. Zresztą mieliśmy szczęście, że była druga ubikacja pod dachem. W tym czasie istniało jeszcze w Londynie wiele małych domków, które nadal posiadały wyłącznie „sportowe” rozwiązanie urządzeń sanitarnych, wymagające bohaterskiego pokonywania żywiołów, co w ziemie nie należało do zbyt przyjemności.

Ciekawą rzeczą było to, że w zaniedbanym domu przetrwały prawie wszystkie oryginalne kołatki, klamki, przed elektryczne dzwonki... Przeżyły też i kominki, przed którymi stały gazowe piecyki, zainstalowane jeszcze w wiktoriańskiej epoce, jako najnowszy krzyk mody i nadal stanowiące jedyny sposób ogrzewania.

Z całego układu i wyposażenia można było wywnioskować, że dom w swym pierwszym okresie istnienia musiał należeć do niezbyt zamożnych kupców czy rzemieślników, którzy mogli sobie pozwolić na służbę, lecz nie stać ich było na własny pojazd.

Dokładne oględziny zastąpiły raport specjalisty, który w tym wypadku, za odpowiednio duże honorarium, na pewno by gorąco odradzał kupno.

Dom miał *basement*, wysoki parter i dwa piętra. Zewnątrz był obdrapany, lecz widać było, że budowa była solidna, a użyte kiedyś materiały pierwszej klasy, stąd mimo długich lat okropnego zaniedbania budynek trzymał się jako tako. Na pewno nie mógł się zawalić, bo z obu stron podtrzymywały go sąsiednie, stanowiące wraz z nim *terrace*⁴⁰, czyli nieprzerwany ciąg bliźniaczych budowli, znów według nieodmiennego schematu lustrzanego odbicia. Ulica była spokojna. *Terraces* po obu stronach, na skrzyżowaniu uzupełnione były okazałym kościołem anglikańskim, jak przy-

40. Szeregową zabudowa.

stało w neogotyckim stylu. Z wieży kościelnej potężny zegar, jakby z przyzwyczajenia nabytego za dawnych, mniej zagonionych lat, dostojnie wybijał godziny, dopóki go nie uciszyla jakimis̄ przepisami przeciw hałasom.

Wewnątrz domu kolory ścian, pokrytych dziesiątkami pokładów tapet, był dosyć nieokreślony i trudno było ustalić, gdzie kończyły się wzory, a zaczynały plamy. Podobnie się miała sytuacja z dobrze wydeptanym linoleum. Wszystkie drzwi i wiszące na pozrywanych sznurach okna, pomalowane były pod kolor na brązowo. Całość wyglądała ponuro. Ale niemniej dom miał potencjał – było tam aż dziesięć pokoi!

Cena wynosiła 1 500 funtów.

Zaczęły się perypetie, jak tu dostać na tę ruinę pożyczkę. Na dodatek dom miał jedynie 18 lat nie wygaśniętej dzierżawy. *Building Societies* nawet te mniej wymagające (oczywiście za odpowiednią dodatkową opłatą), odpadały. Dzięki Bogu właśnie w tym okresie banki udzielały pożyczki na domy. Zostałem przedstawiony w miejscowym oddziale Barclays Bank, mieszczącym się wówczas na nie istniejącym już narożniku Holland Road i Holland Park Avenue, gdzie obecnie opodal mieści się Kensington Hilton. Jakże inaczej wyglądały wówczas banki. Jakoś nie istniała obawa napadów. Piękne, frontowe, oszklone drzwi służyły więcej ku temu, aby wywierać na klientach wrażenie solidności i niezawodności banku, niż aby bronić przeciw bandytom i włamywaczom. Podobnie było wewnątrz. Imponujące otwarte kontuary, boazerie na przepierzeniach i ścianach, wszystko z solidnego mahoniu, świecącego się jak lustro. Przed kasjerami błyszczące mosiężne wagi do ważenia bilonu. Z boku na ladzie, niskie przepierzenie ze szkła a za nim na wysokim stołku główny kasjer.

Klient nie był wówczas jedynie numerem. Cały personel znał nas. Zdumiewające było, jak dobrze pamiętali nazwiska, nawet tak trudne jak nasze. Kierownikiem oddziału był pan Learner. Przyjął mnie w swym gabinecie za pięknymi mahoniowymi drzwiami, w samym sercu tej świątyni zaufania. Z wielką treścią wypowiedziałem mu prośbę o osobistą pożyczkę. Pan Learner zadał mi szereg pytań. Gdzie pracuję, co robię, ile zarabiam, ile mi potrzeba pieniędzy, na co je chcę wydać.

Gdy powiedziałem, że na dom, spytał się gdzie się on znajduje, ale na moje pytanie, czy będzie chciał go zobaczyć, powiedział, że nie, bo zna w okolicy nieruchomości i ich wartość. Na zakończenie naszej rozmowy, pan Learner powiedział mi, że udzieli mi pożyczki 1000 funtów do spłacenia w miesięcznych ratach w ciągu 10 lat. Uścisnął mi dłoń i rozstaliśmy się. Gdy znalazłem się na ulicy oblały mnie zimne poty. Kupowałem dom, miałem zapłacić ogromną, jak dla mnie, sumę pieniędzy, dostałem pożyczkę, ale ani kawałeczka papieru!! Czy aby rzeczywiście wypłaca pieniądze, gdy przyjdzie do podpisywania kontraktu?! Wróciłem do pracy pełen niepokoju. Z drugiej jednak strony, myślałem sobie jak łatwo wszystko poszło. A wiadomo że „jak dać kurze grzędę, to ona – wyżej siędę”. Zacząłem się więc zastanawiać czy nie zrobiłem głupstwa, prosząc jedynie o 1000 funtów pożyczki. Ostatecznie miałem uciulane 500 funtów, ale przecież będę miał duże wydatki na doprowadzenie domu do jakiego takiego stanu. Zebrałem się na odwagę i z biura zatelefonowałem do sympatycznego pana Learnera. Z wielką emocją spytałem się go, czy przypadkiem nie zgodziłby się na podniesienie wysokości pożyczki o 200 funtów. Rozmowa była bardzo krótka. Pan Learner zapytał się na co mi są one potrzebne. Odpowiedziałem szczerze, że po prostu ułatwi mi to życie. Dostałem 1200 funtów. Pieniądze sumiennie zostały wypłacone. Obecnie, w epoce tysięcy formularzy, cała ta historia wygląda jak zaczerpnięta ze świata bajek. W Anglii jednak, w owych czasach, uścisk dłoni znaczył więcej niż dzisiejsze bezosobowe, skomputeryzowane papierki. Wszystko było oparte na wzajemnym osobistym zaufaniu. Tak więc stałem się *landlordem*.

Bez pracy nie ma kołaczy

A więc kupiłem dom. Gdy dostaliśmy klucze, nagle ogarnęła mnie panika. Jak sobie damy radę? Aby móc samemu zamieszkać, a następnie wynająć pokoje lokatorom, trzeba było doprowadzić ruinę do jakiego takiego porządku oraz choć trochę dom umeblować. Dopiero zaczęła się ciężka praca.

Przed wszystkim zabraliśmy się do robienia porządków, wyrzucając okropne linoleum, zrywając tapety i szorując wszystko co się dało, nie żałując mydła i wody. Następnie trzeba było doprowadzić do użytku łazienkę, bez której nie można było żyć. Myślę, że doświadczenia te były powszechne wśród londyńskich Polaków. W owych zamierzchłych czasach nie istniały jeszcze te wspaniałe raje dla majster-klepków, gdzie w wielkiej hali, na setkach pótek, można znaleźć wszystko co dusza zapagnie. Nie istniały też materiały, które obecnie umożliwiają nawet zupełnym laikom wykonywanie bardzo skomplikowanych instalacji. Od każdej rzeczy był specjalista, który za najdrobniejszą pracę żądał fortunę. Byliśmy jednak szczęśliwcami, mając przyjaciela, który potrafił zrobić absolutnie wszystko. Nietrudno zgadnąć, był nim kochany, nieoceniony Feluś Stawiński. On to na samym początku wyratował nas uruchamiając łazienkę. Zainstalował przyzwoitą wannę, gazowy grzejnik na wodę oraz umywalnię, której w ogóle nie było.

Z pieniędzmi było kruchro, więc improwizowało się jak mogło. Byliśmy stałymi klientami kolegów sławnych Steptoe & Son⁴¹, którzy w owym czasie gnieździli się na Shepherds Bush, w okolicy, którą obecnie zajmuje dojazd do autostrady. Przy dosyć powszechnych pracach urbanizacyjnych, burzono wiele budowli i wśród starego żelastwa, można było znaleźć prawie wszystko co było potrzebne do instalacji. Wiele z tych rzeczy było nowoczesnych i w bardzo dobrym stanie.

Na sprzęty i urządzenie podobnym źródłem były licytacje, szczególnie Lamertons na Ealing. W tym okresie antykami zwano jedynie rzeczywiście stare meble i to w pierwszorzędnym stanie. Reszta klasyfikowana była jako *old junk*⁴² i sprzedawana tanio. Ponieważ Anglia była bardzo bogatym krajem, wśród tych rzeczy, szczególnie w takich dzielnicach jak zamożny Ealing, można było kupić zarówno piękne meble, jak i inne znakomite wyposażenie potrzebne do urządzenia domu. Tak więc powoli kompletowaliśmy pierwsze najniezbędniejsze sprzęty, jak łóżka, tapczany, stoły, krzesła, szafy, koce, prześcieradła, poduszki...

41. Seria telewizyjna o handlarzach starzyzną.

42. Stare graty.

Życie przy świecach było romantyczne, lecz nie na dłuższą metę. Jak tylko mogłem najszybciej zabrałem się do zakładania instalacji elektrycznej. Jeden problem nie istniał. Nie było elektryczności, więc nie było też i starych instalacji ani przewodów. Wszystko zakładałem od nowa. Przy okazji, podnosząc deski podłóg, przeciągając przewody w przepierzeniach, wybierając otwory w ścianach, miałem okazję widzieć, jak solidnie budowane były domy w czasach wiktoriańskich. Nie dziwota, że dom nie był akustyczny, gdy pomiędzy sufitem a podłogą były 9-calowe belki. Stwierdziłem też ku mej radości, że wszędzie było sucho i ani śladu tych niemiłych gości, napawających *landlordów* paniką – *dry rot*, czyli grzybka, czy wszędobylskich korników.

Zaletą pracy w dużej firmie, takiej jak CAV, było to, że nie było rzeczy o której nie można by było zasięgnąć rady. Zawsze któryś z kolegów okazywał się być ekspertem w danej dziedzinie i można było sobie przedyskutować sposoby rozwiązywania najtrudniejszych problemów, zaczynając od podróży planetarnych, a kończąc na zatłoczonej ubikacji. Poza tym była tam znakomita biblioteka techniczna. Zresztą biblioteki publiczne były również świetnym źródłem informacji.

Angielskie przepisy dotyczące instalacji elektrycznych są bardzo ostrożne, ja też, podejrzewam więc, że po dokładnych poszukiwaniach w technicznych książkach i długich dyskusjach z kolegami, moja sieć była tak na zapas, że nawet boczne przewody mogłyby śmiało służyć jako główne linie zasilające sporą wieś! Wszystko było super bezpieczne. Natomiast te nie kończące się przepisy bezpieczeństwa i moja głupota, niemal uniemożliwiły mi pisanie mych wspomnień. Otóż gdy wszystko było pięknie gotowe, przyszedł inspektor z elektrowni, zaaprobował całą moją instalację i podłączył prąd. Główna skrzynka z bezpiecznikami i wyłącznikami ślicznie zagrała. Okazało się, że wprowadziłem do niej przewody przez dwa osobne otwory, co stwarzało obwód magnetyczny. Inspektor, który był przychylnie nastawiony, ale któremu się śpieszyło do domu, zostawił prąd podłączony, ale nakazał, abym z czasem przeprowadził oba przewody przez ten sam otwór. Ponieważ mnie się nie chciało wołać znów inspektorów

z elektrowni, aby mi wyłączyli prąd, zabrałem się do wycinania otworu, używając ręcznej wiertarki i pilniczka. Wszystko było cacy cacy dopóki nie wyłamałem wyciętego kawałka. Pozostały bardzo ostre szpice, z których jeden przy manipulacji przebił izolację przewodu i tuż przed moją twarzą strzelił istny piorun. Ze strachu spadłem z drabiny. Oczywiście spaliły się 60-amperowe bezpieczniki należące do elektrowni. W zupełnym więc bezpieczeństwie, tyle, że przy świeczce, dokończyłem wycinanie otworu. Nigdy więcej w życiu nie robiłem nic przy instalacji elektrycznej bez wyłączenia prądu.

Po tym doświadczeniu doszedłem do wniosku, że lepiej nie igrać z ogniem i zdecydowałem oddać instalację gazową, wraz z nieodzownymi, głodnymi na monety licznikami, w ręce specjalistów. Zresztą i tak nie mógłbym jej sam założyć, gdyż nie miałem odpowiednich narzędzi do rur o tak dużej średnicy.

Natomiast sam przerabiałem i reperowałem instalację wodną. A nie było to, jak dzisiaj, jedynie montowanie elementów plastikowych. Chodziło o prawdziwie wyższą szkołę jazdy! W przeciwieństwie do naszego kraju, gdzie używane były galwanizowane rury żelazne, większość rur wodociągowych w Anglii była w tych czasach z ołowiu. Wygląda to pozornie na masowe, perfidne samobójstwo, ale przy kredowych podłogach, ołów bardzo prędko pokrywają wapienne osady i nasze życie jest uratowane. Tak więc po ścianach i pod podłogami, wijąc się ciągnęły ołowiane rury. Wyglądały jak węże właśnie połykające dopadnięte ofiary w formie kranu, czy jakiegoś połączenia. Od czasu do czasu było na nich zgrubienie, tak jakby powoli trawiły wcześniej połknięty posiłek. Zgrubienia te ukrywały największy sekret panów plumberów – *wiped joint* – obtarte połączenie. Była to rzeczywiście istna sztuka. Trzeba było mieć lampę do lutowania, sztabkę stopu ołowiowego, łuj, szmatę i dużo, dużo szczęścia! Gdy obserwowaliśmy fachowców, wszystko wyglądało tak łatwo. Gdy zabieraliśmy się sami do pracy, sprawy miały się zupełnie inaczej. Lampa gasła, ołów nie chciał się topić, podczas gdy rura wykazywała ku temu wielką ochotę. Obcieranie złącza, do złudzenia przypominające

delikatną operację przy zmianie pieluszek niemowlęcia, w żaden sposób nie dawało pożądanych rezultatów. Wreszcie, gdy po odkręceniu wody, dumnie spoglądaliśmy na nasze dzieło, powolutku zjawiała się małeńka łezka i rosła wraz z naszym smutkiem. Trzeba było zaczynać wszystko od nowa, włącznie z opróżnianiem rur z wody, co nie było takie łatwe.

Z czasem człowiek nabiera doświadczenia i odważyłem się nawet na przerobienie jednego z pokoi na kuchnię, sam zakładając całą instalację. Pracowaliśmy poświęcając każdą wolną chwilę. Trzeba było zabrać się za przygotowywanie ścian, drzwi i okien do malowania. Na podłodze pozdzierane linoleum pozostawiło po sobie tysiące gwoździaków, których wynalezienie i usunięcie stanowiło prawdziwie benedyktyńską pracę. I nagle, gdy wydawało się, że już nigdy nie będzie końca, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, dom przybrał pogodny wygląd. Nie ma jak świeże, jasne kolory!

Trzeba było znaleźć lokatorów.

W marzeniach *landlorda*, idealny lokator powinien być kawalerem, mieć dobrą pracę, płacić komorne jak zegarek, posyłać bieliznę do pralni, mieć awersję do gotowania, jadać poza domem, mieć lubą z mieszkaniem, spędzać u niej wieczory, a jeszcze lepiej całe noce i tam się kąpać. Na dodatek na weekendy powinien jeździć do domu rodziców poza Londyn. W gruncie rzeczy może on w ogóle nie istnieć, byle by tylko regularnie płacił komorne! Niestety takie ideały nieczęsto się zdarzały i musieliśmy się zadawałać kandydatami nie posiadającymi aż tylu zalet. W owych czasach nie było żadnych praw przeciw dyskryminacji, toteż można było ogłaszać pokoje wyliczając wymagania. Drogie, kochane panie nie obrażajcie się. Macie wszystkie zalety pod słońcem, ale niestety lubicie gotować, pracować, myć głowę i w ogóle spędzać zbyt dużo czasu w domu, i tym samym jako lokatorzy daleko wam do ideału!

Z pierwszym lokatorem, moim kolegą z biura, mieliśmy wyjątkowe szczęście. Miał prawie wszystkie cechy wymarzone przez *landlordów*. Był kawalerem, miał dobrą pracę, płacił regularnie i wraz ze swym praniem, jeździł do domu na weekendy. Niestety zmienił posadę i wrócił do rodzinnego miasta. Miejsce jego zajął spokojny, grzeczny Hindus. Miał

on kochanka Anglika, co w owych czasach nie było jeszcze dozwolone przez prawo, ale zachowywali się dyskretnie i nie sprawiali nam kłopotów. Wybierali się do ziemi obiecanej w Kalifornii. Ostatecznie nic z tego nie wyszło, bo gdy kochanek pojechał jako pierwszy, tak się wystraszył, że telefonował o wszystkich porach dnia i nocy błagając o pieniądze na bilet powrotny. Mieliśmy też jako lokatora Węgra. Jak większość naszych bratanków był bardzo sympatyczny, ale do ideału lokatora było mu daleko. Tak więc dom spłacali lokatorzy, a my mieszkaliśmy na swoich śmieciach.

Serdeczni przyjaciele

W latach moich ciężkich przeżyć, bez przyjaciół trudno mi byłoby przetrwać. Jak się ma mnóstwo zmartwień, jest człowiekowi smutno, i czuje się osamotnionym, to nie ma lepszego lekarstwa, jak odwiedzić przyjaciół i posiedzieć sobie u nich w domu. Oczywiście najlepiej jeżeli ten dom tętni radością rodzinnego życia.

Jednym z takich domów był dom Żuków Frąckowiaków. Swoją drogą wśród Polaków trudno było znaleźć w owych powojennych latach kogoś, kto nie miałby fantastycznych przeżyć. Podobnie było z Wandą i Żukiem. Wandzia urodziła się w Warszawie i tam przebywała aż do powstania. Oczywiście jak większość młodych warszawianek była w AK. Miałem jej dzieje pięknie spisane, ale złośliwy los chciał, że zgubiłem notes i gdy poprosiłem Wandę, aby mi podała swą historię na nowo, odpisała mi, że nie warto już o tym pisać, bo to tak dawno i ludzie są przesyleni wojennymi historiami. Ano są, ale jak tu o tym wszystkim nie pisać, jak to jest częścią naszego życia? A że losy nasze decydowała wojna i jej okropności, to cóż na to możemy poradzić. Otóż Wandzia w czasie konspiracji należała do jednego z plutonów AK na Pradze i wraz z nim, oprócz działalności podziemnej, szkoliła się w przygotowaniu do otwartej walki. 1 sierpnia 1944 na prawym brzegu Wisły powstanie się nie powiodło i pluton Wandzi powrócił znów do konspiracji, oczekując na okazję

przeprawienia się do walczącej Warszawy. Po jakimś czasie, śladem niektórych innych oddziałów praskich, zorganizowali Łódź i w ciemnościach, gdzieś w okolicach na południe od Siekierok, przeprawili się przez rzekę. Niestety już na samym brzegu natknęli się na patrol niemiecki. Wandzia cudem nie została rozstrzelana, a jedynie wysłana do obozu koncentracyjnego w Stuthoff na Pomorzu, a następnie ewakuowana na zachód do Belsen. Udało się jej przeżyć. Jako pamiątki pozostały wytatuowany numer na przedramieniu i nadszarpnięte zdrowie. Po wyzwoleniu dotarła do Anglii, gdzie jeszcze od czasów wojny była jej starsza siostra, znana wśród londyńskiej emigracji dentystka pani Borkowska. W Londynie Wandzia poznała Żuką. Zakochali się i pobrali.

Józef Frąckowiak czyli Żuk urodził się, aby trudniej było zgadnąć, w Dortmundzie w Westfalii, gdzie ojciec jego jeszcze przed I wojną światową wyemigrował za chlebem i pracował jako górnik. Niedługo po urodzeniu się Żuką, ojciec został wcielony do armii niemieckiej i matka z dziećmi wróciła do kraju. Po zakończeniu wojny, ojciec przeniósł się do północnej Francji, gdzie nadal pracował jako górnik w kopalni węgla. Wkrótce sprowadził rodzinę. Żuk chodził do francuskiej szkoły powszechnej, a w soboty do polskiej, zorganizowanej przez miejscowych Polaków, a popieranej przez konsulat. Nauczycielem w szkole był pan Janusz Wiącek, który wnet zorientował się w zdolnościach małego Żuczka i gdy Towarzystwo Emigracyjne w Warszawie zorganizowało akcję sprowadzenia młodzieży na naukę do Polski, Żuk w grupie ponad 100 znalazł się w kraju. Celem akcji było wykształcenie przyszłych przywódców życia społecznego wśród emigracji polskiej. Młodzież ta rozesłana została do gimnazjów po całej Polsce. Żuk pojechał do Częstochowy do I-ego gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza. Nauka w gimnazjum była wówczas 8-letnia. Początkowo Żukiem opiekowała się szkoła, a później już sam sobie dawał radę. Po maturze rozglądał się jakby tu zdobyć zawód. Próbował dostać się na medycynę wojskową, ale na ograniczoną ilość miejsc, kandydatów było zbyt wielu. Zdecydował się więc wstąpić do 3-letniej Zawodowej Szkoły Podchorążych Łączności w Zegrzu. Po promocji oficerskiej w 1938 roku, Żuk został

przydzielony do dywizyjnej kompanii łączności w Grodnie. Na wojnę wyruszył w składzie Armii Odwodowej gen. Dąb-Biernackiego. Po szeregu walk, Armia zakończyła działania pod Zamościem. Pod Odrzywałem Żuk dostał postrzał w mięsień szyjny poniżej lewego ucha. Od niewoli uratowała go żółtaczka, na którą zapadł w szpitalu. Zwolniony w Opatowie, przedostał się do znajomych w Koniecpolu pod Częstochową, gdzie przesiedział do grudnia, kombinując, jakby się dostać do Armii Polskiej u boku sprzymierzeńców. Wprowadził to w życie i z wieloma przygodami poprzez Węgry dotarł do *Caserne Bessiere* w Paryżu, gdzie znów znalazł się w szeregach. Jak tylko mógł najprędzej, wziął przepustkę i pojechał w odwiedziny do domu. Tego samego dnia, gdy się tam zjawił, nadeszła kartka z Czerwonego Krzyża, zawiadamiająca rodziców, że syn ich poległ w działaniach w Polsce. Zmartwychwstały Żuk został wysłany na staż na Linie Maginota do francuskiej 39 Dywizji Strzelców Alpejskich. Gdy w czerwcu 1940 roku zorientował się, że jest jedynym obrońcą tych wspaniałych fortyfikacji, ruszył w drogę. Szczęśliwie spotkał trzech kolegów łącznościowców z 1-szej Dywizji Grenadierów, i już razem przebijali się na południe, aby przez Hiszpanię przedostać się do Anglii. W Szkocji 3-cia Brygada Kadrowa, następnie wszystkie skoki ćwiczebne w Brygadzie Spadochronowej i wreszcie ostateczny przydział do 1-szej Dywizji Pancernej. W czasie inwazji pod Jort Żuk był znów ranny. Ponieważ został zabrany przez angielskich sanitariuszy i odesłany do angielskiego szpitala, w 1-szej Dywizji Pancernej byli przekonani, że poległ, i nawet chowając jakieś nierozpoznawalne szczątki postawili krzyż na którym widniało, że tu spoczywa por. Frąckowiak. Po wykurowaniu się, niezniszczalny Żuk dołączył do Dywizji już w Holandii, ale nie na długo, bo po wypadku samochodowym znalazł się znów w szpitalu i odesłany został na leczenie do Anglii. Później PKPR, demobilizacja i pan kapitan musiał się rozglądać za pracą. Jako, że mówił płynnie czterema językami, znalazł ją w międzynarodowej centrali telefonicznej. U znajomych poznał Wandę. Po ślubie nie mieli łatwych początków. Urodził im się pierwszy syn Ryszard, w parę lat potem drugi syn Andrzej. Pracowali oboje bardzo ciężko.

Wandzia chowała dzieci i dorabiała podnosząc oczka w pończochach, które Żuk przywoził z rozmaitych sklepów w City. Ciułał grosz do grosza i za oszczędności wreszcie udało im się kupić dom na Chiswick. Gnieźdździł się w części, a resztę, dobrym emigracyjnym zwyczajem, wynajmowali lokatorom. Żuk z czasem, przez kontakty ze sklepami w City, wynalazł możliwość przystąpienia do spółki w małym sklepiku z torebkami, rękawiczkami i innymi wykończeniami, w samym sercu City przy St. Swithin's Lane. Sklepek był tak mikroskopijny, że ledwie można się w nim było obrócić. Magazyn był w podziemiu, do którego dostawało się przez klapę za ladą po karkołomnej drabinie. Klientkami były eleganckie sekretarki dyrektorów okolicznych instytucji i banków, oraz ich młodsze ambitne koleżanki. Z czasem przyszły mocniejsze pończochy i zmniejszyło się zapotrzebowanie na podnoszenie oczek. Chłopcy już nieco podrośli i poszli do szkoły. Wspólniczka wyszła za mąż i Żukowie wykupili jej udział. Sklepek i Żukowie opisani zostali na stronach 156-160 i 165-169 w książce „The Virgina of Aldenbury (Rebirth of the City of London)”⁴³ napisanej przez Mrs. Robert Henreya, która zachwyca się dzielnymi Polakami, którzy po tylu przejściach, z taką determinacją budowali swą przyszłość. Pracowali na zmianę, Wandzia do południa, a Żuk po obiedzie, po czym zamykał sklep i siedł do centrali telefonicznej, gdzie pracował od godz. 18.00 do 22.30. Na dodatek dwa razy w tygodniu miał nocny dyżur. Jedynie w czasie weekendów spotykali się całą rodziną. Chłopcy uczyli się dobrze, zarówno w angielskiej szkole, jak i w sobotniej polskiej. Brali czynny udział w polskim harcerstwie, i w ogóle przynosili Żukom radość i dumę. W tamtych czasach nie brakło naszych milusińskich w zachodnim Londynie. W szkołach bractwo uczyło się dobrze i trzymało gromadnie. Sytuacja nieraz była nawet zabawna, gdy w angielskiej szkole język polski stawał się tajnym językiem grupy najlepszych uczniów, czy uczennic. Powstawała legenda o genialności polskich dzieci. Rzeczywiście uczyły się one dobrze, ale sekretem powodzenia było napędzanie przez rodziców do nauki, czego

43. „Dziewica z Aldenbury (Odrodzenie londyńskiej City)”.

angielscy rodzice nie czynili. Często powtarzane „Jak się nie będziesz uczył, to będziesz tak ciężko pracował jak ojciec i matka”, bardzo pomagało. Gdy maluchy patrzyły na wymęczonych rodzicieli, prawda tych słów nie podlegała wątpliwości. W domu Żuków mówiło się jedynie po polsku. Jednym z ciekawych zjawisk jest to, że dzieci z rodzin, gdzie w domu mówiono po polsku, mówią po angielsku z bezbłędnym akcentem nabytym w szkole, podczas, gdy dzieci z rodzin, gdzie, aby pomóc dziecku, wysilano się mówić w domu po angielsku, nabierały fatalnego akcentu cudzoziemskiego i błogosławiły za to rodziców do końca życia.

Obaj synowie Żuków, kolejno zdali w Latimer School 11 plus⁴⁴ ze świetnymi rezultatami. Szkolne przepisy mówiły jednak, że tylko jeden z rodziny mógł dostać stypendium, więc Żukowie pokrywali dalsze koszty nauki drugiego. Obaj chłopcy nadal brali udział w polskim życiu, zajmując przywódcze funkcje w ZHP i Stowarzyszeniu Studentów Polskich na Uchodźstwie. Ryszard skończył medycynę, jest obecnie profesorem i międzynarodową sławą w swej specjalności. Andrzej rozbudował wspaniałą praktykę weterynaryjną na prowincji. Niestety zmarł przedwcześnie.

W latach sześćdziesiątych sytuacja Żuków poprawiła się. Sprzedali sklepik, kupili drugi dom, Żuk przestał pracować w centrali telefonicznej. Jednak aby, jak mówił, nie zastać się, szukał jakiejś interesującej pracy. Udało mi się wprowadzić go do Wydziału Działañ Zagranicznych w CAV, gdzie pracował długie lata, aż do emerytury.

Dla mnie dom Żuków był prawdziwym balsamem.

Życie kulturalne

W listach z Polski martwili się, że możemy zapomnieć mowy ojczystej, tymczasem w domu mówiliśmy przecież po polsku, a w naszym londyńskim pięćdziesięcioletnim Grajdółku, życie kulturalne było na pewno żywsze niż w wielu miastach tej wielkości w kraju. Mieliśmy wszystko i to pierwszej klasy. Weźmy na przykład wieczór autorski Wie-

44. Egzamin decydujący o typie dalszej nauki.

rzyńskiego, który odbył się 24 czerwca 1959. Sala Ogniska była wypełniona do ostatniego miejsca. Wprowadził krótkim powitaniem Wohnout, następnie Terlecki zanalizował twórczość Wierzyńskiego. Wiersze czytali Tola Korian i dr Kielanowski. Publiczność reagowała żywo i nastrój na sali był wspaniały. Po wierszach miał przemawiać Wierzyński, ale był tak rozczulony, że się rozplakał. Mówił dopiero po przerwie, podziękował za przyście i bardzo pięknie przeczytał kilka swych wierszy. Melodeklamacja Toli Korian przy akompaniamencie Kropiwnickiego była bardzo dobra. Deklamowała „Koncert Chopina w Nowym Jorku” i „Koncert w niedzielę”. Szczególniej przypadł mi do gustu ten ostatni wiersz. Na zakończenie czytał znów Wierzyński, tym razem kilka wierszy z nowego, jeszcze nie wydanego zbioru. Widać było, jak poetę fascynowała ziemia-gleba i jak powracał do tego motywu z miłością znawcy przyrody. Bardzo mi się podobał wiersz o lisie. Trochę dziwne, że na wieczorze było tak mało młodych. Na przykład z literackiego grona trzydziestolatków z Klubu Piątego Koła nie było nikogo. Wśród publiczności licznie reprezentowana była brać aktorska oraz literacka „średniego” pokolenia mającego około pięćdziesiątki. Przeważały niewiasty.

Był to okres, gdy przez jakiś czas Wierzyński przebywał w Londynie. Zatrzymał się w jednym z mieszkań w Domu SPK pod numerem 20 przy Queens Gate Terrace. Ponieważ brał udział w naszych inicjatywach STP, kilkakrotnie odwożłem go do domu. Odległość była niewielka, ale te krótkie rozmowy robiły na mnie głębokie wrażenie.

W tym okresie nasz farmaceuta mgr Mateusz Grabowski przedzierzgnął się w mecenasa sztuki i otworzył „Grabowski Gallery” na zapleczu swej apteki, z wejściem od Sloane Avenue, o parę kroków od byłego garażu Michelin. Galeria była w znakomitym miejscu i wnet wyrobiła sobie dobre imię w angielskich sferach artystycznych. Często wystawiane były tam prace polskich plastyków jak Józefa Czapskiego, Mariana Szysko-Bohusza. Galeria robiła dobrą propagandę polskiej sztuce. Jakim cudem pan magister oderwał się od pigułek i zwrócił ku sztuce nie wiem, ale podejrzewam, że musiał to być wpływ jego kolegi z Uniwersytetu Stefana Batorego w

Wilnie, prof. Mariana Szyszko-Bohusza, bardzo czynnego wśród polskich artystów w Londynie, a równocześnie i w zgranej społeczności USB. Ruchliwość i zapal profesora były godne podziwu. Organizował odczyty, wieczory, wystawy, wycieczki. Prowadził też własne Studium Malarskie w domu Polskiej YMCA na Bayswater, gdzie mieszkał. Z entuzjazmem głosił swe przekonanie, że każdy ma coś do powiedzenia i wystarczy tylko, aby wziął pędzel do ręki i wylał swą duszę na płótnie. Z czasem mgr Grabowski otworzył filię swej galerii w Bournemouth. Obrat też specjalizację i wystawiał jedynie obrazy konstruktywistów. Powstawały też i inne polskie galerie, jak na przykład Drian Gallery Haliny Nałęcz przy Porchester Place, czy też Castle Gallery.

We wrześniu 1959 roku miałem miłe spotkanie. Mianowicie w Tate Gallery odbywała się wystawa Ruchu Romantycznego. Wśród wystawionych obrazów znajdował się portret konny Stanisława Kostki Potockiego, pędzla Davida. Poszedłem odwiedzić mego starego przyjaciela z wilanowskich czasów. Trochę się zawiodłem, bo choć portret wyglądał wspaniale, to jednak nie to samo, co w swej bogatej złocistej ramie w ciepłym wilanowskim salonie. Sąsiedztwo miał bardzo dobre, między innymi portret Wellingtona malowany przez Goyę. Muzeum Narodowe przysłało również dwa obrazy Michałowskiego, które na tle wystawy prezentowały się znakomicie. Miło było, że Polska reprezentowana była tak godnie na tej sławnej międzynarodowej wystawie.

Rok 1959 był znów rokiem rocznic. Zostałem zaproszony do wzięcia udziału w audycji radiowej BBC, która miała być transmitowana do Polski pierwszego sierpnia.

Bardzo byłem przejęty, gdyż nigdy jeszcze nie mówiłem przez radio. Mieliśmy wspominać o naszych wrażeniach z pierwszych momentów powstania. Do audycji przygotowałem się parę wieczorów. Nagrywanie odbyło się w studiach BBC w Bush House przy Aldwych, tych samych, skąd w czasach wojennych na falach eteru rozchodził się głos nadziei „...Tu mówi Londyn...” dodający otuchy okupowanej Europie. Teraz z kolei nasz głos miał utrwalać prawdę o tamtym pamiętnym dniu zrywu Armii Krajowej. Wyposażenie studia na pewno było na owe czasy nowoczesne, ale w porównaniu

z dzisiejszym było dostatecznie prymitywne, tak że musieliśmy czytać do mikrofonu bardzo głośno.

We wrześniu we wszystkie niedziele, w Brompton Oratory odbywały się nabożeństwa za poległych rozmaitych oddziałów, a że niedziele były jedynie cztery, więc każda msza była za poległych szeregu jednostek. Za poległych 7 Pułku Ułanów Lubelskich we Wrześniu i w czasie powstania modliliśmy się 27 września. W tym dniu modlili się z nami również towarzysze broni z 1 Pułku Pancernego, 18 Batalionu Strzelców i jeszcze jednego oddziału. Ogromna świątynia była wypełniona po brzegi.

Właśnie w uprzednią sobotę zrobiło na mnie głębokie wrażenie słuchowisko radiowe „Not enough tragedy”⁴⁵ pióra Val Gielguda, brata Johna – sławnego aktora, potomków emigranta po powstaniu listopadowym majora Jana Gielguda, brata generała. Sztuka poruszała problem niezmiennych wartości – lojalności, bohaterstwa na tle młodego zbuntowanego pokolenia *angry young men*⁴⁶. Autor znajdował wartości absolutne w powstaniu warszawskim.

Na odmianę Polska i Polacy mieli w Anglii w tym okresie „dobrą prasę”. Nie miało to wielkiego znaczenia, ale w pojęciu Albionu, białe niedźwiedzie coraz rzadziej spacerowały po ulicach Warszawy.

Koncepcja, aby członkostwo Stowarzyszenia Techników Polskich, występującego pod angielskim mianem *Institution of Polish Engineers*, stało się przepustką do lepszych posad w przemyśle brytyjskim, nie wyszła i musieliśmy się rozglądać za działalnością, która zainteresowałaby członków STP i przyciągnęła nowych. Organizowane były odczyty na tematy techniczne. Ciekawą inicjatywą był cykl wykładów o zagadnieniach administracyjnych w przemyśle. W połowie lat 50-tych prowadzone były bardzo pożyteczne kursy kreślarskie, które wyrobiły sobie świetną renomę w przemyśle angielskim i dawały absolwentom szanse posad w biurach konstrukcyjnych. Było około 800 kandydatów, na kursie mechanicznym wykładowi inżynierowie Biliński, Kontowtt i Płoszajski a na kursie budowlanym inżynierowie Morawicz, Tycz-

45. „Nie dosyć tragedii”.

46. Gniewni młodzi ludzie.

kowski i Woyno. Istniało też życie towarzyskie z częstymi kawiarenkami i dorocznymi balami. Będąc referentem odczytowym, postanowiłem zorganizować coś, co mogłoby zainteresować również i publiczność spoza środowiska technicznego. Wybrałem temat budzący wówczas szerokie dyskusje, była to sprawa podziału na dwie kultury. Przygotowywanie wieczoru dyskusyjnego „Kultura techniczna a humanistyczna” było bardzo ciekawym przeżyciem, szczególnie jeżeli chodzi o kontakt z rektorem PUNO, prof. dr Cezarią Jędrzejewiczową. Czasami spotykamy w życiu osoby, przy których czujemy się malutcy i niedouczeni. Taką osobą była pani Cezaria. Mieszkała w Antokolu i opowiadał mi stryj, jak się tam pani profesor z panem Jełowickim zabawiali. Jedno zaczynało po grecku jakąś strofę z Homera, czy też po łacinie z Owidiusza, a drugie ją kończyło. Pani Cezaria zgodziła się na udział w wieczorze STP i zasugerowała mi szereg kandydatów ze strony humanistycznej, między innymi socjologów, prof. Stanisława Swianiewicza i dr Stanisława Andrzejewskiego oraz antropologa dr Bogumiła W. Andrzejewskiego. Z tym ostatnim ucieliśmy sobie ciekawą pogaduszkę telefoniczną. Jakoś zeszło na temat odznaczeń i dr Andrzejewski, który właśnie powrócił z Afryki, gdzie prowadził badania wśród ludożerców, oczywiście tych, którzy wyrzekli się już swych przysmaków, opowiadał jakie to ciekawe części anatomii pokonanych wrogów, noszone były w tych szczepach na bohaterskich piersiach wojowników, zamiast naszych orderów.

Niestety wszyscy oni byli zajęci. Natomiast udało mi się uzyskać zgodę etnologa pani mgr Kazimierzy Domaniewskiej-Sobczak, oraz prof. Mariana Szyszko-Bohusza. Ze strony technicznej wzięli udział inż. Jarosław Żaba z Manchesteru, dr inż. Tadeusz Prus-Chąciński, dr Leszek Klimek. Przewodniczył mgr Zbigniew Gołębiowski. Wieczór odbył się w Ognisku 8 kwietnia 1960, przy zapełnionej sali. Podobnie udał się, również w Ognisku, odczyt dr Felsztyna na temat „Wyższa uczelnia techniczna czy wyższa szkoła zawodowa”. Mówił on o wpływie zmian zachodzących w świecie na uczelnie techniczne i potrzebie, aby w pogoni za bezpośrednimi rezultatami, nie zatraciły one charakteru instytucji naukowych, które zajmują się wiedzą, bez względu na to czy ma

ona w danym momencie bezpośrednio zastosowanie praktyczne. Jeden z przykładów ilustrujących wagę tego zagadnienia utkwił mi w pamięci. Dr Felsztyn opowiadał, jak w młodości studiując na uczelni, zachodził w głowę, komu kiedykolwiek może być użyteczna tak wysoce teoretyczna nauka jak topologia? Okazało się, że dożył czasów, gdy bez tej nauki nie moglibyśmy mieć rozsądnie rozwiązanych skrzyżowań autostrad.

Jedną ze spraw, którymi zajmował się referat odczytowy STP, było zagadnienie szkolnictwa w Wielkiej Brytanii. System był tak skomplikowany, że trzeba było pomóc rodzicom i młodzieży, aby mogli jak najwydajniej wykorzystywać istniejące możliwości. A było ich sporo i musieliśmy pilnować, aby młodzi Polacy zdobywali jak najlepsze wykształcenie i zawody. Udzielaliśmy więc porad i organizowaliśmy wieczory informacyjne z doborowym zespołem prelegentów.

Ocena sytuacji

Według jednego z mych listów, pod koniec grudnia 1959 roku, oceniałem sytuację Polaków w Wielkiej Brytanii następująco:

Społeczeństwo nasze osiągnęło względnie dobrą stabilizację materialną i żywo organizowało się w komórki i ośrodki lokalne, jak parafie i gminy. Gorzej było z organizacjami centralnymi. Istniała ich wielka ilość, ale z nielicznymi wyjątkami, bez członków i bez poparcia młodych. Z młodymi, to jest z pokoleniem, które w 1945 roku było w wieku przedpoborowym i znajdowało się w polskich szkołach średnich w Palestynie, Indiach, Afryce i Wielkiej Brytanii, był kłopot bo, podobnie zresztą do swych rówieśników na całym zachodnim świecie, byli zbuntowani. Nie bardzo jednak było wiadomo przeciw czemu i nie wykazywali też najmniejszej dążności do przebudowywania i ulepszania naszego polskiego życia społecznego. Mieli pretensję do starszych, że ich nie dopuszczają do władzy, ale z miejsca dawali za wygraną. Oczywiście istniały wyjątki, ale były one bardzo nieliczne.

Trochę inaczej sprawa się miała z nieco młodszym pokoleniem ze szkół brytyjskich. Oczywiście było ono pod znacznie silniejszym wpływem angielskim, ale jednak wydawało mi się, że łaknie, może nawet podświadomie, oparcia w polskość i stanowiło żywną glebę do uprawy. Ciekawym zjawiskiem było to, że PUNO odżywało właśnie na tym pokoleniu.

Wpływ partii politycznych na życie społeczne zmniejszył się widocznie, nawet na terenie organizacji, gdzie dawniej wszystko szło według klucza partyjnego. Zjednoczenie Polskie w Wielkiej Brytanii istniało, ale jego ciężar gatunkowy nie był dostatecznie wysoki. Uważałem, że organ ten jest nam bardzo potrzebny, ale po dokładnej przebudowie.

Mieliśmy okazały majątek społeczny, ale niestety był on rozdrobniony pomiędzy rozlicznymi organizacjami i gospodarowany domowym sposobem, co w rezultacie nie wyzwalało całego jego potencjału.

Politycznie byliśmy rozbici na kilka obozów. Większość emigrantów nie bardzo się orientowała o co chodzi i w gruncie rzeczy nie bardzo się tym interesowała.

Coraz bardziej popularna w tamtym okresie telewizja, stawała się potężnym wrogiem życia społecznego.

Na tle tego klimatu polskiego Londynu wydawało mi się, że powinniśmy dążyć do scalenia naszego życia społecznego w Wielkiej Brytanii. Istniała dawna struktura, ale będąc podzielona i zakrzepła w sztywnych formach, nie odpowiadała nowym potrzebom i nie realizowała wszystkich naszych możliwości. Zagadnienie polegało jednak na tym, aby przy scalaniu życia społecznego w Wielkiej Brytanii w nowych formach, nie przejmując się zbyt istniejącą strukturą, nie zmarnować wartości jakie przedstawiała. Przy tej przebudowie jako podstawowe jednostki powinny być przyjęte gminy i parafie, i powinno się dążyć do wyborów do *Federation of Poles in Great Britain*. Uważałem, że należy wytworzyć silny ośrodek inteligencji polskiej, opierając się na Stowarzyszeniu Techników Polskich, Związku Lekarzy Polskich i Zrzeszeniu Studentów i Absolwentów Polskich. Było to całkiem możliwe i inicjatywy już istniały, ale były bardzo nieśmiałe. Jeżeli chodzi o następców to powinniśmy

działać pod hasłem „Każde dziecko polskie kończy uniwersytet”, a dążyć do tego, aby każde dziecko polskie zdobyło co najmniej zawód.

Istniało też zagadnienie jak przyciągnąć młodzież będącą pod silnym wpływem asymilacyjnym. Jedną z dróg do tego, było stworzenie warunków, które dawałyby jej lepszą pozycję społeczną, niż ta, która była dla niej dostępna na terenie brytyjskim.

W konkluzji tej analizy, piszę w moim liście, że musimy: „Dążyć do Instytutu Polskiego, takiego jak francuski, który mieściłby teatr, bibliotekę (nie osobno, jak to się obecnie robi!) i inne potrzebne instytucje równocześnie mając skrzydło zarabiające na utrzymanie go – (hotel? blok biurowy? flaty?). Pieniądze: I. Z pożyczek na istniejący dobytek społeczny (*mortgages*); II. Pożyczek na *development* – III. Składek, zapisów testamentowych itp. Jeżeli chodzi o *business*, a taki można zrobić, to pieniądze obecnie nie tak trudno pożyczyć, co można sprawdzić patrząc się na rozbudowę Londynu!”

Rzeczywiście wokół nas Londyn przebudowywał się w imponującym tempie. Była to epoka nowoczesnych planów urbanistycznych, które w przyszłości nie zawsze okazywały się tak zbawienne, jak to optymistycznie głosili ich projektanci.

Nasz polski emigracyjny świat stał sobie jakby na uboczu i niewiele się tam zmieniał. Bardzo mnie bolało nasze skłócenie polityczne i męczyło to, że nie wykorzystujemy w pełni możliwości jakie ilościowo i jakościowo przedstawiało nasze społeczeństwo. Było jasnym, że tymczasowość się skończyła i powinniśmy planować na długą metę. Na dalszą działalność trudno było liczyć na kapitał naszych czynów bojowych podczas ubiegłej wojny. Wprawdzie nadal wywoływał on wśród Brytyjczyków wyrzuty sumienia i pomagał w zbiórkach na takie cele jak Pomnik Lotników, ale trzeba było dążyć do szukania nowych elementów, które wzmacniałyby nasz głos. Nasi przywódcy mieli jeszcze swe stare brytyjskie i międzynarodowe kontakty z czasów wojennych, i nazwiska ich nadal były poważane, niemniej istniał problem, że wszędzie dochodzili do władzy nowi ludzie z następnego pokolenia i powiązania nie były już tak silne jak dawniej.

Jeżeli chodzi o następców na emigracji, to ich nazwiska poza naszym terenem, nie były znane nikomu.

Niewątpliwie należało działać, tym bardziej, że pokolenie naszych przywódców zaczęło odchodzić na wieczną wartę. W czerwcu 1960 roku zmarł gen. Haller. Żałobną mszę św. w Opactwie Benedyktynów na Ealing celebrował ks. biskup Gawlina. Zgromadziły się duże tłumy, włącznie z większością naszych przywódców emigracji. Byli generałowie Anders, Bór-Komorowski, Duch, Głuchowski, Odzierzyński, Pełczyński, były poczty sztandarowe dwu pułków bliskich generałowi, sztandar Sodalicji Mariańskiej, z którą zmarły był związany, młodzież harcerska ze sztandarami. Na schodach świątyni stał szpaler zuchów. Trumna pokryta była białoczerwoną chorągwią z orłem. Było dużo wieńców. Francję reprezentował *attaché* wojskowy ambasady w mundurze. Nasi gospodarze jak zwykle nie przystali nikogo, w imię ostrożnej maksymy, że pogrzeby, a w szczególności emigrantów zza żelaznej kurtyny, to jest sprawa prywatna. Z Ealing kondukt pogrzebowy przejechał na nowy i jeszcze dosyć pusty cmentarz Gannersbury. Nad otwartym grobem przemawiał gen. Anders. Modły odprawił ks. infułat Michalski w asyście ks. prałata Staniszewskiego, ks. prałata hm Elston-Gogolińskiego i ks. mgr Sołowieja. Później grudka ziemi z Polski wysypana z koperty na trumnę, i tak jeszcze jeden tułacz spoczął na obcej ziemi.

Pogrzeb ten sfilmowałem. Prócz mnie filmowało go również dwu operatorów. Na terenie emigracji w Wielkiej Brytanii filmowali nasze uroczystości i życie następujący operatorzy: Lisiecki z polskiej YMCA, Konstanty Palukiewicz, W. Skierski, Ziembicki, *Concanen Films* i wreszcie ja sam. O ile wiem, były używane jedynie filmy 16 mm. Nie wiem co się z nimi stało i myślę, że warto byłoby, aby któryś z historyków zainteresował się tą sprawą. Z mych filmów nakręcanych na taśmie 16 mm, jedną kopię przesłałem przez okazję do Polski jeszcze pod koniec lat 60-tych, aby została złożona w istniejącym tam archiwum filmowym. W czasie mych odwiedzin w kraju w 1994 roku, próbowałem go odnaleźć. Niestety przy ograniczonym czasie, nie udało mi się tego uczynić. Mam nadzieję, że nie zaginął. Były na nim

sfilmowane dwie uroczystości, właśnie pogrzeb gen. Hallera i uroczyste nabożeństwo w Brompton Oratory, jeszcze w maju 1960, z okazji ćwierćwiecza zgonu Józefa Piłsudskiego. Szczęśliwie oryginalne taśmy, włącznie z moimi filmami z innych wydarzeń emigracyjnych, jak morskie wyprawy harcerskie, uroczystość pod Cenotaphem w 1949 w dziesiątą rocznicę wybuchu wojny i uroczystość nad grobem gen. Bór-Komorowskiego w 1969 w rocznicę wybuchu powstania warszawskiego, zachowały się w moich zbiorach.

Józef Piłsudski, Zwycięski Wódz i Wielki Nauczyciel Narodu, był dla nas wygnańców symbolem, do którego często powracaliśmy szukając oparcia i nadziei. Obchody ćwierćwiecza zgonu Marszałka przygotowywane były w Londynie pod przewodnictwem gen. dra Romana Odzierżyńskiego przez komitet uczczenia Jego pamięci, do którego wchodził Instytut Józefa Piłsudskiego i wszystkie organizacje kombatanckie i oddziałowe, bez względu na istniejące podziały polityczne. Pamięć Marszałka łączyła wszystkich i dodawała otuchy. Odbyło się szereg akademii i ukazało kilka publikacji. Wieczorem we czwartek 12 maja 1960, w uroczystym nabożeństwie żałobnym w Brompton Oratory, wzięły udział poczty wszystkich oddziałów, których sztandary znajdowały się w Londynie, na czele ze sztandarem Lotników, wyhaftowanym w ukochanym przez Wielkiego Marszałka Wilnie. Wzięli też udział gen. Anders, amb. Raczyński i gen. Bór-Komorowski, stanowiący Radę Trzech, gen. Głuchowski, prezes Instytutu Józefa Piłsudskiego, drużyny młodzieży harcerskiej i cały nasz emigracyjny londyński świat.

Sprawa obywatelska

Przedłużający się okres naszego pobytu na emigracji postawił nas wobec problemu obywatelstwa. To prawda, że w Wielkiej Brytanii nikt nie zmuszał nas do naturalizacji i spokojnie mogliśmy nadal pozostawać jako uchodźcy. W życiu codziennym nie przedstawiało to zbyt dużych kłopotów. Z czasem zniesiono w stosunku do nas obowiązek meldowania miejsca zamieszkania. Mieliśmy pozwolenie na zatrudnienie i

nie musieliśmy już zabiegać o zgodę Ministerstwa Pracy. Płaciliśmy podatki i mieliśmy większość przywilejów obywateli Zjednoczonego Królestwa. Sprawa komplikowała się przy wyjazdach za granicę. Nasze zielone *Travel Documents* wymagały wszędzie wiz. Jeżeli chodziło o wakacje, poza dodatkowym kosztem, nie miało to specjalnego znaczenia, tyle że wymagało zawsze sporo czasu i energii oraz ograniczało giętkość w planowaniu. Wszelkiego rodzaju zjazdy i kongresy miały zwykle udogodnienia wizowe i tam również nie mieliśmy poważnych problemów. Gorzej było w pracy, gdyż bez brytyjskiego paszportu byliśmy zupełnie wykluczeni z wydziałów wymagających podróży poza Wielką Brytanię, właśnie kierunku, o którym marzyłem.

Całe zagadnienie nie miało nic wspólnego ze sprawami praktycznymi. Już od 1951 roku, przeważająca część Polaków znajdujących się na Wyspach Brytyjskich, miała wszystkie niezbędne warunki do tego, aby bez najmniejszych trudności i niewielkim kosztem móc otrzymać obywatelstwo brytyjskie. Chodziło o imponderabilia.

Ile na ten temat pisano i dyskutowano. Ludzie pozornie obojętni całej emigracyjnej hierarchii, z krańców świata pisali do polskiego Londynu podania w sprawie przyjmowania obywatelstwa. A nie zapominajmy, że w każdym kraju naszej diaspory istniała inna sytuacja i inne prawa.

Jak to odczuwało nasze pokolenie i w jaki sposób buntowaliśmy się, ilustrują wyjątki z korespondencji z połowy lat 50-tych. Mój towarzysz broni i przyjaciel z konspiracji i powstania, Piotrek Mazur, w swym liście z czerwca 1954 wyindyczył się co nie miara na Emigrację, by dalej pisać:

...W kwietniu minęło pięć lat mego pobytu w Stanach. Jak do tej pory nie wziąłem na siebie nawet intencji przyjęcia obywatelstwa amerykańskiego. Jednak zdaję sobie z tego sprawę z jednej sprawy o niesłychanej wadze. Wykształcenie jakie tu nabywam w dużej mierze poza moim własnym wysiłkiem jest funkcją mego pobytu tu, pomocy i zrozumienia ze strony Amerykanów, jakich doświadczyłem w ciągu tych pięciu lat. Nakłada to na mnie obowiązek moralny względem tego kraju. Nie widzę aby obowiązek ten był sprzeczny z zasadą służenia Polsce. Ten obowiązek

mam jasno zdefiniowany. Natomiast jeżeli chodzi o Stany Zj. to w ciągu najbliższych lat, lub miesięcy, będę musiał swoje morale względem tutejszego społeczeństwa jasno zdefiniować. Nie mam zamiaru być problemem socjalnym w tutejszym środowisku. O ile warunki nie zmienią się, przyjęcie obywatelstwa nowego będzie dla mnie kwestią najbardziej naturalną. Czytając ten list możesz powiedzieć: 'Hm Piotrek zmienił się, niepodobny jest do tego z pistoletem w ręku z okresu Powstania'. Racja. Jeżeli tak myślisz nie jesteś w błędzie. Byłbyś jednak w błędzie gdybyś sądził, że postąpiłbym inaczej i wyglądałbym odmiennie, gdyby tego samego rodzaju sytuacja zaistniała teraz jak dziesięć lat temu w Warszawie, a ja jakkolwiek 'zdegenerowany emigracją' poczułbym na sobie obowiązek działania....

Odpowiedziałem mu w grudniu 1954 roku, po sześciu miesiącach zastanawiania się:

...Piszesz o sprawie przyjęcia obywatelstwa. Uważam to za naturalne, że będąc w Stanach masz zamiar przyjąć obywatelstwo. Osobiście nie mam zamiaru przyjmować obywatelstwa brytyjskiego, gdyż w Europie problem ten wygląda nieco odmiennie. Jestem jednak przekonany, że w wypadku naszej emigracji do Kanady zostanę obywatelem kanadyjskim. W Stanach i Kanadzie istnieją bowiem Amerykanie i Kanadyjczycy polskiego pochodzenia, podczas gdy w Anglii istnieją tylko naturalizowani foreignerzy a do takich nie mam przyjemności należeć. Nie wiem czy sobie zdajesz sprawę z wagi zagadnienia Polonii na świecie. Jesteśmy jak Żydzi, niemal wszędzie. A liczbowo nie jest nas mniej. A jednak mimo to nie ma porównania, o ile mocniejszy jest głos Żydów obywateli wszystkich państw świata zachodniego w sprawach obrony interesów ich ojczyzny Izraela, od głosiku naszych protestów, które składane są przez nieskazitelnych obywateli polskich, którzy w przerwach między protestami zmywają talerze u Lyons'a! Nie myśl broń Boże, że mam na myśli jakąkolwiek nielojalność w stosunku do kraju, którego obywatelstwo się przyjmuje. Po prostu możemy stać się jak najlojalniejszymi obywatelami naszej nowej, przybranej ojczyzny, a

równocześnie pozostać Polakami. Przy takim pojęciu zagadnienia nie ma obawy abyśmy byli 'problemem społecznym' dla kogokolwiek. Osobiście jestem pewien, że cokolwiek nie uczyniłbym ze swym obywatelstwem, to do końca życia będę Polakiem, a dom nasz będzie domem polskim. Jeżeli będziemy mieli dzieci, to wychowamy je przede wszystkim na Polaków. Jakoś nie mam najmniejszej obawy, że przez to będą one z kolei stanowiły 'problem społeczny'. Pisziesz, że mógłbym powiedzieć: 'Hm, Piotrek zmienił się; niepodobny jest do tego z pistoletem w ręku z okresu Powstania'. A pewnie, że inny i dzięki Bogu, bo Piotrek nie próżnował, lecz ciężką pracą i poświęceniem zdobył i dalej zdobywa wiedzę. Piotrek, Polsce można służyć nie tylko z pistoletem w ręku! Można jej znacznie lepiej służyć wiedzą i wykształceniem. A wydaje mi się, że wykształcenie, które jak piszesz jest funkcją pobytu w Stanach, pomocy i zrozumienia ze strony Amerykanów jest szczególnie cennym narzędziem w służbie Polsce. Nie potrzebuję Ci pisać jak ważnym jest dla nas, aby Ameryka w swych zmaganiach z naszym śmiertelnym wrogiem Rosją Sowiecką, była dobrze zorientowana w problemach polskich. Właśnie tacy ludzie jak Ty, którzy zdobyli wyższe wykształcenie w Stanach mają w tym wypadku szczególnie wdzięczne pole do popisu!...

Po przeszło czterech miesiącach dostałem długi list od Piotra, który szczegółowo zanalizował moje wywody, podał swą, zresztą bardzo bystrą, opinię co do podejścia Zachodu do sprawy polskiej, znów cynicznie wyindyczył się na Emigrację w Londynie, poddając w wątpliwość jej zdrowy rozsądek, i zmył mi głowę pisząc: ...wyrażasz się Krzysztofie w sposób, w jaki pastor metodyjski zwykł się zwracać do swych wiernych w kościele podczas kazania, a to do Ciebie niepodobne...

Niemniej pod koniec listu znalazł się taki paragraf: ...Czekam na odpowiedź W. Czerwińskiego na mą prośbę nadesłania mi adresu odpowiednich Władz Polskich w Londynie do których mogę złożyć podanie o zezwolenie przyjęcia obywatelstwa St.Zj. Rozumiem, że mam obowiązek zwrócenia się w tej samej sprawie do Zarządu Koła 7 P.Uł. ...

Mój Boże jakie my mieliśmy wielkie wyrzuty sumienia w sprawie przyjmowania obywatelstwa!

Pisząc o tym dziś zastanawiam się w jakże innym świecie żyliśmy. Jakże inne było nasze podejście do zagadnień. Od momentu, gdy miałem na to warunki, zajęło mi prawie dziesięć lat, zanim ostatecznie zdecydowałem się przyjąć obywatelstwo brytyjskie. A przecież nikt nie wymagał ode mnie wyrzekania się niczego. Brytyjczycy uznają podwójne obywatelstwo. Nie byłem pod tym względem wyjątkiem. Chyba nie było na naszym uchodźstwie nikogo, kto przyjmował obywatelstwo z lekkim sercem. Przeżywalismy to bardzo, bardzo głęboko. Oczywiście byli niezłomni, którzy uważali, że jest to dezercja z szeregów, wręcz zdrada. Najgorsze było to, że sami nie byliśmy pewni, czy oni nie mają jednak racji.

Obecnie zachwycamy się osiągnięciami naszych rodaków, którzy zdobyli wysokie pozycje w otaczającym ich świecie i jesteśmy z nich dumni. Z reguły wszyscy oni wcześniej przyjmowali obywatelstwo kraju zamieszkania. Bez niego nie mieliby szans dojścia do swych pozycji i orderów. Wśród tych, którzy nie przyjęli obywatelstwa, były nieliczne wyjątki, jak prof. Aleksandrowicz czy Józio Zielicki, którzy w świecie zawodowym mieli osiągnięcia i uznanie wśród gospodarzy kraju osiedlenia, zresztą na płaszczyźnie osobistej. Większość jednak posiadaczy zielonego dokumentu ograniczona była do realizowania swych ambicji wyłącznie na terenie naszego umownego państwa na emigracji.

Żelazna wola

W Wielkiej Brytanii inżynierom materialnie powodziło się względnie dobrze, ale w większości nie zajmowaliśmy pozycji, które w pełni odpowiadałyby naszym temperamentom. Świat techniczny to świat, który z konieczności ma praktyczne podejście do zagadnień. Przy tym niezbędne są tam umiejętności działania w zespole. Materiał to dobry, ale wymagał człowieka, który potrafił stopić ten kruszec w jedną wydajną całość.

Człowiekiem tym był prof. inż. Roman Wajda. Urodził się w Zasławiu 22.7.1901. Wnet cała rodzina przeniosła się do Chyrowa, gdzie ojciec pracował jako portier na stacji kolejowej. Jeszcze z gimnazjum nieletni Roman poszedł walczyć o Polskę. Zdobył Krzyż Walecznych. W 1926 roku ukończył inżynierię lądowo-wodną na Politechnice Lwowskiej. Początkowo pracował w magistracie Lwowa. W tym okresie ożenił się z panną Olgą Świgost. Wnet na świat przyszedł syn Andrzej. W 1931 roku objął posadę inżyniera miejskiego w Sanoku. Rzucił się do pracy, a tej nie brakowało. Był odpowiedzialny za elektrownie, wodociągi, kanalizację, bruki, rynek... Dobrze to były czasy, dorobili się domu, samochodu. Urodziła się im córka Marta. Przyszła wojna. Inżynier, według nakazu w zalakowanej, tajnej kopercie, rozmontował stację wodociągów, następnie jako podporucznik rezerwy saperów poszedł walczyć. Pani Olga pojechała z dziećmi do rodziców do Lwowa, bo to bezpiecznie. Po Wrześniu ruszył do wojska do Francji, niestety w Worohcie zaaresztowali go bolszewicy. Początkowo więziony był na Brygitykach, a następnie wywieziony został do Workuty, gdzie przebywał do tak zwanej amnestii. Wstrzymany przez pelagrę, ledwie zdążył do armii przed ewakuacją. W Iraku dostał rozkaz budowy szpitala w Kirkuku. Służył w 3. Dywizji Strzelców Karpackich. W 1943 awans na porucznika. Droga bojowa we Włoszech. Dowodził kompanią parkową. Pod Monte Cassino, tak jak i w Sanoku tylko pod ogniem, odpowiedzialny był za elektrownię, instalację i obsługę punktów wodnych. Jego saperzy budowali schrony, działobitnie... Awans na kapitana. Do Krzyża Walecznych przybył Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami. Po wojnie odpowiedzialny był za budowę cmentarzy pod Loreto i Bolonią. Poszukiwał rodziny. Od rozstania, gdy tylko mógł, pisał do nich listy. Nie docierały. W listopadzie 1942, na poszukiwania, pani Olga w odpowiedzi dostała lakoniczną notatkę z Czerwonego Krzyża: „ostatnie wiadomości Maj 1940, z Suchobeznodnoje pow. Gorki”. W listopadzie 1943, poprzez Czerwony Krzyż w Genewie, dotarł pierwszy list. Następny, który dostała, datowany był w lipcu 1944. Nie było jej łatwo. Jeszcze w listopadzie 1939 wróciła z dziećmi

do Sanoka. Dom zarekwirowało Gestapo, które zresztą poszukiwało inżyniera. Niemcy skazali go na śmierć za rozmontowanie stacji wodociągów. Jakoś poprzez ojca udało się jej otrzymać licencję na wyszynk na stacji w Łupkowie i tak przebiegowali do czasu, gdy w 1944 zostali wywiezieni do Niemiec do Lugau, przy granicy Czech i Austrii. Gdy przyszli bolszewicy, wrócili do Sanoka, by po paru miesiącach znów ruszyć na zachód, tym razem do Zgorzelca. Pani Olga, nauczycielka z zawodu, zaczęła pracować w szkole. Pewnego wieczoru zjawił się jakiś tajemniczy pan z listem od męża z Włoch i adresem w Krakowie. Zabrała dzieci i pojechała do Krakowa. Ostrzeżona, cudem uniknęła wsypy. Wróciła do Zgorzelca. Znów wieczorem zjawił się tym razem sierżant z 2 Korpusu z 40 dolarami i adresem męża we Włoszech. Z fałszywym dokumentem z trzema fotografiami opiewającym, że jest francuską repatriantką, ruszyła z dziećmi na własną rękę do Pragi. Zatrzymana na stacji, przekazana została w ręce francuskiego oficera, który oznajmił, że prócz fotografii, jedyną rzeczą prawdziwą na dokumencie jest trójkolor. Przyzwoity ten człowiek zabrał ich jednak do budynku, gdzie znajdowała się francuska misja repatriacji ciał poległych. Ukryci tam, oczekiwali transportu do Francji, karmieni przez Polkę, kucharkę misji. Wysłała list: *Praha 23 X 46, Romku mój! Jesteśmy w Pradze II Mission Française Biskupska 3 Mademoiselle Oli. Mamy nadzieję, że za parę dni pojedziemy transportem na Meppen. Daj natychmiast znać telegraficznie czy otrzymałeś wiadomość. Myśl o nas. Jestem bardzo zmartwiona. Ucałowania Ola.* Nie potrzebowała się obawiać, myślał o nich stale. Wnet dostała telegram wraz z adresem w Anconie i drugim w Niemczech. Wreszcie nadszedł dzień transportu. Pojechali na dworzec pod eskortą żandarmów francuskich, jako aresztowani. Po przejechaniu granicy na teren okupacji amerykańskiej, musieli się rozstać z transportem. Już na własną rękę dotarli do miejscowości z przysłanym adresem. Naciśnięty dzwonek i pełne napięcia oczekiwanie. Drzwi się otwarły. Na ścianie, jak na wrotach do raju, widniał napis „DOM POLSKI”. Później już ciężarówka korpuśna i 22 listopada 1946, po siedmiu latach rozłąki, rodzinne powitanie. Wnet przejazd do Anglii,

9 miesięcy w obozie Delamere Park niedaleko Chester. Dzieci poszły do polskich szkół. Wreszcie Londyn. Jakże polskie jest to rodzinne *curriculum vitae*! W Londynie profesor początkowo nauczał na *Polish University College*, by z czasem przejść na *Battersea College*. Równocześnie był jednym z profesorów RAST'u.

Pod kierownictwem prof. Wajdy pracowało mi się bardzo dobrze.

Nigdy nie brakło profesora na czele wszystkich wysiłków. Nieraz zarzucano mu, że był dyktatorem. Może i był, może wykorzystywał innych, może parła go ambicja, ale równocześnie potrafił słuchać opinii swego zespołu, iść na kompromisy i przyjmować odmienne idee, pod warunkiem, że dążyły one do celu, którym był Ośrodek. Najwięcej wymagał od samego siebie. Stojąc na czele i przewodząc jednej z najpoważniejszych organizacji na terenie polskiego Londynu, równocześnie nigdy się nie obawiał, że mu korona spadnie z głowy i wykonywał najbardziej skromne prace, włącznie z fizycznymi. Nie szanował się. Prof. Wajda skierował całą swą energię, by doprowadzić, aby zamierzenia stały się rzeczywistością. Postawił sobie cel i z żelazną wolą dążył do niego starając się usunąć wszystkie przeszkody stojące na drodze. Bez niego POSK pozostałby na pewno w sferze dyskusji i planów!

Teoretycznie istniało szerokie poparcie idei POSK. W praktyce zaczęły się ukazywać trudności. Z powodów dla mnie zupełnie niezrozumiałych, sztandar opozycji podniósł konsul Poznański. Ze swej pozycji zasłużonego działacza i członka wysokiej hierarchii emigracyjnej, rozpoczął energiczną kampanię zwalczania idei Ośrodka. Może chodziło o to, że prof. Wajda ze swym prężnym zespołem, był na terenie emigracyjnym czymś zupełnie nowym i tym samym zagrażał ustalonej od lat sytuacji. Tak czy inaczej, byliśmy zwalczani i akcja ta wyrządziła nieocenione szkody, w szczególności blokując dostęp do funduszy wielu emigracyjnych organizacji i instytucji.

Głęboko wierzę, że przy skupieniu wszystkich naszych potencjalnych zasobów finansowych i poparciu poprzez kontakty, które miała nasza hierarchia, istniały wówczas

możliwości stworzenia Ośrodka zaspakającego wszystkie nasze potrzeby i umiejscowionego w tradycyjnej dla nas dzielnicy South Kensington. Argumenty, poczynawszy od tego, że nie należy umieszczać wszystkich jajek w jednym koszu, wręcz po insynuacji, że działamy na rzecz komunistów, storpedowały te możliwości. Pozostawiły też one niepotrzebne podziały i przez lata, aż do dziś, utrudniają rozsądną gospodarkę naszymi londyńskimi aktywami. Może było to zgodne z naturą ludzką, może było to zgodne z naszymi cechami narodowymi, ale na pewno nie było z korzyścią dla naszej społeczności. Niełatwo było iść pod prąd.

W pierwszym okresie wszystkie nasze wysiłki skierowane były na przekonanie społeczeństwa emigracyjnego co do celowości nowo powstałej organizacji. Chodziło też o wytworzenie dla niej odpowiedniego wizerunku. Mieliśmy poważny problem, gdyż z jednej strony majątek społeczny kontrolowany był przez emigracyjne władze i organizacje i chcąc go zaangażować w nasze projekty nie mogliśmy zbyt energicznie występować przeciw istnjącemu stanowi rzeczy, z drugiej strony by przekonać ponad stutysięczną rzeszę Polaków rozrzuconych po Wielkiej Brytanii, przechodzącą kryzys zaufania do centrali, musieliśmy się starać by POSK kojarzony był z reformami i nowym podejściem do emigracyjnej działalności. Było to nieco podobne do cyrkowych wyczynów na linie.

Robiliśmy co się da, by uzyskać zaufanie nie tylko do celowości ale i wiarygodności przedsięwzięcia. W tych początkowych dniach sprowadzało się to przede wszystkim do wysiłków, aby zdobyć jak najwięcej znanych nazwisk i rozszerzyć grono entuzjastów gotowych do pracy. Rekrutowaliśmy zarówno indywidualne osoby, jak i organizacje. W praktyce sprowadzało się to do męczenia naszych przyjaciół, by zapisali się na członków. Trzeba pamiętać, że w tamtych czasach dziesięć funtów było bardzo poważną sumą, a jako argument mieliśmy właściwie jedynie nasz entuzjazm. Jeżeli chodzi o organizacje, to zaczynaliśmy od tych, do których należeliśmy i mieliśmy dostęp na ich walne zebrania.

Patrząc na pierwsze strony listy członków, widać jak stopniowo zasięg się rozszerza. Członkami stają się gen.

Anders, gen. Kopański, gen. Bór-Komorowski, amb. Raczyński, zgłaszają się nowe organizacje: Polski Uniwersytet na Obczyźnie, Związek Kupców i Przemysłowców w W. Bryt., Stowarzyszenie Polskich Saperów na Obczyźnie (ci pod wpływem prof. Wajdy z hojnym darem tysiąca funtów), Koło Kobiet Żołnierzy P.S.Z., Związek Ziem Wschodnich R.P., Związek Stowarzyszeń Inżynierów i Techników Polskich Zagranicą, Zrzeszenie Polskich Profesorów i Wykładowców Szkół Akademickich na Obczyźnie, Chór Polski im. Fr. Chopina, Zjednoczenie Polek w Wielkiej Brytanii, Towarzystwo Przyjaciół Polskiego Gimnazjum w Fawley Court, Polski Ośrodek Młodzieżowy, Zrzeszenie Nauczycielstwa Polskiego Zagranicą, Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie, Ognisko Polskie w Londynie, Zjedn. Polskie (Komitet Koordynacyjny) w Manchesterze, Instytut Wschodni „Reduta” (Organizacja mająca zdecydowaną wolę przekazania swego domu na POSK), Związek b. Jeńców Wojennych z Niewoli Niemieckiej, Koło Oficerów Artylerii na Obczyźnie, Koło b. Żołnierzy Armii Krajowej, Kontynenty, Związek Łącznościowców, Stowarzyszenie Elektryków, Koło Żołnierzy 7 P.Uł. Lubelskich, Chór Akademicki im. K. Szymanowskiego, Związek Ziem Zachodnich, Koło 16 P.Uł. Wielkopolskich, Koło 8 P.Uł. ks. Poniatowskiego, Instytut Badania Spraw Krajowych, Koło 17 P.Uł., Związek Polskich Spadochroniarzy, Zrzeszenie Sędziów i Prokuratorów R.P., Zrzeszenie Plastyków Polskich, Koło Pań Ealing i Okolice, Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego, Studium Polski Podziemnej, Zrzeszenie Kół Pułkowych Kawalerii, Koło 11 Baonu Łączności, Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, Koło Żołnierzy 11 P.A.C., Fundusz Pomocy SKDP, 2 Dywizja Strzelców Pieszych, Związek Polaków w Kenii. Po roku istnienia POSK liczył 164 członków w tym 52 organizacje i 112 członków indywidualnych.

Jeżeli chodzi o tych ostatnich, to niewątpliwie wielu myślało – „a może jednak coś z tego POSK wyjdzie” i traktowało zapisanie się jako polisę ubezpieczeniową. Niemniej powiększało się grono prawdziwych entuzjastów. Kłopot był jednak z tym, że poza zasięgiem PUCAL, STP i „Reduty” nie kontrolowali oni żadnych innych emigracyjnych kapitałów

organizacyjnych. Podobnie sprawa się miała z organizacjami, które zapisały się na członków. Większość była biedna jak mysz kościelna i wносиła jedynie entuzjazm i nadzieje. Bogate wykupiły polisę ubezpieczeniową w wysokości funtów dziesięć czy dwadzieścia i siedząc na płocie czekały co będzie dalej.

Princes Gardens

Budynek PUCAL⁴⁷, a następnie POSK⁴⁸ przy 9 Princes Gardens zawsze tętnił życiem. Na dole była Biblioteka Polska, na czele jej stała droga pani Maria Danilewiczowa, której w pierwszym rządzie zawdzięczamy istnienie tej instytucji i gromadzenie zbiorów, które obrazują dzień po dniu nasze emigracyjne życie na obczyźnie, jak również i kolekcji *polonica* w językach obcych.

Przed wojną pani Maria pracowała w Bibliotece Narodowej. W 1939 roku ze względu na powiązania jej męża, Ludomira, z największą tajemnicą polskiego wywiadu, rozszyfrowaną Enigma⁴⁹, zostali ewakuowani na paszportach dyplomatycznych do Francji. Początkowo pracowała w Polskim Biurze Poszukiwania Rodzin a następnie w Bibliotece Polskiej w Paryżu. Sama Francja, wraz z Francuzami, stała jakby na uboczu, ot sprawdzian całego ładunku kulturalnego, języka i wiadomości o tym kraju z dzieciństwa i młodości – od bony, w szkole, na uniwersytecie... Paryż był zresztą przytłumiony wojną. Wnet przyszły znów ciężkie dni. Ewakuacja na południe i prowadzone przez Polskie Towarzystwo Opieki nad Polakami we Francji schronisko w Aix-les-Bains w „wolnej zonie”, położone w strategicznym punkcie na granicy Szwajcarii. Trochę szersze, niezbędne kontakty z Francuzami. W oczekiwaniu na wyrwanie się dalej, pani Maria uczyła się angielskiego, wydawała prace na powielaczu, organizowała

47. *Polish University College Association Limited* – Stowarzyszenie Polskiego Kolegium Uniwersyteckiego (Spółka) z Ograniczoną Odpowiedzialnością.

48. Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny.

49. Niemiecka maszyna do szyfrowania.

odczyty, koncerty, wieczory poetyckie dla podniesienia ducha rodaków w tych przygnębiających chwilach. Wreszcie w 1942 roku skrytymi drogami, przez Hiszpanię dotarli do Portugalii. Po wygłodzonej Francji największym przeżyciem była obfitość pysznych ziemniaków. I znów w polskim świecie. W Lizbonie pan Ludomir wyłapywał na stacji kolejowej naszych turystów-wojaków i lokował ich w małych hotelikach w oczekiwaniu na transport. Pani Maria pracowała w biurze *attaché* prasowego Poselstwa RP oraz w biurze wysyłki paczek Czerwonego Krzyża. Wokół był inny świat, któremu wojna miast nędzy przyniosła dobrobyt. Neutralny teren, gdzie się krzyżowały drogi obu walczących stron i gdzie ze strony włoskiej, rumuńskiej i węgierskiej istniały próby kontaktów z placówką polską, które nawiązywali za pośrednictwem płk. Jana Kowalewskiego. W Afryce zagrażał Rommel. Wreszcie sierpień, 3 czy 4 godziny na spakowanie i latającą łodzią do Anglii. Tu zdumienie, że życie, wbrew niemieckiej propagandzie, płynie normalnie. Pierwsze niezapomniane wrażenia Londynu należącego do jakże innej tradycyjnej epoki. Wpłacenie pierwszego czeku zaliczki na nowo otworzone konto w banku na Piccadilly i bezpośredni przyjazny kontakt z menadżerem, który miał przetrwać, aż poza jego przejściem na emeryturę. Nowy, angielski kostium tweedowy na miarę. *Lodgings*⁵⁰ na Cornwall Gardens z samotnym palnikiem gazowym do gotowania. Porada pani Zosi Makowskiej, aby kupić w dziale *second hand* magazynu Marshall & Snellgrove przy Oxford Street srebrne łyżeczki, bo kosztują tyle co nowe metalowe. Pan Ludomir w lotnictwie, a następnie w polskich wojskowych zakładach radiotechnicznych w Stanmore. Pani Maria w polskim Londynie początkowo pracowała w Funduszu Kultury Narodowej a następnie w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Równocześnie bardzo intensywnie uczyła się angielskiego. Wokół była wojenna Anglia, regulowane ceny, jedno jajko na tydzień, polowanie na królika bez kartek, przy tym ten wspomniały angielski wynalazek racjonowania mięsa według ceny, a nie wagi, uczciwość, nie-naganna dyscyplina społeczna. Zjawisko paniki zupełnie nieznane.

50. Pokoje do wynajęcia.

Biblioteka powstała w 1942 roku, a już w następnym objęła ją pani Maria. Mieściła się w Buckingham Palace Mansions niedaleko Buckingham Palace i Victoria Station, tych celów bomb niemieckich. Jako delegatka polska do *Standing Conference of the Allied Ministers of Education*⁵¹, pani Maria miała coraz lepsze kontakty oficjalne z Brytyjczykami. Były one żywe i przyjazne, lecz ograniczały się do spraw związanych z pracą, czy to w czasie konferencji w Oksfordzie i Cambridge czy w zarządzie *Inter Allied Book Centre* lub w czasie organizowania w 1944 roku polskiej wystawy w *Bodleian Library* w Oksfordzie. W rzeczywistości żyła jednak w polskim Londynie. Równocześnie miała nocne dyżury obrony przeciwlotniczej w Stanmore. Wojna przyniosła bomby „V”, przyszły wieści o powstaniu warszawskim...

Nadszedł rok 1945, cofnięcie uznania Rządowi RP, początek lat emigracji. Nie był to jednak jeszcze moment kryzysu dla Biblioteki, wręcz przeciwnie, nastąpił jej rozrost. A i na innych polach nie brakło pani Marii pracy. Komisja aliancka działała dalej. Rozpoczęło się wysyłanie książek do zdewastowanych wojną krajów. Dopiero później przyszedł przełomowy koniec PKPR i kolejne kryzysy zagrażające Bibliotece Polskiej.

Pani Maria trwała na posterunku. Polski emigracyjny Londyn przybrał swoje formy. Część znajomych angielskich odpadła. Przyszły czasy rozbieżności interesów, pozostawała neutralna życzliwość. Jak to pani Maria kiedyś określiła: „W Wielkiej Brytanii przybysz miał dużą swobodę działania – dawali żyć”. Była też coraz bardziej pod urokiem Anglii, jej literatury, zwięzłości, dosadności, humoru i metod pracy.

Biblioteka Polska w Londynie stopniowo zdobywała pozycję wśród poważnych bibliotek w Anglii. Powstała *Standing Conference on Slavonic and East European Libraries*⁵². Wzrastały kontakty z uniwersytetami, jak na przykład poprzez Mr J.S.G. Simons'a z *All Souls College* w Oksfordzie, Mr Johna Wall'a *Bodleian Library* w Oksfor-

51. Stała Konferencja Sprzymierzonych Ministrów Oświaty.

52. Stała Konferencja o Słowiańskich i Wschodnio-Europejskich Bibliotekach.

dzie, prof. Marcusa Wheeler'a w Belfaście, Mr Johna Welsh'a w Oksfordzie, a potem w USA, tłumacza „Lalki” Prusa, Mr Noela Clark'a w BBC, tłumacza „Grażyny” Mickiewicza, komedii Fredry i fraszek Krasickiego, które to kontakty trwają do dziś...

Pani Maria była jednym z założycieli i współpracownikiem nadal istniejącego czasopisma *Solanus*, organu działów słowiańskich wielkich bibliotek i Biblioteki Polskiej w Londynie.

Wszędzie pani Maria wkładała całą swą duszę. A przy tym praca publicystyczna, bibliografie, książki i wreszcie radio. Co tydzień pogadanka wygłaszana w programach polskich *Radio Free Europe*. Skrypt przed czwartą w niedzielę, a nagrywanie we wtorek w studio na Soho, gdzie urzędowali Włada Majewska, Kielanowski, Raciński. Dochowało się tych felietonów w skryptach kilkaset.

Jak wszystkie osoby energiczne i poświęcone idei, pani Maria była trochę dyktatorem. Przysnam się, że się jej nieco bałem i myślę, że nie byłem w tym odosobniony. Biblioteka mieściła się, nieco stłoczona, na parterze i na drugim piętrze. Magazyny książek znajdowały się w podziemiu, jak zwykle w Anglii zagrożonym wilgocią. Dr Danilewiczowa, pan Kazimierz Zdziechowski i panie Jadwiga Nowakowa, Wanda Ruszczyc-Fox, Wanda Sokołowska i Halina Choynacka urzędowali przy skromnych stolikach w kąciach sal gęsto zastawionych półkami sięgającymi do samych sufitów. Prace porządkowe wykonywał pan Marian Piliszański rodem z Zaleszczyk. Bardzo go lubił Kazimierz Wierzyński, któremu przyrządzał w suterynie mocną kawę. Srogo nas pan Marian pilnował, abyśmy nie czynili bałaganu.

Biblioteka prócz opieki nad księgozbiorami, prowadziła działalność wydawniczą, a w sali na pierwszym piętrze, organizowała odczyty i wystawy, na przykład wspinała wystawę w czasie Kongresu Nauki Polskiej, z pięknym katalogiem drukowanym przez Bednarczyków w Oficynie Poetów i Malarzy, czy też wystawę z depozytu pani Lanckorońskiej, dotyczącą Jacka Malczewskiego ze świetnym katalogiem opracowanym przez Mieczysława Paszkiewicza. Pamiętam też wystawę o szkolnictwie polskim w czasie wojny. Powiększenia

do niej robił pan Ludomir Danilewicz, znakomity fotograf, którego świetny portret żony wisi obecnie w Bibliotece Polskiej.

Nominalnie gospodarzem sali było Stowarzyszenie Techników Polskich, którego kosztem była ona wyposażona, ale korzystało z niej wiele organizacji. Będąc w sekcji informacyjnej POSK, której z czasem przewodniczyłem, bardzo mi zależało, aby sala w domu POSK była używana pożytecznie i równocześnie przynosiła nam korzyść w formie dobrej propagandy. Ponieważ byłem równocześnie w zarządzie STP opiekowałem się salą. Bardzo miłym współpracownikiem było Zrzeszenie Plastyków Polskich, które na naszej sali urządziło szereg wystaw i po raz pierwszy pokazało początki kolekcji obrazów, które obecnie zdobią ściany POSK. Zrzeszenie Plastyków niestety nie posiadało majątku, ale jak mogło entuzjastycznie popierało POSK.

Walne Zebrania, zebrania Rady POSK i Rady Bibliotecznej, kawiarenki, opłatki, dopełniały ruch na sali. Czasami odbywały się tam też zebrania o charakterze wybitnie politycznym, jak na przykład odczyt dysydenta czeskiego Jiří Lederera, autora książki „Mé Polsko”, który pomimo, że mógł zostać na Zachodzie i urządzić się tu jakoś, odważnie wrócił do Czechosłowacji i w początkach 1970 roku został aresztowany. Mówiono wtedy, że był oskarżany o powiązania z jakąś „agencją”. Wydawało mi się, że chodziło o *Kulturę*, przez którą zresztą trafił do nas. Już nie pamiętam jaki był jego dalszy los, tyle, że zmarł młodo.

Na trzecim piętrze mieścił się Polski Uniwersytet na Obczyźnie i Rada Akademickich Szkół Technicznych. Winda dochodziła jedynie do tego piętra i do królestwa Techników i POSK trzeba się było wspinać po stromych schodach. Niewielki pokój, kilka prostych, nieco obdrapanych stołów, krzeseł i szaf z wojennych czasów i przedpotopowa maszyna do pisania, była to domena sekretarza POSK inż. Woyno i kancelarii w osobie pani Gańczakowskiej. Tam też zbierał się nasz zarząd. W sąsiedztwie, w podobnym pokoju z identycznymi meblami urzędował zarząd Stowarzyszenia Techników Polskich, czyli z niewielkimi zmianami ten sam zespół. Na naszym piętrze dominował drogi, niezastąpiony dyktator

prof. Wajda. Tak więc pomiędzy dołem a górą błyskały nieraz pioruny. Dzięki Bogu mieliśmy wśród nas kochanego, oddanego sprawie pułkownika Zamoyskiego, który poważany przez wszystkich, jak anioł pokoju, łagodził temperamenty i pomagał znaleźć wyjście z każdego nieporozumienia. Pułkownika znałem jedynie z terenu naszych zebrań i działalności w obronie Biblioteki. Gotowy do poświęceń, był nieodrodnym synem swego rodu, w którym nigdy nie brakowało wiernych sług Rzeczypospolitej. Był w Brygadzie Podhalańskiej i walczył pod Narvikiem. Skromny, uczynny, sumienny, był osobą bardzo sympatyczną i miłą we współpracy. Przy swych znakomitych kontaktach, jak mógł próbował doprowadzić do porozumienia w sprawie zabezpieczenia naszych zbiorów i co najmniej połączenia Biblioteki Polskiej i Biblioteki Instytutu Polskiego pod jednym dachem. Niestety wpływy konsula Poznańskiego były zbyt silne.

W dni powszednie biuro POSK otwarte było codziennie. Dyżury zarządu były dwa razy na tydzień, we środy wieczorem i w soboty rano. Z reguły spotykaliśmy się we trójkę: prof. Wajda, inż. Woyno i ja. Ileż to wspomnień łączy mi się z tym miejscem, gdzie zawsze można było znaleźć kogoś z naszego zespołu. We wczesnych latach wpadali zwykle inżynierowie, jak Kazimierski, Wyrobek, Hajducki, Prus-Chąciński... I te przeżycia związane z naszymi osiągnięciami i niepowodzeniami. Wojna z rządem JKMości o Bibliotekę, gdy z niepokojem oczekiwaliśmy odpowiedzi na listy płk. Zamoyskiego czy prof. Wajdy.

I ta mrówcza praca przygotowywania materiałów do argumentów i do publikacji POSK! W rezultacie *Wiadomości POSK* zawierają mnóstwo informacji o życiu naszej organizacji, a przy okazji również wiele danych o innych organizacjach emigracyjnych. Zależało nam bardzo, aby gospodarka nasza była jak najbardziej przejrzysta, a POSK widziany przez ogół jako organizacja nowoczesna, używająca w swej działalności postępowe metody. W praktyce nasze możliwości techniczne były bardzo ograniczone i wiele rzeczy musieliśmy osiągać mozolną pracą. Nigdy nie zapomnę, jak inż. Sas-Skowroński ślezczał całymi dniami nad książką

telefoniczną wyszukując polskie nazwiska, aby ustalić w przybliżeniu rozmieszczenie Polaków w Londynie i udowodnić, że King Street na Hammersmith jest odpowiednim miejscem na Ośrodek!

Ileż to dyskusji odbyło się na tym naszym czwartym piętrze! Początkowo stale obracały się wokół tematów jak zdobyć pieniądze, jaka musi być nasza propaganda, jak przekonać tych od których decyzji zależy przekazanie pieniędzy. Później już, rozpoczęły się konkretne rozważania planów działania i budowy. Stoją mi przed oczyma pochylone głowy nad rysunkami rozłożonymi na wielkim stole. Pani Maria Danilewiczowa walcząca o każdy skrawek powierzchni dla Biblioteki, o łatwy dostęp, o rampy, gaśnice, wodę, łazienki... Architekt Grzesik, który może nie był Le Corbusierem, ale miał tę wielką zaletę, że pracował w magistracie Hammersmith, znał tam wszystkich i po przyjaźni załatwił wiele trudnych do przeprowadzenia rzeczy; trójka inżynierów lądowo-wodnych, Wajda, Woyno i Gabrielczyk, którzy przynajmniej wiedzieli ze strony praktycznej, o czym się mówi; społecznicy, spokojny Zielicki, temperamentalny Garliński, skrupulatny Wąsik, argumentacyjny Zakrzewski, Rynkiewicz walczący o to by młodzież nie była skrzywdzona i tylu innych z komisji budowy Ośrodka. Dyskutując sprawy techniczne, ciągle powracaliśmy do zagadnienia skąd wziąć pieniądze i jak przekonać powierników by poparli plany budowy finansowo.

W okolicy Princes Gardens wprowadzono już ograniczenia parkowania samochodów. W soboty było to nieco kłopotliwe, ale mogliśmy jeszcze zostawiać nasze wozy w parku. Toteż po dyżurze, który zwykle przeciągał się co najmniej pół godziny, wędrowaliśmy tam razem we trójkę, z reguły gorąco dyskutując po drodze, a nieraz nie mogąc się rozstać, jeszcze długo przy samochodach. Profesor jechał do domu na Wimbledon, a my z inż. Woyno, którego odwoziłem do domu, na Ealing.

Nasza młodzież

Struktura londyńskiego świata emigracyjnego opierała się

na hierarchii, którą odziedziczyliśmy z lat jeszcze przedwojennych, odpowiednio uzupełnionej postaciami, które wybiły się w czasie wojny. W dolnych eszelonach tej hierarchii było „pokolenie sekretarzy”. Byli to ludzie, którzy jeszcze nie zdołali osiągnąć pozycji ani przed, ani w czasie wojny. Nie było dla nich miejsca na zatłoczonych wyższych szczeblach, niemniej jako że ktoś musiał sekretarzować, byli użyteczni do pomocy.

Pozostawała „nasza młodzież”.

Magiczne to miano, przez dziesiątki lat obejmowało tych, którzy w pierwszych latach powojennych rzeczywiście byli młodzieżą.

Ilu nas było trudno jest powiedzieć. Przyjeżdżaliśmy do Wielkiej Brytanii etapami. Część jeszcze podczas wojny jako dzieci, reszta już w okresie powojennym, gdy w brytyjskich portach wyładowały się statki wiozące nas z Włoch, Niemiec, Środkowego Wschodu, Indii czy też Afryki.

W większości byliśmy w szkołach i ucząc się dalej, zdobyliśmy z czasem jakiś zawód. Wielu ruszyło za oceany. Na wyspie pozostała jednak spora gromada.

Co się z nią stało?

Część z niej swój udział w emigracyjnym życiu ograniczyła do uczestniczenia w nabożeństwach w polskich kościołach, w uroczystych obchodach rocznicowych, życiu towarzyskim, ale nie interesowała się zupełnie emigracyjnymi organizacjami zarówno politycznymi jak i społecznymi. Z czasem, chcąc zachować polskość swych dzieci, zaczęła brać udział w lokalnym życiu parafii czy polskiego klubu, popierając szkołę sobotnią i drużynę harcerską, lecz skwapliwie pozostawiając pracę organizacyjną bardziej zainteresowanym. Ci ostatni oczywiście w większości byli to ludzie ze starszych pokoleń, z małą grupką z naszego pokolenia. Tak więc wśród emigracyjnych młodszych roczników, urodzonych w Polsce przedwojennej, były dwie grupy. Pasywna większość i aktywna mniejszość. W gruncie rzeczy nie byłoby to nic nadzwyczajnego, bo w każdym społeczeństwie istnieje taki podział. Jednak w naszym wypadku proporcje były wybitnie na niekorzyść aktywnych. Pasywni bardzo rzadko zapisywali się do organizacji centralnych. Co było tego przyczyną?

Przed wszystkim to, że w układzie emigracyjnego areopagu, wszystkie ważne miejsca zajęte były dożywotnio przez dostojne osobistości i nie istniały żadne możliwości przeskoczenia ustalonej długiej kolejki potencjalnych następców. W kolejce tej „nasza młodzież” była na samiułku koniuszku. Niewątpliwie nie dodawało to entuzjazmu.

Początkowo nie było to tak groźne. Nasi wodzowie byli wówczas jeszcze stosunkowo młodzi, a nasze pokolenie zajmowało się głównie zdobywaniem kwalifikacji i pięciem się w górę w otaczającym nas świecie kraju osiedlenia. Z czasem sytuacja stała się nieco dziwna. W połowie lat sześćdziesiątych, „nasza młodzież” miała już ponad czterdziestkę. Żyliśmy w dwu odrębnych światach. W pracy uważani byliśmy już za starsze pokolenie i silnie odczuwaliśmy napór ambitnych młodszych roczników. Na terenie emigracyjnym pozostawaliśmy zakonserwowani w „młodzieńczej krasie”. Ileż to razy, pamiętam, gdy na zebraniach zwracano się w moim kierunku, z zapytaniem „a co myśli o tym nasza młodzież”? Zresztą nie było innego wyjścia, gdyż o ile nasze szeregi były nieliczne, to niestety nie odczuwaliśmy najmniejszego naporu młodszych następców. Wiało tam pustką.

Tak więc, gdy w pracy byliśmy już starzy, na terenie emigracyjnym pozostawaliśmy niezmiennie „naszą młodzieżą”. Oczywiście to rozdwojenie jaźni musiało się na nas ujemnie odbijać, ale nie było wyboru. Aby móc coś zdziałać na terenie emigracyjnym, musieliśmy się godzić z pozycją chłopców na posyłki. Że nas to bolało nie ulega wątpliwości. Kiedyś w 1965 roku sporządziłem sobie sentymentalną statystykę, która tak jasno mówiła, o ile wcześniej przyjmowało odpowiedzialność pokolenie naszych przywódców. Tak więc dla przykładu:

- gen. Marian Kukiel – ur. w 1885 r., (w 1965 – 80 lat), d-ca brygady w wieku 35 lat;
- gen. Stanisław Malinowski – ur. w 1888 r. (w 1965 – 77 lat), szef sztabu brygady w wieku 30 lat;
- amb. Edward Raczyński – ur. w 1891 r. (w 1965 – 74 lata), delegat RP przy Lidze Narodów w wieku 41 lat;
- gen. Władysław Anders – ur. w 1892 r. (w 1965 – 73 lata), d-ca pułku w wieku 29 lat;

dr Bronisław Hełczyński – ur. w 1892 r. (w 1965 – 73 lata),
szef Kancelarii Prezydenta RP w wieku 39 lat;
gen. Stanisław Maczek – ur. w 1892 r. (w 1965 – 73 lata),
d-ca pułku w wieku 37 lat;
dr Karol Poznański – ur. w 1893 r. (w 1965 – 72 lata),
konsul gen. Paryż w wieku 37 lat;
gen. Zygmunt Bohusz-Szyszko – ur. w 1893 r. (w 1965 – 72
lata), d-ca pułku w wieku 38 lat;
gen. Tadeusz Bór-Komorowski – ur. w 1895 r. (w 1965 – 70
lat), d-ca pułku w wieku 37 lat;
gen. Stanisław Kopański – ur. w 1895 r. (w 1965 – 70 lat),
dyr. nauk Szk. Podch. Artylerii w wieku 29 lat;
gen. Bronisław Duch – ur. w 1896 r. (w 1965 – 69 lat), d-
ca pułku w wieku 39 lat;
Adam Ciołkosz – ur. w 1901 r. (w 1965 – 64 lata), poseł na
sejm w wieku 27 lat.

My w wieku lat 40-tu na terenie emigracyjnym lataliśmy
po papierosy.

Nie było to łatwe.

Wychodziły wprawdzie *Merkuriusz* i *Kontynenty*, mniej
lub więcej buntownicze pisma „naszej młodzieży”, ale nie
miały one szerokiego zasięgu. Niepokoili wprawdzie emigra-
cyjny areopag i w *Dzienniku Polskim* utworzono jakby bez-
piecznie ogrodzony, zoologiczny wybieg dla okazów nieznoś-
nej fauny pod nazwą „Kontury”.

Szlachetne serce

Postacią, która odegrała w moim życiu bardzo ważną rolę
był Józio. Druh harcmistrz mgr Antoni Józef Zielicki, jak się
poprawnie nazywał, choć wszyscy nazywali go Józiem. Uro-
dził się w Tarnopolu 25 listopada 1910 r. Później mieszkał
we Lwowie, gdzie studiował matematykę pod skrzydłami
sławnego prof. Banacha. Przed samą wojną zdobył dyplom.
Od dzieciństwa był harcerzem, by z czasem stać się członkiem
naczelných władz ZHP. We wszystkich dziedzinach ce-
chowało go umiarkowanie i zawsze wykazywał poszanowanie

dla opinii innych. Był przykładem harcerza, ale też z nie byle jakiej szkoły wyszedł. Należąc do tego pokolenia, które wychowało się w Wolnej Polsce i jeszcze miało szczęście czynnie uczestniczyć w tej wspaniałej pracy narodu nad scaleniem trzech zaborów w jedną całość. Józiową częstką tej pracy było, gdy założył i prowadził we Lwowie pierwszą w Polsce robotniczą drużynę harcerską. Była nią też praca w legendarnych dla nas Górkach Wielkich, gdzie przed samym wybuchem wojny był zastępcą Aleksandra Kamińskiego i prowadził kursy harcerskiej metodyki wychowawczej dla nauczycieli szkół powszechnych i średnich zorganizowane przy współpracy Ministerstwa Oświaty. Po gehennie Września Józio znalazł się znów we Lwowie i z miejsca wciągnął do pracy podziemnej, wchodząc do piątki Komendy Głównej ZWZ na okupację sowiecką. W czerwcu 1940 r. został aresztowany. Po roku śledztwa w więzieniach na Butyrkach i Łubiance, został skazany na śmierć przez Sowiecki Najwyższy Sąd Wojenny. Oczekiwał w celi śmierci szereg tygodni na egzekucję, od której uratowało go podpisanie umowy Sikorski-Majski. Píše o Nim Czapski w swej książce „Na Nieludzkiej Ziemi”. Zwolniony z więzienia Józio dołączył do Armii Polskiej w Rosji, gdzie został mianowany zastępcą Szefa Oświaty i Prasy. Na stanowisku tym przechodzi Rosję, Irak, Iran, Palestynę, by z 2 Korpusem znaleźć się we Włoszech. Po zakończeniu działań wojennych został szefem sekcji szkół w Bazie 2 Korpusu, obejmującej cztery gimnazja, liczące około 2000 uczniów. W tym okresie współpracuje ściśle z Delegatem Ministerstwa Oświaty prof. Aleksandrowiczem. Józio bardzo się przyjaźnił z profesorem Aleksandrowiczem, tym wielkim, a zapomnianym polskim uczonym, i często odwiedzał go w Plymouth. Opowiadał mi nieraz o trudnościach, przez które przechodził profesor, między innymi, że w *Marine Biological Laboratory* w Plymouth, choć dyrektor, który jeszcze jako młody asystent przed wojną, stał się wielbicielem profesora, stworzył mu warunki do pracy naukowej, ten wielki uczony oficjalnie zatrudniony był jako posługacz laboratoryjny, gdyż tylko ten etat był dla niego dostępny! Profesor Aleksandrowicz nigdy nie wstąpił do Polskiego Korpusu Przygotowania i Rozmieszczenia – PKPR,

uważając, że była to zdrada wobec Wrześniowców i żołnierzy Armii Krajowej, którzy pominięci w umowach, pozostali w Niemczech.

Od 1945 do 1947 Józio był zastępcą Szefa Delegatury 2 Korpusu we Francji. W tym okresie zacieśniły się jeszcze bardziej jego więzy przyjaźni z zespołem paryskiej *Kultury* Jerzym Giedroyciem, rodzeństwem Józefem i Marią Czapskimi i Zygmuntem i Zofią Hertzami. Po przyjeździe do Anglii, Józio ukończył w Cambridge roczny kurs pedagogiczny dla nauczycieli Polaków, po którym odbył praktykę w sławnej katolickiej *Public School – Ampleforth College*⁵³. Następnie rozpoczął nauczanie w Żeńskim Gimnazjum Polskim w Doddington, koło Huntington, nieco później przeniesionego do Stowell Park koło Northleach w hrabstwie Gloucester. Od 1957 objął kierownictwo nauk matematycznych w Cardinal Vaughan Grammar School⁵⁴ w Londynie, gdzie wraz z żoną Marysią, również matematyczką, nauczali przez lata i spod ich skrzydeł wyszło wielu dobrych matematyków, wśród nich i Polacy, którzy po studiach zajęli odpowiedzialne stanowiska w technicznym świecie.

Równolegle Józio brał żywy udział w życiu społecznym i politycznym Emigracji. Jako Kierownik Działu Spraw Kultury wchodził do Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego.

Wcześniej wciągnąłem Józia do POSK. Stał się zapalonym entuzjastą, z czasem wszedł do zarządu i przez swoje znakomite kontakty z czasów 2 Korpusu, załatwił wiele trudnych spraw. Jedną z ważniejszych, pomagającą w zdobyciu szerszego zaufania do naszych planów, we wczesnym okresie istnienia organizacji, było przekazanie przez powierników: gen Andersa, Józefa Czapskiego, Eugeniusza Lubomirskiego i Józefa Zielickiego, którego była to inicjatywa, 90% udziałów księgarni polskiej „Libella” w Paryżu, pozostałości po działaniu tamtejszej placówki 2 Korpusu. Przekazany kapitał wartości około dwu tysięcy funtów, nie był wielki, ale umożliwiło to zarządowi już we wrześniu 1965 głoszenia, że rozpoczął się, i to z tak poważnego źródła, proces przekazywania majątku społecznego na POSK.

53. Ekskluzywna szkoła internatowa.

54. Odpowiednik gimnazjum.

Innym ważnym wkładem Józia, było wciągnięcie całego zespołu *Kultury*. Jerzy Giedroyc, Zofia Hertz, Zygmunt Hertz, Henryk Giedroyc i Juliusz Mieroszewski, nie tylko zapisali się na członków, ale całym sercem popierali POSK na łamach *Kultury*.

Był kluczowym działaczem Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego, bez którego pierwsze kroki tej organizacji byłyby znacznie trudniejsze.

Józio zawsze starał się pomóc w naszych ciężkich przeżyciach związanych z chorobą mej żony Danuty. Wierzyliśmy wtedy, że uda się uratować jej talent.

11 listopada 1964 pisałem do mej mamy: „W piątek byli u nas Józiowie z Krzysiem i z przyjacielem Józia tego samego imienia, malarzem i krytykiem sztuki. Swego czasu należał on do grupy Kapistów, gdy przed wojną mieszkał w Paryżu. Obecnie też tam mieszka i dalej maluje. Bardzo mu się podobały obrazy Danusi i bardzo zachęcał ją, aby malowała. Powiedział, że ma duże wyczucie malarskie i że ma dużo malarsko do powiedzenia. Powiedział, że jest znacznie lepszą malarką, niż jeden ze znanych malarzy polskich w Londynie. Jest to zresztą już druga poważna, pozytywna ocena obrazów Danusi. Pierwszą była wypowiedź prof. Potworowskiego w 1957 r.

Danusia znów maluje i to dużo. Muszę powiedzieć, że nie tylko sprawia mi to radość, gdy patrzę na nowo tworzone płótna, ale też mam głęboką satysfakcję, tak jakby w części było to i moje dzieło. Miło jest, gdy po czarnych chwilach prób charakteru przychodzą jasne momenty...”.

Oczywiście imiennikiem Józia, był Józef Czapski. List jest zresztą ciekawostką, jak moja korespondencja z krajem była w tamtym okresie ostrożna. Liczyłem na to, być może naiwnie, że zwykły cenzor bezpieki nie ma pojęcia kim byli Kapiści i jaki malarz polski mieszka w Paryżu.

Ileż to wspomnień łączy mi się z domem Józioów. Korytarz z historycznymi szkicami Monte Cassino wykonanymi przez Czapskiego w dzień po bitwie. Ten salon od frontu, gdzie na ścianie wisiała piękna makata perska, a na niej wspaniały ręcznie kuty talerz srebrny, obie pamiątki jeszcze z czasów wojennych na środkowym Wschodzie. A pod nimi

półka z całym kompletem *Kultury*, włącznie z pierwszym numerem, który będąc podwójnej wielkości, tylko leżąc ledwie się mieścił. A obok tyle książek z osobistymi dedykacjami autorów. Pod oknem biureczko georgiańskie, z nogami skróconymi kiedyś dla pani Herminii Naglerowej, aby mogła wygodnie pisać. Na sąsiednich ścianach obrazy Czapskiego, włącznie z jego świetnym portretem Marysi Zielickiej.

Marysia, jako dziecko, wraz z matką i bratem wywieziona była do Rosji. Udało im się wydostać wraz z wojskiem i później byli w obozie polskim w Indiach, gdzie brat Marysi utonął w czasie kąpieli w rzece. Po wojnie przyjechały do Anglii. Miła i bardzo serdeczna dla nas pani Formankiewicz należała do tych, którzy jak drzewa wyrwane z korzeniami, nie mogli się przyjąć na obcym gruncie. Zmarła w kwietniu 1959. Marysia ukończyła gimnazjum w Stowell Park. Tam to Józio odkrył zarówno jej zdolności matematyczne, jak i jej wdzięki.

Synek Józiów, Krzys już nieco podrośł i był bardzo miłym dzieckiem. Oczywiście rodzice rozpuszczali swego jedynaka. Miał więc setki najbardziej wyszukanych zabawek. Nie przeszkadzało to jednak wcale zabawom opartym wyłącznie na wyobraźni. Nie opuszczając salonu, odwiedzaliśmy ZOO, karmiliśmy żyrafy, co wymagało nie lada wysiłku, aby osiągnąć tak wysoko i krokodyle, co z kolei wymagało ostrożności. Jeździliśmy też nad morze, w góry – świat stał przed nami otwarty. Oczywiście w domu Krzys mówił jedynie po polsku.

Ileż to miłych chwil spędziliśmy wokół wielkiego stołu w jadalni, na której ścianach wisiało parę obrazów Nikifora. Pamiętam, jak Józio, który był smakoszem, delektował się każdą nową potrawą, czy też jak z namaszczeniem otwierał butelkę dobrego francuskiego wina, pochodzącego z wypraw do Paryża.

I te niekończące się dyskusje na temat naszych emigracyjnych problemów. U Józia spotykałem też Kazika Sabbata i jego niegdyś harcerski, a już w tamtych czasach również polityczny zespół.

Bardzo miłym gościem był Józio przełożony ze szkoły

i przyjaciel, Ojciec Constance, także matematyk, z którym zresztą Józio wydał wspólnie podręcznik do matematyki. Obecnie Ojciec Constance jest biskupem Leeds.

Byli też i przypadkowi goście, jak sąsiad Murzyn, dyplomata żonaty z Niemką, którego uświadamialiśmy, że nie tylko Niemcy mają rację.

Atmosfera w domu Józioów pozwalała mi zapominać o mych zmartwieniach. A nie znałem nikogo, kto by nie lubił i nie szanował naszego kochanego, niezastąpionego Józia. Zawsze wywierał on na swe otoczenie, harcerskie, społeczne i polityczne, wpływ potężnego katalizatora, bez którego wiele spraw miałoby mniej szczęśliwy koniec.

Niestety śmierć tak prędko nam go zabrała. Zmarł na zawał serca 13 czerwca 1973 r.

Przełomowy moment

Nie ulegało wątpliwości, że przy wszystkich naszych osiągnięciach utknęliśmy w miejscu. Przeciwnicy POSK zdołali zablokować dostęp do poważniejszych funduszy Emigracji. Doszliśmy do wniosku, że teoretyzowanie na papierze nie może nikogo przekonać. Potrzebowaliśmy rzeczywistego miejsca na mapie Londynu, gdzie moglibyśmy pokazać, że tu właśnie rozpoczynamy realizację planów tworzenia Ośrodka. Musiało ono przedstawiać zalety, które oddziaływałyby na wyobraźnię ludzi. Będąc zmuszeni polegać jedynie na zgromadzonym własnym kapitale POSK, który bilansowo wynosił około £ 170 000, cena nie mogła być zbyt wysoka, co oczywiście ograniczało wybór. Obiekt musiał mieć jednak potencjalne możliwości dalszego rozwoju w wypadku zmiany nastawienia powierników mienia emigracyjnego, czy też szerszego poparcia przez społeczeństwo emigracyjne.

Zaczęliśmy więc poszukiwania. Jeżeli się chce coś znaleźć, to nie ma na to lepszego sposobu, jak osobiście obejrzeć okolice wchodzące w rachubę. Zaczęliśmy więc regularne wędrowki, Victoria, Fulham, Notting Hill... W sobotę 20 kwietnia 1968 roku wybraliśmy się z prof. Wajdą obejrzeć jak się przedstawia sytuacja na Shepherds Bush, blisko

naszego nowego kościoła pod wezwaniem św. Andrzeja Boboli. W okolicy nie było nic interesującego, pojechaliśmy więc na Hammersmith. Skoncentrowaliśmy się na paśmie wzdłuż torów kolejki podziemnej na zachód od stacji. Obeszliśmy cały ten przemysłowo-handlowy teren, który wydał nam się interesujący. Przez inż. Woyno, który z firmy gdzie pracował, miał dokładne informacje o planach przebudowy okolic przy stacjach kolejki podziemnej, wiedzieliśmy, że wygląd Hammersmith na pewno się poprawi.

Notowaliśmy więc wszystkie możliwe obiekty. Jak wyglądała sytuacja piszę w liście do prof. Wajdy:

22.4.1968

Drogi Panie Prezesie,

Jadąc do domu zauważyłem jeszcze jedną tablicę obwieszczającą sprzedaż terenu w tamtym okręgu. Tym razem ma ona fronton wychodzący na King Str. No. 136 Firma agentów Lhambercain & Willows Tel:- 638 8001.

Postaram się zawiadomić jeszcze dziś Panią Wandę, aby zadzwoniła i poprosiła o informacje. O ile wiem jest to trochę większy obiekt 20 000 stóp kwadratowych.

Zastanawiam się nad tą okolicą i nie wiem czy nie jest ona nawet lepsza niż koło kościoła. Komunikacja na pewno lepsza. Z hałasem nie powinno być kłopotu. Dystans od kościoła mniej więcej taki sam jak Brompton Oratory i Ognisko, a to nie przeszkadzało. Jeszcze jedna zaleta: Hammersmith Town Hall jest tuż, tuż a tam już używamy salę na nasze obchody [...] Obiekt No 3 (136 King Str.) należy chyba do firmy National Electrical Supplies Ltd... ...Wydała mi się, że ta okolica wzdłuż toru na Hammersmith, poza przestrzenią 'development' byłaby dla nas idealna! Jadę dziś do Jugosławii. Będę w Londynie prawdopodobnie w piątek wieczór. Łączę serdeczne pozdrowienia Krzysztof Gluchowski.

Pani Wanda wydostała informacje. Okazało się, że tablica przed No 136 King Street rzeczywiście należała do firmy *National Electrical Supplies Co. Ltd.*, która się tam przeniosła i sprzedawała swój uprzedni lokal – 240/244 King

Street! Prezes i sekretarz ruszyli do akcji. W Jugosławii zatrzymano mnie dziewięć dni i dopiero w sobotę po powrocie, prof. Wajda i inż. Woyno mogli mi pokazać obiekt, który zbliżał się do specyfikacji, jaką sobie zakresliliśmy.

Dzięki moim podróżom mam szereg listów do prezesa, gdzie na gorąco opisuję problemy, z którymi się stykaliśmy. Dla przykładu list z 11 maja 1968, czyli w dwa tygodnie po znalezieniu posesji przy King Str.

Szanowny Panie Prezesie,

Niestety nie będę mógł uczestniczyć w pierwszym zebraniu Rady POSK w nowej kadencji, gdyż muszę wyjechać w tym czasie do Szwecji.

Niniejszym przekazuję mój głos Panu Prezesowi...

Tu następują uwagi spowodowane jakimiś wnioskami pana Wysockiego, a dotyczącymi spraw układu i odpowiedzialności władz POSK. Już nie pamiętam o co chodziło. Dalej piszę:

...Tyle o sprawach „paragrafowo-regulaminowych”, które, mam nadzieję, że nie wpłyną ujemnie na nasz rozpęd w chwili, gdy zbliżamy się do zasadniczego momentu kupna placu pod naszą budowę! Sprawa ta jest znacznie ważniejsza! Moim zdaniem powinniśmy zrobić wszelki wysiłek, aby kupić freehold⁵⁵ 240/244 King Street W.6.

Po dokładniejszym obejrzeniu okolic tego obiektu uważam, że jego położenie jest świetne dla zrealizowania naszych planów. W wypadku trudności z uzyskaniem pozwolenia na używalność do celów nam potrzebnych powinniśmy nie dawać za wygraną i uruchomić całą naszą maszynę protestacyjno-propagandową, aby pozwolenie otrzymać. Wszelkiego rodzaju obiekcje w stosunku do naszych planów w tym punkcie będą miały bardzo słabe uzasadnienie i śmiało można powiedzieć, że jeżeli tam nie dadzą nam pozwolenia to nigdzie go nie dostaniemy!

Tak więc powinniśmy walczyć, aby nam dali je na King Street.

Stanowczo uważam, że powinniśmy kupować całą

55. Pełna własność.

obiekt włącznie z No 9 nawet za pełną cenę £ 50.000.

Zdaje sobie sprawę z trudności kredytowych w obecnej chwili, ale ponieważ uważam, że jest mało prawdopodobne, abyśmy coś lepszego znaleźli i abyśmy w przyszłości mieli łatwiejszą sytuację kredytową, więc musimy zrobić wszystko, aby pieniądze zdobyć choćbyśmy się mieli zadłużyć na trudnych warunkach. Na tej nieruchomości nie stracimy na pewno, a w najgorszym razie będziemy musieli sprzedać jeden z domów.

Obiekt na King Street ma szereg zalet włącznie z główną, że daje możliwości rozwojowe nie tylko dla nas, ale też dla naszych ewentualnych polskich sąsiadów, którzy jestem przekonany, że ściągną za nami. Wymiary przestrzeni, którą przy uporze możemy razem z innymi polskimi organizacjami osiągnąć, są prawie identyczne z placem jaki był podany w naszych maksymalnych planach w biuletynie No 3 (75 stóp na 200 stóp). Cały ten plac powinniśmy móc kupić za sumę £ 80.000–£ 90.000 Biuletyn No 3 ocenia cenę placu na £ 150.000. Na co więc mamy czekać?

Kupiwszy obiekt na King Street w pierwszym rzędzie powinniśmy odnowić frontowy budynek tak, by można było przeprowadzić Biblioteki. Drugie stadium to o ile można wykupić Nos 5,7 i ewentualnie 11 i rozpoczęcie budowy frontem do bocznej ulicy. O ile wykupienie domów nie byłoby możliwe, to budowa musiałaby zacząć się na tyłach. Od początku plany powinny uwzględnić całość terenu, tak by kolejne części, stanowiąc same w sobie wykończone jednostki, przy rozbudowie tworzyły jednolitą całość.

Kupno domu narożnego stanowiłoby fazę trzecią a zburzenie frontonu i jego ponowna zabudowa czwartą. Współpraca z innymi organizacjami polskimi w tych fazach na zasadzie „budujemy jako sąsiedzi” byłaby konieczna. Ostatnia możliwość rozwojowa to wykupienie Nos 13 i 15 i dogadanie się z miastem o używalność terenu przy torach i pod arkadami. Zresztą ta ostatnia możliwość nie jest właściwie potrzebna.

Jeszcze raz nawołując do pełnego ataku na King Street, życzę pomyślnych i owocnych obrad i łączę najserdeczniejsze pozdrowienia. K. Głuchowski.

W miesiąc później pisałem ...*Ogólnie biorąc nadal uważam, i coraz głębiej jestem przekonany, że ten obiekt jest warty £ 50 000 i wszelkie rozważania na temat ile wypada za stopę kwadratową i dociekania typu czy jest dry rof⁵⁶ czy go nie ma są zupełnie bezprzedmiotowe. O ile dostaniemy pozwolenie na zmianę używalności to nabywamy bardzo dla nas cenny obiekt...*

Kształt terenu posesji, choć dawał możliwości rozwoju, był nieregularny i w gruncie rzeczy trudny do planowania. Trzeba pamiętać, że jeszcze nie wiedzieliśmy, że sąsiedni kościół Brytyków będzie na sprzedaż. Później, w przygotowaniach do uzyskania pozwoleń władz, przez cały czas naszych rozważań, staraliśmy się planować budowę w taki sposób, aby ją można było prowadzić stopniowo, zależnie od posiadanych środków finansowych, lecz aby każda nowa część stanowiła jednostkę zdatną, od razu do użytku, a równocześnie była przygotowana do włączenia do jednolitej całości. Chodziło o uniknięcie sytuacji stworzenia gigantycznych fundamentów, bez możliwości ich wykończenia. Na skutek wybitnie ostrych i nieraz późnych wymagań *District Surveyor*⁵⁷ – w sprawach bezpieczeństwa, wiele naszych początkowych planów, musiało ulec radykalnym zmianom. Między innymi, planowana ze względów oszczędnościowych, powierzchniowa przebudowa istniejących budynków, musiała ustąpić całkowicie nowej konstrukcji żelazno-betonowej. Niestety niemożliwe były jakiegokolwiek zmiany form zewnętrznych, gdyż wymagałoby to nowego pozwolenia i spowodowałoby opóźnienia i wzrost kosztów. Stąd też stosunkowo niskie sufity, na które wszyscy narzekają. Często się też słyszy, szczególnie wśród architektów, krytykę, że nie był rozpisany konkurs na projekt budynku POSK. Otóż przy naszych bardzo ograniczonych możliwościach finansowych i przy naglącej sytuacji kończącej się dzierżawy 9 Princes Gardens, było to fizycznie niemożliwe. Zresztą szkoda, że wśród 127 organizacji należących do POSK w roku 1970 nie można znaleźć naszych architektów, których pomocy tak bardzo wtedy potrzebowaliśmy.

56. Grzyb.

57. Okręgowa władza nadzoru budowlanego.

Wracając do kupna, rozpoczął się gorączkowy okres przekonywania o jego celowości. Przygotowana została szczegółowa analiza wartości obiektu i plan finansowy. Prowadziliśmy kogo się dało na miejsce, by pokazać teren i okolice. W rezultacie 17 maja 1968 Rada POSK zaleciła kupno i z chwilą, gdy otrzymaliśmy pozwolenie władz na używalność na nasze cele, podpisany został kontrakt, i 4 października 1968 roku dostaliśmy klucze.

Kościół Baptystów

W międzyczasie, pod koniec lipca 1968 doszła nas wiadomość, że Baptysty, bezpośredni sąsiedzi, rozważają możliwość sprzedaży kościoła. Niestety pastor był niedostępny i na potwierdzenie wiadomości i otrzymanie szczegółowych informacji, musieliśmy czekać. Następnego dnia już niemal od świtu, na schodach zakrystii czekał prof. Wajda. Okazało się, że wiadomość była prawdziwa. Baptysty rzeczywiście chcieli sprzedać kościół wraz z budynkiem przykościelnym, pod warunkiem, że na pozostałej części posesji będą mogli wybudować mniejszą kaplicę. Kupno kościoła, to prawdziwa saga! Stały przed nami dwie łamigłówki. Pierwsza, jak zwykle, skąd wziąć pieniądze, druga, w jaki sposób zapewnić Baptistom dostęp do tylnej części parceli, tak, by mogli tam wybudować kaplicę.

Możliwość kupna kościoła zmieniała całkowicie sytuację.

Jak szarpaliśmy się z zagadnieniami w jaki sposób i w jakich terminach powinniśmy planować przeprowadzkę na nowe miejsce, ilustruje list z 7 sierpnia 1968.

Drogi Panie Prezesie,

w związku z zaistnieniem możliwości kupna kościoła Baptystów, moje dotychczasowe rozważania na temat programu rozbudowy stały się nieaktualne.

Jeszcze raz stwierdzam, że nie mam najmniejszej wątpliwości, że kościół należy kupić a cena £ 45 000⁵⁸ na

58. Później okazało się, że cena była £ 60 000.

raty jest wyjątkową okazją, której nie wolno nam wypuścić!

Nadal uważam, że z praktycznych względów powinniśmy dla siebie określić sobie strefy operacyjne.

Na podstawie naszych dyskusji obecnie widzę następujący podział:

Strefa I

Kościół z budynkiem przykościelnym przeznaczone na działalność kulturalno-naukową. Biblioteka, muzeum, archiwa, kolekcje sztuki, PUNO, Tow. Naukowe, Reduta itp.

Z chwilą objęcia posesji za trzy lata odnowienie bez większych przeróbek.

W dalszej przyszłości sala na kolumnach i o ile można niskie skrzydła po bokach kościoła.

Strefa II

Budynek 240-244 King Str. włącznie z budynkiem z tyłu, przeznaczone na działalność organizacyjno-społeczno-klubową.

Piwnica, parter i pierwsze piętro, klub i restauracja. Góra biura i sale konferencyjne itp.

Strefa III

Reszta placu plus posesje 1,5,7 i 11 Ravenscourt Ave. wykup freeholds i dalsza rozbudowa (mieszkania, sklepy, dom dla starców, ośrodek młodzieżowy itp.)

Strefa IV

Posesje N°13 i 15 Ravenscourt Ave. Dalsze możliwości rozwojowe. Wykup freeholds gdyby znalazły się na rynku.

Strefa V

Posesje wzdłuż Ravenscourt Rd. do numeru 1 włącznie. Dalsze możliwości rozwojowe. Wykup freeholds gdyby znalazły się na rynku.

Bliska przyszłość...

Zgadzam się z Panem Prezesem, że należałoby dojść jak najszybciej do porozumienia z Baptistami i zacząć używać budynek przykościelny na nasze cele. Wydaje mi się, że najlepiej byłoby przenieść tam jak najszybciej „Redutę” i kurs kreślarski, tym samym zwalniając salę na Bolton Gdns., którą warto byłoby przerobić na mieszkanie i

wynająć, tym samym podnosząc rentowność tego budynku, która jest słaba.

Obiekt Baptistów, niewątpliwie zwolni nam 9, Princes Gdns. nawet bez ruszania 240-244 King Str. Nie orientuję się jakie są możliwości robót częściowych i o ile utrudniają one dalsze prace, ale wydaje mi się, że powinniśmy dążyć do przeniesienia Ośrodka Młodzieżowego do piwnicy 240-244 King Str. jak najszybciej i tym samym zwolnić lokal na Cromwell Road zyskując £ 1 000 rocznie.

Odnowienie piwnicy można by robić z myślą o tym, że z czasem będzie to część restauracji, gdy młodzież przeniesie się na inne miejsce.

Wydaje mi się, że mimo wszystko, barak na podwórzu powinniśmy jak najszybciej dać do użytku Harcerstwu. Gospodarzami powinniśmy zrobić drużynę „Błękitną trójkę” na której terenie znajduje się King Str. Są to dzieci z Chiswick i okolicy, których rodzice dysponują funduszem £ 3.000 należącym do Gminy Zachodniego Londynu. Opiekunami „Błękitnej trójki” jest 3DSK czyli okazja do związania i zainteresowania Karpaczczyków. Młodzież jest dobrym elementem propagandowym.

Można by podzielić barak i drugą część oddać pod opiekę lokalnej drużynie harcerek.

Krzysztof Gluchowski

W tym stadium, nadal jednak istniały dwa wyjścia: ograniczyć się do już nabytych posesji i przeprowadzić plany przebudowy własnymi siłami, lub nabyć również kościół i porwać się na budowę naprawdę dużego centrum, do tego jednak niezbędne było poparcie innych organizacji. 21 stycznia 1969 odbyło się zebranie informacyjne, na które zaproszonych zostało 15 organizacji emigracyjnych. Obecnych było 36 osób. Przedstawiliśmy dwie możliwości i zebrani wypowiedzieli się za przyjęciem maksymalnego planu. Istnieje fotografia z tego zebrania. Rzeczywiście na sali widać śmietankę naszego życia społecznego, a nawet politycznego. W publikacjach okolicznościowych wygląda jakby wszyscy obecni byli entuzjastami POSK. W rzeczywistości była nimi połowa. Obecnych było też kilku zaciętych przeciwników, a

co do reszty Brazylijczycy mają świetne powiedzenie *nao eram nem contra, nem a favor, muinto pelo contrario*⁵⁹. Wypowiadać się za najbardziej szeroko zakrojonymi planami, bez żadnych konkretnych zobowiązań, nic nie kosztowało.

I znów przygotowany został plan finansowy i głowiliśmy się, jak go wprowadzić w życie opierając się na darowiznach i pożyczkach z polskich źródeł i tym samym zmniejszając odsetki. Pomysły te opisywane były w kolejnych numerach *Wiadomości POSK*.

Mieliśmy rację, że istnienie jakiegoś obiektu w naszych rękach ułatwi przekonywanie do idei POSK. Mieliśmy też dużo szczęścia, że już tak wcześnie zaistniała możliwość kupna kościoła Baptystów i tym samym nasze plany przybrały bardziej atrakcyjne formy. Pamiętam jak oprowadzaliśmy po 240-244 King Street prezesa SPK, Stefana Soboniewskiego i gdy idąc wąskim przejściem od strony Baptystów, powiedzieliśmy, że istnieje możliwość kupna kościoła, jego oczy dosłownie błysnęły entuzjazmem. Myślę, że od tego momentu nie miał już wątpliwości, że SPK powinno włączyć się ze swym kapitałem.

Nie zapominaliśmy też o prasie. Pamiętam jak Józio Zielicki zaaranżował wizytę Jerzego Giedroycia. Przyjechał on do Londynu na krótko i miał cały czas tak zajęty, że dopiero późno w nocy mogłem go zawieźć na Hammersmith i po ciemku, bo nie było jeszcze podłączonej elektryczności, oprowadzić po naszym pierwszym nabytku i z zewnątrz pokazać kościół. Później przysłał dziennikarza, Jacka Adolfa, aby zapoznał się z naszymi planami i obejrzał obiekty przy King Street. Bardzo nam zależało, aby pisał ktoś spoza naszego grona i przy tym osoba neutralna. Jeszcze wcześniej Giedroyc chciał, aby o POSK pisał Czesław Dobek ale on dla naszego londyńskiego areopagu był jak płachta na byka, a my jeszcze łudziliśmy się, że dostaniemy stamtąd rzeczywiste poparcie.

Jeżeli chodzi o kupno kościoła, sprawozdanie w *Wiadomościach POSK* taki daje obraz tej operacji:

Biedna i stosunkowo nieliczna parafia Baptystów nie dysponując żadnym kapitałem mimo najlepszych chęci

59. „Nie byli ani przeciw, ani za, lecz wręcz na odwrót”.

i dobrej woli nie mogła wziąć na własne barki ciężaru zakupu domu przy 7 Ravenscourt Road, tym samym nie mogła starać się o zgodę władz miejskich na zatwierdzenie planów kaplicy, gdyż nie było do niej dostępu od ulicy. Należało więc dać zapewnienie władzom miejskim, że dostęp uzyska się przez zburzenie domu przy 7 Ravenscourt Road ale znowuż by mieć dostęp należało uzyskać zgodę właściciela gruntu i dzierżawcy domu (leaseholdera⁶⁰) na sprzedaż tego obiektu za cenę rynkową, na domiar złego dom okazał się własnością organizacji charytatywnej więc konieczna była także zgoda Charity Commissioners⁶¹. By znaleźć wyjście z tego 'zaczarowanego koła' należało podjąć ryzyko.

Rada POSK ryzyko to wzięła na swoje barki polecając Zarządowi kupno domu i ewentualne przekazanie jego kongregacji Baptystów po ubiciu targu o obiekt 238 King Street, W. 6.

Sprawa kupna domu została już przez Ośrodek załatwiona, Baptysci zaś uzyskali pozwolenie na budowę kaplicy i innych budynków.

W sierpniu 1969 Rada miała do pokonania już tylko 'dwie przeszkody' – uzgodnienie ceny kupna i kupno obiektu oraz zdobycie funduszy dla dokonania transakcji.

Oprócz tych dwu istniała jednak jeszcze trzecia. Mianowicie na przestrzeni przed kościołem był stary cmentarz, i aby móc cokolwiek budować na tym terenie, trzeba było usunąć szczątki pochowanych tam ludzi. Ponieważ miejsce chronione było przez *ancient burial places act*⁶², wymagana była specjalna ustawa parlamentu. Odpowiedzialność za załatwienie tej sprawy i pokrycie kosztów ponosili Baptysci, lecz niezależnie od adwokatów i dobrych kontaktów, które Baptysci mieli w parlamencie, dla prostszego załatwienia sprawy, i zapewnienia jak najwcześniejszych terminów w obu izbach, uruchomiona została również sieć naszych sprzymierzeńców. Między innymi odwiedził King Street lord Barnby, by

60. Dzierżawcy.

61. Komisarzy dobroczynności.

62. Prawo dotyczące dawnych miejsc pogrzebu.

zaznajomić się na miejscu z sytuacją. Przy całej dobrej woli, uchwalenie ustawy zezwalającej na budowę, zajęło dużo czasu, i dopiero 17 grudnia 1970 roku Jej Królewska Mość zaaprobowała uchwałę parlamentu. 8 stycznia 1971 roku transakcja kupna kościoła Baptystów została sfinalizowana.

Cena £ 60 000, jak na tak duży obiekt, była stosunkowo niska. Powodem były ograniczenia używania, co dla nas nie stanowiło problemu, gdyż nasze cele społeczne i kulturalne były zgodne z istniejącymi pozwoleniami, a sąsiednia posesja, będąca już w naszym ręku, nie miała ograniczeń działalności handlowej i biurowej. Dogodnym też było to, że nie musieliśmy wyłożyć całej sumy od ręki, a spłacana miała być w dwunastu miesięcznych ratach, zgodnie z planem budowy kaplicy. Cała transakcja była dla nas bardzo korzystna.

Pozostawało zagadnienie skąd wziąć pieniądze? Kluczowym stało się załatwienie pożyczki z Funduszu Wdów i Sierot 3 Dywizji Strzelców Karpackich, który miał £30 000. Tak się złożyło, że wszyscy trzej członkowie prezydium, a również i inni w zarządzie, jak na przykład dr inż. Sas-Skowroński, jeszcze z Brygady Karpackiej, byli z 3 DSK. Prof. Wajda i inż. Woyno przeszli całą kampanię włoską, później budowali cmentarze i pomnik 3 DSK, mieli dostęp do gen. Ducha i sprzymierzeńców wśród dywizyjnych saperów. Ja z kolei, wprawdzie dołączyłem do dywizji dopiero w lipcu 1945, gdy po niewoli niemieckiej po powstaniu dotarłem do rodzimego pułku odtworzonego we Włoszech, ukończyłem jednak Gimnazjum i Liceum 3 DSK, a co ważniejsze, zastępca dowódcy dywizji gen. Smoleński, Beliniak, był oficerem 7 Pułku Ułanów Lubelskich, serdecznym przyjacielem mego ojca i obu stryjów, i prezesem Koła Pułkowego, miałem więc do niego łatwy dostęp. Zaraz po zaistnieniu możliwości kupna kościoła Baptystów, pożyczka z 3 DSK stała się sprawą pilną. Wybrałem się więc na Hounslow do gen. Smoleńskiego. Z czasem zawiozłem generała na Hammersmith, aby pokazać obiekt na który potrzebowaliśmy pożyczki. Prezes i sekretarz działali ze swej strony. W rezultacie 3 DSK nas nie zawiodła, Rada Powierników w szybkim tempie zatwierdziła pożyczkę i POSK dostał tak potrzebną w tym momencie sumę £ 25 000. Słowami prof. Wajdy był to

dowód, „że przy dobrej woli, wzajemnym zaufaniu i chęci udziału we wspólnym przedsięwzięciu, można wszystko załatwić”. Była to aluzja do tak często słyszanych wymówek, że statuty i przepisy nie pozwalają na udostępnienie dla POSK organizacyjnego kapitału. W tym samym okresie Stowarzyszenie Marynarki Wojennej również udzieliło pożyczki w wysokości £ 4 000.

Zaczęły też wpływać donacje. Polski Ośrodek Młodzieżowy dał £ 1000, gmina Zachodniego Londynu £ 1 500, Stowarzyszenie Oficerów Marynarki Handlowej £ 1000, Instytut Piłsudskiego £ 1000, wzrosła też liczba nowych członków.

Niezmierznie ważnym wydarzeniem, była uchwała Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, zalecająca przesunięcie kapitałowe aktywów SPK, w wysokości co najmniej £ 50 000, na cele Centrum Społeczno-Kulturalnego. Oczywiście operacja nie mogła być przeprowadzona od ręki i zajęło trochę czasu, zanim udostępnione zostały zasoby majątkowe SPK.

Pomysłów co do tego w jaki sposób można pomagać POSK było bez liku. Początkowy system udziałów dających prawo do głosu jakoś nie przemawiał do wyobraźni. Na ogół ludzie poprzestawali na wpłaceniu £ 10 jako udziału. Wprowadzone zostały cegiełki, które z czasem przyniosły trochę pieniędzy. Próbowaliśmy też zorganizować różne systemy, jak na przykład bezprocentowe pożyczki z obligacjami konkurującymi w loterii, czy też prywatne depozyty w banku, których istnienie zmniejszałoby odsetki od pożyczek POSK, wpłaty na raty itp.

Niestety nadal daleko było do powszechnego poparcia przez inne organizacje, w mierze proporcjonalnej do wysokości społecznego emigracyjnego majątku polskiego na terenie Londynu, który wynosił ponad £ 1 000 000. Podczas, gdy pieniądze licznych naszych organizacji spoczywały na kontach bankowych, przynosząc mizerne odsetki, POSK zmagał się z trudnościami otrzymania pożyczek bankowych i był zmuszony płacić wysokie procenty.

Daleko też było do masowego poparcia indywidualnego. Przeciwnicy nadal zwalczali ideę POSK i jak mogli, tak

utrudniali udostępnianie emigracyjnych pieniędzy. Byli nieliczni, ale na nieszczęście kontrolowali bardzo ważne fundusze emigracyjne.

Ten brak solidarności w początkowym okresie, stworzył bardzo poważne obciążenia, które przy pogarszającej się koniunkturze ekonomicznej Anglii, niezmiernie utrudniały później realizację planów.

Krzysztof GŁUCHOWSKI

RECENZJE

Józef LEWANDOWSKI

NKWD O POLSKIM PODZIEMIU*

Prawda równie banalna co istotna: klucz do dziejów Polski od 1944 do 1989 roku znajdował się w Moskwie. Ustrój polityczny i gospodarczy, stopień zależności i autonomii Polski, jej izolacja, zacofanie, wszystko to było wypadkową dwóch czynników, dążeń sowieckich i możliwości ich urzeczywistnienia. Właśnie. Jakie były owe sowieckie dążenia? Wiedza o nich jest też banalna. Wiadomo, że Moskwa chciała nad Polską panować, że przeciwdziałała wszelkim próbom wyzwolenia, ale w istocie na tym wiedza się kończy. Nic o planach sowieckich, co Moskwa osiągała, a z czego musiała rezygnować wobec t.zw. „oporu materiału”.

Dla mnie swoistym wprowadzeniem w to zagadnienie było wydarzenie sprzed wielu lat, gdy mój ówczesny kolega, oznaczmy go jako LK, mający dostęp do tajnej dokumentacji partyjnej, pokazał mi latem 1957 sprawozdanie komisji KC PZPR powołanej rok wcześniej, na VIII plenum w paź-

* „NKWD i polskoje podpolje 1944-1945. Po ‘osobym papkam’ J. W. Stalina”. Red. A.F. Noskowa. Współpraca: T. V. Wołokitinowa, G. P. Muraszko, D. A. Jermakowa, T. W. Carewskaja-Diakina. Inst. Sławianowiedzenia i Bałkanistyki RAN. Moskwa 1994, s. 306.

dzienniku 1956, do zbadania „błędów i wypaczeń” okresu stalinowskiego. W sprawozdaniu między innymi stwierdzono – nie wiem w oparciu o jakie źródło – że wiosną 1943 roku Stalin przyjął u siebie funkcjonariuszy NKWD delegowanych do powstających polskich jednostek wojskowych. Stalin instruował ich – stwierdzono w sprawozdaniu – że w Polsce nie można nikomu wierzyć. Co prawda Stalin nikomu nie dowierzał, ale upomnienie miało szczególny wydźwięk, oznaczało roztoczenie ścisłego nadzoru policyjnego również nad tymi nielicznymi, którzy z jego nadania mieli administrować Polską. Sprawozdanie pokazano mi, ale kategorycznie zabroniono zrobienia jakiegokolwiek notatki, zresztą odebrano mi nawet długopis i notes, ale tym bardziej zdanie Stalina utkwiło mi w pamięci.

Ostatnimi laty dokonuje się rewizja historii Polski, ale nowe ujęcia cierpią na stare dolegliwości. Autorzy albo pomijają ów moskiewski wymiar, co stwarza złudne wrażenie, że polityka polska była funkcją dobrej lub złej woli warszawskich wielkorządców, albo autorzy starają się zastąpić ukryty klucz moskiewski bardziej lub mniej inteligentnymi rozważaniami i domysłami, trafnie lub nietrafnie odczytującymi „co sowieccy władcy mieli na myśli”.

Publikacja historyków Instytutu Słowianoznawstwa i Bałkanistyki Rosyjskiej Akademii Nauk bynajmniej nie ujawnia wszystkiego, czego ujawnienia pragnęlibyśmy, edytorzy stawiają sobie dość ograniczone zadania, mimo to trudno przecenić znaczenie tomiku, pozwalającego na wgląd w to, co w Moskwie wiedzano (i czego nie wiedzano) oraz jakie były horyzonty policjantów, którym Kreml powierzył nadzór nad Polską.

Publikacja składa się z obszernego wstępu Albiny F. Noskowej i ułożonych w chronologicznym porządku 74 dokumentów z teczek Stalina, wyjątkowo z teczek Mołotowa w archiwum NKWD (od 1946 – MWD) ZSSR. Zauważmy, i to z dużym żalem, że edytorzy poskąpili nam wielu podstawowych informacji archeograficznych, nie wiem jednak, czy to ich wina, podejrzewam, że mieli dostęp do archiwum w ograniczonym zakresie, że do wielu informacji nie mieli dostępu bądź nie pozwolono ich ujawnić. Tak więc nie wiemy, czy wszystkie, odnoszące się do Polski dokumenty w zespole zostały opublikowane.

Najwyraźniej widać to na przykładzie sprawozdań pełnomocnika do spraw polskich, Sierowa, latami – nie wiadomo od kiedy – zajmującego się polskimi sprawami. Sierow przedstawiał Berii sprawozdania co 5 lub 10 dni. To samo robili jego następcy. Beria przepisywał je i posyłał Stalinowi jako własne, bądź posyłał bezpośrednio, ograniczając się do pisma przewodniego. Otóż w publikacji znajdujemy dziesiątki periodycznych sprawozdań Sierowa i jego następców, ale przecież powinno być ich około setki. Być może Stalina informowano tylko sporadycznie, od przypadku do przypadku? Mało to prawdopodobne. A może niektóre raporty z Polski Beria referował Stalinowi ustnie? Równie dobrze można przypuszczać, że edytorzy lub archiwiści dokonali selekcji, publikując raporty, które uważali za najbardziej istotne, względnie za nadające się – ich zdaniem – do publikacji. Prosta nota mogła rozproszyć niejasności, tego jednak nie zrobiono, czytelnik gubi się w domysłach. Zabrakło też stwierdzenia, dlaczego przyjęto cezurę lata 1944, polskie zainteresowania Stalina zaczęły się wcześniej. Chciałoby się wiedzieć, czy Stalin był równie zainteresowany Rumunią, Węgrami, Czechosłowacją, na ile Polska stanowiła teren szczególny, a na ile sowiecka polityka w Polsce była aplikacją ogólnych założeń. Miejmy jednak nadzieję, że po pierwszym kroku nastąpią następne i w następnej edycji znajdziemy wyjaśnienia tych niejasności.

Od tego, czego nie ma w książce, przejdźmy jednak do tego, co ona zawiera. Powtórzmy, że edytorzy skorzystali nie z materiałów w kancelarii Stalina czy w KC KPZS, ale z drugich egzemplarzy, archiwizowanych w NKWD. Nawet przyjmując, że otrzymaliśmy reprezentatywną dokumentację, to nie sposób z niej odczytać reakcji Stalina na meldunki, nie można też odczytać dyrektyw, jakich nie skąpił wykonawcom. Jesteśmy więc nadal zdani na domysły. Można jednak przyjąć, że Beria i jego pomocnicy meldowali Stalinowi to, czym był zainteresowany i co pragnął wiedzieć. Można również sądzić, że przemilczali lub tuszowali informacje mogące narazić ich na gniew. Meldowali tak, jak sobie życzył.

Dokument nr 1 to meldunek Berii z 16 lipca 1944 o okolicznościach zajęcia Wilna oparty na sprawozdaniu Siero-

wa z poprzedniego dnia. Okazuje się, że współdziałanie Armii Krajowej w wyparciu Niemców z Wilna było efektywne, ale nie wzbudziło entuzjazmu – sowieckie kierownictwo wyraźnie walczyło przeciw Polsce. Dlatego szczególne niezadowolenie Sierowa wzbudził sowiecki generał Biełkin-Gładyszew, który nie dość że korzystał z polskiej pomocy w działaniach bojowych, to jeszcze wydał zaświadczenie, że „...polscy żołnierze dobrze walczyli o wyzwolenie Wilna. Dziękuję im w imieniu służby. Brygada [2 Brygada AK pod dowództwem mjr „Węgla”¹] zasługuje na korzystanie ze wszelkich niezbędnych przywilejów” (w miarę dosłowne tłumaczenie nieskładnego tekstu – JL). Dalszych losów nieopatrznego, a szczerego generała edytorzy nie śledzili.

Dokument nasuwa kolejne pytania. W toku walk o Wilno, w dniu 14 lipca 1944, Stawka, czyli Kwatera Naczelnego Dowódcy, wydała dyrektywę Nr 220145, Beria nakazuje by Sierow i wyżsi dowódcy jej przestrzegali. Edytorzy zaznaczają, że dyrektywy nie publikują. (Należy im się wdzięczność za przecieranie drogi badaczom, ale nie sposób nie zauważyć, że nie ujawniono istotnego tekstu, wszystko wskazuje bowiem na to, że dyrektywa określała postępowanie wojska i policji sowieckiej w sprawach polskich i była aplikacją zdania Stalina o tym, że w Polsce nie należy nikomu wierzyć.).

Wilno i wileńskie AK zajmuje główne miejsce w kilku dokumentach. Dokument nr 2, raport Berii z 17 lipca warto przytoczyć w całości:

Od tow. SIEROWA i CZERNIACHOWSKIEGO otrzymano następującą informację: Dziś wezwano tak zwanego generała-majora „WILKA” (KULCZYCKIEGO). „WILKOWI” powiedziano, że interesuje nas gotowość bojowa polskich jednostek i dlatego chcemy by nasi oficerowie zapoznali się z nimi. „WILK” wyraził zgodę i podał nam 6 miejsc dyslokacji jego pułków i brygad.

1. Nawias mój. W dokumencie „Węgiel”, według dokumentacji AK-owskiej „Węgielny” mjr Mieczysław Potocki, dowódca zgrupowania czterech baonów AK.

Wyraziliśmy także zainteresowanie składem oficerskim i zaproponowaliśmy zebranie wszystkich dowódców pułków, brygad, ich zastępców i szefów sztabów. Również z tym „WILK” zgodził się i wydał odpowiednie polecenie oficerowi łącznikowemu, który natychmiast wyjechał do swego sztabu.

Następnie rozbroiliśmy „WILKA”, a obecny kapitan – szef sztabu, przedstawiciel Rządu Londyńskiego – próbował wyciągnąć pistolet dla okazania oporu i odciągnął kurek, ale został rozbrojony.

Wobec otrzymania dyslokacji polskich jednostek, opracowaliśmy następujący plan operacji:

1. W teren wysłano doświadczonych generałów i komisarzy bezpieczeństwa państwowego dla rozpoznania i znalezienia podejścia do Polaków.

2. Jednocześnie w rejony dyslokacji Polaków, celem ich rozbrojenia, skierowano związki taktyczne i jednostki 3-go Frontu Białoruskiego.

3. Dziś o g. 19 w rejon rozbrojenia oficerów wysłano grupę manewrową pograniczników i kierowniczych pracowników NKWD.

4. Jutro 18 lipca od g. 4 rano jednostki wydzielone do rozbrajania Polaków zajmują pozycje wyjściowe, i po instruktażu przystępują do wykonania operacji.

O rezultatach operacji zameldujemy².

Dokument zasługuje na obszerny komentarz, wykraczający poza recenzję, zresztą dokumentów zasługujących na szczególne omówienie w książce jest dużo. Ograniczamy się do kilku zdań. Polski opis wydarzeń różni się od przytoczonego. Zrezygnujmy z potępienia cynizmu i wiarołomstwa sowieckich policjantów, na ten temat napisano dużo, zauważ-

2. Nawiasy i wersaliki w tekście. Czerniachowski – sowiecki generał, wówczas 38-letni dowódca 3-go Frontu Białoruskiego. „Wilk” – nie Kulczycki, ale Aleksander Krzyżanowski, o czym wszechwiedzące NKWD widać nie miało pojęcia. W miarę dosłowne tłumaczenie tekstu napisanego kalekim rosyjskim, jak zresztą niemal wszystkie opublikowane teksty. Czekałci wyraźnie byli niezbyt biegli w piśmie, zresztą nie tego od nich oczekiwano.

my tylko, że Sierow zastosował schemat intrygi, który później, wiosną 1945, wykorzystał w rozmowach z Radą Jedności Narodowej, o czym dalej. Historycy polscy skupiają uwagę na podłości sowieckiej, mało zastanawiając się nad dyrektywami polskiego Londynu, który nie wyciągając wniosku z doświadczeń, ignorując bandycki charakter władzy sowieckiej, nakazywał coś, co było stanem jednocześnie na nogach i na głowie, czyli ujawnianie się przed Sowietami, ale zajmowanie ziem wschodnich w imieniu polskim i zachowywanie odrębności AK od Sowietów.

Trudno zrozumieć, dlaczego prymitywne fortele Sierowa w ogóle udawały się, na doświadczonej Wileńszczyźnie znajomość sowieckich metod winna być lepsza niż w Londynie. (A ponoć, tak twierdził ćwierć wieku temu w *Kulturze* jakiś egzaltowany pseudonim, Polacy szczególnie dobrze rozpoznają Związek Sowiecki). Dzień później Beria melduje Stalinowi, Mołotowowi i Antonowowi o rezultatach. Poza dodatkowymi informacjami o ilości zdobytej broni (3.000 kb, 50 km-ów itd.) nota, że „podczas operacji rozbrojenia żadnych ekscesów nie było”³.

Dokument nr 5, meldunek Sierowa z 16 października 1944 zawiera m.in. reasumpcję tego, co było mu wiadome o AK. Wiedział niewiele. Sierow głównie jednak zajmuje się stanem bezpieczeństwa. Szef informacji WP płk. Kozuszek, jego zdaniem nie jest na poziomie. W wojsku wpływów AK-owców, ponoć dlatego, że wciągano ich do wojska bez selekcji, głębszych przyczyn Sierow nie dostrzega. Codziennie dezerteruje z bronią 40 do 60 żołnierzy i oficerów. Również bezpieczeństwa nie jest wolna od infiltracji. Sierow wiele obiecywał sobie po aresztowaniu szefa kontrwywiadu okręgu lubelskiego Binińskiego, zwłaszcza, że dysponował zeznaniami „sypiącego” lub złamanego Kmitca, komendanta AK w Lublinie⁴. Nim Sierow

3. Inaczej płk Ignacy Blumski w meldunku do KG AK: „W dniu 17.7 podstępnie Sztab Okręgu Nowogródek i Wilno aresztowany. Oddziały w sile około sześciu tysięcy w marszu na Puszcze Rudnicką, gdzie przyjmujemy walkę” „Armia Krajowa w dokumentach”. Cyt. wyd. s. 561. Rosyjski historyk Edward Radziński („Stalin”. Warszawa 1996) dowodzi, że zwrot „żadnych ekscesów nie było” był zwyczajowy w meldunkach składanych Stalinowi z racji najbardziej okrutnych operacji.

4. Tak w oryginale. Zauważmy, że niemal wszystkie polskie nazwiska,

zdążył się nim zająć, Binniecki został z rozkazu Romkowskiego (późniejszego wiceministra) rozstrzelany. Sierow wyciąga wniosek, że ktoś obawiał się, że i Binniecki zacznie „sypać”.

Idźmy dalej. Nie wiadomo czy Sierow rzeczywiście otrzymał takie informacje, czy też zmyślał podając, że „...na okupowanym przez Niemców terenie powstał polski rząd z generałem Portnowskim na czele, w związku z czym Niemcy zwolnili z obozów wszystkich Polaków. W miastach wiszą polskie flagi”. Oczywiście, Portnowski nie istniał. Polaków z obozów nie zwolniono, ale w tym czasie kursowały najbardziej dziwaczne plotki, zachowania nowych okupantów stwarzały ku temu żyzną glebę.

22 października Beria melduje, że sowieckie organy aresztowały w przeciągu tygodnia 215 AK-owców, BCh-owców i NSZ-owców, tudzież ponad 600 dezertów z WP, skonfiskowały ileś tam KM-ów, drukarni, radiostacji itd. – na terenie lubelskiej Polski Sowiet sprawowali władzę w sposób bezpośredni. Bezpieka w tym samym czasie aresztowała 915 osób. Odnotujemy, że komendant lubelskiego inspektoratu AK „Nurt” (nazwiska brak) podczas przesłuchania ujawnił kwatery konspiracyjne. NKWD zorganizowała w nich kotły i aresztowała szereg AK-owców, a na podstawie ich zeznań – następnych. Dalej o aresztowaniu kmdta BCh w Puławach, kmdta ZHP w Łukowie, obsługi radiostacji w Rzeszowie. Ciekawa jest wiadomość, że w toku objętych sprawozdaniem dni spośród AK-owców zwerbowano 27 nowych agentów, a „część starej agentury, nie mającej możliwości rozpracowania AK-owców odsiano”. Ogółem w Lublinie NKWD dysponowało 114 agentami, z którymi spotkano się 180 razy. Otrzymano 112 donosów. W późniejszych meldunkach danych o agenturze brak.

Podobnie sprawozdawczy charakter nosi depesza z 3 listopada 1944 szefa SMIERSZ’u Abakumowa i narkoma spraw wewnętrznych Białorusi, Canawy o działaniach w woj. białostockim i pow. Biała Podlaska. Jak poprzednio: aresztowani,

pseudonimy, a nawet nazwy dużych miejscowości w oryginale okrutnie poprzekręcane, nawet Romkowski figuruje jako Ramkowski, Włodawa to Władawa, Biłgoraj – Biwdoraj itd. Edytorzy przekreść nie poprawiali, niekiedy poprawki byłyby łatwe, często jednak beznadziejne. Wyżej wymieniony Kmitc, można domyślać się, to chyba Kmiec lub Kmita.

stanowiska, pseudonimy, zeznania, kotły, wsypy, konfiskaty, zdobyta broń, amunicja, radiostacje, drukarnie. Widać chwilowy podział kompetencji, północ przydzielono duumviratowi Abakumow-Canawa, południe z Lublinem – Sierowowi.

Niejako na marginesie głównego wątku otrzymujemy informację o przesiedlaniu do BSSR. Zajmował się tym pełnomocnik rządu BSSR, niejaki Barbaszenia. Należało przesiedlić z Białej Podlaskiej 13.925 osób, z Sokółki – 2.600 gospodarstw, z czterech gmin Radzyna 2.500 gospodarstw. Do 22 października zebrano podania z 1.244 gospodarstw, jednak tylko 55 gospodarzy było gotowych przesiedlić się – chłopci białoruscy zachowywali dużo przezorności, z innych źródeł wiadomo, że również Ukraińcy z Galicji i Wołynia, nawet komuniści, jak tylko mogli, uciekali do Polski.

Zwraca uwagę szczególne doniesienie Sierowa 13 listopada. Z zeznań wspomnianego Kmitca i innych wynika, że wielu księży bierze udział w pracy podziemnej, Sierow wymienia tu ks. Panasa z klasztoru oo. bernardynów w Lublinie, jakiegoś ks. „Wizickiego”, ks. Idziakowskiego, Szulca, Żyżkiewicza:

„Dotychczas księży nie sadzaliśmy, ani nie rewidowaliśmy budynków przykościelnych. Obecnie nasuwa się ostra potrzeba podjęcia odpowiednich przedsięwzięć u wspomnianych osób, by na przyszłość nie dawać AK-owcom możliwości wykorzystania sług kultu religijnego dla celów politycznych”.

Należy sądzić, że subtelność Sierowa była pochodną aktualnych instrukcji. Widać, represje wobec kleru, również katolickiego, były zastrzeżone dla Stalina i że samowolne działania, nawet Sierowa, byłyby przekroczeniem uprawnień. Odpowiedzi Stalina nie znamy.

Sprawozdania są ciekawym źródłem do historii ruchu ludowego. Sierow nie później niż 11 stycznia 1945 roku melduje Berii, a ten Stalinowi, Mołotowowi i Malenkowowi, że „podczas objętej sprawozdaniem dekady zostały wykryte organizacje ‘Stronnictwa Ludowego’ w woj. lubelskim i

warszawskim”, że aresztowano działaczy: Prokopiaka, Tadeusza Reka, Stanisława Piotrowskiego i innych. Nieco dalej w tym samym tekście pozornie sprzeczna z poprzednią informacją, że „prowadzona przez nas legalizacja podziemnej organizacji BCh (Bataliony Chłopskie) odbywa się pomyślnie”, o czym świadczą dane z Biłgoraja i Krasnegostawu, można sądzić, że areszty przyspieszały wychodzenie z podziemia. Reka i Piotrowskiego odnajdujemy później na stanowiskach w PRL-u, ich areszt był chyba wynikiem nadgorliwości. Przy okazji informacja o konflikcie pomiędzy BCh i AK – ponoć komendant AK w Biłgoraju wydał rozkaz mordowania ujawniających się członków BCh. Z drugiej zaś strony w niektórych gminach dowódcy AK idą za przykładem BCh i wychodzą z podziemia. Ujawnieniu się BCh poświęcony jest również raport z 13 stycznia. Czytamy tam, że „na nasze polecenie [działacze ludowi – JL] Sławomir Gołąbek i Władysław Jagusztyn zostali przyjęci przez wiceministra bezpieczeństwa”, któremu ujawnili, że mają 600 oficerów i 25.000 żołnierzy.

Zauważmy, że Sierow o wyjściu z podziemia i legalizacji SL pisze jako o czymś, o czym Beria i Stalin wiedzą z poprzednich doniesień, tych jednak nie odnajdujemy. Nie wiem, czy mamy tu do czynienia z luką w dokumentacji, czy też niektóre sprawy były poruszane w rozmowie telefonicznej przez tzw. WCz. Informacje ciekawe, nie wiadomo na ile wiarygodne, bo wszędzie w dokumentach esencja wymieszana ze zmyśleniem, jak np. że w rejonie znajdującego się w niemieckich rękach Nowego Targu zrzucony został desant około 800 polskich oficerów. Wyraźnie niezbyt wojskowo rozbagniony Sierow uznał informację za wiarygodną i polecił „posiadającym przez nas dwóm agentom w rejonie Krakowa wyjaśnić przyczynę desantu”.

Przeskakując przez ileś tam dość monotonnych w treści jak i stylistycznie doniesień zwróćmy uwagę na raport Sierowa z 19 stycznia o sytuacji w Warszawie, z której jak wiadomo, Niemcy zostali wyparci dwa dni wcześniej. Pomińmy obłudny w jego ustach opis zniszczeń, odnotujmy, że wedle Sierowa „ludność nadzwyczaj przyjaźnie wita żołnierzy Wojska Polskiego, [a] zwłaszcza Żołnierzy Armii Czerwonej”.

Informacja nie bezpodstawna, choć przesadzona, podobnie jak zdanie, że podczas wiecu „lud bardzo dobrze przyjmował Bieruta i (Osóbkę-)Morawskiego, zaś przy wymienieniu przez t. Szatłowa Armii Czerwonej, lud przerywał wystąpienie okrzykami na cześć towarzysza Stalina”⁵. Należy sądzić, że spodziewano się gorszego, stąd i zachwyty.

Zwraca szczególną uwagę sprawozdanie o świeżo wyzwolonej Łodzi, gdzie ponoć „robotnicy przedsiębiorstw przemysłowych wywiesili w fabrykach tylko czerwone sztandary, nie wywiesili polskich [na dodatek zaś] stworzyli rewkomy i wybrali komisarzy. W rozmowach z naszymi pracownikami politycznymi robotnicy stwierdzali, że chcą organizować władzę sowiecką oraz administrację na wzór Sowieckiej Rosji”, o czym jeszcze kilka ilustrujących owe poglądy zdań. Do tego wróć.

W marcu 1945 Beria melduje o zamiarze mianowania doradcą MBP Iwana Aleksandrowicza Sierowa, a w Ministerstwie Administracji – Pawła Jakowlewicza Miesznika. Również w marcu Sierow melduje o aresztowaniu komendanta PAL, Henryka Boruckiego, „Czarnego”, w tym samym meldunku pierwsze informacje o rozpracowaniu Rady Jedności Narodowej, tudzież o aresztowaniu pełnomocnika Delegatury w PCK Wilkoszewskiego, Zygmunta Marszewskiego, komendanta łódzkiej AK [ppłk. Michała Stempkowskiego] itd.

Od połowy marca (dokument Nr 25) Sierow zajmuje się wabieniem w pułapkę Rady Jedności Narodowej, temat ten powtarza się w wielu raportach, łącznie z przesłuchaniami zajmuje sto stron. Aresztowanie RJN nie od dziś pasjonuje, zresztą – nie tylko historyków, więc obrosło w publikacje. Sądzę, że kompetentni badacze omówią obraz wyłaniający się z konfrontacji polskich źródeł, z tym co ujawniają sowieckie dokumenty. Tu więc krótko. Operacja Sierowowi udała się, członkowie RJN weszli w pułapkę, po czym wywiezieni do Moskwy zostali skazani w „procesie szesnastu”. Zasadnicze fakty są więc znane i nic się w nich nie zmienia: intryga Sierowa, sowieckie wiarołomstwo, naiwność polskich polityków, szarogęsienie się w okupowanym kraju, wyroki itd. W szczególności raporty spowodują niejedną korektę. Jak wynika

5. Gen. Szatłow był szefem misji wojskowej w Polsce.

z raportów, mityczny płk Pimienow rzeczywiście istniał i tak się nazywał; był szefem radomskiej grupy NKWD, natomiast generał Iwanow w raportach nie jest wymieniany, podobnie jak jego gwarancje bezpieczeństwa. Słusznie przypuszczano, że był nim sam Sierow, lubujący się nie tylko w teatralnych intrygach, ale i w aktorskim wcielaniu się w różne postacie.

Ważniejsze jednak niż opis wydają się refleksje na marginesie raportów Sierowa. Na czoło wysuwa się pytanie, jaki był sens całej operacji. Stefan Korboński, który cudem niemal wówczas uniknął aresztowania, pisze („W imieniu Rzeczypospolitej”⁶), że na wieść o aresztach ponoć Bierut miał powiedzieć, że „nie chcieli z nami Polakami rozmawiać, tylko z obcymi, mają teraz rozmowy”. Korboński nie ujawnia źródła, ale nie wykluczam, że przytoczone przezeń zdanie rzeczywiście ktoś kiedyś wypowiedział, bo Sierow też pisze, że:

„Dziś o tej kombinacji został poinformowany polski rząd [Bierut i Osóbka–Morawski], którzy prosili tymczasem nie aresztować, lecz dać im możliwość konsultacji z odpowiednimi instancjami [Moskwą] w sprawie rokowań z przedstawicielami tych partii politycznych, by udzielić zgody na włączenie niektórych w skład rządu lub nominacji na wysokie stanowiska⁷.

Na tym nie koniec intrygi. Sierow donosi do Moskwy 27 stycznia, że Bierut i Morawski rozpowiedzieli jego plan działaczom PPS, mimo, że uprzedził, enkawudowskim zwyczajem, by zachowali tajemnicę. Czy rzeczywiście rozpowiedzieli? Na ile Sierow jest tu wiarygodny? A może kręcił bicz na Bieruta i Osóbkę. I to za współpracę z podziemiem? Jeśli jednak informacja Sierowa jest prawdziwa, to czyżby Bierut i Osóbka byli gadatliwi? Nie wykluczam, że chcieli ostrzec członków RJN o zastawionej pułapce. Jeśli przypuszczenie jest zasadne, to wysiłek był bezskuteczny, ostrzeżeni woleli rzeczywiście rozmawiać z „gen. Iwanowem”. Członkowie RJN słusznie uważali Bieruta i Osóbkę za sowieckie marionetki. W przeświadczeniu aresztowanych rozmowy z Siero-

6. Korzystam z wydania: Warszawa 1991

7. s. 107. Wszystkie kłamry w oryginalne.

wem miały utorować drogę do rokowań, w których spodziewali się usunięcia marionetek i przekazanie władzy RJN. Co było naiwnością horrendalną.

I znowu dużo pytań. Jak widać, Bierut i Osóbka nie byli zachwyceni działaniami Sierowa, przeciwnie, szukali porozumienia z niektórymi przynajmniej organizacjami RJN. Jaki był więc sens działań Sierowa? Wątpliwe by działał on tylko gwoli popisu swej policyjnej sprawności. Nie należy też sądzić, że lękliwy sprzeciw Bieruta, na więcej nie potrafił się zdobyć, był wywołany tylko uczuciami humanitarnymi, choć i te należy wziąć pod uwagę. Opierając się o polskie źródła Noskova dowodzi, że Gomułka dość stanowczo domagał się zwolnienia porwanych. Czy rzeczywiście Gomułka, na replikę Stalina, że „oni strzelali do naszych ludzi” odparł, że „oni rozkazywali strzelać nie tylko do waszych, ale jeszcze bardziej do naszych ludzi.” (s. 21)? Zdanie Gomułki chyba ubarwione przez apologetów, Ptasńskiego i Werblana, ale coś w tym było⁸.

Noskova twierdzi, że władze PRL, jakie by nie były, to jednak w owym czasie, w 1945 r. starały się wydostać Polaków z sowieckiej matni. Nawet Berman, choć trudno go sobie wyobrazić w tej roli, prosił – pisze Noskova – o zwolnienie internowanych AK-owców:

„Prośby polskiej ambasady do Ludowego Komisarjatu Spraw Zagranicznych o zwolnienie aresztowanych w 1945 r. płynęły nieprzerwanym potokiem: proszono zwolnić grupę sędziów i prokuratorów z Radomia, Polaków profesorów ze Lwowa i Wilna, działaczy PPS, spółdzielców; jesienią 1945 wpłynęła prośba rodziców 22 uczniów gimnazjalnych, aresztowanych między październikiem a grudniem 1944 w Białymstoku i deportowanych pod Moskwę; składano prośby w sprawie konkretnych osób, listy wysiedlonych 1944-45 z Litwy, Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi, znajdujących

8. Stalin, wedle Gomułki miał powiedzieć: „Może macie rację. Głupiec Sierow, zabiorę go (ibid.). Od lata 1945 raporty do Berii podpisuje doradca przy MBP N.N. Seliwanowski.

się w obozach pracy i filtracyjnych. Z. Modzelewski⁹ zwracał się ze szczególną prośbą o zwolnienie w ramach amnestii [w Polsce, VIII 1945] „wileńskiego zgrupowania AK liczącego 5 tys. osób, ewakuowanego do m. Sieredniaki pod Kaługą”. [Prośba, o dziwo, odniosła skutek]. W listopadzie władze sowieckie postanowiły zwolnić spod Kaługi 361 pułk zapasowy [uformowany z] byłych AK-owców. Reagując na informację A.J. Wyszyńskiego, później W.M. Mołotowa, amb. Raabe stwierdził, że z miejsca ‘odmłodził o dziesięć lat’” (s.25).

Władze Polski Ludowej starały się uwierzytelnić przyciągając pewne odłamy społeczeństwa. Im więcej potrafiiono wydostać z łagrów, tym bardziej stawały się wierzytelne. Strategia sowiecka dążyła do zniszczenia społeczeństwa polskiego, tak jak wcześniej już zniszczono rosyjskie, czy ukraińskie. Ta odmienność została, jak wiadomo, ujednolicona nieco później, w r. 1948, w ramach sowietyzacji Polski. To jednak działało się poza cezurą książki.

Nie zawsze starania były uwieńczone powodzeniem. 14 września 1945 Beria pisze do Stalina, że zwrócił się do niego Osóbka-Morawski, wówczas premier, o zwolnienie 13 osób z lwowskiej Delegatury, skazanych rok wcześniej na wieloletnią katorgę. (O ich aresztowaniu i skazaniu w omawianych raportach ani słowa). Beria zaopiniował prośbę odmownie, a Stalin widać zgodził się z nim. Publikacja w tym miejscu była dla mnie szokiem – na czele listy odnalazłem bliskie osoby, Czesława Niezabitowskiego, kierownika KWC na Galicję Wschodnią i jego syna Andrzeja. Przeżyli cudem, wrócili do kraju kilka lat po śmierci Stalina; ich łagrowe przeżycia to duży temat. Za ludźmi lwowskiej Delegatury ujął się więc Osóbka, może dlatego, że w jego otoczeniu działali Adam Ostrowski (b. delegat lwowski), Maria Fiderer, Józef Giebułtowicz, którzy wraz z całą grupą pepeesowców przeszli na stronę „Lublina”. Ponoć, mimo starań rodziny, nie ujął się za nimi Mikołajczyk. Niezabitowscy byli działaczami ludowymi, jak i jeszcze kilka osób na liście. Nie wykluczam jednak cichego porozumienia między Mikołajczykiem a Osóbką – w

9. Wówczas ambasador w Moskwie.

tych sprawach chyba istniał wówczas jakiś *consensus* między politycznymi przeciwnikami, a nawet wrogami. Jest to jednak tylko domysł. Zresztą, niebawem ten *consensus* przestał działać. (Historyk nie może powstrzymać się od refleksji, dlaczego w pewnych wypadkach władze sowieckie szły na rękę, w innych odrzucały prośby, nawet jeśli były wyrażane przez osoby wysoko notowane w kolaboracyjnej hierarchii, ale są to spekulacje tak subiektywne, że nie wiem czy ma sens ich notowanie w recenzji.)

Polskie starania przyczyniły się zapewne do spotęgowania nieufności wobec sprawujących władzę w Warszawie i zostały odnotowane w sowieckich kancelariach. Minie parę lat i starania jak nożem uciął, w latach „bolszewizacji”, po 1948 r., trudno je sobie nawet wyobrazić.

Wróćmy do Sierowa, RJN i prowokacji pruszkowskiej. Analiza sprawy wykracza poza ramy recenzji, z raportów jednak możemy wyciągnąć wniosek, że działania te były w pewnym stopniu wymierzone i przeciw marionetkowej władzy. Czy chodziło o pokazanie, kto tu rządzi? Korboński stwierdza, że gdy próbował w 1946 interweniować w MBP o powrót osadzonych w łagrach, dowiedział się, że MBP jest bezsilne. Nawet Berman, gdy próbował interweniować u szefa doradców, dowiedział się niedwuznacznie, że takie prośby spowodują aresztowanie jego samego¹⁰. Należy sądzić, że Kreml zawsze zaniepokojony, że marionetki mogą zyskać oparcie społeczne, obawiał się ich stopniowej emancypacji. Obawy w tym przypadku i w tym momencie chyba przesadne, ale zasadne. Przy okazji zaznaczmy, że Beria i Sierow nie meldują niczego co dzieje się w KC PPR i CKW PPS, w ich meldunkach ani razu nie pojawia się nawet nazwisko generalnego sekretarza PPR Gomułki.

Można wątpić, by dyskusje w KC PPR, wówczas dość odbiegające od sowieckiej prawomyślności, uchodziły uwadze. Przecież jeszcze w toku formowania 1 DP im. Tadeusza Kościuszki w Sielcach, jak wynika z relacji, polscy komuniści byli otoczeni czujną opieką, tak jak nakazywał Stalin. Agencja działająca w Sielcach, w 1945 awansowała do KC PPR

10. „W imieniu Rzeczypospolitej...” Warszawa 1991, s. 355.

i aczkolwiek wystrzegano się tam Zenona Nowaka czy Włodzimierza Sokorskiego, to przecież nie było możliwości uchronić się przed wścibskością ich i im podobnych. Szefowie zaś „Polski Ludowej” ulegali, godzili się z dyktatem NKWD w Polsce, ale przecież mieli jakieś prośby do Stalina, wcale nie zbieżne z jego intencjami. Jakieś meldunki musiały płynąć do Moskwy.

Przy okazji zajmując się nie tylko tym, co źródła ujawniają, ale i tym co przemilczają, zauważmy, że w raportach nie znajdujemy ani słowa o Bolesławie Piaseckim i montowanej przezeń – pod patronatem, czy nawet bezpośrednio pod kierownictwem Sierowa – organizacji „postępowych katolików”, późniejszym PAX-ie. Przyjmijmy roboczą konkluzję, że niektóre meldunki z Polski były jeszcze bardziej tajne, niż opublikowane i nadal są tajne. Nie wykluczam, że znajdują się w teczkach, do których badacze dotąd nie dotarli.

Na s. 150 i następnych rozkaz Berii wydany 18 kwietnia 1945 o tym, kogo pełnomocnicy NKWD mają aresztować w Polsce. Wykaz obszerny, ale dla zrozumienia jego sensu brak danych. Beria stwierdza, że rozkaz jest modyfikacją wcześniejszego, nr 0016 wydanego 11 stycznia, którego edytorzy nie publikują. Ale i tu bądźmy wdzięczni edytorom, że ułatwiają poszukiwania tym, którzy jednak kiedyś dotrą do akt i porównają dokument z dokumentem.

I znowu okresowe, tym razem już nie pięciodniowe, lecz dekadowe sprawozdanie z 13 maja „o rezultatach walki z podziemiem AK” zawierające dane za pierwsze 10 dni maja, głównie z Krakowa, ale również z małych miejscowości. Z raportów wynika, że akcje represyjne jątrzyły stosunki. Następowo to, czego właśnie chcieli uniknąć Bierut z Osóbką, gdy Sierow wtajemniczał ich w plan porwania RJN.

Latem 1945 Beria, na polecenie Stalina, relacjonuje ilość Polaków w łagrach. Było ich dużo, 25.047 osób, w tym ok. 8.500 AK-owców aresztowanych w 1944 r. W 1945 aresztowano łącznie 15 tys. osób, liczba obejmuje AK-owców, agentów niemieckiego wywiadu, członków różnych organizacji i oddziałów, ponadto półtora tysiąca folksdojczów. Beria podaje również, że w łagrach dla jeńców wojennych przebywa prawie 33 tys. Polaków z wojska niemieckiego, 7

tys. Polaków z wojska niemieckiego znajduje się w baonach pracy. Dokument nie ujawnia przyczyny zainteresowania, należy sądzić, że wiązało się z interwencjami o przewiezienie do kraju.

Wreszcie 8 lipca 1945 sowietnik przy MBP Seliwanowski w raporcie za okres od 20 do 30 czerwca informuje o aresztowaniu Stefana Korbońskiego i jego żony Zofii:

„Aresztowanie Bulnickiego [Korboński używał pseudonimu Bujnicki, tu przekręconego – JL] wywołało szum w organizacjach politycznych. Pod naciskiem Mikołajczyka Osóbka-Morawski rozkazał ministrowi bezpieczeństwa natychmiastowe zwolnienie Bulnickiego”.

Analiza na ile wersja Korbońskiego pokrywa się z wersją NKWD na pewno będzie przedmiotem skrupulatnych badań. Rozbieżności są widoczne nawet przy pobieżnym czytaniu. Seliwanowski twierdzi, iż o tym, że Rzepecki stoi na czele pozostałości AK dowiedział się od Korbońskiego, ten jednak pisze, iż badający go enkawudzista sam wiedział o Rzepeckim („W imieniu Rzeczypospolitej...” cyt. wyd. s. 397). Jednocześnie z Korbońskim aresztowano wiele osób z kierownictwa podziemia wojskowego.

W powodzi stereotypowych meldunków typu „aresztowano”, „ujęto”, „zdobyto” itd. odróżnia się „spec-informacja” Seliwanowskiego b. daty, sprzed 17 września, „o działalności partii Stronnictwo Narodowe”, chyba związana z podjętymi wówczas próbami legalizacji. Seliwanowski nie wypowiada się, ale kończy raport niedwuznacznym stwierdzeniem, że „zastosowaliśmy środki dla wzmocnienia agenturalno-operacyjnych przedsięwzięć Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego przeciwko kierowniczym ośrodkom Stronnictwa Narodowego” (s. 261). Przedsięwzięcia agenturalne – to infiltracja, operacyjne – areszty. Seliwanowski nie jest tu całkiem ścisły, gdyż wtedy prześladowania działaczy Stronnictwa uległy osłabieniu, ponoć z polecenia Stalina, pamiętającego prorosyjskie tendencje endecji i pragnącego je wykorzystać.

We wrześniu również informacja o strajkach w Łodzi i okolicach, ważna, gdyż wokół strajków w PRL panowało

staranne milczenie. Również opozycja nie miała kontaktu ze spontanicznym ruchem robotniczym, być może zaprzątnięta innymi sprawami, nie zwracała uwagi na strajki.

30 sierpnia bawił we Lwowie w drodze do Moskwy Stanisław Grabski, o czym donosił komisarz spraw wewnętrznych Ukrainy, Riasnyj. Na bankiecie w tamtejszym uniwersytecie był obecny m.in. agent „Ostrowski”. Grabski ponoć mówił:

„Granica między Polską a ZSSR będzie taka, jak teraz. Dlatego Polacy nie mają tu co robić i powinni jak najszybciej wyjechać do Polski by zaludnić otrzymane przez nas po wojnie nowe terytoria i wziąć udział w wyborach [...] . AK obecnie jest likwidowana. Za jej likwidacją opowiedziały się wszystkie partie, wyjąwszy NSZ. [...] Również we Lwowie elementy z NSZ sprzeciwiają się likwidacji AK. Wszyscy AK-owcy, którzy złożyli broń, otrzymają amnestię. NSZ będą rozbrojone, a jej członkowie – ukarani”.

Większość obecnych na bankiecie aprobowwała tezy, ale „Ostrowski” doniósł, że prof. Rogala¹¹ ostro je zaatakował:

„Grabski za 27.000 i dwa samochody sprzedał Lwów Związkowi Sowieckiemu. Nie będzie tak jak Grabski powiedział. Lwów będzie polski”.

Ale i Rogala, podobnie jak większość profesorów lwowskich – donosił agent – sprzedaje ruchomości i szykuje się do wyjazdu do Polski. W tymże raporcie, że na podstawie donosu agenta „Czarnego” został aresztowany komendant lwowskiego podmiejskiego rejonu AK, Karol Prass.

W tym samym czasie NKWD Litwy donosi Stalinowi, że poprzez agenturę rozpracowano członków wileńskiej delegatury z dr Jerzym Dobrzańskim na czele. Również pod koniec września Seliwanowski melduje o rozprzestrzenieniu się AK na województwa zachodnie. Na terenie pomorskiego

11. Prawdopodobnie prof. Wojciech Rogala, geolog.

obszaru AK, obejmującego woj. gdańskie i bydgoskie dzięki agenturze aresztowano 67 aktywnych AK-owców. Zdaje się, że koniec lata – początek jesieni 1945 był okresem szczególnych ilościowych sukcesów bezpieki. Stare struktury podziemia ulegały likwidacji bądź obumierały, podupadała konspiracja, co ułatwiało areszty. Jednak w grudniu 1945 zastępca doradcy MBP, płk Dawydow donosi o „dużym wzroście aktywności band AK, NSZ, UPA oraz polskich band grabieżczych w woj. lubelskim, białostockim, warszawskim, kieleckim i poznańskim”. Można przypuszczać, że wiązało się to ze zmianą struktury podziemia, coraz mniej politycznego, coraz bardziej „leśnego”.

Wyżej pisałem o infiltracji podziemia przez NKWD i UB. Z raportów wynika, że infiltracja nie była jednostronna. W przeciągu 3 miesięcy (czerwiec–sierpień) aresztowano 265-ciu pracowników bezpieki za powiązania z podziemiem, a 68-u – za nadużycia władzy. Zdezerterowało do lasu 176 pracowników, a 365-u po prostu wyrzucono z pracy. Zdaje się, że nie wszystkie dezercje miały ten sam charakter, bo część raportu została wykropkowana jako nadal tajna (s. 233), można sądzić, że mowa w nim o infiltracji agentury w oddziały leśne.

Kilka zdań o przedmowie. Noskova poważnie stara się rozwikłać kłębek przedstawionych zagadnień i przedstawić je rosyjskiemu czytelnikowi. Zadanie trudne. Historia Polski była w ZSSR obiektem szczególnego fałszowania. W przedmowie widać starania o uwolnienie się od fałszów i trafaretów, pisana jednak cztery lata temu, zachowuje jakieś relikty języka sowieckich publikacji i nie we wszystkim odpowiada poglądom późnych lat 90-tych. Słuchając niedawno kilku wystąpień autorki mogłem zauważyć postępującą zmianę języka. Ku lepszemu. Sądzę, że dziś autorka ma w wielu sprawach inne zdanie, niż przed kilkoma zaledwie latami. A w ogóle przedstawienie skomplikowanej materii stosunków sowiecko-polskich nastrocza kłopoty. Szczególnie trudno rozwikłać kłębek, co jest zbrodniczym działaniem Stalina, a co konsekwencją państwowego interesu ZSSR. Dlatego też mimo, że szereg sformułowań nie najlepiej dźwięczy (a niektóre oceny polskiej polityki grzeszą nadmierną pobłażliwoś-

cią), przedmowa świadczy, że rosyjska historiografia podąża w dobrym kierunku. Zainteresowanym chciałbym zwrócić uwagę na dwie publikacje o kontaktach z rosyjskimi historykami, gdzie szerzej piszę o dokonujących się zmianach¹².

Czas na podsumowanie. Pytań dużo, odpowiedzi mało, materiał jest raczej impulsem do przemyśleń. Niektóre pytania sformułowałem już wcześniej, ale na nich nie koniec. Przypuszczam, że historycy, w zależności od kierunku badań, zainteresowania, a także od wyznawanego systemu wartości, będą dostrzegać różne aspekty publikacji. Tak zresztą być powinno. Przypuszczam, że najczęściej będzie akcentowana podłość sowiecka i enkawudzystów, ich rola jako nadwładzy w lubelskiej i pojałtańskiej Polsce, marionetkowa rola PPR. O tym można w nieskończoność, choć w rzeczy samej nie widzę potrzeby. Również wcześniejszy materiał, polskiej proveniencji, był wystarczający, nowy dostarcza dodatkowej egzemplifikacji, ale nie zmienia nic w samej treści. Choć informacje o Bierucie, Bermanie, Osóbce, wyrrywających AK-owców z łagrow, winny nieco różnicować obiegowe sądy.

Mam nadzieję, że po nasyceniu się dokumentami przyjdzie kolej również i na głębszą refleksję. Historia pierwszych lat PRL, akcentująca bohaterstwo podziemia bądź jego martyrologię, doznała podniety, by zająć się cieniami, np. zakresem prowokacji w podziemiu, owymi agentami werbowanymi dziesiątkami wśród AK-owców. Trzeba będzie też zastanowić się nad niechęcią społeczeństwa do kontynuowania podziemia i dlaczego bojownicy wytrzymujący tortury w gestapo, sypali podczas przesłuchania w UB. No i trzeba będzie porównać bohaterskie wspomnienia z zapisem enkawudowskim.

Na tym przecież nie koniec. Zainteresowanie Stalina wydarzeniami w „miateżnej Polsce” nie wymaga eksplikacji. Trudno jednak pojąć, dlaczego referowano mu nie tylko o aresztowaniach w Krakowie i Lublinie, ale i w Biłgoraju czy Kraśniku, a nawet o niezidentyfikowanym oddziale we wsi Kuklin pod Mławą i mieście Kemino (Kępno?) w Poznań-

12. „Kwestia narodowa w Europie Wschodniej na przełomie epok. Moskiewskie sympozjum”. *Zeszyty Historyczne* 1993, 105, 64-70; Archiwum polityczne. „Podróże kształcą” [Moskwa w listopadzie 1996, konferencja w Instytucie Słowianoznawstwa i Bałkanistyki RAN] *Kultura* 1997, 7-8, 67-80.

skiem. A chyba meldowano mu o tym czego żądał, w innym wypadku obrugałby podwładnych za zawracanie głowy drobiazgami. Myślę, że nie popełnimy błędu, twierdząc, że wiązało się to z określeniem celów i metody utrzymania sowieckiej zwierzchności nad Polską.

W literaturze dominuje nie wypowiedziane, ale przecież wyczuwalne przeświadczenie, że status Polski do XX Zjazdu (1956) był taki, jak zaplanował Stalin. Sowieckie kierownictwo chcąc panować nad Polską wprowadziło ustrój demokracji ludowej, dziwaczny, ale z punktu widzenia sowieckiego niemal idealny, socjalistyczny w treści a narodowy pod względem formy.

Istnieje i przeciwstawne zdanie. Ustrój demokracji ludowej, narzucony nie tylko Polsce, ale i wszędzie gdzie stąpnął but sowieckiego żołnierza, był prowizorium, mającym na celu stopniowe wcielenie do ZSSR. Tak jak w czasie wojny wcielono powołaną do życia w latach 20-ych Tuwińską Republikę Ludową, dziś, jeśli pamiętaną, to głównie dzięki katalogom filatelistycznym i nader rzadko spotykanym znaczkom pocztowym.

Do dziś nie znaleziono dokumentacji potwierdzającej domniemanie i nie wykluczam, że nigdy jej nie znajdziemy. Pozostaje więc to samo co i przed laty, dedukcja. Publikacja Noskowej dostarcza nam jednak dużo nowego i ważnego materiału.

Eksperyment państw demokracji ludowej był podjęty dlatego, że bezpośrednia i natychmiastowa inkorporacja była z wielu względów ryzykowna. Leżąca na drodze do Europy Polska nastręczała szczególne kłopoty, a inkorporacja innych terenów nie była możliwa bez wcześniejszego wcielenia Polski. Można przypuszczać, że delegując do Polski jednego z najbardziej sprytnych enkawudzistów Stalin dał mu polecenie nie tylko walki z podziemiem, ale i starannego obserwowania, jakie szanse ma eksperyment „Polski Ludowej”, na ile desygnowani potrafią stworzyć sprawną – w sowieckim znaczeniu tego słowa – administrację. Informacje o Biłgoraju, Kraśniku i wiosce pod Mławą, miały służyć jako egzemplifikacja sytuacji w kraju. dlatego Sierow zachwyca się, że – ponoć – łódzcy robotnicy chcieliby wprowadzić u siebie władzę sowiecką, a nie polską. Przypuszczam, że w przypadku niepowodzenia

eksperymentu Polski Ludowej Stalin był gotów inkorporować Polskę, nie patrząc na koszty, a informacje Sierowa inspirowały w tym kierunku. To jednak w Moskwie było dopiero przedmiotem rozważań. Tymczasem zakładano zależność państw demokracji ludowej podobną do gruntownie zsowietyzowanej Mongolskiej Republiki Ludowej. Szarogiesienie się Sierowa, Seliwanowskiego, a później Dawydowa nie było tylko popisem enkawudowskiej sprawności, było wykładnią zależności Polski, tak jak sobie ją wyobrażano w Moskwie.

To z jednej strony. Była i druga, z niepokojem obserwowana w Moskwie. Kiedyś, jeszcze u progu lat 60-tych, Henryk Jabłoński, wybitny specjalista od artefaktów organizacyjnych, dowodził mi, że można tworzyć dowolne sztuczne ciało polityczne, ale jeśli nada mu się pozory autentyczności, to ciało to będzie nieuchronnie dążyć do przekształcenia pozorów w rzeczywistość. Dlatego w latach 1945-47 następowało małe ale postępujące rozluźnianie zależności Warszawy od Moskwy. Dlatego latem 1948 Stalin postanowił radykalnie zmienić sytuację, przywracając stan, w którym doradcy, nie tylko w MBP, ale i w innych resortach, mieli rozstrzygający głos w Warszawie. Ale to już inny rozdział historii, choć głęboko zakotwiczony w omawianym okresie.

Wreszcie ostatnia uwaga edytorska: zdaję sobie sprawę, jak trudno poprawić wszystkie przekręcone nazwiska i nazwy miejscowości, nie mówiąc o datach urodzin, bo i tu błędy. Chyba te trudności spowodowały, że edytorzy odstąpili od sporządzania indeksów. Wypada wyrazić ubolewanie. Nawet nie najlepszy indeks jednak jest dużym ułatwieniem dla czytelnika, zwłaszcza w publikacji jak ta, odzwierciedlającej tragizm polskich losów.

„NKWD i polskoje podpolje” zostało wydane w mikroskopijnym nakładzie 500 egzemplarzy. Dla księgarzy, ani w Rosji, ani w Polsce, taka pozycja to żaden interes. Publikacja już jest rarytasem. Do Polski dotarły nieliczne egzemplarze i to dzięki znajomościom. Recenzje czytałem chwalące, ale zdawkowe. Polskiego wydania książki nie ma. A przecież ukażuje się tyle śmiecia, również naukowego ...

Józef LEWANDOWSKI

NOWE KSIĄŻKI

Przegląd wydawnictw zamieszczony poniżej jest jeszcze bardziej arbitralny w swym wyborze niż ma to zwykle miejsce w moich krótkich notach. Tytuły, na które chciałbym zwrócić tu uwagę dotyczą bądź tych książek, które trafiły na moje biurko, bądź tych, które szczególnie mnie zainteresowały. Element przypadkowości jest więc wyraźny. Najpierw kilka wydawnictw w językach obcych poczynając od nowego tomu ogromnych rozmiarów, pióra dobrze znanego polskiemu czytelnikowi Normana Daviesa pt. „Europe: A History” wyd. Oxford, 1996. Po pobieżnym przejrzeniu tej książki (kładę nacisk na słowo „pobieżny”) i przeczytaniu kilku recenzji wydaje mi się, że mam pewne pojęcie o tym niewątpliwie kontrowersyjnym tomie. Przede wszystkim nie należy go traktować jako encyklopedycznego kompendium czy podręcznika dziejów europejskich ze względu na nadmierną ilość potknięć i błędów faktograficznych. Fakt ten wytknął Daviesowi w wyjątkowo zjadliwej i niezbyt *fair* recenzji w dodatku do *New York Times* historyk z Princeton T. Rabba, ale nie mógł go pominąć milczeniem także wybitny historyk z Oxfordu Evans. Ten drugi jednakże w długim omówieniu w *New York Review of Books* – streszczenie ukazało się w *Tygodniku Powszechnym* – podkreślił także duże walory tego dzieła jak oryginalne ujęcia, świetny styl, interesujące sformułowania i wielki rozmach, który z braku angielskiego określenia nazwał francuskim *élan* i niemieckim *Schwung*. Niewątpliwie *novum* stanowią krótkie wstawki – winietki, coś jakby encyklopedyczne hasła odnoszące się do wybranych osób, zjawisk, pojęć. Czy pomagają one w lekturze czy rozbijają narrację jest sprawą do dyskusji.

Miejmy nadzieję, że polskie tłumaczenie „Europy”, mające się ukazać (a może już się ukazało) nakładem „Znaku” usunie faktograficzne błędy, dając czytelnikowi ciekawą i oryginalną książkę. Co do tego, że zrobi ona furorę nie mam wątpliwości ze względu na adorację Daviesa w kraju jako

„ambasadora” dziejopisarstwa polskiego na Zachodzie. Jakkolwiek twierdzenie, iż jest to pierwsza historia Europy, w której nasz region jest we właściwy sposób uwzględniony jest nieco przesadne, bo zrobił to już w swej historii europejskiej R. R. Palmer, niemniej Davies poświęca Europie środkowo-wschodniej a zwłaszcza Polsce dużo miejsca i uwagi.

Druga książka o tematyce ważnej dla naszej części Europy to praca francuskiego badacza i profesora Sorbony, Bernarda Michela: „Nations et nationalismes en Europe Centrale”. Wyszła w 1995 r. ale nie pamiętam aby była omawiana, a na to niewątpliwie zasługuje. Do prawdziwej recenzji chciałbym jeszcze kiedyś powrócić, może w osobnym sprawozdaniu – tu ograniczę się do paru uwag. Autor podważa i obala szereg modnych ostatnio twierdzeń. Przypomina raz jeszcze, że istotną bazą społeczną ruchów narodowych jest inteligencja (*la véritable base sociale du nationalisme est à chercher dans l'intelligentsia*). Konstatuje, że rewolucja przemysłowa nie była determinantem nacjonalizmu i podkreśla, że na przykład periodyzacja rewolucji przemysłowej w Czechach nie ma idealnego odpowiednika w stadiach odrodzenia narodowego. Wypowiada się stanowczo przeciw porównywaniu „nacjonalizmu” w szerokim tego słowa znaczeniu w Europie środkowo-wschodniej z procesami narodotwórczymi w krajach tzw. trzeciego świata po 1945 r. A jest to ulubione podejście szeregu zachodnich naukowców.

Trzeci autor, którego dzieło chciałbym tu zasygnalizować to Vojtech Mastny, amerykański historyk czeskiego pochodzenia. Chodzi tu o książkę, stanowiącą jak gdyby dalszy ciąg jego wybitnej pracy o drodze ZSSR ku zimnej wojnie wydanej szereg lat temu. Nowy tom nazwany „Cold War and Soviet Insecurity”, Oxford, 1996 miałem jedynie w ręku, ale nawet przed jego uważną lekturą można zaryzykować opinię, iż autor utrzymał ten sam wysoki poziom badawczy i interpretacyjny co w uprzednich opracowaniach. Podobnie rzetelność warsztatu naukowego i chęć zachowania maksymalnego obiektywizmu cechuje wydaną przed paru miesiącami książkę Michaela C. Steinlaufa „Bondage to the Dead: Poland and the Memory of the Holocaust”, Syracuse University Press. Doceniając wkład autora do tej trudnej i kontrowersyjnej tematyki Polski Instytut Naukowy w Ameryce wybrał ostatnio dr. Steinlaufa swym członkiem i poświęcił jedną z sesji ostatniego zjazdu w Nowym Jorku dyskusji nad jego pracą.

Z innych zagranicznych wydawnictw zwróćmy uwagę na

numer 23 periodyku *Slovenské Historické Studie* wydawany przez Instytut Historyczny Czeskiej Akademii Nauk, który ukazał się jako księga pamiątkowa dla uczczenia 90-lecia prof. Henryka Batowskiego z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wstęp i *laudatio* napisał najwybitniejszy znawca nowoczesnych dziejów stosunków polsko-czeskich prof. Jaroslav Valenta wybrany ostatnio, jak słyszałem, członkiem Akademii. Starannie wydany tom składa się z osiemnastu artykułów wybitnych uczonych czeskich a także kilku słowackich. Czytelnik nie znający czeskiego może zapoznać się z głównymi tezami autorów w krótkich angielskich streszczeniach. Dobry to obyczaj z chwilą gdy język angielski staje się coraz bardziej *lingua franca* naszej epoki.

Przechodząc do publikacji krajowych nie sposób nie odnotować nowych dzieł rówieśnika prof. Batowskiego, obchodzącego również swój 90-letni jubileusz, a mianowicie Janusza Pajewskiego z Uniwersytetu Poznańskiego. Po wydaniu przed dwoma laty pokaznej książki pt. „Budowa Drugiej Rzeczypospolitej 1918-1926”, nakładem Polskiej Akademii Umiejętności, Janusz Pajewski przygotował do druku i wydał opasły tom: „Pamiętnik Księżnej Marii Zdzisławowej Lubomirskiej 1914-1918”. Poznań, 1997. Rzecz arcyciekawa ze względu na osobę znajdującą się w centrum wielkich wydarzeń w tym okresie a mającą zdecydowane zdania i opinie, np. o Piłsudskim. Płodność wybitnego poznańskiego historyka budzi podziw i szacunek.

Z kolei ukazały się oczekiwane od dawna „Moje wspomnienia” Konstantego Skirmunta pod redakcją Ewy Orlof i Andrzeja Pasternaka z rzeszowskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Jest to, jak wiadomo, odtworzony po wojnie manuskrypt b. ministra spraw zagranicznych RP, gdyż pierwotna wersja wspomnień uległa zniszczeniu. Zarówno prorektor Orlof jak i prof. Pasternak wydają od lat ważne teksty źródłowe o dużym znaczeniu dydaktycznym.

Zaglądnąwszy w maju do warszawskich księgarni rzuciły mi się w oczy nieduże tomiki pióra bardzo wybitnych historyków: Janusza Tazbira i Henryka Samsonowicza. Pierwszy z nich zatytułował swą książkę „Polska na zakrętach dziejów”, drugi poświęcił swą uwagę mitom narodowym. Tematyka fascynująca a nazwiska autorów dają gwarancję pobudzającej do myślenia lektury. Przy najbliższej okazji postaram się z tymi pracami bliżej zapoznać i podzielić się wrażeniami z czytelnikami *Zeszytów*.

Nakładem Towarzystwa Miłośników Historii w Warszawie wydano w 1996 r. dwie książki, obie pod redakcją Mariana Marka Drozdowskiego. Są to: „Jałta: Szkice i polemiki – zbiór studiów” znanych historyków i politologów, oraz „Międzynarodowe aspekty wojny polsko-bolszewickiej: antologia tekstów historycznych”. Oba tomy wzbogacają sporą już dziś liczbę opracowań tych kluczowych dla Polski zagadnień.

Z tematyką polsko-rosyjską łączą się również dwie bardzo różne od powyższych i od siebie nawzajem książki. Leszek Kuk ogłosił pracę pt. „Orientacja słowiańska w myśli politycznej Wielkiej Emigracji (do wybuchu wojny krymskiej)”, Toruń, 1996. Spod pióra wieloletniego współpracownika *Kultury* Jerzego Pomianowskiego wyszedł tom pt. „Ruski miesiąc z hakiem”, Wrocław, 1997. Poświęcona pamięci Juliusza Mieroszewskiego książka, jak pisze Jerzy Giedroyc w przedmowie, ma pokazać polskiemu czytelnikowi jaka jest naprawdę Rosja. Zbyt często bowiem Polacy myślą o Rosji i Rosjanach w sposób ukształtowany przez stereotypy: pogardy i wyższości lub serwilizmu. Składająca się głównie z wcześniej ogłoszonych artykułów książka niewątpliwie pobudza do refleksji, choć i tu zgadzam się z cytowanym na obwołanie Kazimierzem Dziewanowskim, nie pod wszystkimi tezami Pomianowskiego można się podpisać. Ale ogólny kierunek myśli autora jest moim zdaniem słuszny a jego argumenty przekonujące.

Piotr WANDYCZ

Leszek GAJOS

PAMIĘTNIK KONSTANTEGO SKIRMUNTA

Dwoje rzeszowskich historyków – Ewa Orlof i Andrzej Pasternak – zajmujących się dwudziestolecie międzywojennym podjęło się opracowania rękopisu wspomnień Konstantego Skirmunta, znajdującego się w Bibliotece Jagiellońskiej.

Konstanty Skirmunt urodził się w 1866 roku w Mołodowie, w 1887 roku kończy Wydział Prawny Uniwersytetu w Petersburgu. Swoje dojrzałe lata rozpoczyna od działalności w Grodzieńskim Towarzystwie Rolniczym. W latach 1907-1917 jest członkiem Rady Państwa w Petersburgu, wybranym z guberni grodzieńskiej. W okresie 1917-1918 pełnił funkcję członka Komitetu Narodowego Polskiego i równocześnie był jego przedstawicielem we Włoszech. KNP był przedstawicielem ugrupowań politycznych dążącym do odbudowy państwa polskiego przy pomocy państw Koalicji, uznawanym przez część państw zachodnich za oficjalną reprezentację polskich interesów, stanowił namiastkę polskiego rządu na emigracji. Politycznie był zdominowany przez działaczy Narodowej Demokracji.

W latach 1919-1921 Skirmunt był posłem Rzeczypospolitej Polskiej w Rzymie. W 1921 został mianowany ministrem spraw zagranicznych w rządzie Wincentego Witosa i Antoniego Ponikowskiego. Przy bardzo niestabilnej sytuacji politycznej w tym okresie funkcję tę pełni niecały rok. Od 1922 roku jest posłem w Londynie. Po podniesieniu w 1929 roku polskiej placówki dyplomatycznej w Londynie do rangi ambasady, zostaje mianowany ambasadorem Rzeczypospolitej Polskiej. Funkcję tę pełni do 1934 roku. Na własną prośbę zostaje odwołany z placówki przez ministra spraw zagranicznych Józefa Becka.

Dane mu było współpracować z takimi osobami ze świata polityki polskiej jak: Józef Piłsudski, Roman Dmowski, Edward Raczyński czy Ignacy Jan Paderewski. Współdziałał również ze znanymi politykami ówczesnej sceny światowej, takimi jak: Georg Curzon, David Lloyd George, król Jerzy V oraz kardynał Ratti, nuncjusz w Warszawie (późniejszy papież Pius XI).

Przez strony pamiętnika przewijają się postaci świata kultury, z którymi autor był często w osobistych kontaktach. Wspomina on bardzo ciepło Elizę Orzeszkową, poznał się z Rudyardem Kiplingiem, Johnem Galsworthym, Bernardem Shawem.

Czytając pamiętnik Skirmunta widzimy w nim stałość w prezentowanym przez niego systemie wartości. Jedną z ważniejszych cech w tym systemie był legalizm w stosunku do państwa, niezależnie od sytuacji w której się znalazł oraz indywidualnych interesów które mogły być w sprzeczności z

dobrem państwa. By ukazać propaństwową postawę ministra Skirmunta warto wskazać na jego zachowanie się w konkretnych sytuacjach w różnych momentach jego życia. Pierwszy przykład: czasy jego młodości. W 1909 roku kandyduje na członka Rady Państwa w Petersburgu. W czasie wyborów prezentuje swój program działania, umieszcza w nim trzy sprawy: kwestię polskości, o czym pisze tak: *po pierwsze – jestem Polakiem i wszystko co polskie, jest mi bliskie; po drugie – pochodzę z guberni zebranych Litwy i Rusi i cała ludność tego kraju żywo mnie obchodzi; po trzecie – jestem obywatelem państwa rosyjskiego i muszę dbać o państwowy jego interes* (s. 35). Takie postawienie problemu z jednej strony spowodowało niechęć do niego części reprezentantów władzy rosyjskiej. Z drugiej strony był napiętnowany przez polskich radykałów unikających jakichkolwiek form współpracy z władzą carską. Autor stwierdza, że takie postawienie przez niego problemu było aktem świadomym. Chciał *uczciwie ujawnić cechy charakteru politycznego jako umiarkowanego polskiego działacza*, który poprzez legalne działania chciał zdobywać jak najwięcej dla kraju.

Drugi przykład: gdy był posłem w Londynie proponowano podniesienie poselstwa do rangi ambasady. Dawało to możliwość indywidualnego awansu, ale on na pierwszy plan wysuwa dobro kraju. Pisze: *Nie byłem entuzjastą co do tego zagadnienia, nie sądziłem, żeby sprawa była już dojrzała i tak samo, jak nie chciałem rzucać się Anglikom na szyję, nie chciałem też naglić o załatwienie tej sprawy. Nie trąfiło mi do przekonania podnoszenie i roztrząsanie problemu mocarstwowości Polski, bo wiedziałem, że mocarstwem się staje nie państwo, w którym się o tym rozprawia, lecz tylko to państwo, którego istotne znaczenie i waga w sprawach międzynarodowych dają do tego prawo*. Również i w tym przypadku zabiega jednak o utworzenie ambasady, co zostaje uwieńczone sukcesem i w 1929 roku zostaje ambasadorem w Londynie.

Trzeci przykład: druga wojna jest dla niego dramatem. Giną jego brat i siostra, on sam wspólnie z drugą siostrą jest skazany na poniewierkę, tym większą, że jest stary i schorowany. Po wojnie nie ma możliwości powrotu do swojego rodzinnego Mołodowa, są to bowiem tereny wcielone do Związku Sowieckiego. Znajduje opiekę u sióstr Ur-

szulanek i Niepokalanek, przy wsparciu Metropolity Sapiiehy. Nie akceptuje również ówczesnych zmian politycznych, nowe państwo jest mu ideologicznie obce. Mimo to, mając osiemdziesiąt lat, na ostatniej stronie swojego pamiętnika pisze: *W ciężkich doświadczeniach, przez które przeszedłem, straciłem wszystko, co miałem, lecz nie straciłem wiary w przyszłość Narodu. Trudności, przez które przechodzimy, a o których mówić byłoby za wcześnie, muszą być pokonane i musi wejść dla nas słońce trwałego pokoju, w warunkach prawdziwej niezależności i swobody. Zapewne Polska, która przychodzi, nie będzie to ta Polska, której służyłem i którą nosiłem w sercu, ale należy żyć i działać według hasła angielskiego: „Dobra czy zła, moja to Ojczyzna”*. Pisze to człowiek, który nie akceptuje zachodzących zmian, jednak stara się ustalić dla siebie nowy system wartości i priorytety według których powinien działać. Znow wśród nich najwyższe miejsce zajmuje państwo i naród.

W postawie Autora pamiętnika nie ma miejsca na relatywizm i unikanie problemów. Jeśli nie zgadza się ze stanowiskiem Józefa Piłsudskiego to polemizuje wprost (tak naraził się Naczelnikowi), że ten powiedział do swojego zaufanego „co to, ciągle Skirmunt i Skirmunt! a ja gdzie” (s. 140). Nie akceptując polskiej polityki podał się do dymisji będąc ambasadorem.

Wspomnienia Skirmunta są ważnym źródłem dla historyków i socjologów, dostarczają bowiem materiału uzupełniającego do znanych faktów z tamtego okresu. Pozwalają – jak pisał o materiałach biograficznych Jan Szczepański – na „wgląd w mechanizmy motywacji ludzi, mechanizmy tworzenia się dążeń, postaw moralnych i ocen (...) pozwala na możliwości rozumienia spraw ludzkich”.

Leszek GAJOS

OPOLSZCZYNA PO II WOJNIE

W powojennej Polsce w skali masowej dominował stereotyp Niemca-bandyty czy hitlerowca, choć Madajczyk* doszukał się również przykładów zżycia się ludności polskiej i niemieckiej. Niektórzy pomagali przesiedlanym Niemcom spakować się i odprowadzali ich na dworzec. Zdarzało się ukrywanie Niemców w polskich domach. Uważa on, iż mimo fali nastrojów antyniemieckich odrzucenie wszelkiej możliwości współpracy z Niemcami nie było powszechne, choć zapewne przeważające. Niechęć była jednak znaczna, bowiem władze PRL jeszcze przez kilkadziesiąt lat wykorzystywały w propagandzie niemieckiego straszaka.

Sytuację na Opolszczyźnie po wkroczeniu Armii Czerwonej określił autor jako pośrednią „między wyzwoleniem a podbojem”. Poprzedziła ją ucieczka ludności, przeważnie osób związanych z władzą i państwem niemieckim: urzędników, nauczycieli, policjantów. Np. z 8 tys. mieszkańców Kędzierzyna pozostało zaledwie 300. Wbrew wezwaniom na miejscu pozostała ludność wiejska. Pierwsze miesiące były okresem faktycznej dwuwładzy. Władzę sprawowały sowieckie komendantury wojskowe, organizowała się też polska administracja. Polscy urzędnicy mogli jednak rozpoczynać działalność dopiero po uzyskaniu zgody dowództwa sowieckiego.

Jeśli na terenach Polski czerwonoarmiści trzymani byli w pewnych ryzach, to na ziemiach należących do Niemiec zniknęły wszelkie ograniczenia. W dokumentach odnotowano wiele przypadków gwałtów (gdy nie znajdowano Niemek ofiarą padały inne kobiety, niezależnie od narodowości), zabijania księży, rabowania. Przyczyną był zazwyczaj alkohol. W wielu miejscowościach przebieg wkraczania żołnierzy sowieckich wyglądał podobnie: egzekucje, gwałty, rabunki, podpalenia, maltretowanie ludności. Często najmniejszy opór rabowanej ofiary kończył się morderstwem: „Kto bronił żony

* Piotr Madajczyk, „Przyłączenie Śląska Opolskiego do Polski 1945-1948”, Instytut Studiów Politycznych PAN, Warszawa 1996, ss. 319.

czy córki był zabijany. Miał szczęście jeżeli strzałem. Wiele osób, szczególnie kobiet, popełniło samobójstwo” – przypomina Madajczyk. Mordowano dla butów i zegarków. Po pierwszej fali gwałtów widoczne stało się faworyzowanie ludności niemieckiej przez władze sowieckie. Znane są przypadki wstrzymywania przesiedleń i wyrzucania przez powracających Niemców z pozostawionych gospodarstw Polaków, którzy zdołali się już osiedlić. Niemcy wygrywali zapotrzebowanie Armii Czerwonej na fachowych i pewnych pracowników. Zrodziło się nawet wśród nich przekonanie, że Polacy są gorsi niż Rosjanie. Ci pierwsi mieli przecież pozostać, ci drudzy wrócić do domu. Dopiero polska władza usunęła też np. język niemiecki z urzędów i ulic. W okresie sowieckich komendantur niemiecki pozostał językiem urzędowym. „Przejsie wojsk radzieckich – dodaje autor – było pierwszym szokiem dla przedwojennych działaczy polskich w Niemczech, oczekujących wyzwolenia a nie podbicia i pacyfikacji przez Armię Czerwoną. Wierzyli, że nie muszą uciekać, bo wystarczy im przedwojenna legitymacja ZPwN, ale żołnierzy radzieckich nie interesowało to w ogóle”. Ślężacy żyli pod groźbą weryfikacji i przesiedlenia. Wyzywano ich od szwabów i hitlerowców. Pomijano we władzach lokalnej administracji. Szargano wartości, które cenili: przywiązanie do Kościoła, solidnej pracy, uczciwość, szacunek dla własności. Spotykali się z powszechnym bałaganem i złodziejstwem. Często pierwszymi reprezentantami Polski wśród autochtonów byli szabrownicy. Pozbawieni stabilizacji czuli się poniżani i rozczarowani. Aresztowania przedwojennych działaczy polskich podważały zaufanie do nowej władzy i państwa. Powszechna była niechęć Ślązaków do utożsamiania się z komunistyczną Polską. Władzom nie podobało się z kolei poparcie jakiegoś ludności rodzima na Opolszczyźnie udzieliła PSL. Wbrew niektórym opiniom najostrzejsze były konflikty miejscowej ludności nie z przesiedleńcami ze wschodu, ale z osadnikami z centralnej Polski. Ludność napływową i miejscową dzieliły ogromne różnice kulturowe, w mowie, obyczajach, ubiorze, technice gospodarowania. Paradoksalnie integracji i stabilizacji nie sprzyjała wielka antyzachodnia (antyniemiecka) kampania propagandowa rozpętana przez komunistyczne władze. Pogłębiała ona wrażenie tymczasowości.

Wiele kontrowersji w stosunkach polsko-niemieckich (ale także niemiecko-czeskich) wzbudza kwestia powojennych migracji ludności niemieckiej z jej siedlisk w Europie Środkowo-

Wschodniej. W sporze tym uczestniczą również historycy. Problemem są nie tylko rozmiary poszczególnych przemieszczeń ale także sprawy terminologiczne. Różnice widoczne są już przy próbie nazwania tego procesu. Za pomocą zróżnicowanej terminologii opisuje się te same wydarzenia. Często różne pojęcia używane się wymiennie, co potęguje komplikacje. Używane przez stronę niemiecką pojęcie *Vertreibung* jest silnie nacechowane emocjonalnie. Madajczyk trafnie zaznaczył, iż jest ono możliwe do przyjęcia jako ocena moralna, a nie jako pojęcie historyczne. Sam używa natomiast słowa „transfer”. Wydaje się ono jednak nazbyt eufemistyczne i ogólne. Kojarzy się raczej z operacją bankową niż przemieszczaniem ludzi. Trafniejsze jest określenie „przesiedlenie”, ewentualnie „wysiedlenie”. Oddają one prawdziwy charakter wydarzeń, ich przymusowość, ale bez emocjonalnego piętna.

Czy przesiedlenia ludności niemieckiej były konieczne? Tak. Trudno w ówczesnej sytuacji znaleźć lepsze rozwiązanie. Polityka nazistowskich Niemiec sprawiła, iż współżycie polsko-niemieckie na jednym terenie okazało się niemożliwe. Wyobraźmy sobie rozmiar konfliktów do jakich mogłoby dojść w powojennej Polsce współzamieszkiwanej przez kilka milionów Niemców (w drugiej połowie lat 40-tych, słowo „Niemiec”, „Niemcy” powszechnie pisano z małej litery, co dobrze ilustruje nastawienie do nich). Przesiedlenie ludności niemieckiej było rozwiązaniem radykalnym, często brutalnym, ale jako zasada koniecznym. Był to również uboczny produkt zmiany granic, dokonany przy poparciu aliantów zachodnich, co postanowiono w Poczdamie, choć pierwsze wysiedlenia przeprowadzono jeszcze przed spotkaniem „wielkiej trójki”. *Nota bene* wysiedlenia przeprowadzone przed Poczdamem przez wojsko w porównaniu z późniejszymi przesiedleniami ludności niemieckiej, które organizowali pracownicy Państwowego Urzędu Repatriacyjnego, były znacznie brutalniejsze i częściej połączone z rabunkami i nadużyciami. Krążące po Śląsku bandy szabrowników równie często rabowały ludność autochtoniczną oraz przesiedleńców polskich ze wschodu. Nagminne były przypadki nadużyć popełnianych na ludności polskiej przez milicję i pracowników aparatu bezpieczeństwa oraz oddziały sowieckie. Autor uważa, iż błędna byłaby teza o tolerowaniu przez władze rabunków i napadów na Niemców: „Można oczywiście stawiać zarzut niepodjęcia wystarczających działań

w celu ich ochrony, ale jest to zarzut – w odniesieniu do czasów, gdy brakowało środków zapewniających minimum bezpieczeństwa – trudny do zweryfikowania”. W innym miejscu pisze, iż urzędnicy miesiącami nie dostawali pensji, co zmuszało ich do „zorganizowania” sobie utrzymania. Stanowisko stwarzało możliwość „dorobienia się”.

Wiele nie znanych dotychczas ustaleń przynosi rozdział o obozach dla Niemców. Madajczyk sporządził szczegółowy wykaz więzień i obozów w poszczególnych powiatach województwa śląskiego. Listę uzupełnia informacja o lokalnych strukturach UB.

Przedstawienie tematu na szerokim tle świadczy o erudycyjności autora, bywa też atrakcyjne dla czytelnika. Umiejętność dostrzeżenia pewnych wspólnych cech, elementów, świadczyć może o przemyśleniu zagadnienia. Zawsze pamiętać trzeba jednak o wyważeniu proporcji. Tego ostatniego, niestety, zabrakło w skądinąd bardzo ciekawym opracowaniu Madajczyka. Obok wielu dygresji o sytuacji na Dolnym Śląsku, Pomorzu czy Mazurach autor bardzo często odwołuje się do wydarzeń na Górnym Śląsku. Nie są to już wzmianki okraszające zasadniczy temat, ale całe partie materiału. Właściwie równoległe przedstawiane zagadnienie. W powodzi wielu ważnych i interesujących kwestii gubi się zasadniczy temat pracy: sytuacja na Śląsku Opolskim. Katowice, Gliwice czy Bytom, o których wielokroć pisze, to przecież nie Śląsk Opolski, a w końcu Madajczyk uczynił go tytułowym elementem swojej rozprawy. Jeśli w tytule znalazłoby się województwo śląskie, a nie Śląsk Opolski, nie byłoby żadnych zastrzeżeń. Prawda, że Opolszczyzna do roku 1950 wraz z Górnym Śląskiem i Zagłębiem Dąbrowskim tworzyła jedno województwo, ale granica między tymi regionami – choć w terenie może trudno byłoby ją bardzo precyzyjnie wyznaczyć – przecież istnieje. Ważna i cenna rozprawa Madajczyka istotnie wzbogaca jednak naszą dotychczasową wiedzę o pierwszych latach na Górnym Śląsku. Pewnym nieporozumieniem jest mylący tytuł, choć zawartość książki, na szczęście, jest znacznie szersza i bogatsza niż on sugeruje. Dodajmy, iż Madajczyk jest jednym z nielicznych badaczy spoza Śląska zajmujących się historią tego regionu.

Krzysztof TARKA

NADEŚLANE NOWOŚCI WYDAWNICZE

- RADLIŃSKA (Helena), KAMIŃSKI (Aleksander), UZIEMBŁO (Adam O.). *Listy o pedagogice społecznej*. Red. W. Theiss. Str. 252. Wyd. „Żak”, Warszawa 1997.
- C.W. Smith i jego polscy korespondenci 1861-1879. Polska korespondencja z tłumaczeniem na duński. Wstęp i przypisy P. Flandrup i K. Heltberg. Str. 372. Wyd. Biblioteka Królewska, Museum Tusculanums Forlag, Kopenhaga 1997.
- POZNIAK (Telesfor). *Literatura białoruska i „zona”*. O doświadczeniu łagrowym poezji białoruskiej XX wieku. Str. 71-95. *Studia Litteraria Polonoslava* 2, SOW. Warszawa 1996.
- KACZMARCZYK (Janusz). *Hetman Bohdan Chmielnicki*. Przekład na j. ukraiński I. Swarnyk. Str. 326. Wyd. Południowo-Wschodni Instytut Naukowy w Przemyśle, Przemyśl-Lwów 1996.
- Polska-Ukraina 1000 lat sąsiedztwa*. T. 1: Studia z dziejów chrześcijaństwa na pograniczu etnicznym. Red. S. Stępień. Str. 284. Wyd. Południowo-Wschodni Instytut Naukowy, Przemyśl 1990.
- Polska-Ukraina 1000 lat sąsiedztwa*. T. 2: Studia z dziejów chrześcijaństwa na pograniczu kulturowym i etnicznym. Str. 419. Wyd. Południowo-Wschodni Instytut Naukowy, Przemyśl 1994.
- Polska-Ukraina 1000 lat sąsiedztwa*. T. 3: Studia z dziejów grekokatolickiej diecezji przemyskiej. Str. 284. Wyd. Południowo-Wschodni Instytut Naukowy, Przemyśl 1996.
- Wybór dokumentów do dziejów polskiego uchodźstwa niepodległościowego 1939-1991*. T. VII. Oprac. A. Suchcitz, L. Maik, W. Rojek. Str. 809. Wyd. Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie, Londyn 1997.
- Materiały do dziejów polskiego uchodźstwa niepodległościowego 1939-1990*. Uzupełnienia do tomów I, II, V, VI. Red. Z. Błażyński. Str. 231. Wyd. PTNO, Londyn 1996.
- SRIBNIJAK (Igor). *Kulturno-oswitinaja robota w armii UNR 1921-1923*. Str. 16. Biblioteka „Wis-tiej Kombatanta”. Canada.
- PRZYBYSZEWSKI (Bolesław). *Saint Jadwiga. Queen of Poland (1374-1399)*. Str. 116. Wyd. Veritas Foundation Publication Centre, Londyn 1997.
- Matka Boża Kozielska, Matka Boża Zwycięska w kościele św. Andrzeja Boboli w Londynie*. Historia powstania płaskorzeźby. Str. 40. Wyd. Veritas, Londyn 1997.
- KUNERT (Andrzej Krzysztof). *Rzeczypospolita Walcząca stycznia-grudzień 1940*. *Kalendarium* Str. 411. Wyd. Sejmowe, Warszawa 1997.
- Słownik historii doktryn politycznych*. T. I: A-C. Red. M. Jaskólski. Str. 457. Wyd. Sejmowe, Warszawa 1997.
- POLISZCZUK (Wiktor). *Akcja „Wisła”*. Próba oceny. Str. 72. Nakł. autora, Toronto 1997.
- DZIEWULSKI (Wacław). *Divertimento. Dzieje ziem pñ.-wsch. Rzeczypospolitej*. Str. 32. nakł. autora, Gdańsk 1997.

- Rozstrzelani w Twerze*. Alfabetyczny spis 6314 jeńców polskich z Ostaszkowa rozstrzelanych w kwietniu-maju 1940 i pogrzebanych w Miednoje, według źródeł sowieckich i polskich. T. III. Seria: Indeks represjonowanych. Str. 344. Wyd. Ośrodek Karta, Warszawa 1997.
- Uwięzieni w Borowiczach*. Alfabetyczne wykazy 5795 Polaków i przedwojennych obywateli polskich i innych narodowości więzionych w obozie jenieckim nr 270 NKWD ZSRR w Borowiczach w latach 1944-1949. T. IV. Seria: Indeks represjonowanych. Str. 336. Wyd. Centrum Przechowywania Zbiorów Historyczno-Dokumentalnych, Moskwa, Ośrodek Badań, Informacji i Upowszechnienia (NIPC) „Memorial”, Moskwa; Ośrodek KARTA, Warszawa 1997.
- HRUSHEVSKY (Mykhailo). *History of Ukraine-Rus'*. Vol. 1. From Prehistory to the Eleventh Century. Str. 602. wyd. Canadian Institute of Ukrainian Studies Press, Edmonton-Toronto, 1997.
- Z dalekiego Polesia...* Dokumenty Samodzielnej Grupy Operacyjnej gen. bryg. Franciszka Kleeberga z walk w dniach 18 IX – 6 X 1939 r. Oprac. T. Krawczak. Str. 160. Wyd. Archiwum Akt Nowych, Oficyna Wydawnicza „Ajaks”. Warszawa 1996.
- NKWD o polskim podziemiu 1944-1948*. Konspiracja polska na Nowogródzczyźnie i Grodzieńszczyźnie. Red. Nauk. T. Strzembosz. Str. 404. Wyd. Instytut Studiów Politycznych PAN, Warszawa 1997.
- Armia Krajowa na Nowogródzczyźnie i Wileńszczyźnie (1942-1944)*. W świetle dokumentów sowieckich. Str. 261. Wyd. Instytutu Studiów Politycznych PAN, Warszawa 1997.
- Z dziejów Armii Krajowej na Nowogródzczyźnie i Wileńszczyźnie (1941-1945)*. Studia. Str. 195. Wyd. OSP PAN, Warszawa 1997.
- BORADYN (Zygmunt), CHMIELARZ (Andrzej), PISKUNOWICZ (Henryk), *Historiografia krajów Europy Środkowo-Wschodniej*. Polska, Czechosłowacja, Węgry, Rumunia, b. Jugosławia, Bułgaria. Red. J. Kłoczowski, P. Kras, Wyd. Instytut Europy Środkowo-Wschodniej, Lublin 1997. Str. 212.
- SZENTALIŃSKI (Witalij), *Tajemnice Łubianki*. Z „Archiwów literackich” KGB. Cz. II. Str. 414. wyd. Czytelnik, Warszawa 1997.
- EBERHARDT (Piotr). *Przemiany narodowościowe na Ukrainie XX wieku*. Str. 332. Wyd. Biblioteka „Obozu”, Warszawa 1994.
- KORZEC (Paweł) et BURKO (Jacques). *Le Gouvernement polonais en exil et la persécution des Juifs en France en 1942*. D'après des documents inédits. Str. 234. Les Editions du Cerf. Paris 1997.
- EISLER (Jerzy), SZWARC (Andrzej), WIECZORKIEWICZ (PAWEŁ). *Polska. Dzieje polityczne ostatnich dwustu lat*. Str. 275. Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1997.
- SUCHENI-GRABOWSKA (Anna). *Zygmunt August. Król polski i wielki książę litewski 1520-1562*. Str. 448. Wyd. Krupski i s-ka, Warszawa 1996.

OKRUCHY HISTORII

Tadeusz ZABOKRZECKI

MOJE WSPOMNIENIA

W dniu 7 września 1939 r. usłyszawszy radiowy apel płk. Umiastowskiego wzywający mężczyzn zdolnych do noszenia broni do opuszczenia Warszawy – która miała być miastem otwartym – pozostawiłem moje przedsiębiorstwo pod opieką personelu i Boską i wyruszyłem z Warszawy wozem konnym w kierunku Lublina w nadziei, że zostanę gdzieś zmobilizowany. Nocowaliśmy w kolonii Wygoda koło Pilawy w odległości 7 km od Garwolina, który w niedzielę 8 września został przez hitlerowskie samoloty zbombardowany. Wówczas zmieniłem kierunek podróży, udając się przez Stoczek, Włodawę, w kierunku Wołynia. Jadąc bocznymi drogami uniknęliśmy częstych bombardowań z samolotów. 15 września wczesnym rankiem ok. 15 km przed Łuckiem spotkałem znajomego kapitana Prozwickiego dowodzącego kolumną samochodów pontoniarzy z Kazunia, który wyraził gotowość włączenia mnie do swego oddziału. Nie godził się natomiast na zabranie jadących ze mną trzech osób (mego pracownika p. Bronieckiego, furmana Kucińskiego oraz kpt. rezerwy Chmury – dyrektora liceum z Włocławka). Nie mogąc zosta-

wieć ludzi, którzy ze mną wyjechali z Warszawy zrezygnowałem z przyłączenia się do oddziału pontoniarzy mówiąc, że pojedę do leżącego ok. 20 km za Łuckiem majątku Worotniów, administrowanego przez mego szwagra Karola Demineta.

Dojeżdżając do Worotniowa zaskoczył nas panujący tam wielki ruch. Okazało się, że Worotniów opuszczał akurat kwaterujący tam przez kilka dni sztab kawalerii generała Skuratowicza.

Jadący ze mną kpt. Chmura zameldował się u generała i został przyjęty do jego jednostki. Jak się później okazało na własne nieszczęście, bowiem zginął w Katyniu razem z generałem Skuratowiczem.

Ponieważ jadący ze mną furman Kuciński wyraził chęć zostania w Worotniowie – udałem się na miejsce postoju kpt. Prozwickiego, celem poinformowania go o mojej decyzji przyłączenia się do jego jednostki – prosząc go o zabranie p. Bronieckiego, co zostało zaakceptowane.

16 września rano dojechalismy do Krzemieńca, zakwaterowując się 5 km w kierunku granicy sowieckiej.

Nazajutrz wczesnym rankiem miejscowy nauczyciel zawiadomił nas o radiowym przemówieniu Mołotowa, oraz wkroczeniu wojsk sowieckich. Wiadomość ta była ogromną konsternacją dla nas i licznych oddziałów wojskowych stacjonujących w pobliżu.

Nie chcąc dostać się w ręce wojsk sowieckich, postanowiliśmy jechać w stronę granicy rumuńskiej, lub węgierskiej. Później okazało się, że decyzja nasza była zgodna z rozkazem Naczelnego Wodza, Marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego.

Jadąc bocznymi drogami musieliśmy przeciąć szosę idącą od wschodu. Jechalismy ze zgaszonymi światłami. Kolumnę naszą wyprzedzał na motocyklu pilot – podchorąży robiący rozeznanie. Jechalismy równolegle do szosy w odległości kilku kilometrów od niej. W chwili, kiedy zamierzalismy skrócić do szosy w celu przecięcia jej – podchorąży zameldował: „panie kapitanie szosą jadą czołgi sowieckie”. Kolumna nasza zwiększała znacznie szybkość, aby wyprzedzić czołgi. Po kilkunastu kilometrach jazdy meldunek pilota brzmiał: „jadą czołgi”. Ruszyliśmy dalej – kierowcy wychodzili ze skóry, aby

uzyskać maksymalną szybkość, samochody gotowały się. Wprost cud, że jadąc po ciemku ziemną rozjeżdżoną drogą nie mieliśmy żadnej awarii. Wreszcie – po przejechaniu dłuższego odcinka, pilot zameldował: „szosa wolna”. Jechałem pierwszym oplem z kpt. Prozwickim i por. Dembińskim. Wjeżdżamy na szosę, aby ją przeciąć. Kiedy znaleźliśmy się na środku szosy – z lewej strony oświetliły nas reflektory nadjeżdżających czołgów sowieckich. Wydawało się, że z odległości 100 metrów. Walimy co sił. Oddział pontoniarzy liczył 12 samochodów. Po drodze dołączyły do nas samochody z innych formacji – łącznie kolumna liczyła ok. 30 samochodów. Pomiędzy 14-ty a 15-ty wjechał czołg – odcinając drogę reszcie kolumny.

Chociaż wtedy nie orientowaliśmy się odnośnie tego co może czekać tych, którzy zostali zatrzymani – sam fakt odcięcia ich wywarł na nas ogromnie przygnębiające wrażenie.

Kierowaliśmy się ku granicy węgierskiej. Przed Stanisławowem i w samym mieście zostaliśmy wieczorem ostrzelani przez Ukraińców. Chwała Bogu bez strat.

20 września po południu przekroczyliśmy granicę polsko-węgierską w miejscowościach: Przełęcz Tatarska – Körösmeze. Zostaliśmy internowani i rozbrojeni. Oficerom pozwolono na zatrzymanie broni krótkiej (chwilowo).

Naszych żołnierzy Węgrzy skierowali do pociągu jadącego do obozu dla internowanych żołnierzy. Nam polecono jechać swymi samochodami do Eger – gdzie w starym zamczysku mieścił się polski obóz oficerski, który w chwili naszego przybycia był już przepełniony. Wyjście na miasto ograniczone za przepustkami. Obóz położony był na b. wysokiej górze, z jednej strony zbocza był odsłonięty i ogrodzony drutem kolczastym. Od tej strony wspinali się doń miejscowi Węgrzy – przynosząc internowanym Polakom masę moreli, brzoskwiń i pomidorów (za darmo).

Nawiązałem kontakt z przygodnie spotkaną młodą parą Węgrów przybyłych z Budapesztu do Eger w podróż poślubną. Przez nich przesłałem do Budapesztu list do moich dawnych znajomych z Pińska – pań Twardowskich – wówczas stale mieszkających w Budapeszcie.

Atmosfera w obozie była bardzo przygnębiająca i niepo-

kojąca. Słuchając przez radio przemówień prezydenta Starzyńskiego, a potem wiadomości o kapitulacji Warszawy nie mogliśmy się powstrzymać od płaczu.

W obozie krążyły pogłoski, że w Budapeszcie zostały zamknięte konsulat i poselstwo polskie, a oficerowie polscy mają być wydani Niemcom.

Dowiedzieliśmy się, że w mieście Eger został utworzony obóz dla polskich uchodźców cywilnych, dokąd przenieśliśmy się razem z p. Bronieckim, ponieważ nie obowiązywały w nim żadne rygory i istniała możliwość swobodnego poruszania się po mieście.

Po otrzymaniu odpowiedzi od pań Twardowskich, że mogę jechać i że pomogą mi w załatwieniu spraw – udałem się do *notara* (burmistrza) m. Eger nazwiskiem dr Frank, pełniącego obowiązki komendanta obozu dla cywilnych uchodźców, z prośbą o wydanie mi na 3 dni przepustki do Budapesztu. Początkowo odmówił twierdząc, że nie wrócę, tak jak inni Polacy którym wystawił przepustkę, wreszcie dał mi na słowo honoru.

W Budapeszcie zorientowałem się w sytuacji odwiedzając: Węgierski Czerwony Krzyż, Węgiersko-Polskie Towarzystwo Przyjaźni, oraz konsulat polski, który był czynny, bowiem rozsiewano w Eger wieści o jego likwidacji i poselstwa – jak również wieści o tym jakoby oficerowie polscy mieli być wydani Niemcom – okazały się kłamstwem i dywersją hitlerowską.

W Budapeszcie przypadkowo spotkałem mego przyjaciela Henryka Majchrzaka, który z ramienia konsulatu polskiego organizował Komitet Opieki nad Uchodźcami. Zaproponował, abym z nim współpracował.

Po powrocie do Eger zwróciłem *notarowi* przepustkę, a poinformowawszy moich znajomych oficerów o istniejącej sytuacji uspokoiłem ich. Następnie (już bez przepustki) wróciłem do Budapesztu, gdzie zacząłem pracować w Komitecie Opieki nad Uchodźcami przy Konsulacie R.P.

W listopadzie 1939 r. wraz z inż. Marianem Ponikiewskim, Henrykiem Majchrzakiem, Czesławem Bukowskim i Zdzisławem Śliwińskim (znajomymi z polskiej YMCA) zostaliśmy zaangażowani przez delegata *Commission for*

Polish Relief Inc. w Nowym Yorku – Amerykanina Paula Supera, do zorganizowania Amerykańskiej Komisji Pomocy Polakom na Węgrzech w Budapeszcie, w której zatrudniony zostałem na stanowisku inspektora objazdowego obozów, a następnie od lipca 1940 r. do października 1941 r. pracowałem na stanowisku dyrektora.

W okresie mojej blisko dwuletniej pracy w Amerykańskiej Komisji Pomocy Polakom na Węgrzech przeprowadziłem ok. 150 inspekcji obozów uchodźców cywilnych i wojskowych – poznając Węgry lepiej niż Polskę.

Niezmiernie ciekawe wrażenia z niektórych obozów – przedstawiające ustosunkowanie się Węgrów do polskich uchodźców, będę się starał opisać później. W większości przypadków stosunek ten był serdeczny i życzliwy, ale trafiały się nawet przypadki wrogości, co miało miejsce wtedy, kiedy węgierskim komendantem obozu był oficer narodowości niemieckiej, lub członek węgierskiej organizacji faszystowskiej.

Jako dyrektor Amerykańskiej Komisji Pomocy Polakom na Węgrzech otrzymałem z 21 oddziału *Honwed Ministerium* przepustkę (z fotografią) upoważniającą do wstępu w nieograniczonym czasie i porze do wszystkich polskich obozów wojskowych. Przepustka podpisana była osobiście przez ministra *Honwendów* gen. Barthę.

Podobne przepustki wolnego wstępu do polskich obozów wojskowych posiadali: Wydział Wojskowy Konsulatu R.P., Węgierski Czerwony Krzyż, Sekcja Lekarzy Polskiego Czerwonego Krzyża, Węgiersko-Polskie Towarzystwo Przyjaźni, Biuro Opieki nad Uchodźcami i Polski Komitet Obywatelski (przedstawicielstwo Rządu R.P. na Uchodźstwie).

W pewnym momencie – na skutek nacisku poselstwa niemieckiego na władze węgierskie – wszystkim instytucjom uprawnionym do odwiedzania obozów wojskowych przepustki zostały cofnięte – z wyjątkiem mojej przepustki. Był to rok 1940.

W tym okresie przez Wydział Wojskowy Konsulatu R.P. była prowadzona intensywna akcja wysyłania do wojska polskiego na emigracji internowanych na Węgrzech wojskowych. Wówczas zwrócił się do mnie Kierownik Biura Woj-

skowego konsulatu z prośbą, abym w czasie inspekcjonowania przeze mnie obozów pomógł im w dostarczaniu paszportów dla wytypowanych na wyjazd oficerów.

Jadąc na inspekcję do oficerskiego obozu w Léva zabrałem kilka paszportów, aby doręczyć je starszemu obozu płk. Brąglewiczowi, albo jego zastępcy ppłk. Józefowi Szełagowi.

Jadąc do Léva w pociągu spotkałem zespół naszego objazdowego teatru (Amer. Komisji) – objeżdżający z występami obozy wojskowe i cywilne. Zespół składał się z następujących artystów: Wojciech Wojtecki (Wasilewski) – kierownik zespołu (artysta teatrów warszawskich), Witold Łuczyński – tenor Opery Poznańskiej, Stanisław Roy-Siwik – tenor Opery Warszawskiej, Mieczysław Gielniewski – artysta teatrów warszawskich, Mączka (góral) – wspaniały odtwórca gadek góralskich i Sławomir Rudnik – doskonały akordeonista. Program występów posiadał doskonale opracowaną część artystyczną i kończył się na nutę patriotyczną. Występy cieszyły się ogromnym uznaniem internowanych.

Po przybyciu do Léva zatrzymaliśmy się wspólnie w hotelu – w mieście położonym na granicy z Austrią (wówczas okupowaną).

Wyszliśmy z hotelu udając się do obozu. Na mieście zdziwił nas fakt, że nie widać było ani jednego polskiego wojskowego, ponieważ gdzie indziej w miejscowościach w których znajdowały się obozy – na mieście roiło się od rodaków.

Obóz oficerski w Léva mieścił się w ponurym trzypiętrowym budynku z okratowanymi oknami. Przy drzwiach wejściowych uzbrojeni wartownicy nie chcieli nas wpuścić do środka. Po dłuższych targach wprowadzili nas do środka budynku.

W ogromnym pokoju na stojącym pośrodku stole siedział z założonymi nogami cywil w wieku ok. 40 lat – ubrany w brązowy garnitur sportowy z rogowymi guzikami, w tyrolskim kapeluszu z piórkiem na głowie i cygarem w ustach. Zwrócił się do nas po niemiecku – o co chodzi? Wówczas kierownik zespołu Wojtecki podszedł do niego przedstawiając napisane na blankiecie *Honwed Ministerium*

zezwoleń dla zespołu na dawanie występów artystycznych w obozach uchodźców wojskowych. Komendantem tego obozu był kpt. Martini, który obejrzawszy pismo krzyknął, że na żadne występy nie pozwala.

Z kolei ja podszedłem do niego, wręczając moją legitymację i powiedziałem, że jestem dyrektorem amerykańskiej komisji i przyjechałem dokonać inspekcji obozu. Kapitan Martini opryskliwie odpowiedział, że żadnej inspekcji nie będzie. Wówczas ostro huknąłem na niego, wskazując na podpis ministra *Honwedów* zezwalającego mi na inspekcjonowanie obozów, pytając jakim prawem on tego nie honoruje. Wówczas kpt. Martini krzyknął: ja tu jestem *Honwed Minister*. Kiedy nadal w ostrej formie nalegałem na niego, ryknął wściekły: *raus, raus*. Wówczas doskoczyli do nas wartownicy i wypchnęli na dwór.

Byłem ogromnie wzburzony tym zajściem, bo z jednej strony martwiłem się, że nie wywiążę się z obietnicy danej konsulowi, z drugiej – widząc na korytarzu hotelu pełno kręcących się hitlerowców ze swastykami – zacząłem się lękać o wyspę w razie zatrzymania mnie z paszportami, których miałem więcej.

Szczęście, że wyszedłszy z budynku obozu spotkaliśmy polskiego podporucznika idącego od dentysty po rwanie zębów. Poprosiłem go, aby zawiadomił płk. Brąglewicz i ppłk. Szela, że czekam na nich w hotelu i bardzo proszę aby przyszli koniecznie.

Nocować w tym hotelu w takim napięciu nie było sensu. Zbliżała się godzina odjazdu wieczornego pociągu do Budapesztu, kiedy do pokoju zapukano. Dreszcz mnie przeszedł. Chwała Bogu byli to płk. Brąglewicz i ppłk. Szela, którzy z trudem wyrwali się na miasto. Przeprosiłem moich artystów – nieświadomych rzeczy, prosząc o opuszczenie pokoju i wręczyłem obu pułkownikom przywiezione paszporty. Spadł mi ciężar z serca – odetchnąłem.

Po powrocie do Budapesztu udałem się do 21 oddziału *Honwed Ministerium*, gdzie oświadczyłem węgierskiemu kapitanowi Körmendy, że zamierzam udać się do ministra *Honwedów* gen. Barthy, aby mu zameldować o incydencie w Léva i lekceważącym stosunku wobec niego ze strony kpt.

Martini. Wówczas kpt. Körmendy powiedział: panie dyrektorze, niech pan tego nie robi, kpt. Martini jest moim dobrym kolegą i przyjacielem i miałby wielkie przykrości. Bardzo pana proszę, niech pan zaniecha wizyty u ministra.

Co miałem robić. Dla dobra sprawy musiałem przełknąć tę gorzką pigułkę i zrezygnować z mojego zamiaru, aby nie narażać dobrego stosunku z kpt. Körmendy, na którym bardzo mi zależało w imię interesów internowanych wojskowych.

Moja współpraca z wydziałem wojskowym konsulatu trwała niedługo, również dlatego, że nie mogłem świadomie narażać istnienia amerykańskiej komisji.

W 1940 r. nawiązałem potajemnie bliższy kontakt z majorem Julianem Piaseckim, b. legionistą i wiceministrem komunikacji – tworzącym piłsudczykowską organizację wojskową p.n. Obóz Polski Walczącej.

Wiosną 1941 r. zostałem przyjęty do Obozu Polski Walczącej i zaprzysiężony, obierając sobie pseudonim „Rudzielec”.

Moja współpraca z Piaseckim trzymana była w głębokiej tajemnicy i musiała być niezwykle czujna i ostrożna, co udało się w pełni utrzymać.

Darzony wielkim zaufaniem Piaseckiego i generała Stefana Hubickiego, jednego z najbliższych jego współpracowników w organizowaniu Obozu Polski Walczącej – otrzymałem z rąk Piaseckiego za osobistą zgodą Marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego Jego srebrną buławę, celem powierzenia jej na przechowanie do końca wojny moim zaufanym przyjaciołom Węgrom Tivadarowi i Bozsi, małżonkom Szercseny, zamieszkającym w Budapeszcie przy Sandor Utca 20. Buławę przewiozłem potem do Kraju w 1971 r.

Prowadzona przez Obóz Polski Walczącej akcja przerzutu oficerów do kraju była utrudniona, a czasem uniemożliwiana przez „dwójarzy” londyńskich. Taka sytuacja zaistniała kiedy wczesną wiosną miał udać się do kraju płk Marcin Zalewski. Celem zmylenia tropów zabrałem go do swego mieszkania, z którego nie wychodząc przebywał parę dni, po czym zmieniając kilkakrotnie taksówki odwiozłem go do stacji Hatvan, gdzie przekazałem płk. Zalewskiego wcześniej umówionemu kurierowi (przewodnikowi).

W świetlicy amerykańskiej komisji, gdzie codziennie od południa gromadziło się 100 do 200 uchodźców zamieszkujących Budapeszt, oraz przybywających z różnych obozów – spotkania z Piaseckim i innymi członkami OPW nie rzucały się specjalnie w oczy, bowiem jako gospodarz świetlicy kontaktowałem się ze wszystkimi uchodźcami. Umawiałem wtedy miejsce i czas późniejszych naszych spotkań, do których m.in. należało mieszkanie Sławy Wendowej przy Fecske Utca, oraz inne uzgodnione punkty.

Jeżdżąc z ramienia amerykańskiej komisji na inspekcję obozów oficerskich przekazywałem wskazanym przez Piaseckiego oficerom instrukcje i polecenia, odbierając od nich meldunki dla Piaseckiego.

W czasie mojej pracy w amerykańskiej komisji zdawałem sobie doskonale sprawę z tego, że jestem inwigilowany przez władze węgierskie – o czym ostrzegali mnie życzliwi Węgrzy – szczególnie pułkownik Sandor Borsicki i kapitan Zoltan Tarpataky z Urzędu Kontroli Cudzoziemców w komendzie policji w Budapeszcie – oraz Ferdinand Miklóssi – prezes Towarzystwa im. Adama Mickiewicza w Budapeszcie.

Tarpataky i Miklóssi w czasie pierwszej wojny światowej walczyli w legionach polskich Józefa Piłsudskiego. Obaj doskonale mówili po polsku.

Miałem żywo w pamięci kierowniczkę angielskiego Komitetu Pomocy Polakom na Węgrzech, *miss* Wilson, której latem 1940 r; władze węgierskie nakazały **w ciągu 48 godzin** zlikwidować Komitet Pomocy i opuszczenie wraz ze swym personelem granic Węgier wobec posadzenia jej o pracę na rzecz obcego wywiadu.

Wyjeżdżając z Węgier *miss* Wilson cały ruchomy majątek komitetu angielskiego przekazała do dyspozycji do końca wojny amerykańskiej Komisji Pomocy Polakom na Węgrzech.

Wydarzenie *miss* Wilson było dla mnie ostrzeżeniem, że muszę się mieć na ostrożności ze strony władz węgierskich.

W niedługim czasie moje przypuszczenia odnośnie nieufności władz węgierskich w stosunku do mnie okazały się słuszne.

Pragnąc zjednać życzliwość wojskowych władz

węgierskich do spraw internowanych polskich wojskowych, oraz do amerykańskiej komisji – zapraszałem od czasu do czasu na kolację kapitana Miklosa Körmendy, wpływowego oficera z 21-go oddziału *Honved Ministerium*, któremu podlegały wojskowe obozy internowanych Polaków.

Kiedyś, w czasie wspólnej kolacji w ekskluzywnej restauracji „Kis Royal” w Budzie, w przypiływie szczerości (po sporej ilości spożytego alkoholu), kapitan Körmendy oświadczył mi, że władze węgierskie doskonale zdają sobie sprawę z tego, że po likwidacji angielskiego Komitetu Pomocy Polakom – **wszelkie jego agendy** przejęła amerykańska Komisja Pomocy Polakom – co niedwuznacznie oznaczało podejrzwanie mnie o udział w pracy szpiegowskiej.

Kiedy z uporczywego twierdzenia kapitana Körmendy wyraźnie wynikało, że nie chodzi mu jedynie o majątek ruchomy angielskiego Komitetu przekazany do dyspozycji amerykańskiej Komisji – jak najkategoryczniej zaprotestowałem przeciw jego sugestiom.

Dla mnie było to jeszcze jednym groźnym ostrzeżeniem o konieczności dalszego zwiększenia czujności i ostrożności – szczególnie gdy otrzymałem poufne informacje o tym, że kpt. Körmendy jest pracownikiem wywiadu węgierskiego, a przypuszczalnie i niemieckiego.

Pracując w amerykańskiej Komisji znajdowałem się w bardzo dobrych warunkach materialnych – pozwalających mi na zamieszkanie w eleganckim, wygodnym pokoju i jądanie obiadów w dobrych restauracjach. Połowę mojej pensji przeznaczałem na wysyłanie paczek żonie i do oflagów, oraz stalagów dla kolegów i przyjaciół.

Wyczerpany intensywną pracą i gnębiącymi mnie licznymi problemami, w ciągu tygodnia kilka razy zemdlałem. Umieszczono mnie wówczas w ekskluzywnym szpitalu *Horthy Miklos Kórhaz* w Budapeszcie, gdzie przebywałem przez sześć tygodni pod bardzo troskliwą opieką węgierskich profesorów i lekarzy. Ze szpitala wypisano mnie z bardzo złą diagnozą: chroniczne zapalenie wsierdza i osierdza, oraz z zaleceniem bezwzględnego zaprzestania pracy i wyjazdu na spokojną wieś na rekonwalescencję na okres 3-4 miesięcy.

Zapoznawszy się z diagnozą profesorów węgierskich – moi przyjaciele, polscy lekarze: dr Stanisław Wawrzyniak, dr Józef Smoliński i dr Jan Konopnicki oświadczyli mi: jeśli diagnoza Węgrów jest trafna, to masz rok życia przed sobą. Z zalecenia Węgrów wyjazdu na dłuższą rekonwalescencję skwapliwie skorzystałem – rozgłaszając wokół, że jadę do przyjaciół Węgrów mieszkających w Siedmiogrodzie.

Wszelkie sprawy dotyczące amerykańskiej Komisji Pomocy Polakom na Węgrzech przekazałem memu zastępcy inż. Józefowi Wagnerowi.

Uzgodniłem z Julianem Piaseckim i generałem Stefanem Hubickim, że zamiast na rekonwalescencję do Siedmiogrodu – zostanę w tajemnicy przerzucony do kraju jako członek OPW a po swym powrocie do kraju Piasecki oświadczył mi, że będę pełnił przy nim funkcje oficera łącznikowego do specjalnych zleceń.

Do kraju miałem wracać z ks. Antonim Zapałą, dziekanem wojska polskiego i kapelanem Marszałka Rydza-Śmigłego – prowadzeni przez kuriera Staszka Frączystego, górala z Chochołowa.

7 października 1941 r. w południe jadłem obiad w bufecie amerykańskiej komisji, a o godz. 14-ej siedziałem wraz z ks. Zapałą i Staszkiem Frączystym w wagonie pociągu jadącego w kierunku granicy węgiersko-słowackiej.

Wysiedliśmy z pociągu na przedostatniej stacji przed stacją graniczną. Cekał na nas umówiony przez Frączystego samochód, kierowany przez szofera Słowaka. Pojechaliśmy mało uczęszczaną drogą w kierunku granicy. Teren był zalesiony – górzysty (było ciemno, kiedy samochód zatrzymał się). Zaczęliśmy się wspinać. Prowadził Staszek Frączysty, za nim szedł ks. Zapała (góral z urodzenia), ja na końcu. Niosłem walizeczkę i teczkę.

Po przejściu kilkuset kroków poczułem brak tchu (nigdy po górach nie chodziłem), zdawało mi się, że serce mi wlało w gardło. Powiedziałem: chyba mnie zostawicie, bo ja nie dam rady iść dalej. Wtedy doskoczył do mnie Staszek zabierając moją walizeczkę. Ruszyliśmy dalej. Szedłem z ogromnym wysiłkiem potykając się o korzenie drzew, powodując zwolnienie tempa marszu. Kiedy zdawało mi się,

że stanę – zaciskałem zęby i szedłem dalej – wlokąc się „w ogonie”.

Staszek oświadczył nam, że musimy obejść wieś, ale jeżeli od nas powieje wiatr i zaczną ujadać psy – gospodarze (Słowacy) mogą powychodzić z domów i obejście wsi będzie niemożliwe. Faktycznie, kiedy pierwsze psy zaczęły szczekać – musieliśmy zrezygnować z dalszego okrażania wsi. Wobec tego znający doskonale okolice Staszek oznajmił, że musimy przejść przez peron stacyjki kolejowej wewnątrz której nocuje dyżurny kolejarz. Po przejściu stacyjki trzeba było przejść po podkładach przez most kolejowy nad potokiem pilnowany czasem przez strażników.

Noc była księżycowa. Peron stacyjki wysypany żwirem chrzęszczącym pod nogami. Cienie nasze rzucały się w okna stacyjki. Szczęśliwie, dyżurny kolejarz mocno spał. Most nie był strzeżony, ale kroki nasze po podkładach dudniły echem w ciszy nocnej. Maszerowaliśmy do miejsca w którym miał czekać umówiony samochód, aby przewieźć nas przez Słowację. Aczkolwiek byliśmy nieco spóźnieni – samochodu nie było. Musieliśmy czekać w zupełnym pustkowiu. Dokuczał ziąb. Po jakimś czasie Staszek zaczął się niepokoić. Wreszcie poleciwszy nam dalsze czekanie w krzakach – poszedł w wiadomym mu kierunku. Z dala usłyszeliśmy huk samochodu Tatra i zobaczyliśmy światła reflektorów, jednak samochód nie dojechawszy do nas skręcił w bok i odjechał.

Staszek odchodząc powiedział nam, że jeśli byłoby jakieś niebezpieczeństwo – zaświeci latarką.

Wreszcie dał się słyszeć odgłos samochodu i zobaczyliśmy jego światła. Był to umówiony samochód, którym pojechaliśmy. Na skutek opóźnienia zajechaliśmy do miasteczka rano, gdzie w zagrodzie u Słowaka spędziliśmy dzień wypoczywając i odżywiając, oraz susząc się.

Wieczorem przyjechał po nas samochodem inny Słowak, który podwiózł nas w kierunku granicy słowacko-polskiej.

Szedłem cały czas z ogromnym wysiłkiem, zdając sobie sprawę z tego, że jestem powodem wolniejszego marszu. Wreszcie Staszek zatrzymał się i oświadczył: tu jest słupek graniczny – to już polska ziemia. Ukłękliśmy z ks. Zapałą i z głębokim wzruszeniem ucałowaliśmy tę ziemię.

Kiedy wstaliśmy, nastąpiła we mnie niespodziewana przemiana. Odczułem przypływ ogromnej energii i siły. Ruszyliśmy dalej. W pewnej chwili minąłem ks. Zapałę i zacząłem deptać po piętach Staszкови – znacznie przyspieszając kroku. Zmęczenia ani śladu. Wtem usłyszałem głos idącego za mną ks. Zapały: Tadek! – spytałem o co mu chodzi. Odpowiedział: Tadek, a powiedz mi jeszcze raz, że masz chore serce – to ci w mordę dam.

W życiu nie mogłem się kąpać w zimnej wodzie, bo łąpał mnie skurcz w lewą stopę. W czasie tej wędrowki, przechodziliśmy wpław przez parę potoków górskich – oczywiście nie rozzuwając się. Najgorsze były pierwsze kroki. Wartki strumień lodowatej wody niosącej z łoskotem kamienie zdawał się z łatwością powalać z nóg. Dochodząc do kolejnego strumienia widać było za nim wieś. Staszek powiedział, że we wsi jest strażnica i posterunek niemieckiej straży granicznej (*Grenzschutz*), która patroluje teren z psami. Około godz. 2-iej w nocy schodzą się do strażnicy na zmianę warty – co trwa 1/2 godziny, w tym czasie trzeba przekraść się do wsi w której on zamieszkuje. (Później okazało się, że jest to Chochołów). Staszek polecił nam położyć się w krzakach, a sam udał się przez potok do wsi zbadać sytuację. Po kilku minutach zobaczyliśmy idącego od wsi człowieka, myśleliśmy, że to Staszek. Był to brat Staszka Franciszek Frączyśty, który przeprowadził nas do swej chaty w której nakarmiono nas, wysuszono mokrą odzież i ułożono do snu pod ciepłą pierzyną.

Nazajutrz 9 października rano poszliśmy gęsiego za wieś: ks. Zapała prowadzony przez Franciszka Frączyśtego a ja przez jego córeczkę Hankę. Tam czekała na nas furmanka, którą pojechaliśmy do Szaflar na plebanię, gdzie wikarym był bratanek ks. Zapały. Proboszcz ugościł nas sutą kolacją i przenocował. Rano 10 października zostaliśmy z ks. Zapałą odwiezieni bryczką proboszcza na stację kolejową Szaflary, skąd pociągiem pojechaliśmy do Krakowa.

W Krakowie zgodnie z dyrektywą gen. Hubickiego odwiedziłem na kolonii oficerskiej jego znajomego pułkownika (nazwiska nie pamiętam) w sprawie zapewnienia kwatery dla Marszałka Rydza-Śmigłego.

Sam zatrzymałem się u mego krewnego płk. dr med. Tadeusza Zabokrzyckiego przy ul. Zyplikiewicza, u którego gościłem dwa dni, po czym pojechałem do Warszawy. Zatrzymałem się u mojego przyjaciela Jerzego Postupalskiego.

Z żoną nawiązałem kontakt po pewnym czasie od powrotu do kraju spotykając się z nią na gruncie neutralnym. Chociaż w Budapeszcie sądzono ciągle, że przebywam w Siedmiogrodzie, żona moja została wezwana do gestapo w Al. Szucha na dłuższe przesłuchanie w sprawie mojej osoby. Szczęśliwie nie została zatrzymana, lecz stwierdzone zostało, że nasz dom jest pod stałą obserwacją.

Punktem kontaktowym OPW była wtedy pasztecarnia Wendowej (żony brata płk. Zygmunta Wendy) przy ul. Puławskiej 12. Tam spotkałem płk. Mariana Zalewskiego i ks. Zapałę oraz Staszka Frączystego, który wkrótce wrócił do Budapesztu celem przeprowadzenia do kraju Marszałka Rydza-Śmigłego i mjr. Juliana Piaseckiego.

W dniu 25 października 1941 r. Marszałek miał jechać do kraju wraz z Piaseckim, Staszkiem Frączystym oraz węgierską tłumaczką mającą asystować do granicy węgiersko-słowackiej.

Marszałek był ucharakteryzowany – nosił wąsy i perukę. Na dworcu Keleti w Budapeszcie w przedziale znajdował się również Bazyli Rogowski, b. wojewoda tarnopolski, który również miał towarzyszyć Marszałkowi do granicy węgiersko-słowackiej. Przed ruszeniem pociągu do wagonu wkroczyło dwóch dwójkarzy londyńskich i wywołali Frączystego na korytarz, gdzie oświadczyli mu, że Piasecki i Rogowski muszą wysiąść, w przeciwnym razie sprowadzą żandarmów i każą ich wraz ze Staszkiem aresztować. Nadmienić trzeba, że Frączysty był kurierem ZWZ i podlegał w/w, a przeprowadzając Marszałka i Piaseckiego robił tajemnie kurs na lewo. Na szczęście nie rozpoznali Marszałka.

W obawie, aby Marszałek nie został rozpoznany Piasecki i Rogowski wysiedli na peron na stacji Hatvan, tak jak dwójkarze. Kiedy pociąg ruszył Rogowski w ostatniej chwili wskoczył do pociągu aby towarzyszyć Marszałkowi. Z powodu nieobecności Piaseckiego w ten sposób asystował Marszałkowi do kraju, a nie jak pierwotnie planowano do granicy węgiersko-słowackiej.

Piasecki wrócił do kraju po kilku dniach prowadzony przez innego przewodnika.

Pierwsze moje spotkanie z Piaseckim po jego przybyciu do Warszawy miało miejsce w Pasztelni Wndowej przy ul. Puławskiej. Następne odbywały się tamże, lub w innych z góry uzgodnionych miejscach m.in. w barze Wereszczaki przy ul. Koszykowej obok bazaru na Koszykach i jadłodajni M. Rościszewskiej przy ul. Emilii Plater 10.

Piasecki poinformował mnie, że Marszałek przebywa przy ul. Sandomierskiej w mieszkaniu wdowy po jednym z generałów i opiekuje się nim Marcin, a sam jest z Marszałkiem w stałym kontakcie. Ze zrozumiałych względów – zgodnie z naszymi zasadami konspiracji – nie pytałem o nazwisko generałowej. Później Piasecki poinformował mnie, że chodziło o generałową Jadwigę Maxymowicz-Raczyńską.

Przy końcu listopada mocno zaziębilem się z gorączką powyżej 40°C. Mieszkałem wtedy konspiracyjnie u mego przyjaciela Jerzego Pustopalskiego. Sprowadzony lekarz stwierdził początki zapalenia płuc. Przeleżałem 10 dni.

Przez okres choroby nie miałem żadnego kontaktu z Piaseckim, Zalewskim, ani z nikim z naszej grupy.

Kiedy w początkach grudnia pierwszy raz wyszedłem na ulicę, nogi uginały się pod mną z osłabienia, a pogoda była fatalna. Nazajutrz usiłowałem nawiązać kontakt z Piaseckim – co udało mi się dopiero 7 grudnia po południu. Wydawał mi się ogromnie przygnębiony, zmizerowany i postarzały. Opowiedziałem mu o mojej chorobie, a na zapytanie, co słysząc odrzekł łamiącym się głosem: wczoraj pochowaliśmy Adama (tak między sobą nazywaliśmy jeszcze w Budapeszcie Marszałka). Zmarł 2' grudnia na anginę pectoris – bardzo cierpiał. Przy Jego śmierci był Marcin. Szukaliśmy Was, ale nie wiedzieliśmy gdzie przebywacie.

Wiadomość ta zrobiła na mnie piorunujące wrażenie. Następnego dnia spotkałem się z Marcinem, który opowiedział mi szczegóły o chorobie i śmierci Marszałka. Umówiliśmy się z nim, że nazajutrz rano pojedziemy na Cmentarz Powązkowski, gdzie zaprowadził mnie na grób Marszałka. Mogiła była obłożona kwiatami i przyprószona świeżym śniegiem. Numer kwatery 139 zapamiętałem na całe życie.

Oprócz Piaseckiego spotykałem się najczęściej z płk. Marcinem Zalewskim, który sprawował funkcje adiutanta-łącznika-opiekuna w czasie, kiedy Marszałek mieszkał u generałowej.

Z grona osób, członków OPW, które wróciły w tym okresie do kraju spotykałem: płk. Mariana Bernackiego, płk. Tadeusza Wasilewskiego, mjr. Józefa Lebodowicza („dr Galla”), v-wojewodę Jagodzińskiego, płk. Jana Zientarskiego.

Marcin Zalewski został rozstrzelany na Pawiaku.

Julian Piasecki zmarł w Szpitalu Maltańskim od ran poniesionych w walce 2 sierpnia 1944 r.

Warszawa, 1993 r.

Tadeusz ZABOKRZECKI

Mieczysław JACKIEWICZ

TRAGEDIA WILEŃSKIEGO GETTA

Armia niemiecka wkroczyła do Wilna 23 czerwca 1941 roku. Równocześnie na okupowane tereny Reinhard Heydrich wysłał cztery grupy operacyjne (*Einsatzgruppe*), których zadaniem było zlikwidowanie Żydów na Litwie. Grupy te podzieliły się na 3 oddziały operacyjne (*Einsatzkommando*), a z pozostałych utworzono oddział specjalny (*Sonderkommando*). W krajach nadbałtyckich (Litwa, Łotwa, Estonia) grupą operacyjną „A” z początku kierował SS brigadenfuerer Franz Walter Stahlecker, a od 24 III 1942 r. – brigadenfuerer i generał major policji Heinz Jost. Grupa operacyjna 3, której dowódcą był SS standartenfuerer Karl Jaeger, 2 lipca 1941 r. objęła funkcję policji bezpieczeństwa na Litwie. Podstawowe

siły oddziału 3/A i sztab Jaegera rozmieściły się w Kownie, natomiast do Wilna przybyły pododdziały 3/A w celu likwidacji Żydów wileńskich. W Wilnie do 2 września 1941 r. działał też oddział operacyjny 9/B, który później został skierowany do Pskowa. Pododdział grupy operacyjnej „A” już w lipcu 1941 roku utworzył oddział specjalny (po litewsku: Vilniaus SD *ypatingas burys*), liczący 42-45 osób przeważnie narodowości litewskiej. Członkowie tego *ypatingas burys* rozstrzeliwali Żydów w Ponarach.

Wiosną 1941 roku na Litwie razem z uchodźcami z Polski mieszkało 220-225 tys. Żydów. Ponad 175 tys. osób zostało zamordowanych do grudnia 1941 r. W małych miasteczkach litewskich wymordowano Żydów podczas jednej „akcji”. W Wilnie natomiast tylko w lipcu 1941 r. zginęło około 5500 Żydów: kobiet, dzieci i mężczyzn. Mordowano ich w Ponarach – w miejscowości położonej 10 km na zachód od centrum miasta. Oddział specjalny wymordował w Ponarach 10-12 tys. mężczyzn, kobiet i dzieci. Pozostali Żydzi zgodnie z rozkazem z 6 września 1941 r. zostali spędzeni do getta na Starym Mieście.

Niemcy zaczęli tworzyć getto wileńskie na początku lipca 1941 r. Twórcą getta w Wilnie, a później głównym likwidatorem Żydów, był wileński gebietskommissar SA sturmbahn-fuerer Hans Hingst. Administratorem getta od września 1941 do lipca 1943 był adiutant Hinza Franz Murer. To właśnie z jego rozkazu między 15 września a 22 grudnia 1941 r. rozstrzelano w Ponarach około 17-18 tys. Żydów. W tym samym czasie w „drobniejszych” akcjach wymordowano 5500 osób w Nowej Wilejce, 4000 – w Mołodecznie, 100 osób w Trokach i kilka tysięcy w różnych miasteczkach Wileńszczyzny.

Pozostali przy życiu Żydzi zostali rozmieszczeni w getcie (około 50 tys.) i obozie (około 2 tys.). Pierwsze getto utworzono na zachód od ulicy Niemieckiej: rozpoczynało się od ulicy Rudnickiej i ciągnęło się wzdłuż Zawalnej, Św. Mikołaja i Oszmiańskiej. Główne wejście było od ulicy Rudnickiej. W tej części getta przebywało około 30 tys. Żydów. Rachela Margolis podaje natomiast, że było tam około 29 tys. Żydów. Druga część getta znajdowała się na

wschód od ulicy Niemieckiej. Rozpoczynała się od początku ulicy Niemieckiej (w pobliżu starego ratusza), ciągnęła się wzdłuż Wielkiej do zaułku Szwarcowego i ulicami Gaona, Dominikańską, znowu do ulicy Niemieckiej. W tej części getta rozmieszczono około 20 tys. osób. Według R. Margolis – około 11 tys. Oba te obszary były otoczone wysokim murem. Wewnątrz getta porządku pilnowała Rada Żydowska (*Judenrat*), która miała własną policję. W małym getcie przewodniczącym *Judenratu* został bankowiec A. Fried, w dużym – kupiec A. Lejbowicz. Później szefem *Judenratu* i komisarzem policji został Jakub Gens. Podczas akcji przesiedlenia Żydów do getta zginęło ok. 8 tys. osób.

Od 3 lipca 1941 r. Żydom nie wolno było chodzić po chodnikach, zaś na piersi i plecach musieli nosić białą łatę z literą „J” (*Jude*), później literę zamieniono na gwiazdę Dawida.

11 czerwca 1943 r. Hitler wydał rozkaz likwidacji wszystkich gett w Polsce, a od 21 czerwca 1943 r. rozkaz ten objął pozostałe tereny okupacyjne na Wschodzie. Zanim jednak doszło do ostatecznej likwidacji getta w Wilnie, Żydzi przeżyli w nim ponad dwa lata w okropnych warunkach. Rachela Margolis, córka znanego wileńskiego lekarza, której udało się przeżyć okupację niemiecką, pisze, że „w jednym pokoju gnieździło się kilka rodzin, na jedną osobę przypadały 1-2 metry kwadratowe powierzchni mieszkalnej; mieszkania były brudne, zniszczone, rozgrabione z mebli i sprzętów; niektórzy Żydzi odbierali sobie pokoje siłą, nie starczało miejsca dla wszystkich”.

Po spędzeniu Żydów do większego getta podzielono ich według kwalifikacji: specjalistów pozostawiano w dużym getcie, ludzi bez zawodów i kwalifikacji przesiedlano do getta mniejszego, na wschód od ulicy Niemieckiej. Wielu wywożono do więzienia na Łukiszkach.

1 października 1941 r. w święto Jom-kipur wierzący Żydzi zapełnili synagogi znajdujące się na terenie getta. „Tego dnia – pisze R. Margolis – do getta weszły pod dowództwem Schweinbergera oddziały niemieckich i litewskich faszystów. Otoczono tysiące Żydów, wychodzących z synagog, wyprowadzono ich do więzienia a stamtąd do Ponar. Faszystowskim

oprawcom pomagała policja żydowska. Podczas akcji w Jomkipur zginęło wielu Żydów, którzy mieli świadectwa pracy”.

Ludzie wtedy zrozumieli, że wywożą ich nie do trzeciego getta, jak niektórzy myśleli, nie do obozu, lecz na śmierć. Już w końcu lata 1941 r. Żydzi dowiedzieli się, że w Ponarach Niemcy i Litwini mordują wszystkich wyprowadzonych z getta. Gdy 4 października 1941 r. faszysti zaczęli przesiedlać ludzi do mniejszego getta, M. Frumkin, 18-letni młodzieniec, zaapelował do rodaków, aby się nie poddawali, lecz chwycili za broń i walczyli z oprawcami. Tego dnia niektórzy próbowali uciekać z getta, inni stawiali opór. Niemcy otworzyli do nich ogień. Nielicznym udało się jednak uratować. Ale wtedy po raz pierwszy młodzież żydowska z wileńskiego getta wystąpiła przeciwko swoim katom. Do zorganizowanego ruchu oporu jednak jeszcze nie doszło. 21 października 1941 r. mniejsze getto zostało zlikwidowane. Pozostało w Wilnie większe, położone między ulicami Zawalną, Rudnicką, Niemiecką i Oszmiańską.

Rachela Margolis wspomina, że przez całą jesień 1941 r. odbywały się akcje likwidacji Żydów. 23 października 1941 r. specjalistom żydowskim władze niemieckie wydały żółte tzw. szejny (zaświadczenia), które miały chronić ich przed eksterminacją. Zaświadczenia te otrzymało 3 tysiące osób. Do szejnu można było wpisać żonę lub męża i dwoje dzieci. To dawało możliwość przeżycia około 12 tys. Żydów, natomiast w getcie w tym czasie, jak twierdzi R. Margolis, było około 28 tys. osób. Ludzie szukali różnych sposobów zdobycia szejnu, sprzedawali wszystko, żeby przekupić urzędnika i zdobyć upragniony dokument. 24 października 1941 r. faszysti przeprowadzili pierwszą tzw. „akcję żółtych szejnów”. Rodzinom specjalistów wydano wtedy dodatkowe, błękitne szejny. Ludzie, którzy nie mieli błękitnych zaświadczeń, skazani byli na śmierć. Kryli się oni w różnych tzw. „melinach”. Kiedy specjalistów wyprowadzono do pracy, do getta wtargnęli Niemcy i Litwini, wyłapywali Żydów, którzy nie mieli szejnów. Wywlekano ludzi z kryjówek, piwnic i strychów. „Dwaj młodzieńcy Haus i Goldsztejn – wspomina Margolis – rzucili się na policjantów, ale natychmiast zostali zastrzeleni”.

K. Jaeger 1 grudnia 1941 r. pisał w raporcie do Berlina, że kwestia żydowska na Litwie została rozwiązana. Pozostali przy życiu tylko Żydzi-robotnicy i ich rodziny: w getcie szawelskim – 4,5 tys., w kowieńskim – 15 tys., oraz w wileńskim – 15 tys. Akcje likwidacyjne tych pozostałych mogą odbyć się w każdej chwili. Jednakże na pewien czas akcje mordowania Żydów zostały wstrzymane, ponieważ Wehrmacht potrzebował rąk do pracy.

W ten sposób w ciągu pół roku okupacji niemieckiej Wilna (lipiec-grudzień 1941) zginęło ponad 75% Żydów – mieszkańców miasta: 21 tys. przed utworzeniem getta i 26.447 w czasie istnienia getta – razem 47.447 osób! Liczby te podaję za artykułem R. Margolis, opublikowanym w zbiorze „The Jewish Museum”, Vilnius 1994.

W grudniu 1941 r. powstał w getcie żydowski ruch oporu. Podczas święta Chanuki w 1941 r. lider organizacji *Bejtart*, I. Glazman, zaproponował działaczom innych partii połączenie się w jedną organizację zbrojną i wystąpienie przeciwko oprawcom. Glazmana, jak podaje Margolis, poparł N. Reznik (*Chanoar chacioni*) i działacz Bundu, nazwiska jego Margolis nie wymienia, oraz A. Kowner z *Chechatuc chaszomer*. Wkrótce do organizacji przyłączyli się komuniści: I. Witenberg, S. Madejskier, Ch. Borowska i B. Szerszeniewski.

„21 stycznia 1942 r. – pisze R. Margolis - grupa, składająca się z przedstawicieli różnych partii i organizacji, zebrała się w mieszkaniu I. Glazmana. Byli obecni: I. Witenberg i Ch. Borowska (komuniści), A. Kowner (*Chaszomer chacair*), N. Reznik (*Chanoar chacioni*). Zaproszono też członka organizacji *Bejtart*, I. Fruchta, który był majorem Wojska Polskiego. Zebrani po długiej naradzie postanowili utworzyć w getcie organizację bojową, która miałaby za zadanie przygotować zbrojne powstanie. Utworzono wtedy sztab ruchu oporu. Na jego czele stanęli: I. Witenberg, I. Glazman i A. Kowner. Organizację nazwano *Fareinikte Partizaner Organizacje* – Zjednoczona Organizacja Partyzancka, w skrócie FPO. Dowódcą FPO został I. Witenberg. Wiosną 1942 r. do organizacji przyłączył się *Bund* i do sztabu z ramienia tej partii weszli Abram Chwojnik i N. Reznik”.

W marcu 1943 r. członkowie sztabu napisali regulamin FPO, w którym uwzględniono strukturę organizacji i sposoby walki z faszystami. Regulamin podpisali wszyscy członkowie sztabu: Leon (Witenberg), Mosze (Chwojnik), Chaim (Reznik), Uri (Kowner), Abram (Glazman). Dowódcami batalionów zostali: A. Kowner i I. Glazman. FPO przygotowywała się do walki z faszystami. W dość krótkim czasie organizacja zdobyła sporo broni i amunicji, którą magazynowano w specjalnych kryjówkach przy ulicy Karmelickiej 3, Niemieckiej 31 i w budynku sztabu przy Oszmiańskiej 8. Dowódcą oddziału, który różnymi sposobami zdobywał broń, był S. Kapliński, natomiast odpowiedzialnym za składowanie broni i amunicji był Chaim Seidelson. Szkolenia wojskowe prowadził I. Glazman, były oficer armii litewskiej. Icek Kowalski, drukarz pracujący w drukarni „Auśra”, zorganizował w getcie drukarnię, w której drukowano odezwy i gazetki.

Członkowie FPO w 1942 r. dokonali kilku akcji sabotażowych na terenie Wilna. R. Margolis wspomina, że w czerwcu 1942 r. trójka Żydów – Witka Kempner, Izia Mackiewicz i Mosze Brauze wysadzili pociąg niemiecki w pobliżu Nowej Wilejki. Niemcy, oczywiście, nawet nie domyślili się, że czynu tego dokonali Żydzi. Organizacja FPO utrzymywała kontakty z komunistami Wilna. Z Witenbergiem ściśle współpracował polski komunista Jan Przewalski, który kilka razy z naszytymi na piersi i plecach łatami przychodził do getta. Nawiązano też łączność z sowieckimi oddziałami partyzanckimi, które działały w Puszczy Rudnickiej i w okolicach jeziora Narocz, na wschód od Wilna.

15 lipca 1943 r. Niemcy zażądali wydania Icka Witenberga. Żydowski przedstawiciel getta, Jakub Gens, zaprosił do siebie członków sztabu FPO i rozkazał aresztować Witenberga. Kiedy policjant żydowski prowadził Witenberga do bramy wyjściowej, S. Kapliński z grupą bojowników uwolnił Witenberga i ukrył go w „melinie” przy ulicy Oszmiańskiej 3, następnie przeprowadził na ulicę Straszuna 15. W nocy z 15 na 16 lipca 1943 r. dokonano mobilizacji wszystkich bojowników FPO. Byli gotowi do walki. Jednakże tłum Żydów, podburzony przez Gensa, domagał się wydania

Witenberga, nie poparł bojowników. Witenberg postanowił wyjść z getta, aby ocalić towarzyszy broni. Na dowódcę FPO wyznaczył Abbę Kownera. Wieczorem 16 lipca 1943 r. Witenberg wyszedł z getta, a nazajutrz rano znaleziono jego martwe ciało w celi gestapo. Podobno otruł się cyjankiem, a truciznę miał mu podać przed wyjściem z getta Gens.

Podczas wydarzeń 15-16 lipca FPO została zdekonspirowana. Część członków organizacji postanowiła opuścić getto i udać się do sowieckich oddziałów partyzanckich. Pierwsza gupa, zwana „Gupą Leona”, wyszła z getta 24 lipca 1943 r. Udawali oni robotników prowadzonych przez policjantów do pracy. Po drodze przyłączyli się do nich prawdziwi robotnicy. Dość duża grupa zbiegów natknęła się na zasadzkę. Zginęło około dziesięciu bojowników. Pozostali jednak dotarli do oddziałów partyzanckich i zostali włączeni w ich skład. Po tym zdarzeniu faszyci wtargnęli do getta i mścili się na rodzinach zabitych bojowników. Wielu aresztowano i wywieziono na Łukiszki, później rozstrzelano ich w Ponarach. Margolis wspomina, że udało się ukryć matkę zabitych braci Griszy i Lejba Gordonów, także ukryto ich brata Izię i siostrę Sonię.

W ciągu sierpnia 1943 r. młodzież żydowską wywożono do obozów w Estonii. Likwidacja wileńskiego getta rozpoczęła się 1 września 1943 r. o godzinie 5 rano. Akcją kierował SS oberscharffuerer Hans Kitel. Teren getta otoczono oddziałami policji litewskiej, łotewskiej i estońskiej. Z getta wyprowadzono ok. 5 tys. Żydów i wywieziono ich do Estonii. Ale w tym czasie sztab FPO ogłosił mobilizację. Margolis wspomina, że dowództwo zdążyło rozdać broń bojownikom pierwszego batalionu. Drugi batalion został otoczony przez policjantów przy ulicy Szpitalnej i wszyscy jego członkowie trafili do transportu wywożonych do Estonii. Pierwszy batalion postanowił walczyć z faszystami do końca. Bojownicy zajęli pozycje przy ulicy Straszuna 7 i 6 (w bibliotece) i na ulicy Straszuna 12. Kiedy grupa faszystów ruszyła w stronę ulicy Straszuna, oddział znajdujący się w domu nr 12, pod dowództwem I. Szejnbojma, otworzył do nich ogień. Kilkunastu Niemców padło. Pozostali podkradli się bliżej i wysadzili budynek. Zginęli wówczas wszyscy mieszkańcy domu

i bojownicy FPO. Niemcy opuścili getto rozkazując policji zebrać pozostałych Żydów i skierować ich do transportów. Żydzi nie chcieli wychodzić z domów, kryli się w różnych „melinach” i kryjówkach, siłą wyciągano ich na zewnątrz. Niektórzy ukrywali się w kanałach. W ciągu trzech dni wywieziono z getta wileńskiego na Łotwę i do Estonii około 10 tys. osób, wielu z nich trafiło do Ponar. 11 września 1943 r. grupa bojowników przedostała się na zewnątrz getta, by przejść do partyzanów. W tej grupie była 22-letnia Rachela Margolis. Tak oto opisuje ucieczkę z Wilna: „Wyszliśmy wieczorem przez furtkę na ulicy Jatkowej. Klucz od furtki miał Ch. Seidelson. Był piękny wieczór, do godziny policyjnej pozostawało niewiele czasu. Sonia Madejskier wypuszczała nas po dwoje: jedno z nas miało pistolet, drugie granat. W pewnej odległości od nas gromadzili się Żydzi. Wiele z nich wiedziało, że wkrótce getto zostanie zlikwidowane, chcieli więc razem z nami uciec do lasu. Ale my nie mogliśmy wyjść w dużej grupie, ponieważ żadna z poprzednich grup nie dotarła do lasu bez strat. Policja żydowska nie dopuszczała Żydów z getta do nas. A my wychodziliśmy z ciężkim sercem – przecież pozostawialiśmy bliskich: rodziców, dzieci, braci, siostry. Wiedzieliśmy, że czeka ich zagłada. Poza tym musieliśmy dostarczyć partyzantom karabin maszynowy. Mieliśmy go wywieźć w katafalku pogrzebowym, ale w ostatniej chwili woźnica ze strachu odmówił. Chaim Seidelson rozebrał karabin i wyniósł go w futerale na skrzypce. Wszyscy mieliśmy się spotkać na cmentarzu żydowskim na Zarzeczu. Stamtąd grupa FPO ruszyła dalej już jako oddział partyzancki, z bronią w rękę. Przewodnikiem był Aleksander Katzenbogen, później znany malarz izraelski A. Bogen. Szliśmy osiem dni i wreszcie dotarliśmy do lasów w pobliżu jeziora Narocz, gdzie stacjonował oddział Fiodora Markowa. Przybyły tutaj później jeszcze trzy grupy. Większość członków FPO została w oddziale Markowa, część przedostała się do oddziału litewskiego „Vilnius”, którego dowódcą był Motiejus Šumauskas.

Natomiast w Wilnie tragiczne wydarzenia przebiegały następująco: 14 września przedstawiciela getta, Jakuba Gensa, wezwano do gestapo i tam go zamordowano. 22 września

faszyści otoczyli getto i ogłosili jego likwidację. Wszystkim rozkazano opuścić getto”.

23 września tysiące Żydów po wyjściu z getta pędzono po ulicy Rudnickiej i Hetmańskiej na Subocz do niewielkiego placu na skrzyżowaniu z ulicą Rossa, po obu stronach tej drogi stali gestapowcy z psami. Tutaj odbywała się selekcja: mężczyzn pędzono na prawo w kierunku kościoła wizytek, a kobiety i dzieci kierowano na dziedziniec klasztoru misjonarzy, a stamtąd na stawy misjonarskie, gdzie trzymano je przez całą noc na deszczu. 24 września faszyści na dziedzińcu misjonarskim powiesili członków sztabu FPO: I. Kapłana, A. Chwojnika, Asię Big oraz zegarmistrza G. Lewina, których złapano w zaułku Ignatowskim. Tego dnia kobiety (4.300-5000 osób) wypuszczono z ogrodu przez furtkę, bo brama była zamknięta: na lewo kierowano kobiety starsze i dzieci, ich czekały Ponary, młodsze – hitlerowcy popędzili ulicą Rossa w stronę stacji kolejowej. Kobiety te, jak wcześniej mężczyźni, zostały wywiezione do obozów na Łotwie i w Estonii. Tak się zakończyła tragedia wileńskiego getta.

Mieczysław JACKIEWICZ

Igor TORBAKOW

IV ROZBIÓR POLSKI W KOŃCU XIX WIEKU

**„Niech nam Bóg pomoże naprawić wszystkie błędy, któreśmy dotychczas wobec Polaków popełnili”
(Generał Mikołaj Obruczew i plan czwartego rozbioru Polski pod koniec XIX wieku)**

Na pytanie, kiedy dokonał się czwarty rozbiór Polski, każdy choć jako tako wykształcony człowiek odpowiada natychmiast: „We wrześniu 1939 roku, w wyniku paktu

Ribbentrop-Mołotow”. Odpowiada słusznie. W Rosji i w Polsce mało kto jednak wie, że już pod koniec XIX wieku w gabinetach rosyjskiego Ministerstwa Spraw Wojskowych pracowano nad planami kolejnego rozbioru polskich ziem. Analityczna notatka zatytułowana „Główne historyczne zagadnienia Rosji i nasza gotowość do ich rozwiązania” zawiera niezmiernie ciekawe informacje na temat zamiarów imperium rosyjskiego, marzącego o dogodniejszym dla siebie rozwiązaniu „kwestii polskiej”. Dokument ten, sporządzony w roku 1885, znajduje się dziś w Archiwum Polityki Zagranicznej Imperium Rosyjskiego, w zbiorach kancelarii ministra spraw zagranicznych¹. Autorem notatki jest generał Mikołaj Mikołajewicz Obruczew, wybitny rosyjski badacz wojskowości, profesor Akademii Sztabu Głównego, mianowany na samym początku panowania Aleksandra III naczelnikiem Sztabu Głównego armii rosyjskiej.

Dziwnym zrządzeniem losu – życie M.M. Obruczewa splecione jest ściśle z dramatyczną historią polskich ziem, należących w XIX wieku do imperium rosyjskiego. Obruczew urodził się tydzień przed wybuchem powstania listopadowego 1830 roku w rodzinie rosyjskiego oficera – kapitana gwardii przybocznej Pułku Litewskiego, zakwaterowanego wówczas w Warszawie². Trzydzieści trzy lata później Obruczew – będący już sam oficerem armii rosyjskiej – odmówił udziału w dławieniu „polskiego buntu” 1863 roku, czyli odmówił wykonania rozkazu. Będąc naczelnikiem sztabu drugiej gwardyjskiej dywizji piechoty, pisze wojskowy i pisarz M.A. Gasenkampf, „demonstracyjnie uchylił się od obowiązku, nie chcąc iść na bratobójczą wojnę”³. Ten wyzywający krok drogo go kosztował: popadł w niełaskę wyższych kręgów wojskowych. Odium zdjął z niego dopiero następny car. Kiedy w 1877 r., w przeddzień wojny z Turcją, tworzone dowództwo połowę armii, car Aleksander II i minister spraw wojskowych D.A. Milutin polecili głównodowodzącemu, by włączył Obruczewa w skład

1. Archiwum zagranicznej polityki imperium rosyjskiego. Zbiory Kancelarii. Zwój 470. 1900 rok. Teczka 54. Strony 89-113. Pełny tekst dokumentu opublikowany został w rosyjskim piśmie *Istocznik*, 1994, №6, str. 5-19.

2. „Pamięci M.M. Obruczewa” (Stare dzieje Rosji, 1914, № 6, str. 477).

3. Gasenkampf M.A., „Mój dziennik 1877-1878”, SPb., 1908.

swego sztabu polowego. Jednak wielki książę Mikołaj Mikołajewicz kategorycznie odrzucił tę propozycję, pomny niesubordynacji Obruczewa w styczniu 1863 roku⁴.

W latach 1850-60 poglądy polityczne Obruczewa były – sądząc po zachowanych dokumentach – jak na rosyjskiego wojskowego dość radykalne. Zbliżył się wówczas do przywódców rosyjskiego ruchu rewolucyjno-demokratycznego N.A. Dobrolubowa i N.G. Czernyszewskiego. Razem z Czernyszewskim redagował liberalne czasopismo *Almanach Wojskowy*, które ten ostatni założył w 1858 roku. Będąc profesorem Mikołajowskiej Akademii Sztabu Głównego i naczelnikiem sztabu 2-giej gwardyjskiej dywizji piechoty, Obruczew – zaświadcza działacz rosyjskiego ruchu rewolucyjnego L.F. Pantelejew – był w 1862 roku jednym z założycieli pierwszej „Ziemi i woli” oraz uczestniczył w sporządzaniu wielu nielegalnych publikacji⁵. Istnieją podstawy, by sądzić, że podczas służbowych podróży za granicę nawiązał kontakt z A.I. Herzenem i N.A. Ogariowem⁶.

Jednak w latach 1870-tych i 1880-tych w Rosji powiały inne polityczne wiatry. Starania władz o zmodernizowanie kraju – „wielkie reformy” – niemal natychmiast spowodowały powszechny wzrost nastrojów rewolucyjnych, a na terenach ościennych uczuć narodowych. Jednym z jaskrawych wyrazów tych ostatnich było właśnie polskie powstanie 1863 roku. Wtedy, jak słusznie zauważył współczesny angielski historyk Jeffrey Hosking, „w świadomości wyższych urzędników imperium dokonał się przełom: z przychylnych zwolenników liberalizmu typu brytyjskiego wielu z nich zamieniło się w stronników administracyjnej i kulturalnej rusyfikacji”⁷. Memorandum polityczne M.M. Obruczewa jest

4. Patrz: Bielajew N.I., „Russko-tureckaja wojna 1877-1878”, Moskwa 1956, str. 86-87.

5. Pantelejew L.F., „Iz wospominanij proszlogo”, Moskwa 1934, str. 291.

6. Patrz: Diakow W.A., „Obruczew M.M.” w: „Sowietskaja istoričeskaja encyklopedia”, Moskwa 1967, tom 10, str. 404.

7. Hosking J., „Imperia i popytki sozdanija nacii na zakatie imperatorskoj Rossiji” (wykład na konferencji „Rosyjski nacjonalizm: przeszłość i teraźniejszość”, Londyn, 23-24 marca 1995), w: *Otieczestwiennaja istoria*, 1997, N° 1, str. 194-195.

dowodem tego przełomu w mentalności i wyrazistym pomnikiem historycznym epoki rosyjskich kontrreform⁸.

Celem notatki generała Obruczewa jest – jak sam pisze – wytyczenie „głównych państwowych interesów” Rosji i pokazanie ich ciągłości historycznej. Jego zdaniem „...dzieje Rosji na terenie europejskim zależą przede wszystkim od kwestii polskiej i kwestii wschodniej”.

Co do „kwestii polskiej” M.M. Obruczew był zdecydowanie niezadowolony ze *status quo*. Po kilku stuleciach walk z Polską, pisał, „zdaje się, że wynik sporu nieodwracalnie obróciliśmy na naszą korzyść. Jednak trwałość tego efektu bynajmniej nie jest jeszcze zapewniona”. Co przede wszystkim niepokoiło rosyjskiego generała? Obruczew nie ukrywa, że głównym jego zmartwieniem jest siła i żywotność polskiej świadomości narodowej: „Byłe państwo polskie upadło w wyniku trzech rozbiorów, ale naród polski nie umarł, tak samo jak po dziś dzień nie ustało jego życie polityczne... Nie udało nam się jeszcze złamać ducha polskiego ani w Wilnie, ani w Kijowie”.

Za ośrodek polskiej irredenty, w której wciąż żywa była myśl o niezawisłym państwie polskim, Obruczew słusznie uważał te ziemie Rzeczypospolitej, które po trzecim zaborze znalazły się pod berłem Austro-Węgier, przede wszystkim Galicję. W odróżnieniu od imperium rosyjskiego, gdzie w latach 80-tych i 90-tych XIX wieku nasiliła się ogromnie – pod pięścią warszawskiego generał-gubernatora I. Hurko i kuratora warszawskiego okręgu uczelnianego A. Apuchтина – rusyfikacja „Nadwiślańskiego Kraju”, oraz od zaboru niemieckiego, gdzie – pisze Obruczew – „książę Bismarck nie popuszcza Polakom cugli”, Habsburgowie przyznali swoim Polakom prawo do ograniczonej autonomii. „Austriackie intrygi” zdecydowanie drażniły rosyjskiego naczelnika Sztabu

8. Warto zwrócić uwagę na zastanawiającą zbieżność. W tymże 1885 roku na ręce Aleksandra III wpłynęła notatka generalnego prokuratora Św. Synodu K.P. Pobiedonoscewa. Był członkiem komisji do spraw liberalnej reformy sądownictwa w 1864 roku starał się przekonać cara, że należy zrezygnować z zasady nieusuwalności sędziów, publicznej procedury sądowej, rozdziału władzy wykonawczej od sądowej oraz ławy przysięgłych. Patrz: K.P. Pobiedonoscew i jego korespondenci, Moskwa, 1923, tom 2, str. 508–514.

Głównego. Pełen pogardliwej, ale charakterystycznej dla wyższych carskich urzędników czasu Aleksandra III, odrazy do Polaków i Żydów, pisze, że „Galicja jest dziś pomniejszonym obrazem dawnej Polski z jej panami i Żydami, rozporządzającymi się rosyjskim narodem jak byłem”. „Nie ulega wątpliwości – twierdzi Obruczew – że galicyjski płomyczek może w każdej chwili wybuchnąć wielkim ogniem i doprowadzić do ponownej próby wskrzeszenia Polski ze wszystkimi jej historycznymi pretensjami”.

Ażeby uniknąć takiego rozwoju wypadków, konieczne są zdecydowane kroki prewencyjne: „Tak czy inaczej musimy się rozprawić z galicyjsko-polskimi wertepami”. Jak to zrobić? Odpowiedź była jednoznaczna: „Jedynym sposobem może być wyłącznie rozbiór Galicji i zjednoczenie ostatków rosyjskich narodów Zakarpacia z resztą Rosji, przy czym generalne rozwiązanie kwestii może wymagać uwzględnienia także innych ziem obecnej Polski”. Aby uzasadnić, że ziemie te należą się imperium rosyjskiemu, Obruczew używa argumentów wyłącznie historycznych, wspomina wielkie czyny Rurykowiczów, Rostisławiczów i Monomachowiczów, cały zaś ustęp kończy następująca sentencja: „Jedynym prawomocnym spadkobiercą rosyjskiej ziemi i narodu rosyjskiego może być przed światem i historią tylko Rosyjski Car... Rzecz jest jasna, że Ruś Zakarpacka, tak jak i Galicyjska, tak jak i Ugorska, powinny zespolic się z Rusią Moskiewską”. Czyż warto dodawać, że pojęcia „Ukraina” i „Ukraińcy” w ogóle nie należały do słownictwa rosyjskiego stratega?

Zespolenie, była już o tym mowa, mogło dokonać się tylko poprzez kolejny rozbiór „polskiej spuścizny”. Gdyby Niemcy domagały się zadośćuczynienia terytorialnego za przyłączoną do Rosji Galicję i Ruś Zakarpacką, Obruczew zastrzega, że „podobne ustępstwa mogą być dokonane z najmniejszym uszczerbkiem tylko kosztem ziem Królestwa Polskiego”.

„Rosja mało co straci, jeżeli dopuści w tych bądź innych rozmiarach do nowego, *czwartego rozbioru* Polski – dowodzi Obruczew. – Masa Polaków w naszych granicach nieco by się zmniejszyła; ta część, która przeszłaby do Niemców, znalazłaby się w surowych rękach; nasza zachodnia

granica znacznie by się wyprostowała i, oparta o Karpaty, nabrałaby takiej siły, że mogłaby się oprzeć całej Europie”. Jednak głównym owocem nowego rozbioru byłby – przekonany był Obruczew – fakt, że kwestia polska, „najbardziej paląca i zagrażająca naszemu bytowi” – „zostałaby raz na zawsze rozwiązana”. „Wraz z utratą Rusi Zakarpackiej i rozbiorem pozostałych ziem Polacy, moralnie i materialnie powaleni, będą wreszcie musieli pogodzić się ze swoją historyczną bezsilnością”. „Niech nam Bóg pomoże naprawić wszystkie błędy, któreśmy dotychczas wobec Polaków popełnili”, zaklina się generał Obruczew pod koniec swych geopolitycznych rozważań.



Byłoby co najmniej niehistoryczne, gdybyśmy oceniali myśli i działania carskiego urzędnika wojskowego końca XIX wieku z międzynarodowej, prawnej i moralnej perspektywy końca wieku XX. Nie należy też uważać poglądów generała Obruczewa za wyraz jakiegoś wyjątkowo złowrogiego nacjonalizmu rosyjskiego. Jak słusznie kiedyś zauważył Hugh Seton-Watson, w okresie, o którym mowa, podobne idee szerzyły się dość powszechnie na całym kontynencie europejskim. Była to koniec końców epoka Rudyarda Kiplinga, Maurice’a Barrésa i Francesco Crispi⁹.

Jest jednak symptomatyczne, że prawdziwy czwarty rozbiór Polski – Drugiej Rzeczypospolitej – dokonał się według scenariusza, bliskiego temu, który zaleca notatka generała Obruczewa. Więcej, jest całkiem oczywiste, że politykom, którzy uczestniczyli w tym haniebnym akcie, nie dawała spokoju myśl o „ostatecznym rozwiązaniu” kwestii polskiej. „Okazało się, że starczyło krótkiego uderzenia w Polskę ze strony najpierw niemieckiej, a potem Czerwonej Armii, aby nie zostało śladu po tym pokracznym bękarcie pokoju wersalskiego”, oświadczył z zadowoleniem W.M. Mołotow na

9. Patrz : Hugh Seton-Watson, „The Russian Empire, 1801-1917”, Oksford 1967, str. 486-487.

posiedzeniu Rady Najwyższej ZSSR 31 października 1939 r.¹⁰

Jednak to, co stało się we wrześniu 1939 roku, nie było ani być nie mogło „ostatecznym rozwiązaniem” kwestii polskiej. „Czwarty rozbiór” skomplikował tylko i bez tego nieproste stosunki narodów polskiego i rosyjskiego.

Igor TORBAKOW

10. ZSSR–Niemcy, 1939; Dokumenty i materiały o stosunkach sowiecko-niemieckich od kwietnia do października 1939 roku. Wilno 1989, str. 116.

Wilfred von OVEN

POWSTANIE WARSZAWSKIE W OCZACH GOEBBELSA*

3 października 1944

Wczoraj powstańcy warszawscy oddali ostatni strzał i po 63 dniach bohaterskiej walki skapitulowali wraz ze swoim przywódcą, generałem Borem-Komorowskim. Ciekawe, iż zaproponowano aby generał Bór-Komorowski został głównodowodzącym polskich sił zbrojnych, walczących po stronie aliantów na miejsce generała Sosnkowskiego, nie akceptowanego przez Moskwę. Teraz Bór jest u nas i wydaje się nie być niechętny jakoś z nami współdziałać¹.

Angielskie czasopismo *Spectator* pisze, że przymierze niemiecko-angielskie może być dla Rosji równie niebezpieczne jak przymierze rosyjsko-niemieckie dla Anglii. Czyż nie jest to nasza teoria o języczku u wagi?

* Podał do druku A.M. Kobos.

1. Wilfred von Oven, „Mit Goebbels bis zum Ende” II. Band („Z Goebbelsem do końca”, tom II). Durer-Verlag, Buenos Aires, 1950.

Nic nie wskazuje na to, żeby von Oven był w Ożarowie pod Warszawą po przejściu gen. Bora do niewoli i żeby rozmawiał z nim (4 października 1944 podróżował z Goebbelsem pociągiem do Nadrenii). Ogólnikowe sformułowanie, którego von Oven tutaj używa, nie oznacza

W trakcie totalizacji wysiłku wojennego przestało wychodzić czasopismo *Berlin-Rzym-Tokio*. „To już przestarzałe – oświadczył na to Minister [Goebbels] – lepszym tytułem byłby *Berlin-Moskwa-Tokio*. I dłużej by się utrzymało...” (str. 152)

10 października 1944

Odkąd wróg znajduje się już w rozmaitych miejscach na ziemi niemieckiej, Minister [Goebbels] zajmuje się poważnie zagadnieniem naszego zachowania się w Niemczech okupowanych przez wroga. Odrzuca na przykład plany wojny partyzanckiej, proponowanej przez Suendermanna w znanym artykule w *Voelkischer Beobachter* ze względu na brak podstawowego czynnika: regularnego poparcia z zewnątrz.

Według niego, załatwilibyśmy francuskich Maquis dokładnie tak samo jak polskich powstańców w Warszawie, gdyby Francuzi nie mieli na bieżąco silnego wsparcia z Anglii. W przypadku ewentualnej porażki, odrzuca on stanowczo nawet myśl o szeroko zakrojonej wojnie partyzanckiej w Niemczech. Niemniej wierzy, iż mała grupa zdeterminowanych i przygotowanych na wszystko patriotów mogłaby stanowić pewien czynnik władzy, który musiałby być brany poważnie przez państwa okupujące zwyciężone Niemcy.

„Jak świetnym przykładem w tych okolicznościach” – powiada on – „może tu być Polska – w biegu swej historii stale okupowana, rozczłonkowywana i dzielona, której wymazywano granice, uciskano byt narodowy, a której patriotyczna pasja, mimo wszystko, zachowała się przez setki lat tak, że stale od nowa jej płomienie rozpałały się same z siebie, ze zwęglonych zgliszcz i czym w burzliwszym następowało to okresie, tym jaśniejszym rozpałały się żarem! Co może osiągnąć naród i co przecierpieć gdy walczy o swoją wolność!” (str. 155-156)

Wilfred von OVEN

(tłumaczył Jacek Arkuszewski)

chęci jakiegokolwiek współpracy gen. Bora-Komorowskiego z Niemcami.

Gen. SS Erich von dem Bach Zelewski zeznał przed polskim prokuratorem, Jerzym Sawickim w Norymberdze 26 stycznia 1946 r., iż gen. Bór-Komorowski odmówił spotkania z Himmlerem, który „sądził, że będzie mógł stworzyć nacjonalistyczną armię polską, przy pewnych zmianach polityki w stosunku do Polaków i sądził, że będzie możliwe postawienie na czele tej armii Bora-Komorowskiego”. - („Zburzenie Warszawy” Główna Komisja Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce. Wyd. Awir, Katowice 1946, str. 73). Adiutant gen. Bora, kpt. Stanisław Jankowski-„Agaton” wspomina o prośbach gen. Bora do Niemców w sprawie jeńców z powstania, szczególnie rannych. (AMK).

KOMUNIKAT O STYPENDIACH

FUNDACJI BANKOWEJ im. LEOPOLDA
KRONENBERGA (Warszawa)

i

FUNDUSZU POMOCY NIEZALEŻNEJ LITERATURZE
I NAUCE POLSKIEJ (Paryż)

Stypendia przyznawane są pisarzom, artystom oraz badaczom w dziedzinie nauk humanistycznych i społecznych, ze szczególnym uwzględnieniem historii. Stypendia służą pokrywaniu kosztów pobytu w zagranicznych (w przypadku osób zamieszkałych w Polsce) oraz – w odniesieniu do osób zamieszkałych za granicą – w polskich ośrodkach naukowych i kulturalnych.

Osobą uprawnioną do otrzymania stypendium jest każda osoba, która nie przekroczyła wieku 35 lat.

Podanie powinno zawierać :

- życiorys,
- informacje o dorobku twórczym

oraz

– program pobytu za granicą wraz z informacją na temat przewidywanego czasu jego realizacji.

Wskazane jest załączenie opinii osoby kompetentnej w danej dziedzinie.

Stypendyści będą mieli prawo do wykorzystania stypendium w terminie nie przekraczającym 6-u miesięcy do daty wysłania zawiadomienia o jego przyznaniu.

Organizowanie podróży, ubezpieczenia i mieszkania nie leży w gestii fundatorów.

Stypendia przyznawane są dwa razy do roku. Najbliższe terminy nadsyłania podań upływają z dniem 31 stycznia i 30 czerwca 1998 r.

Podania prosimy przysyłać do sekretarza Funduszu:

Wojciech Sikora, FPNLiNP,
31, rue de Garlande,
77-220 Tournan-en-Brie
Francja

SPIS TREŚCI

Adam Maldzis: <i>Białoruś i jej sąsiedzi</i>	3
Tadeusz Wyrwa: <i>Dzieje emigracji w londyńskim wydaniu</i>	9
Karol Modzelewski: <i>Cyrylica w polskim zwierciadle</i>	48

WSPOMNIENIA

Krzysztof Głuchowski: <i>W polskim Londynie 1947-1970</i> -- z wprowadzeniem Marii Danilewicz Zielińskiej	54
--	----

RECENZJE

Józef Lewandowski: <i>NKWD o polskim podziemiu</i> . . .	173
Piotr Wandycz: <i>Nowe książki</i>	194
Adam Gajos: <i>Pamiętnik Konstantego Skirmunta</i> . . .	197
Krzysztof Tarka: <i>Opolszczyzna po II wojnie</i>	201
<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	205

OKRUCHY HISTORII

Tadeusz Zabokrzecki: <i>Moje wspomnienia</i>	207
Mieczysław Jackiewicz: <i>Tragedia wileńskiego getta</i> . .	222
Igor Torbakow: <i>IV Rozbiór Polski w końcu XIX wieku</i>	230
Andrzej M. Kobos: <i>Powstanie warszawskie w oczach Goebbelsa</i>	236
<i>Komunikat o stypendiach</i>	238

KULTURA

PRENUMERATA NA ROK 1998:

Cena prenumeraty (numery 1–12) wynosi **80 zł.**

Cena prenumeraty na I półrocze (numery 1–6) wynosi **45 zł.**

ZESZYTY HISTORYCZNE

PRENUMERATA NA ROK 1998:

Cena prenumeraty za cztery numery (123, 124, 125, 126)
wynosi **60 zł** (wraz z przesyłką).

Wpłaty należy przekazywać na konto:

Towarzystwo Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu
Bank Zachodni SA II O/Warszawa, Nr 11201027-7520-132-3000
z zaznaczeniem: *prenumerata KULTURY* lub *ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH*

Od numeru 6/97 *Kultura* jest do nabycia
we wszystkich salonach EMPIK na terenie całego kraju.

Archiwalne numery *Kultury* i *Zeszytów Historycznych*
dostępne są w siedzibie Towarzystwa.



Towarzystwo Opieki nad Archiwum
Instytutu Literackiego w Paryżu
02-103 Warszawa, ul. Hankiewiczza 1, p. 0103
tel./fax 824 35 88, tel. 824 38 00



**Powszechny Zakład
Ubezpieczeń S.A.**

oraz

**Wydawnictwa Szkolne
i Pedagogiczne**
współfinansują

komputeryzację Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu



Dar
Instytut Polski
w Sztokholmie



Towarzystwo Opieki nad Archiwum
Instytutu Literackiego w Paryżu